MIESIĘCZNIK

Fantastyka

4 (7) Kwiecień 1983 cena 50,- zł

Janos Gado

ZIEMIA OZYRYSA

Wolfgang Jeschke

Zapowiedzi wydawnicze

W związku z licznymi listami i telefonami naszych Czytelników proszących o informacje dotyczące planów wydawniczych z dziedziny SF, przedstawiamy zapowiedzi wydawnicze trzech największych na naszym rynku serii specjalistycznych.

ISKRY,

seria „Fantastyka - Przygoda"

1. Brian W. Aldiss - Cieplarnia
2. Brian W. Aldiss - Kto zastąpi człowieka?
3. Kirył Bułyczow - Miasto na górze
4. Kirył Bułyczow - Retrogenetyka
5. Constantin Cublescu - Trawa
6. Stanisław Lem - Astronauci
7. Bohdan Petecki - Pierwszy Ziemianin
8. Bohdan Petecki - Strefy zerowe
9. Bob Shaw - Kosmiczny kalejdoskop
10. Jan Sobolewski - Okno nad światem
11. Arkadij i Borys Strugaccy - Na miliard lat przed końcem świata
12. Arkadij i Borys Strugaccy - Żuk w mrowisku

CZYTELNIK, seria „Z kosmonautą"

1. Barrington J. Bayłey - Kurs na zderzenie
2. D.G. Compton - Śmierć na żywo
3. Henry Kuttner - Dumny robot
4. Marek Oramus - Senni zwycięzcy
5. Pierre Pelot - Tranzyt
6. Kurt Vonnegut - Syreny z Tytana
7. Janusz A. Zajdel - Wyjście z cienia

KAW, seria „Fantazja - Przygoda Rozrywka"

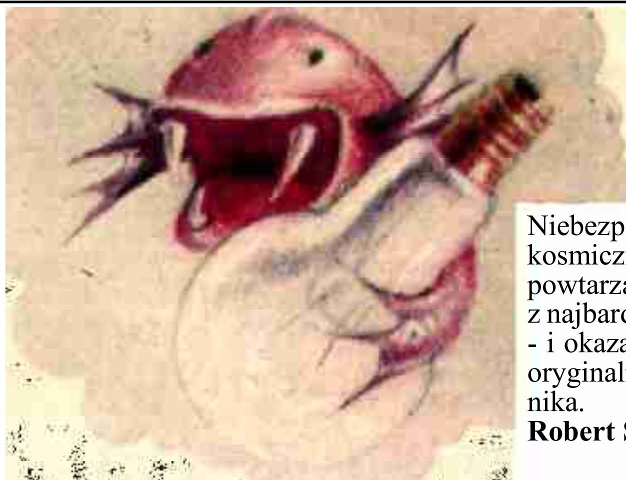
1. Antologia - Spotkanie w przestworzach 3
2. Antologia - Spotkanie w przestworzach 4
3. Krzysztof Boruń - Małe zielone ludziki, 11
4. Krzysztof Boruń - Małe zielone ludziki, t. 2
5. Adam Hollanek - Kochać bez skóry
6. Michał Markowski - Pajęczyna. Po drugiej stronie Księżyca
7. Julia Nidecka - Goniący za Słońcem
8. Zbigniew Prostak - Planeta zielonych widm
9. Andrzej Trepka - Końcówka
10. Wiktor Żwikiewicz - Imago, t.l
11. Wiktor Żwikiewicz - Imago, t.2

seria „zeszytowa"

1. Czesław Białczyński - Miliardy białych płatków
2. Andrzej Drzewiński - Zabawa w strzelanego
3. Adam Hollanek - Olśnienie
4. Tadeusz Markowski - Umrzeć by nie zginąć
5. Janusz i Sławomir Milowie - Exodus VI
6. Stefan Weinfeld - Zamieszkała planeta
7. Janusz A. Zajdel - Cała prawda o planecie KSI

okładka I: **Janos Gado**
okładka IV: **Marek Zalejski**





Niebezpieczeństwa czekające na obcych planetach na kosmicznych podróżników to wątek niezwykle często powtarzający się w pisarstwie SF, chyba w ogóle jeden z najbardziej ogranych. Podjął go także Robert Sheckley - i okazało się, że spod jego pióra wyszło opowiadanie oryginalne, żywe, zdolne zaabsorbować uwagę czytelnika.
Robert Sheckley „Duch V”

Coraz częściej interpretuje sie powodzenie utworów fantastycznych, a także ogromne zainteresowanie zjawiskami, których nauka nie potrafi jeszcze nazwać, jako wyraz dekadentyzmu.



Po prostu musimy jakoby błądzić wśród majaków, baśni czy UFO, słowem zjawisk trudnych do identyfikacji, ponieważ zawiodła nas nauka. Próbuje się na przykład przedłużyć jednostkowe życie ludzkie, ale nie bardzo to w gruncie rzeczy wychodzi, choć niby wiedza o procesach życiowych pomnożyła sie ostatnio wielokrotnie i niby wiemy jak się w naczyniach krwionośnych tworzą złogi, z czasem zaczopowujące dopływ krwi do serca. Polak brał udział w odkryciu czynnika hormonalnego - prostacykliny-który podobno ma szanse odegrać główną role w zwalczaniu złogów, a wiec i wszelkich przejawów miażdżycy, jednego z głównych przejawów starości. Żyje ciągle jeszcze człowiek ze sztucznym, wszczepionym sercem. Ale równocześnie ciągle grozi ludzkości zagłada atomowa. A słynny gerontolog profesor Danielli wypowiedział kilkanaście lat temu zdanie nieraz przytaczane, że „jak uratujemy człowieka przed śmiercią z powodu jednej zarazy, zaraz atakuje zaraza następna”. Nauka wręczyła człowiekowi w postaci środków komunikacji masowej, massmediów rozrywki i informacji, wspaniałe zabawki, równocześnie zatruła tak naturę, że w krajach cywilizowanych trudno o czystą rzekę, czyste źródełko i czyste powietrze. Tam, gdzie egzaminu nie zdała nauka, gdzie nie pomogły światu jej remedia, wkracza natychmiast znachor, fantasta, bajarz. Czy tak jest istotnie? Czy rzeczywiście podobną do naszej epoką schyłkową był przełom sprzed stu lat, miedzy wiekiem XIX i XX? Nie ulega wątpliwości, że np. u nas w kraju powstała wtedy typowa dla epoki powieść Żuławskiego „Na srebrnym globie”, że właśnie wówczas zaczytywano się na całym świecie różnymi „Wehikułami czasu”. Śledzono też pilnie bieg gwiazd i ich wpływ na ludzkie istnienia. Zupełnie jak teraz, kiedy nawet astrologie naukowo się galwanizuje, przekonując biednych zawiedzionych-nauką, iż gwiazdy mają na nas na pewno jakiś (jakiś l - tak jest) bezpośredni wpływ. Oczywiście wszystko co nas otacza ma, i my na siebie wzajemnie mamy, nieustanny wpływ -jest to jednak doza prawdy mniejsza niż w twierdzeniu, że miedzy małpą a człowiekiem istnieje zupełnie minimalna różnica. Bagatela, tylko 5 procent podstawowej dla życia substancji - kwasu dezoksyrybonukleinowego - jest inne u szympansa niż u człowieka. Otóż wystarczy te 5 procent, aby od zwierząt dzieliła nas przepaść, ogromna przepaść!

Wydaje mi się, że dobrze się stało, iż wyszła ostatnio książka, która ćwierć wieku temu narobiła na świecie sporo hałasu. Chodzi tu o wypuszczony przez Wydawnictwo Literackie na rynek „Nowoczesny mit”, rzecz o rodowodzie UFO. Napisał ją uczeń i przyjaciel psychoanalityka Zygmunta Freuda - znakomity psychiatra i psycholog szwajcarski Carl Gustaw Jung. Z kręgu mętnych spekulacji autor wyprowadza mit o niezidentyfikowanych obiektach latających, o osławionych UFO, na tory naukowych dociekań. Twierdzi w końcu, że w przypadku UFO mamy do czynienia z doznaniami płynącymi z podświadomości, z emanacjami raczej naszej psychiki, niż z obiektami kosmicznymi. Oczywiście upraszczam tutaj bardzo wywód Junga, tej książki nie da się zbyć kilkoma słowami.

Wskazuje jednak ona, jak zresztą i wiele innych współczesnych zjawisk, na oczywistą naiwność porównywania tego co wiedział człowiek przed setką lat, z tym co wie obecnie. To nie - moim skromnym zdaniem - dekadentyzm, jakaś konieczność brnięcia przez mroki świata nie rozjaśnione przez naukę, powoduje powodzenie literatury SF i zjawisk paranauki, lecz - przeciwnie ogromne wzbogacenie świata, jego obrazu, podyktowane właśnie przez naukę. Wydaje mi się, że zjawiska paranaukowe znajdują chętnych z powodu niemożności zapanowania nad materiałem, jakiego dostarcza ludzkim umysłom nauka, nie zaś z powodu niedostatku tego materiału. A wiec zupełnie inaczej niż dawniej. Jeśli wiec dekadentyzm - to mamy do czynienia z innym niż w okresie la belle epoque. Jeśli już fantastyka w powieściach czy nowelach - to inna niż rozpaczliwe szamotanie się grupki ludzi wystrzelonych na Księżyc i tam próbujących powtórzyć w sposób jakże naiwny, niemożliwą do powtórki historie ludzkości. Z innymi zjawami i duchami mamy wiec dzisiaj do czynienia w science fiction niż to było dawnymi żuławskimi czasami. I tak proszę oglądać prezentowanego w tym numerze „Ducha V autorstwa klasyka - Roberta Sheckleya. Z dystansem i humorem warto czytać Fredericka Longbearda „SHAWNA Ltd”. Nie tylko jako ostrzeżenie przed nuklearnym konfliktem, lecz również jako szersze spojrzenie na sprawy ludzkiej psychiki (trochę właśnie jungowskie) należało by odczytywać Wolfganga Jeschkego długie opowiadanie „Ziemia Ozyrysa”.

Powieść mamy już od pewnego czasu tylko jedną do wycinania i składania. Tym razem znakomitego, radzieckiego autora -Kiryła Bułyczowa - „Przełęcz”. Nieprzypadkowo w kontekście opowieści z głębszą refleksją znalazły się również próbki prozy polskiej - doświadczonego Stefana Weinfelda, jednego z klasyków gatunku (na szczęście żyjącego) oraz młodziutkiego - prawie debiutanta - Roberta Faltzmana. Słownik polskich autorów fantastyki, nie jedyny i nie pierwszy w tych czasach, wyciąga z lamusa dowcipne teksty Antoniego Cwojdzińskiego, autora przewrotnych komedii naukowych^

Tym razem w pożółkłych kartkach fragment „Teorii Einsteina”, Cwojdzińskiego właśnie. O nowościach radzieckich i amerykańskich warto przeczytać w felietonach Kędzierskiego i Jęczmyka. Natomiast w polskiej paradzie wydawców maszeruje dzisiaj Krajowa Agencja Wydawnicza. Bardzo trudno mi się zgodzić z optymizmem typu „jakoś to będzie” prezentera i redaktora tego niewątpliwie zasłużonego wydawnictwa -Andrzeja Wójcika. Istotnie przez pewien czas oficyna z rogu ulicy Wilczej w Warszawie budziła duże nadzieje, zwłaszcza wśród młodych autorów science fiction, stwarzając im szanse dość szybkiego i nienajtrudniejszego debiutu oraz pierwszych startów. Było to odbierane jako przeciwstawianie się polityce wydawniczej innych oficyn edytorskich, które jedynie dawkowały od przypadku do przypadku (niektórzy wydawcy dumnie mówią - od wynalazku do wynalazku, ach gdybyż tak naprawdę było) zarówno zagranicznych, jak i krajowych autorów SF. Tak się dzieje nadal.

Niestety, KAW na skutek kłopotów z papierem, a zwłaszcza poligraficznych, doszlusował jak gdyby do reszty krajowych wydawnictw - i on również począł swych młodych, a także i starszych, wydawać rzadko, przekreślając niejako te szanse wyboru i awansu jakie stwarza przede wszystkim produkcja dużej liczby tytułów i autorów. Boje się czy potrafi się teraz wyleczyć z tej choroby, czy podejmuje się w ogóle próby jej wyleczenia, i czy uda sie ta terapia, jeśli się jej popróbuje. To są moje wątpliwości, z którymi musze się podzielić. I dodać, że jak widać - nie wszystko co publikujemy na naszych łamach nosi pieczątkę aprobaty całego zespołu. I nie musi jej nosić. Sądzę także, iż kierownictwa licznych oficyn wydawniczych zbyt biernie, lub co najmniej mało aktywnie, zabierają się do zapełniania luk w naszym edytorstwie. Robi się owszem sporo, jest to jednak ciągle ofensywa niezupełnie zaplanowana, nie postępująca całym frontem. To co pisze nie tyczy sie jedynie literatury science fiction, lecz także klasyki, podręczników itd. itd.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-

fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
‘tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)
Redaguje zespół: Adam Hollanek (red. nacz.) Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.). Opracowanie graficzne: Marek Zalejski
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Biuro Reklam i Propagandy tel. 2556-26.
Warunki prenumeraty:
• dla zakładów pracy
- instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Ksiażka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
- instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.
• dla prenumeratorów Indywidualnych
- osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy,
- osoby zamieszkałe w miastach siedzibach oddziałów RSW „PrasaKsiążka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi, ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Lodź nr 47018-1603,
• prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenumeraty:
• od prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych w miastach siedzibach oddziałów RSW „PrasaKsiążka-Ruch” do 31 maja 1983 na III kwartał i II półrocze br. oraz do 31 sierpnia 1983 r. na IV kwartał br.
• od instytucji, zakładów pracy i prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych na wsi i w małych miasteczkach do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa PZGraf. RSW Łódź. Zam.812/83 r. N. 150 000 egz.. M-6

Wolfgang Jeschke

ZIEMIA OZYRYSA



Osiris Land

Ujrzałem przeszłość. Znam przyszłość. (Tutenchamon)

1. Master Jack

To dziwny, dziwny świat, W którym żyjemy, Master Jack...

Przybysz prowadził dwa konie juczne, sam siedział na pięknej, drobnej gniadej klaczy o ciemnych, aksamitnych oczach. Było upalne przedpołudnie, w powietrzu unosił się zapach ciepłej krwi i wnętrzności oraz świeżego pieczywa. Skoro świt, przed wszystkimi domostwami, nawet tymi należącymi do najuboższych, zaczęto zarzynać barany, gdyż król, niech Allach weźmie go w opiekę, rozdzielił je miedzy wszystkich, aby nikt w mieście nie pozostał na Wielkanoc bez pieczeni. Mężczyźni popijali od samego rana lagbi, niektórzy byli już podchmieleni. Wtedy właśnie nieznajomy wjechał do miasta.

Kiedy Annur, golibroda, przyniósł te wiadomość, mój ojciec odłożył nóż na ławkę, na której kroił właśnie barana, i otarł ręce o zachlapany krwią fartuch.

- Coś podobnego, człowiek o jasnej skórze - powiedział z namysłem. - Wędrowny lekarz?

- Nie, to nie tabib - odparł Annur, spoglądając okiem znawcy na naszego barana. - Mówi, że jest uczonym, badaczem gwiazd.

- Badacz gwiazd?

Golibroda wzruszył ramionami. - W każdym razie przybywa z południa, gdzie są nie tylko czarni, ale dawniej byli tam również biali. To z pewnością niewierny - dodał z pogardą. - Za czasów Hassana zabraniano takim uczonym wstępu do miasta, albo ucinano im od razu głowę.

- Jak możesz mówić coś takiego w święto Wielkiej Nocy - powiedział z naganą w głosie mój ojciec. - Czasy Hassana, kiedy wszystkich białych kamienowano lub wieszano, obojętne czy był to mutant czy nie, należą już - dzięki ci, o Allachu! - do przeszłości. Król Ahmed ben Brahim jest dobrym władcą. Podarował mi tłustego barana.

- Zaiste piękne zwierze - przyznał golibroda z zawiścią, gdyż jako człowiek zamożny musiał za swojego zapłacić.

- Gdzie ten nieznajomy, Annurze? - zapytałem, nigdy bowiem dotąd nie widziałem dorosłego białego człowieka.

- Zatrzymał się w schronisku, ale strażnicy powiedli go do pałacu królewskiego. - Zwrócił się znowu do mojego ojca:

- To chyba nie mutant. Kiedy wyjdzie z pałacu, będziemy wiedzieli coś więcej. - Pokiwał z powątpiewaniem głową. - Może istotnie nie skłamał i nie przybywa z wymarłych ziem Północy, lecz z Połud.nia. W każdym razie to niewierny.

Co sił w nogach pobiegłem w stronę schroniska, aby rzucić okiem na tego tajemniczego przybysza.

Słońce stało już wysoko. W pobliżu stajni ujrzałem siodła i juki. Hazaz siedział w cieniu, na macie utkanej z liści palmowych i naprawiał siodło wielbłądzie. Abarszi i Sliman, dwaj znani włóczykije, przykucnęli tuż za bagażem nieznajomego i - niby przypadkowo - gmerali przy nim, ostentacyjnie zwracając twarze ku słońcu.

- Zabierzcie te łapy - warknął Hazaz.

- To biały diabeł - rzekł z przekonaniem Abarszi. - Kto wie, jakie choroby przywlókł tu ze sobą.

- Wiec nie ruszaj jego rzeczy - powtórzył Hazaz.

Sliman parsknął lekceważąco i usadowił się w cieniu obok Abarszego. Cykady grały wśród liści palmowych, wydając jakiś metaliczny odgłos. Gdzieś pod dachem gruchały gołębie, niekiedy rozlegało się parskanie koni nieznajomego.
- Beszirze - odezwał się Hazaz - czy dziś, w dzień świąteczny, dokonałeś już jakiegoś dobrego czynu?
Spojrzałem na niego nieufnie, nie wiedząc, o co mu chodzi. - Nie odparłem wreszcie z wahaniem.
- To nakarm konie. Ja już je napoiłem.
- Jak on się nazywa?
- Jack Freyman. Nazywają go master Jack.
Poszedłem do kuchni, nastawiłem wodę na herbatę, po czym dałem koniom trochę prosa z sianem i wyszczotkowałem je. Kiedy dobiegł mnie tętent koni, wybiegłem na podwórze. Przyprowadzili nieznajomego. Eskorta iście królewska, z wezyrem na czele. Tuż obok niego, pod baldachimem niesionym przez czterech niewolników i w otoczeniu sześciu uzbrojonych jeźdźców z Gwardii Królewskiej jechał nieznajomy. Jego wygląd rozczarował mnie. Widywałem już białych, byli to młodzi niewolnicy, dzieci uciekinirów, którzy dzięki golibrodom powiększali liczbę eunuchów, ale ten mężczyzna miał ciało niemal tak ciemne jak tuarik. Był średniego wzrostu, dobrze zbudowany. Jego błękitne oczy przywodziły na myśl źródło w oazie, w którym odbija się niebo. Hazaz skłonił się nisko przed wezyrem, a ten wyciągnął z zanadrza jakieś pismo i zaczął czytać:
„W imieniu majestatu króla, naszego władcy, rozkazuje się, co następuje: Jack Freyman, uczony przybyły z odległego kraju Zimbabwe i gość królewski, dostanie z królewskiego stada wielbłąda oraz trzy juczne zwierzęta z najlepszej hodowli. Poza tym otrzyma przewodnika i poganiacza, którzy doprowadzą go do Dar-Fur, ochraniając go i usługując. Również oni dostaną wierzchowce z królewskiego stada. Ze spiżarni schroniska przydziela mu się zapasy na czterdzieści dni: 40 funtów daktyli, 30 funtów prosa, 6 funtów cukru, 5 funtów herbaty, 2funty soli...”.
Spoglądałem ukradkiem na nieznajomego. Miał na sobie białą szatę, noszoną na Południu, i dziwacznie skrojone spodnie z szarego sukna, przewiązane pasem, za którym tkwiły dwa noże. Na ramionach wisiał kołczan z metalowymi strzałami. Kiedy zeskoczył na ziemie, wyjął z siodła broń, która wyglądała jak strzelba o krótkiej lufie i jednocześnie jak łuk. Dopiero później dowiedziałem się, że to kusza, broń celniej sza od wielu strzelb, nie mówiąc już o łuku.
- Master Jack - powiedziałem.
Zawahał się, po czym spojrzał na mnie badawczo.
- Słucham?
- Daj mi konia. Zadbam o niego. Podał mi cugle.

I stało się, że król wybrał Hazaza na przewodnika dla master Jacka, a ja, ponieważ wielokrotnie już wędrowałem z Hazazem, miałem towarzyszyć im w ich wędrówce na Wschód. Zapowiadała się niezła podróż! Podróż, która miała doprowadzić nas poprzez Krainę Śmierci aż na koniec świata - a master Jacka jeszcze dalej.

Z pamiętnika master Jacka

29 marca 2036

Dotarliśmy do Kotoko nad jeziorem Czad. Bracia z fortu Sibut mówili prawdę, że każdy białypokazujący się na północ od Nigru naraża własne życie. Ale to samo dzieje się na południe od Zambezi. Czy jednak można winić za to tych ludzi? Biali zniszczyli świat, nie interesując się tym, że pociągną za sobą w otchłań śmierci i nieszczęść mnóstwo innych narodów. Czyż mogłem wiec liczyć na oznaki sympatii?
Mimo to spotykam wszędzie ludzi, z którymi można porozmawiać rozsądnie: wodzów, władców - rozsądniej niż z wieloma politykami i władcami naszej rasy.
Król Ahmed ben Brahim jest mniej więcej w moim wieku. Nosi sie z wrodzoną sobie godnością, ma poczucie humoru. Wypytywał mnie o moją marszrutę, pokazałem mu wiec na mapie drogę z Mt. Darwin na północ, na tereny dawnej Zambii. Zorientował się od razu, że na starej mapie jezioro Czad jest większe niż obecnie. Ostatnie zdjęcia wykonane przez satelitę wykazały dalsze przesuwanie się pustyni na południe. Mogłem to tylko potwierdzić. Dowiedziałem się od króla, że dawny szlak karawan wzdłuż Nilu można przebyć jedynie na wielbłądach, gdyż dla koni jest tam za mało wody. Podarowałem mu scyzoryk i zaoferowałem konie. W zamian za to obiecał swoją opiekę i dał mi do dyspozycji wielbłądy, żywność, przewodnika i poganiacza. Przewodnik nazywa się Hazaz, jest to wysoki, silny Nubijczyk. Poganiacz to młody wyrostek o imieniu Beszir.
Sytuacja nad Nilem jest tu nie znana, jeżeli nie liczyć rozpowszechnianych przez pielgrzymów opowiadań o straszliwych mutantach, mężczyznach o ciałach owadów i ptasich głowach oraz o białych kanibalach.

W przeddzień wymarszu udałem się nad jezioro, gdzie pasą sie stada królewskie. Nadworny kowal podkuwał jeszcze nasze zwierzęta. Wreszcie zakończył prace i roześmiał się uszczęśliwiony. W ten sposób wyjechaliśmy z Kotoko na wschód, w stronę wielkiej, chorej rzeki i morza z tamtej strony pustyni.

8 kwietnia 2036

Nareszcie znowu w drodze! Król dotrzymał słowa: zaopatrzeni w zwierzęta i zapasy żywności udajemy się na wschód dawną trasą pielgrzymów.

Przejeżdżaliśmy przez opuszczone wsie i obozowaliśmy nad wyschniętymi źródłami. Powietrze jest wilgotne i duszące, zwierzęta parskają trwożnie.
Dwudziestego ósmego dnia dotarliśmy do podnóża góry i rozbiliśmy obóz nad źródłem zwanym Bir Meszru (Źródło Szkieletów), gdyż - jak głosi legenda - w tym miejscu znalazło kiedyś śmierć w tajemniczych okolicznościach wielu ludzi. Ale to nieprawda. O pół godziny jazdy na północ od źródła znajduje się miejsce, gdzie leżą setki zwłok. Nie zginęli oni jednak w tajemniczych okolicznościach, lecz - co widać od razu - w wyniku straszliwej masakry. Kiedy wróciliśmy do oazy, okazało się, że w czasie naszej nieobecności przybyła tam inna karawana. Byli to dwaj podróżni z czterema zwierzętami; pielgrzymi z zachodu udający się do miejsc świętych. Poprosili nas o herbatę i cukier. Z uwagi na kształt ich twarzy i ubiór wziąłem ich za logonów, dlatego nie wierzyłem w ani jedno ich słowo, gdyż logoni kłamią, mają opinie magów, z oczu patrzy im źle, a na domiar wszystkiego potrafią nocą przybrać postać hieny.

5 maja 2036

Z pewnością przekroczyliśmy już dawną granice pomiędzy Czadem a Sudanem. Droga przed nami jest uciążliwa. Jednakże Hazaz zapewnia, że od El Faszer dzielą nas już tylko trzy dni drogi, stamtąd 30 dni jazdy do En Nahud, dalsze siedem czy osiem do El Obeid, po czym będziemy już w pobliżu Chartumu. A wiec jeszcze mniej więcej dwa miesiące, o ile oczywiście nasza dalsza podróż będzie miała tak pomyślny przebieg, jak do tej pory. Kto wie, co nas jeszcze czeka ? Widywałem już tysiące ludzi, którzy uważali się za uratowanych. Udało im się zbiec z zakażonej Europy przez Morze Śródziemne i tu, cierpiąc niewypowiedziane trudy, decydowali sie na przeprawę przez pustynie, aby paść ofiarą fałszywych przewodników. Zwabieni w pułapkę, najczęściej ginęli mordowani przez bandy uprawiające swój ciemny proceder - przy cichej aprobacie władz. W ten sposób zamierzano zapobiec dalszemu przemieszczaniu się zarazy broni B na południe. Często wprowadzano do akcji nawet regularne oddziały wojskowe, które wybijały do nogi całe karawany uciekinierów. Nikt nie pomyślał o tym, że ptaki wędrowne dawno już przeniosły epidemie z Europy w najbardziej nawodnione obszary Afryki i przenoszą ją na nowo każdego roku jesienią.

2. Labirynt

Ktoś gdzieś w upalną noc...

Kiedy obudziłem się, była jeszcze noc. Hazaz dokładał drewno do ognia.
Nad ranem całą oazę spowiła mgła.
- Odszukaj zwierzęta, Beszirze! - polecił Hazaz. - Nadciąga burza.
Master Jack wrócił w chwili, kiedy umacnialiśmy namiot.
- Chyba będzie burza - zawołał. Jakby na potwierdzenie jego słów gruchnął piorun, odbijając się echem od pobliskich gór. Zwierzęta spiesznie szukały schronienia w zaroślach. Niebo pociemniało. Wichura potrząsała akacjami, a kiście palmowe syczały jak żmije. Jednak burza przeszła bokiem. W górach błyskało jeszcze purpurą i grzmiało, a na południu pokazały się już pierwsze gwiazdy. W pobliżu chichotały hieny. Wkrótce zmorzył mnie sen. Zbudził mnie krzyk. Zanim zdołałem dojść do siebie, master Jack był już na nogach. W biegu chwycił kusze i kołczan. Wygramoliłem sie spod okrycia i pognałem za nim. Kiedy dobiegłem do mojego wierzchowca, zauważyłem, że nie jest spętany. Dyszał ciężko, jakby po dłuższym biegu. Nieco dalej dostrzegłem w brzasku wstającego dnia drugiego wielbłąda, który skubał gałęzie. Parskał donośnie, wyraźnie podniecony.

Był to wierzchowiec master Jacka. Po innych zwierzętach nie było nawet śladu.
- Tu, Beszirze! - usłyszałem głos master Jacka. Klęczał na ziemi obok Hazaza. Chwyciłem za cugle mojego wielbłąda i pociągnąłem za sobą. Dopiero teraz zauważyłem, że ubranie Hazaza z lewego boku i przy ramieniu jest ciemne od krwi. Tuż nad łokciem widniała straszliwa rana, rozwarta na szerokość trzech, czterech palców.
- Zaskoczyłem ich - wykrztusił z trudem Hazaz. - Co za szakale! Te...
- Leż cicho! - zbeształ go master Jack, ściskając brzegi rany. Powinieneś był nas obudzić, a nie działać na własną rękę! Podejdź tu chłopcze i pomóż mi! - zwrócił się do mnie.
Poczułem na karku krople potu. Drżąc na całym ciele pomagałem opatrzyć ranę i wstawić ramie w drewniane łupki.
- Zostawcie mnie! - gderał Hazaz. - Gońcie ich! Na pewno nie uciekli daleko, nie na moim wielbłądzie! Założę się, że stawia im opór. Ale zwierzęta juczne...
- Czy uderzyli cie mieczem? - zapytał master Jack.
- Nie, szangormango - warknął Hazaz. - Z odległości dziesięciu kroków rzucono mi nim w twarz. W ostatniej chwili zasłoniłem sie ręką.
Ostrożnie donieśliśmy go do wierzchowców. Zanim usadowiliśmy go na siodle, wzeszło słońce.
- Co to jest: szangormango? - zapytał master Jack, kiedy wypatrywaliśmy śladów. Żałowałem, że nie mam oczu jak Hazaz.
- Taka broń żelazna, którą się rzuca - wyjaśniłem. - Bardzo niebezpieczna. Niektórzy robią to naprawdę celnie.
Hazaz nie mylił się. Jego wierzchowiec stawiał zaciekły opór, ślady były wyraźne. Kiedy tamci dostrzegli nas, próbowali rozdzielić się i uciec pieszo. Puściliśmy się w pogoń za jednym z nich. Master Jack, nie namyślając się długo, najechał na niego, zwalając go z nóg. Złodziejaszek zaskomlał żałośnie i zaczął pełzać na czworakach w moją stronę, licząc prawdopodobnie, że ulituje się nad nim. Master Jack podał mi kusze. Złożyłem się do strzału, ale w tym momencie opadła ze mnie cała wściekłość. Poczułem wstręt do tej żałosnej istoty, która czołgała się ku mnie jak niezdarna jaszczurka. Nie mogłem tego zrobić. Master Jack odebrał mi z reki broń, odprężył ją i powiesił na siodle.
- Posłuchaj - powiedział do naszego jeńca. - Zabieramy wam zwierzęta, gdyż musimy przetransportować ciężko rannego. Trzymajcie się od nas z daleka, dopóki będziemy przy wodopoju. W przeciwnym razie zastrzelę was. - To powiedziawszy zawrócił wielbłąda, po czym odjechaliśmy.
Skomlenie przerodziło się szybko w wycie i stek wyzwisk, które w miarę jak się oddalaliśmy - stawały się coraz bardziej obelżywe. Ponieważ dotyczyły koloru skóry mastera Jacka i jego pochodzenia, zerknełem na niego, ale on nawet się nie obejrzał. Może nie rozumiał tych słów. Spędziliśmy zwierzęta, nasze i tamtych, po czym wróciliśmy do oazy.
Byłem w rozterce. Tak się złożyło, że master Jack mógł zajrzeć mi w głąb duszy. Czyżby dostrzegł dusze tchórza, niezdolnego pomścić przyjaciela? Jakby czytając w moich najskrytszych myślach, powiedział nagle:
- Postąpiłeś słusznie, Beszirze. Jego życie jest nieprzydatne dla nikogo. Ale jego śmierć też nic by nie dała.
Spojrzałem na niego bezradnie, on zaś uśmiechnął się i skinął głową, aby dodać mi otuchy. I nagle uświadomiłem sobie, że pójdę za tym człowiekiem na koniec świata i przysiągłem sobie, że postąpię tak bez względu na to, co się jeszcze wydarzy.
Koło południa wróciliśmy do oazy. Już z daleka dostrzegliśmy, że obozuje tam kolejna karawana. Podróżnymi okazali się kupcy z Darfuru, którzy podczas naszej nieobecności zaopiekowali się Hazazem. Z ich słów wynikało, że dali mu pić, on zaś bredził coś bez składu i ładu oraz kilkakrotnie tracił przytomność. Kręcili głowami i cmokali ze współczuciem, kiedy dowiedzieli się, co nas spotkało, ale bardziej obchodziły ich własne kłopoty. W nocy zaskoczyła ich burza, teraz rozwiesili wiec płaszcze, koce i bagaże, aby wyschły. Dopiero po pewnym czasie przestali pilnować swoich paczek i zaczęli pomagać nam w splataniu lektyki z gałęzi i trzciny. Zazwyczaj w takiej lektyce, umieszczonej na grzbiecie wielbłąda, podróżują wysoko postawione damy lub przewozi się bardziej cenne niewolnice. Tym razem miała posłużyć Hazazowi. Stan jego zdrowia jest poważny. Odkąd wróciliśmy, nie odzyskał przytomności.

6 maja 2036

Wczoraj jeszcze uważałem, że dopisuje nam szczęście. Dzisiaj opuściło nas. Dwóch opryszków napadło na nas tuż przed świtem, okazali się jednak tak głupi, że bez trudu dopadliśmy ich w ciągu kilku godzin. Niestety, nasz przewodnik został zraniony podczas napadu i to tak ciężko, że martwię się o niego. Moje lekarstwa, broń i amunicje pochłonęły nurty rzeki Kongo, a szkoda. Mogłyby sie dziś przydać.
Kupcy z El Faszer twierdzą, że na dotarcie tu potrzebowali trzech dni. Może i my dojedziemy tam w tym samym czasie, wtedy ten biedak będzie mógł skorzystać z pomocy lekarza. Zostaniemy tu jeszcze jedną noc. Wprawdzie dla tylu ludzi i zwierząt źródło jest za małe, ale dzięki ostatnim opadom poziom wody gwałtownie wzrasta.
Musze przyznać, że Beszir spodobał mi się dzisiaj. Szybko otrząsnął się z szoku i udowodnił, że jest rozważny - i ma charakter. Potrafił przecież zdusić w sobie żądze zemsty. Obawą napawa mnie natomiast perspektywa spotkania ze słynnym - ale z tej złej strony - władcą z El Faszer, monarchą Sudanu. Podobno płynie w nim krew Europejczyka. Często się zdarza, że tacy ludzie stają się najgorszymi despotami, rządząc w krajach zwanych kiedyś Trzecim Światem - obecnie jedynych krajach, w których żyją jeszcze ludzie.

Od dwóch dni Hazaz majaczy w gorączce: „Słyszeliście grubą, jak sie śmiała? Śmiała się przez całą noc. Przez całą noc”. Ocieram mu pot z czoła. Jego rana cuchnie. Zaczyna ropieć.
- O kim on mówi? - pyta master Jack.
- O hienie. Większość naszych bajek opowiada o niej, głupim grubasie nabieranym nawet przez wiewiórki i jaszczurki.
- A wiec nic dziwnego, że się śmiała, gdyż tym razem to my jesteśmy głupcami - mówi master Jack. Chyba ma racje.
Martwi go bardzo stan zdrowia Hazaza. Ukrywa to przede mną, ale ja i tak wiem swoje. Dlatego ciągle modle się do Allacha o to, by okazał Hazazowi cząstkę swego miłosierdzia. Przez trzy dni wspinaliśmy się poprzez kotliny, wąwozy poprzeszywane rozpadlinami i olbrzymie niczym pałace skały. Droga była uciążliwa, zwierzęta szybko opadały z sił. Pod wieczór trzeciego dnia dotarliśmy do szczytu przełęczy. Jak okiem sięgnąć gołe skały, labirynt kamieni, ani śladu roślin, zwierząt, ludzi. Znaleźliśmy się w krainie wrogiej człowiekowi, krainie, która zastygła w trakcie powstawania, jakby Allach zaprzestał dzieła tworzenia, nie dokończył swego zamysłu. Mimo słońca sprawia dziwnie posępne wrażenie, niczym dno oceanu. Chwilami szybują nad nami z gracją sępy, istoty z górnej części świata. Jakby nie podlegały prawom ciążenia, nieruchomieją w powietrzu, aby bystrym wzrokiem spojrzeć w dół, wypatrzeć zabłąkane istoty, poświecone śmierci.
Nigdy jeszcze nie zapuściłem się tak daleko na wschód. Przytłaczająca jest pustka tych przestrzeni!
Następnego ranka zostajemy otoczeni przez patrol. Jeźdźcy siedzą na długonogich mahari, słynnych wielbłądach wyścigowych, są uzbrojeni w lance i łuki, niektórzy nawet w strzelby. Oficer przesłuchuje nas i dopiero potem dzieli się z nami solą i herbatą. Badawczo spogląda na lektykę. Owszem, znajdziemy lekarzy, Egipcjan, Arabów, nawet białych. Na pewno zajmą się rannym. Po niespełna czterech godzinach drogi wjeżdżamy pod eskortą do El Faszer. Oficer, nie tracąc czasu, wiedzie nas prosto do pałacu króla. Widzimy wielu żołnierzy, ludzi różnych ras. Na bazarach panuje ożywiony ruch, wszędzie widać radosne twarze. El Faszer - oaza kolorów na tym rozległym, posępnym pustkowiu.
Pałac królewski przywodzi na myśl zbójeckie gniazdo: jest okazały, przystosowany do obrony, zbudowany z odłamów skalnych, wspaniale wykończony. Przed wejściem stoją dwa spalone czołgi, ich lufy przypominają groźnie wzniesione ku górze trąby zwierząt prehistorycznych. Na dziedzińcu zsiadamy z wierzchowców. Zjawia się lekarz, młody Egipcjanin. Każe wynieść Hazaza. Na pytanie o koszty opieki unosi ręce, jakby chciał zważyć powietrze, przy czym jego wzrok błądzi po naszych manetkach: dwa wielbłądy, trzy - no, zobaczymy. Dostajemy pomieszczenie przy stajniach.

10 maja 2036

Dotarliśmy do El Faszer. Dawna stolica Darfuru nie straciła na znaczeniu i ma prawie tę samą liczbę mieszkańców co przed wojną. Król Ahmed Ueled ben Muchtar, władca tych peryferii świata zamieszkałego przez ludzi, nie jest chyba takim despotą, za jakiego uchodzi. Przynajmniej tu, w stolicy, nie słychać nic o jego tyranii. Na ulicach roi się wprost od Europejczyków i uciekinierów z Libii, Egiptu i Arabii, którzy najwidoczniej rozkoszują się wszelkimi swobodami obywatelskimi. Jednakże widać tu również niewolników o jasnej skórze, chociaż trzeba przyznać, że wyglądają na dobrze odżywionych.

Rezydencja królewska, zaprojektowana przez architekta francuskiego, to obiekt łączący w sobie elementy sztuki europejskiej z orientalną. W pałacu, gdzie i my znaleźliśmy gościnę, mieszka podobno 3000 osób. Hazaz znalazł nareszcie opiekę lekarską - mam nadzieje, że nie za późno.

Odwiedziłem Hazaza. Leży w białym łóżku w pokoju o białych ścianach. Na reku świeży opatrunek, rana już nie cuchnie, ale Hazaz ma na sobie piętno śmierci. Jego błędny wzrok budził we mnie trwogę. Nie poznał mnie. Pielęgniarz kazał mi wyjść, nie pozwolił nawet posiedzieć na progu.
Wczoraj master Jack był u króla. Dziś przeprowadziliśmy się do komnat gościnnych. Pomieszczenia są tu wysokie, podłogi wyłożone wytwornymi dywanami. Wśród mieszkańców przeważają biali, głównie artyści, ale na pewno nie ma tu rzezańców, gdyż wielu ma żony i dzieci.
Wieczorem odbyła się uczta, po której jeden z białych zaczął grać na instrumencie strunowym, zwanym mandoliną. Kiedy szarpie struny, powstaje dziwny dźwięk, to smutny, to znów przypominający gruchanie synogarlicy, to znów radosny. Mężczyzna śpiewał do tego:

„Gdy nad ziemią wisi deszcz
Jak czarna muleta,
Śmierci znak to, przyjaciele..."

Król przerwał mu niecierpliwie. - Zaśpiewaj coś innego! Do pory deszczowej jeszcze daleko! O śmierci też nie chcemy słuchać.
Ludzie wybuchneli śmiechem, a grajek zmienił rytm. Zauważyłem na jego ciele białe plamy; to miejsca wypalone przez żar widok typowy u ludzi pochodzących z Krainy Śmierci. Na łysej czaszce widniała otwarta rana, z gatunku tych, które nigdy się nie goją. Białka jego oczu miały chorobliwy, żółty odcień. Jednak głos miał piękny. Wypełniał całe pomieszczenie i pozwalał zapomnieć o żałosnym wyglądzie grajka.
Zaśpiewał sześć czy siedem piosenek z dawnych czasów, w tym jedną o małej małpce, która chciała dosięgnąć gwiazd, ale kiedy bawiła się nimi, od ich żaru zajęło się ogniem drzewo, na którym siedziała. Refren brzmiał tak:

„I oto koniec Małpy tej,
A gwiazdy świecą nadal,
Drwiąc sobie z niej
I z tego,
Czego ludzkość pożądała.
W ten sposób ludzkość,
Małpa też,
Gdzieś przyszłość zapodziała".

Obok grajka stał mały biały chłopiec, głuchoniemy. Co chwila obrzucał wzrokiem twarze słuchaczy, a potem wpijał go w usta swego mistrza. Za każdym razem, kiedy tamten opuszczał mandolinę, on unosił drumle, akompaniując słowom.
Pielęgniarz, który przebywał w Świętych Miejscach, a teraz wracał na zachód, opowiedział master Jackowi, że miedzy Omdurmanem i Port Saidem widywano ostatnio latające barki, unoszące sie bezszelestnie nad pustynią. Ich załogi składały się z olbrzymich chrząszczy i istot o głowach ptaków. Tego rodzaju stwory egipskie, widoczne tu i ówdzie na kamiennych rzeźbach, wynurzyły się z mułu Morza Nassera, kiedy odpłynęły jego wody.
Master Jack, zazwyczaj tak mądry, w tego typu sprawach jest niezmiernie łatwowierny. Cierpliwie przysłuchiwał się relacji, wypytując o wygląd latających barek, o kolor upierzenia istot o głowach ptaków, o chrząszcze.
Wracając do naszych komnat, znajdujących się na drugim piętrze, spotkałem na schodach mężczyznę, który - sądząc po szatach piastował jakieś wysokie stanowisko na dworze. Zagrodził mi drogę.
- Podejdź do mnie - rozkazał.
Posłusznie zbliżyłem się do niego. Objął mnie poufale ramieniem i popchnął w kąt. Jego wypielęgnowana broda pachniała słodkawo wodą kolońską, a oddech nasycony był zapachem wódki.
- Posłuchaj, chłopcze - wybełkotał, chwytając mnie mocno miedzy nogi. Jęknąłem z bólu.
- Czy masz już swojego mistrza? - zapytał ubawiony.
- Należę do master Jacka - odparłem zbolałym głosem.
Puścił mnie. Kiedy wbiegałem po schodach, ciągle jeszcze pod wrażeniem tego bezwstydnego dotyku, zawołał za mną, śmiejąc sie: A któż to jest, do diabła, ten master Jack?
Zbudziłem się wśród nocy. Ktoś stał w drzwiach. Blask księżyca wpadający przez okno uwydatniał zarys smukłej postaci: rozpoznałem delikatny profil, łysą czaszkę. Był to ten sam chłopiec, który grał na drumli. Rozejrzał się na prawo i lewo, po czym utkwił wzrok we mnie.
- Czego chcesz? - zapytałem cicho, bojąc się, że mogę zbudzić master Jacka. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że przecież chłopiec mnie nie słyszy. Uniósł ramiona do góry i wykonał zwiewnie kilka kroków tanecznych. Oszołomiony chłonąłem wzrokiem ruchy jego stóp, czując że pod wpływem tego tańca i czaru poświaty księżycowej tracę coraz bardziej poczucie rzeczywistości. Wstałem, aby dojść do siebie. W tym momencie chłopiec zniknął. Wyszedłem na korytarz, ale nie było go tam. Gdzież on mógł się podziać? Przy końcu długiego korytarza siedział strażnik. Spał z głową opartą o stół. Podszedłem do okna i wyjrzałem na dziedziniec, na którym wczoraj Odbyła się uczta: skąpany w ponurym, srebrnym blasku ział pustką. W ciemnym cieniu czyhafy uzbrojone w żuwaczki skarabeusze, aby na rozkaz zbójeckiego kapitana o głowie ptaka zaatakować uśpiony pałac.
- Beszir? - usłyszałem nagle głos master Jacka. Wróciłem do jego pokoju, ale nie odezwał się więcej. Może wymówił moje imię przez sen?
Późnym przedpołudniem - master Jack przebywał wtedy u króla zwiedzałem górne pietra pałacu. Odkryłem ogród, niewielki raj o długości około stu i szerokości czterdziestu kroków, ukryty wśród wysokich budowli. Wyłożone żwirem ścieżki wiodły pomiędzy kwietnikami, ciernistymi zaroślami, drobnymi granatowcami i brzoskwiniami do fontanny, która rozsiewała w dusznym powietrzu orzeźwiającą świeżość. Po trawniku kroczyły dumne pawie, rozkładając wachlarzowato błyszczące jak atlas, zielone i ciemnoniebieskie ogony. Byłem wprost zafascynowany. Skąd tyle barw w tej krainie posępnego światła i ponurych skał? W kącie parku znajdowała się studnia, z której właśnie napełniano zasilającą fontannę cysternę. Olbrzymie koło deptakowe obracało sie skrzypiąc, podczas gdy trzej niewolnicy, odziani jedynie w przepaski biodrowe, wdrapywali się ustawicznie po wytartych już listwach na górę, aby utrzymać koło w ruchu. Przystanąłem, aby przyjrzeć się temu widowisku. O ścianę wylepioną gliną opierał się nadzorca, trzymając w reku pejcz z plecionych rzemieni. Obok niego siedziało na ziemi trzech innych niewolników, korzystając z chwili wytchnienia przed kolejną zmianą na kole. Spoglądali na mnie tępym wzrokiem, ale nikt nie odezwał sie nawet słowem. Cisze przerwał raptem urwany krzyk kobiecy, dobiegający z okna na górnym piętrze, po nim rozległ się drugi, donośniejszy, potem nastąpiły kolejne, tworząc całą serie rytmicznych, narastających coraz bardziej okrzyków bez tchu, w których pobrzmiewało coś jakby gruchanie, wydobywające się głęboko z krtani. Wtem wydarzyło się coś dziwnego, czego nie mogłem pojąć. Jeden z siedzących w cieniu i oddających się niewesołym zapewne rozmyślaniom niewolników wstał - był muskularny, krepy mężczyzna o ciemnych włosach i zarośniętej twarzy - ścisnął pieści i zgiął ręce, jakby dźwigał jakiś ciężar, po czym konwulsyjnie, w rytm krzyków kobiety, począł poruszać biodrami to w przód, to w tył. Nie otwierając oczu i zagryzając dolną wargę wydawał z siebie za każdym razem chrapliwe dźwięki, a jego przepaska biodrowa wydymała się coraz bardziej do przodu. Pejcz opadł z trzaskiem na jego gołe ramiona, ale uderzenie było niedbałe, niemal dobroduszne, nie zrobiło zresztą na niewolniku żadnego wrażenia. W tym samym momencie krzyk kobiety przeszedł w ostry dyszkant i urwał się, a niewolnik znieruchomiał, przybierając minę ni to udręczoną, ni to uszczęśliwioną.
Nadzorca zarechotał, niewolnicy siedzący w cieniu zawtórowali mu, a ja uśmiechnąłem się niewyraźnie, nie rozumiejąc powodu tej wesołości.
Na kamiennej ławie pod granatowcem dostrzegłem głuchoniemego. Zawahałem się. Czyżby w nocy ten chłopiec śnił mi się tylko? Usiadłem obok niego. Chłopiec poruszył ustami, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko jęk, po czym zaczął przewracać oczyma. Myślałem, że chce zwrócić mi na coś uwagę, gdy wtem ku mojemu przerażeniu zorientowałem się, że to atak. Chłopiec przechylał się coraz bardziej do tyłu, kręcąc głową, jakby chciał w ten sposób przewiercić na wylot jakąś przeszkodę, w końcu opadł na ławkę, a w kącikach jego krzyczących bezgłośnie ust zebrała się piana. Chwyciłem go mocno, aby nie spadł na ziemie, zacząłem walczyć z nim i - leżąc niemal na tym szczupłym ciele, czerpiącym nie wiadomo skąd tyle siły - rozejrzałem się rozpaczliwie w poszukiwaniu pomocy.



Wtem na żwirze zazgrzytały kroki, a głowę chłopca ujęły czyjeś wąskie, białe dłonie, które poczęły przesuwać się delikatnie po jego skroniach i uszach. I jakby pod działaniem czarów, w jednej chwili ciemna moc ustąpiła, ciało ożyło, a ja uświadomiłem sobie ku memu niezmiernemu zdumieniu, że trzymam w ramionach dziewczynę. Tuż obok dostrzegłem naznaczoną bliznami czaszkę grajka i jego straszliwą, niezagojoną ranę. Zmieszany zdjąłem ręce z ciała dziewczyny i wstałem. Grajek kiedy stał tak prztede mną, wydał mi się zaskakująco wysoki uśmiechnął się do mnie pokornie.
- Dziękuje ci. Mogła sobie zrobić krzywdę - powiedział, pomagając dziewczynie podnieść się z ławki. - To już nie pierwszy raz. A mówiłem jej tyle razy, żeby nie siedziała na słońcu.
- Siedziała w cieniu.
Wzruszył ramionami. - To właśnie nasze dziedzictwo. Dziedzictwo wielkiej cywilizacji. „W ten sposób ludzkość, małpa też, gdzieś przyszłość zapodziała". - Uśmiechnął się.
- Jak ona się nazywa?
- Simone.
- Dziwne imię.
- Rzeczywiście? - Objął ją ramieniem. - Ona nie może mnie zdradzić. Nie słyszy nawet, kiedy zapieje kur.
Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Kiedy wychodziliśmy z ogrodu, nie było już ani nadzorcy ani niewolników. W jednym z okien na górze ujrzałem kobietę: Przez chwile spoglądałem na jej usta. Uśmiechała się.

25 maja 2036

Od dwóch tygodni przebywamy w pałacu królewskim. Władca kilkakrotnie zapraszał mnie do siebie i w ten sposób mogłem porozmawiać z nim dłużej. Jest to mężczyzna po pięćdziesiątce, łączący w sobie charyzmat, inteligencje i brawurę. Jest właścicielem największej chyba na świecie kolekcji złomu. Oprócz czołgów, stojących przed wejściem do pałacu, posiada liczne łupy - efekt wypraw grabieżczych, przeprowadzanych na obszarach dawnych libijskich złóż naftowych, teraz zbombardowanych i skażonych pyłem radioaktywnym. Większość tych łupów to bezużyteczne żelastwo, ale nie do pogardzenia jest kolekcja zegarów, składająca się z najbardziej wymyślnych przyrządów do mierzenia czasu, pochodzących z pięciu stuleci.
Opowiedziałem mu o swojej ekspedycji i o lotach kosmicznych, które podobno odbywają się gdzieś nad terytorium Bliskiego Wschodu i których charakteru niestety nie możemy określić bliżej. Jego zdaniem mogą to być przybysze spoza Ziemi. - Zdziwiłbym sie, gdyby po fajerwerku, jaki tu zapaliliśmy, tamci nie zainteresowali się naszą planetą - powiedział.
Podarował mi pamiętnik swojego nadwornego architekta, który zbudował dla niego ten pałac. Architekt nazywał się Henri Fleurel. Zmarł przed dwoma laty. Pamiętnik pisany jest po francusku. Przeczytam go w drodze przez Kordofan.

3. Granica

**To koniec,
drogi przyjacielu,
koniec...**

Rankiem odwiedziliśmy Hazaza. Amputowali mu rękę. Straszna jest ta pustka pod kocem. Owa mocarna ręka, której często przyglądałem się z podziwem, jak prowadzi szydło, siodła wielbłądy i potrafi jednym energicznym chwytem zmusić je, by przyklękły, po prostu znikła.
Modle się za Hazaza. Powiadają,, że łaska Allacha jest niezmierzona. A przecież wystarczy mała cząstka Jego miłosierdzia, tyle tylko, aby okryła Hazaza i jego drugą rękę.
Dziś master Jack wziął mnie na bok i powiedział, że wkrótce musi wyruszyć w dalszą drogę- Pozostawił mi wolny wybór, czy chce towarzyszyć mu nadal, gdyż podróż staje się niebezpieczna, jako że zbliżamy się już do końca świata zamieszkałego przez ludzi. Dalej żyją tylko skażone zwierzęta i bestie w ludzkiej postaci.
- Każdy pielgrzym ryzykuje to samo - odpowiedziałem. - Robie to dla Boga.
- Na tym właśnie polega różnica - odrzekł. - To fanatycy religijni. Wystawiają się na niebezpieczeństwa, aby udowodnić, że Bóg jest z nimi. To opętańcy.
- A co ty chcesz udowodnić, master Jack?
Zawahał się. Potem roześmiał się i powiedział: - Beszirze, jesteś mądrym chłopcem. Tak, ja też jestem opętany. Chciałbym zbadać ten teren na północnym wschodzie. Tam jest coś, co uprawia podróże kosmiczne, ignorując uporczywie sygnały orbitalnego systemu Trekking, którego dwie stacje nadal funkcjonują.

- Co to za orbalny system Trekking?
- Orbitalny. Dzięki niemu można kontrolować tor obiegu gwiazd wokół Ziemi. Jesteśmy czymś w rodzaju przewodników karawan po niebie.
- Wszystkich gwiazd?
- Co? Nie, oczywiście tylko tych sztucznych. Satelitów Ziemi. Tam w górze jest ich cała masa. Jeszcze przez całe wieki będą od nich napływać sygnały, których nie wykorzysta już żaden człowiek.
- A co z Hazazem? - zapytałem po chwili.
- Dobrze by było, gdybyś został przy nim. Moglibyście potem przyłączyć się do jakiejś karawany jadącej na zachód i wrócić w ten sposób do domu. Ale stan jego zdrowia jest jeszcze krytyczny. Przesunął dłonią po ogorzałej twarzy i długich, czarnych włosach. Widocznie na samą myśl o pozostawieniu Hazaza samego poczuł sie nieswojo. - Z drugiej strony... - Spojrzał na mnie prosząco swoimi jasnymi oczyma, jakby prosił mnie o wybaczenie.
- Gdyby zdarzyło się to najgorsze, zostałbyś sam. A biorąc pod uwagę moralność w pałacu, bałbym się o ciebie. Tu niemal wszyscy patrzą pożądliwie na takich chłopców jak ty, których można sobie wychować albo sprzedać jako eunuchów. Przypomniałem sobie tamto wydarzenie na schodach i wzdrygnąłem się. - Pojadę z tobą, master Jack - powiedziałem zdecydowanie. Cały bagaż jest już spakowany. Poszliśmy jeszcze pożegnać się z Hazazem. Czuł się dobrze i pomachał ku nam kikutem reki.
- Poczekajcie jeszcze dwa, trzy dni - powiedział - to pojadę z wami.
Lekarz wyjaśnił nam, że Hazaz ma szanse przeżycia, o ile rana sie nie zaogni. Kończą się już lekarstwa, a większość tych, jakie jeszcze pozostały, są skażone. Życzyliśmy Hazazowi szczęścia i błogosławieństwa Allacha.
- Postaram się o jakąś prace i zaczekam tu na was - obiecał. Nawet do przyszłej wiosny, jeżeli to będzie konieczne.

5 czerwca 2036

Z ciężkim sercem opuściliśmy Hazaza i wyruszyliśmy na wschód. Moglibyśmy przyłączyć się do karawany, prowadzącej ponad 200 zwierząt, która jedzie do El Obeid, ale posuwa się zbyt powoli. Nawet jeżeli ograniczymy nasze postoje do niezbędnego minimum, to i tak mamy w perspektywie 40 do 45 dni jazdy. Do Omdurmanu jeszcze prawie 1000 mil.
Posuwamy się szybko do przodu. Nasi czterej pomocnicy to doświadczeni myśliwi. Niemal codziennie mamy świeże mięso. To dzicy ludzie, ale chyba można na nich polegać. Dobrze by było, gdyby towarzyszyli nam aż do Omdurmanu, ale niestety mają swoje rozkazy.

Czterej jeźdźcy królewscy narzucają takie tempo, że boje się o nasze zwierzęta, ale master Jack wygada na zadowolonego. Alkuttabu, najlepszy myśliwy z naszej eskorty, upolował wczoraj z odległości 250 kroków gazele. Dziś natknęliśmy się na zdechłego fenka o sparszywiałej sierści.
- Nie rusz go! - woła ostrzegawczo Alkuttabu. Zasypuje ścierwo fenka suchym drewnem i podpala stos. Odór był nie do wytrzymania. Ruszamy dalej. - Jeszcze kilkadziesiąt lat temu - opowiada Alkuttabu - w Kordofanie było więcej niż tysiąc lwów. Wiem o tym, bo to moja ojczyzna. Dziś musiałbym się nieźle naszukać, żeby spotkać choć jednego. Porywają najsłabsze sztuki ze stad, a te są przeważnie skażone. To je zabija, rozumiesz?
- Boisz się lwów?
Obnaża w uśmiechu szerokie, białe zęby. - Tak, ale tylko martwych - mówi i chichocze.
Raz po raz spogląda na południowy wschód. Kiedy wieje wiatr z południa, „wiejąca zaraza”, on i jego towarzysze owijają sobie mocniej chusty na twarzach, a w ich spojrzenia wkrada sie strach.
Poprzednio horyzont na południu zasnuwały białe opary bagienne z Bahr-el-Arab, teraz od trzech dni szaleją tam pożary, a powietrze przesycone jest lotnym popiołem i swądem.
- Pasterze podpalają trzciny, aby wykadzić ptasie gniazda - wyjaśnia Alkuttabu - ale co z tego, kiedy każdej zimy ptaki wędrowne przynoszą zarazę na nowo.
Im dalej na wschód, tym bardziej wybredni stają się nasi myśliwi wobec zwierzyny. Niekiedy patrzą tylko na pysk i oczy - i od razu przykrywają zwierze kamieniami albo podpalają. Nie dopuszczają też żadnego sępa bliżej, niż na odległość 50 kroków, gdyż wszędzie roi się od zdechłych ptaków. Okolica staje się coraz bardziej niesamowita.
Minęliśmy już En-Nahud, podupadłą miejscowość ze zdesperowanym garnizonem. Kupiliśmy daktyle dla wielbłądów, cukier i sól. Master Jack zbadał sól za pomocą takiego zegara, który nazywa sie licznikiem Geigera, i powiedział, że jest skażona radioaktywnie. Musieliśmy ją wyrzucić. Ludzie z naszej eskorty chcieli zawrócić i wychłostać handlarza, który sprzedał nam ten towar, ale master Jack wyjaśnił, że tamten mógł to zrobić nieświadomie. Master Jack czyta ciągle książkę, którą otrzymał od króla. Wczoraj podejrzałem go, jak płakał skrycie. Odczułem to bardzo boleśnie.
- Dlaczego płaczesz? - zapytałem.
Zamknął książkę. - Wcale nie płacze. Po prostu jest już za ciemno. Długo czytałem i oczy zaczęły mi łzawić. Bądź tak dobry, Beszirze, przynieś mi filiżankę herbaty. Zrobiłem to. Było jeszcze tak widno, że mógłbym nawlec igłę.

24 czerwca 2036

Posuwamy się do przodu szybciej, niż myślałem. Jeżeli dopisze nam szczęście, pora deszczowa zastanie nas już w Omduramanie. Powinniśmy dotrzeć tam za trzy tygodnie. Pamiętnik Henri Fleurela, to dopravdy wstrząsający dokument. Wprawdzie o tym, co się wydarzyło, wiedziałem już przedtem, ale kiedy poznałem przerażające szczegóły desperackiej ucieczki z Europy tych, którzy przeżyli, włosy zjeżyły mi się na głowie. Henri Fleurel był architektem z Perpignan. Jego żona i troje dzieci zginęli podczas wojny. Córka z mężem i sąsiedzi, przekonani, że ustrzegli się choroby popromiennej i skażenia biologicznego, zdecydowali się na podróż łodzią do Afryki. Zanim dopłynęli do celu, ostrzelano ich z lądu, zaatakowały ich również ścigacze algierskie, hie dopuszczając do wybrzeży. Przyjęto ich na ląd dopiero w Tunezji, której władze okazały się tolerancyjne. Jednak z czasem pogromy Europejczyków zaczęły występować i tam. Kiedy uciekinierów odizolowano w obozach, było już za późno. Epidemia zrodzona w laboratoriach wojskowych dotarła do Oranu i w ciągu czterech miesięcy wyludniła całą Afrykę Północną, po czym rozprzestrzeniła się na inne kraje. Dla uciekinierów, którzy wyrwali się z tego piekła, Sahara nie stanowiła większej przeszkody, ale kiedy ci, którzy przeżyli, mieli już za sobą tysiące mil pustyni i nie wypowiedziane trudy przeprawy, ujrzeli przed sobą oddziały egzekucyjne z Nigru, Czadu i Sudanu, mające rozkaz, aby nie przepuszczać wędrowców i w ten sposób uchronić przed chorobą i śmiercią własnych rodaków. Ludzi kierowano ponownie na północ - co było przedsięwzięciem zabójczym - a tych, którzy nie chcieli się podporządkować temu zaleceniu, rozstrzeliwano. Plutony egzekucyjne i kaci pracowali niekiedy całymi godzinami. Najbardziej jednak wstrząsał - jak pisał Henri Fleurel - krzyk chłopców branych do niewoli i kastrowanych.
„Wiedziałem już przedtem - wyznawał Fleurel - że zabieg przeprowadza brzytwą fryzjer, po czym zalewa ranę gorącym masłem, aby zatamować krwawienie. Nigdy jednak nie zapomnę ani zapachu gorącego masła i przypalonego ciała ani krzyków okaleczonych chłopców, którzy - o ile przeżyli - sprzedawani byli bogatym potentatom, służąc im do rozpusty lub powiększa-

Wolfgang JESCHKE
urodził się 19 listopada 1936 roku w Decinie (Czechy). W 1956 roku ukończył szkołę mechaniczną i przez trzy lata pracował w zakładach budowy maszyn. W roku 1956, po zdaniu matury, rozpoczął studia na wydziałach germanistyki, anglistyki i filozofii Uniwersytetu Monachijskiego. W latach 1969-1971 redagował w wydawnictwie Lichtenberg Verlag serię „Science Fiction dla znawców”. Od 1973 roku nawiązał współpracę z Wilhelm Heyne Verlag, od 1979 roku jest samodzielnym redaktorem serii Heyne SofŚnce Fiction. Jako autor SF debiutował w 1956 roku opowiadaniami zebranymi później w tomie „Der Zelter” (Lichtenberg Verlag 1970) Wiele z nich przetłumaczono na angielski, francuski, holenderski, hiszpański i polski, . Ponadto w 1982 roku nakładem Nymphenburger Verlagshandlung wydał powieść „Der letzte Tag der Schopfung” nagrodzoną w 1982 roku na|wyższym RFN-owskim wyróżnieniem w dziedzinie SF ,,Kurt Lassewitz Preis” Jest też autorem, bądź współautorem ponad 40 antologii prezentujących najwybitniejsze światowe osiągnięcia współczesnej-i klasycznej SF oraz redaktorem naczelnym kwartalnika „Heyne Science Fiction Magazin”.
W numerze 2/82 przedstawiliśmy Państwu wywiad z Wolfgangiem Jeschke, zaś tych, których zainteresuje opublikowane opowiadanie odsyłamy do przygotowywanych przez KAW polskich wydań, utworów W. Jeschke, które ukażą się pod tytułami: „Temponauta” i „Ostatni dzień stworzenia”.

jąc grono eunuchów. Oczywiście wymyślono przyczynę, mającą usprawiedliwić takie postępowanie: ich geny są skażone radioaktywnie, należy wiec zapobiec złu zawczasu. Zrozumiałem: najstraszliwsze jest przestępstwo genetyczne".
Henri Fleurel i kilku innych akademików przeżyli masakrę, ale sprzedano ich na dwór królewski w El Faszer.

Wjeżdżamy do El Obeid. Tu jest jeszcze więcej wojska. Schroniska opustoszały, miasto podupada, jedynie garnizon jest nowy i stale sie powiększa. W górze powiewa flaga królewska: zieleń z bielą. W El Obeid panują okrutne prawa. Temu, u kogo wykryje ste choć ślady zarazy, odcina się lewe ucho - ku przestrodze innych - oraz wypędza się go z miasta, natomiast po powtórnym schwytaniu czeka go już śmierć na szubienicy, a następnie spalenie na stosie przed murami miasta.

30 czerwca 2036

Dziś tylko tyle:
1. Sądzę, że cywilizacja będzie istnieć nadal. Widuje jeszcze kąpieliska i inne udogodnienia.
2. Wypiłem trochę za dużo, ale chyba było mi to potrzebne. Musiałem zabić opisany przez Fleurela zapach gorącego masła.
3. Prostytutki w El Obeid są tak brzydkie, że można się na nie zdecydować dopiero po kilku kieliszkach, co też w końcu (patrz punkt 2) udało mi się. Przedtem jedffkk kazałem sobie pokazać lewe ucho.

Po czterech dniach pobytu w El Obeid udaliśmy się do Omdurmanu. Dwa razy zaskoczyła nas ulewa, drogi rozmiękły. Dokuczają nam olbrzymie, czerwone pająki i moskity. Ich ukłucie może okazać się groźne, bo kto wie, czyją krew piły przedtem? Rzeka jest już blisko. Czuje to po zapachu powietrza.

4. Rzeka

O, głęboka rzeko,
Wdzierasz się w me życie,
Jak fale na brzeg...

Na dwa dni przed dotarciem do Omdurmanu dogoniliśmy karawanę, która wyruszyła z El Faszer w pierwszych dniach kwietnia. Wędrowało z nią dwa lub cztery tuziny pielgrzymów, którzy na pojawienie się master Jacka zareagowali gniewnymi gestami i agresywnymi uwagami. Wśród nich był jeden z tych młodych muhadżirinów, który wierzą, że całą mądrość świata wożą ze sobą w małych, zasuszonych dyniach. Nie spodobał mi się już od pierwszego wejrzenia, zwłaszcza kiedy spostrzegłem, że zawziął się na master Jacka i obsypuje go pytaniami, na które ten w swej prostoduszności - oby Allach nadal czuwał nad nim - odpowiada szczerze. A tamten mądrala zapisywał wszystko na swojej drewnianej tabliczce: o orbitalnym systemie Trekking, o schroniskach dla karawan na niebie i satelitach ziemskich, o latających barkach. I oczywiście stało się to, co było nieuniknione. Zaledwie dotarliśmy do Omdurmanu, ten śmierdzący fanatyk pognał co sił w nogach do miejscowego sędziego i zadenuncjował master Jacka o bluźnierstwo. Natychmiast nadbiegi dwaj strażnicy, związali go i odprowadzili do aresztu. Keiki, Alkuttabu, Szuszan i Alifa szukali w tym czasie kwatery, minęło wiec kilka godzin, zanim wrócili. Trzęsąc sie z gniewu opowiedziałem im o wszystkim. Zaskoczyło ich to, ale po chwili, przeczuwając nowe przygody, oddalili się podnieceni.

10 lipca 2036

Dziś wydarzyło się coś nieprzyjemnego. Młody człowiek towarzyszący nam od dwóch dni w podróży, wykazujący przy tym niemałe zainteresowanie naszą ekspedycją, zrobił na mnie doniesienie, oskarżając o herezje. Zostałem związany, po czym doprowadzono mnie przed coś w rodzaju religijnego trybunału doraźnego. Tam zarzucono mi, że twierdze, iż to nie Allach wiedzie gwiazdy po nocnym nieboskłonie, lecz grupa białych niewiernych przebywających na stacji gdzieś na południu. Sędzia zapytał, czy podtrzymuje to twierdzenie i czy wiem, że tego rodzaju bluźnierstwa karane są śmiercią. Jestem przyzwyczajony do stawiania czoła niebezpieczeństwom, ale muszę przyznać, że zadrżały mi nogi. Na szczęście w tym momencie zjawili się nasi czterej myśliwi. Nie szczędząc sil, przyłoili strażnikom, po czym oswobodzili mnie. Nakłaniałem ich do opamiętania, gdyż znałem ich temperament i obawiałem się represji ze strony władz lokalnych. - W czyim imieniu wtargnęliście tu?- zapytał sędzia. W odpowiedzi na to Alkuttabu wycelował weń strzelbę i wypalił. Pocisk uderzył o ścianę zaledwie dziesięć centymetrów nad dostojnym turbanem, tynk posypał się na biurko, za którym sędzia skrył sie wrzeszcząc wniebogłosy.
- Następnym razem wyceluje niżej - zagrzmiał Alkuttabu. - Jestem tu z rozkazu króla. A ten biały uczony podróżuje na zlecenie króla.
Sędzia wyłonił się zza biurka i tak samo donośnie odparł: - W takim razie waszą powinnością jest uważać lepiej na tego człowieka i wylegitymować się przede mną.

Do Albary mamy płynąć barką, dużym żaglowcem, który zostanie spuszczony na skażoną wodę w odpowiedniej chwili. Ten moment ustalają wspólnie Ngar Ba, komendant portu i jeźdźcy królewscy zwani tuweiratami, obserwujący nieustannie rzekę, aby móc ocenić stan zagrożenia.
Za rejs musieliśmy zapłacić, i to słono. Keiki powoływał się wprawdzie na zlecenie królewskie, waląc przy tym pięścią w stół komendanta portu - wszystko na nic. Sprzedaliśmy nasze zwierzęta, oczywiście za bezcen. Po opłaceniu rachunku zrzedły nam miny. Pozostało nam już tylko tyle pieniędzy, aby zaprosić naszych dzielnych myśliwych na ucztę pożegnalną. Następnego ranka odjechali, a my poszliśmy na pokład żaglowca. Przy rufie wisiała nędzna łódź, na której mieliśmy przeprawić się przez katarakty. Złożyliśmy już na niej zapasy wody i żywności. Kiedy żaglowiec odbijał od brzegu, zjawił się komendant portu. Miał na sobie mundur galowy. Orkiestra odegrała hymn Sudanu, na maszt wciągnięto zielono-białą flagę królewską. W ten sposób za nasze pieniądze otrzymaliśmy przynajmniej niezłe widowisko. I tak przekroczyliśmy kraniec świata, zapuszczając się w nieznane.

14 sierpnia 2036

Zmierzyłem radioaktywność wody. Nawet teraz, kiedy ulewne deszcze spłukały do rzek śmiercionośny pył z Etiopii, Kenii i Ugandy, napromieniowanie jest stosunkowo nikłe. Powiedziałem komendantowi portu, że ani myślę płacić tak bajońskie sumy za „ochronę przed rozbójnikami, potworami i mutantami", że potrafię sam zadbać o siebie oraz że w każdej chwili mogę wypłynąć sam na mojej łodzi. W odpowiedzi zagroził mi karą i konfiskatą łodzi z wszystkimi zapasami. Takie jak on zdzierusy potrafią dbać o swój monopol!
Jeden z tuweiratów, Hassan, powiedział mi, że w dole rzeki mieszkają ludzie. Oczywiście większość z nich to chorzy, w dodatku biali. Należy wystrzegać się spotkania z nimi, gdyż ich pomysłowość w wynajdowaniu coraz to nowszych, podstępnych rodzajów broni, jest niewyczerpana.
Opowiadał mi też o dziwnych zjawiskach świetlnych w północnej części nieba, o zstępujących i wznoszących się do góry ogniach oraz o olbrzymich meteorach. Moim zdaniem świadczy to o odbywających się w pobliżu lotach kosmicznych. Czyżbym był już tak blisko celu ? Czy to istotnie przybysze z innej planety? Zaczynam w to wierzyć, gdyż który kraj na Bliskim Wschodzie dysponowałby takim stanem wiedzy i techniki po wojnie, zwłaszcza że nie posiadał tych możliwości przedtem?
Ale dlaczego przybrali postać Horusa ?Albo skarabeusza ? Dlaczego właśnie postaci z mitologii egipskiej?
Hassan przyznał, że sam nie widział ani skarabeusza ani istoty o głosie ptaka, ale słyszał, że wynurzyły się one z Ziemi Ozyrysa, Krainy Zmarłych, przejęte gniewem wskutek zagłady Egiptu, zatopienia kultury liczącej już sześć tysięcy lat. Nie żyje już teraz żaden historyk, który mógłby dochodzić, dlaczego i w jaki sposób doszło do tego ataku. Kiedy to się stało, wojna była już w pełnym toku. Iskra, która wywołała eksplozję, padła w rejonie Morza Śródziemnego. Zapewne na zawsze pozostanie tajemnicą, kto przekształcił okręt Nimitz w piekło nuklearne. Tak doszło do konfrontacji bezpośredniej. I podczas gdy pożoga wojenna ogarnęła w ciągu kilku godzin cały Bliski Wschód, a w ciągu kilku dni całą Europę i w końcu cały świat, wprowadzono w czyn szatański pomysł. Kilku bombowcom udało się uszkodzić rzekomo zabezpieczoną przed bombami tamę assuańską, a reszty dokonał już napór wody. 160 miliardów metrów sześciennych wody - więcej niż przepływa w Nilu przez dwa lata - runęło w dolinę. Na zdjęciach satelitarnych widziałem ten śmiercionośny walec wody, który zmiótł z powierzchni ziemi Edfu, Luksor, Assiut, Kair, następnie przetoczył się przez Aleksandrię i Port Said, aby wreszcie wpaść do morza. Drzewa pryskały jak zapałki, a domy wirowały jak liście.
A potem przyszła kolej na muł. Miliardy ton błota z Nilu, nawarstwiającego się od dwudziestu lat za tamą o długości 3600 metrów, a teraz porwanego przez wodę, zatopiło miliony mieszkańców, wypełniło sobą dolinę królów, pogrzebało Kair pod dziesięciometrową warstwą gliny, przykryło piramidy.



Tuweiraci i pielgrzymi odłączyli się już od nas. Podążają wzdłuż torów dawnej linii kolejowej, wiodącej do Port Sudan, po których, według słów master Jacka, jeździły kiedyś na kołach karawany, pokonując drogę do morza w ciągu - nieprawdopodobne! - zaledwie jednego dnia.
Żaglowiec stoi jeszcze w przystani, oczekując na sprzyjający wiatr. W końcu wypływamy. Wieczorem robimy postój u brzegów jakiejś wyspy. Noc spędzamy w łodzi. Jutro przepływamy przez piątą ka: tarakte. Szóstą mamy już za sobą. Widocznie spałem, kiedy ją pokonaliśmy.
- Opuszczacie już świat zamieszkały przez ludzi - powiedział znacząco kapitan żaglowca. - Świadomie rezygnujecie z opieki Allacha, aby wstąpić na prastarą ziemie Ozyrysa, Krainę Zmarłych, skąd nie ma powrotu.
Tej nocy pogodziłem się z myślą, że oto kończy się. moje życie. Nie mogłem jednak zasnąć. Spoglądałem na rzekę, na jej bystry w tym miejscu nurt. .Wyglądało to tak, jakby pędziła na kraniec świata, aby rozlać się tam w nicość.
Wtem na północy ujrzałem, wzbijające się ponad góry, w rozjaśnione poświatą księżycową niebo, jakieś światło, nieduży czerwono-złoty jeżyk, wżerający się bezgłośnie coraz wyżej i wyżej. Po chwili skręcił na wschód i malejąc stopniowo, utrzymał już ten kurs.
Zbudziłem master Jacka. W milczeniu śledził przez lornetkę tajemnicze światło. W końcu orzekł: - Z pewnością rakieta wystrzelona na orbitę. Beszirze, jesteśmy już blisko celu. Ale ja przypomniałem sobie słowa kapitana i kraniec świata, ku któremu dążyły wody rzeki - i ogarnęła mnie trwoga.
- Hej, Beszirze! - zawołał master Jack nazajutrz z samego rana, podciągając żagiel i kierując łódź na środek rzeki. - Skąd u ciebie taka ponura mina? Teraz dopiero zaczyna się prawdziwa przygoda.
Wieczorem przybyliśmy do wyspy Mograhd. Nieco dalej, w dole rzeki, widać było na lewym brzegu ruiny Abu-Hammed. W nocy ujrzeliśmy tam ognisko, dobiegły nas nawet zmieszane z szumem wody głosy ludzkie.
Jak to możliwe, głowiłem się, aby na krańcach świata żyli ludzie? A może to zmarli z ziemi Ozyrysa?
Ale nadrzeczni mieszkańcy byli żywi, o czym mogliśmy się przekonać, kiedy na zakręcie rzeki obrzucono nas strzałami. Na szczęście wpadły z pluskiem do wody, nie raniąc nikogo. Master Jack wyjął kusze i ułożył przy sobie kołczan ze strzałami. Mieliśmy jednak pełne ręce roboty i nie mogliśmy obserwować brzegu, gdyż coraz bardziej dawał nam się we znaki diabelski kocioł czwartej katarakty. Rzeka płynęła teraz pomiędzy czarnymi skałami i uderzała o nie, pieniąc się tak donośnie, że musieliśmy krzyczeć do siebie, aby coś zrozumieć. Ujrzeliśmy nagle, że rzeka rozdziela się na kilka odnóg, ale master Jack nie miał czasu zastanowić się, którą ze skalistych furt ma obrać: łódź porwana przez nurt wystrzeliła na oślep, otarła się o skałę, z trzaskiem wpadła na głaz wielki jak dom, zatrzymała się, po czym ponownie ruszyła przed siebie. Trwało to do wieczora. Słońce skryło się już dawno, kiedy wreszcie wydostaliśmy się na spokojniejszą wodę i wyszukaliśmy miejsce, gdzie można było przybić do brzegu.
- Pogoda się zmienia - powiedział master Jack, spoglądając na zachodnią stronę horyzontu o barwie miedzi, jakby skąpaną w płomieniach. Okazało się, że miał racje.
Nazajutrz dął zimny i wilgotny wiatr z południowego zachodu. Nie mogliśmy ustawić żagli. Leniwie płynęliśmy przed siebie, zapadłe wsie i miasta po obu stronach zostawały za nami. Trzy dni później przepłynęliśmy przez trzecią kataraktę. Jest o wiele spokojniejsza niż czwarta. Rzeka jest usiana potężnymi blokami skalnymi, o które rozbija się spieniona kipiel. Na niektórych skałach widać jeszcze resztki zamków warownych, z wyciśniętym na nich piętnem śmierci. Martwię się o Hazaza. Czy żyje jeszcze?

27 sierpnia 2036

Dotarliśmy do dawnej niecki jeziora Nassera. Brzegi pełne są palm i krzewów. Gdzieniegdzie widać ludzi, również białych. Większość z nich chodzi nago.
Na brzegach stoją lodzie, ale żadna nie znajduje się na rzece. Widocznie tutejsi mieszkańcy boją się skażonej wody. Radioaktywność jest tu niska, nie dojrzałem jednak żadnej ryby ani krokodyla. Zbliżamy się do WadiHalfa.

Druga katarakta była najgorsza. Z lewej i prawej strony wznosiły sie pionowe skaliste ściany, pomiędzy którymi przewalała się

rozszalała kipiel, niosąc nas na grzbiecie. Godzina za godziną czerpałem z łodzi wodę, ale nie czułem strachu. Master Jack to wspaniały żeglarz. Płynęliśmy do wieczora. Upał dawał się we znaki i aż mnie korciło, żeby wskoczyć do wody i wziąć kąpiel. Ale master Jack odradził mi to - i miał racje. Od samego dotyku wody swędziała mnie skóra, a po jakimś czasie natknęliśmy się na krokodyla. Był martwy i zasuszony jak ryba wędzona.

1 września 2036

Zbliżamy się do Assuanu. Jest to widowisko, jakiego nigdy nie zapomnę. Żadna inna ruina na świecie nie jest w stanie wywrzeć równie silnego wrażenia. Płyniemy powoli wzdłuż straszliwego kanionu. Woda pokrywa resztki tamy, tworząc płytkie jezioro, w którym leżą tu i ówdzie odłamy betonu i najprzeróżniejszych części maszyn.
Miasto Assuan zniknęło z powierzchni Ziemi.

Noc spędziliśmy na małej wyspie u podnóża tamy. Rankiem przewiozłem master Jacka na brzeg. Przez cały dzień włóczył się, oglądając ruiny tamy.
Nazajutrz natknęliśmy się na osobliwą przeszkodę. Było to coś w rodzaju zasłony z białego przędziwa, rozpiętej od brzegu do brzegu i unoszącej się na wodzie. Co najdziwniejsze - poruszała się ona jak istota żywa; pulsowała, kurczyła się i rozluźniała z powrotem. Podpłynęliśmy ostrożnie: była to elastyczna, gąbczasta tkanina.
- Nie do wiary - powiedział master Jack, badając ją za pomocą swojego licznika. - Dałbym głowę, że to żyje i jest w stanie oczyszczyć wodę. Za tą barierą radioaktywność jest równa zeru.
Do wieczora minęliśmy jeszcze cztery dalsze zapory tego typu. Oczyszczona woda wpływała pozytywnie na wygląd brzegów. Zamiast suchego i gliniastego pustkowia rozciągała się przed nami soczysta trawa, a nawet krzewy i palmy. Widzieliśmy kozy i szałasy, pomiędzy którymi kręcili się ludzie. Przy jednej z wysepek skręciliśmy, przybiliśmy do brzegu i wyszukaliśmy miejsce na nocleg. Po przeciwległej stronie rzeki stały kozy, pijąc wodę. Pilnował ich nagi mężczyzna, wsparty o włócznie. Master Jack krzyknął coś do niego, ale tamten nie odpowiedział. Razem ze zwierzętami skrył się w gestwienie krzaków.
Noc nie zapadła jeszcze, kiedy nagle od strony wodopoju dobiegły nas krzyki. Obawiając się napadu, zerwaliśmy się na równe nogi. Poprzez gęstniejący zmierzch usiłowaliśmy dostrzec cokolwiek.
- A wiec to prawda - szepnął master Jack, nie odrywając oczu od lornetki.
- Co?
Podał mi lornetkę. Brzeg rzeki wydał mi się teraz jaśniejszy. Ujrzałem tłum tubylców otaczających dwie istoty i bijących je maczugami. Napadnięci wyglądali jak niebywałych rozmiarów owady o postawie wyprostowanej, ciemnobrązowych pancerzach i długich, sięgających nisko czułkach. Te dziwne stwory wyglądały groźnie, ale nie stawiały oporu, chociaż dźgano je ustawicznie nożami i włóczniami. W końcu zniknęły pod kłebowiskim nagich ciał. Doszedł nas jeszcze okrzyk triumfu.
- Cóż to takiego? - zapytałem przerażony.
- Może to ci, których szukam - odparł master Jack.
- A wiec przybyliśmy za późno. Oni już nie żyją.
Podniósł lornetkę do oczu. - Mój Boże - szepnął. - Dlaczego to zrobili?
W tym momencie z nieba spłynęła błyskawica, zalewając rzekę i brzegi jaskrawo białym światłem. Oślepieni chwyciliśmy się jeden drugiego, podczas gdy w powietrzu przetoczył się grzmot o nie spotykanej sile. Kiedy wszystko przebrzmiało, usłyszeliśmy od strony wodopoju okrzyki bólu, nie uznaliśmy jednak za wskazane pomóc dzikim brutalom. Jęki i wycie rozlegały się przez całą noc.

5. Przędziwo

Czy ktoś wyszedł stąd?

O pierwszym brzasku przeprawiliśmy się łodzią na drugi brzeg. Master Jack trzymał przezornie swój licznik tuż nad powierzchnią wody, jednak strzałka nawet nie drgneja. Owady, o czym przekonaliśmy się po chwili, nie były ani skarabeuszami ani też karaluchami, lecz istotami dwunożnymi. Kończyny górne i dolne zakończone były trójczłonowymi szczypcami, które mogły służyć zarówno do chwytania, jak i chodzenia. Potężne pancerze piersiowe i grzbietowe były poszarpane w wyniku ciosów zadanych przez tubylców. Z głów i dużych, ciemnych oczu pozostało niewiele.
- Ludzie - było ich jedenaścioro, w tym dziewięcioro białych sprawiali żałosne wrażenie. Większość znajdowała się jeszcze w stanie szoku, leżąc tam, gdzie cisnęła ich na ziemie błyskawica. Podeszliśmy do rannych. Master Jack nachylił się nad nagą jasnowłosą kobietą w średnim wieku, klęczącą na brzegu; jej bujne piersi kołysały się nad wodą.
- Mógłbym pani pomóc? - zapytał master Jack.
- Oho! - zawołała kobieta, nasłuchując z przekrzywioną na bok głową. - Młody człowieku, czy słuch mnie nie myli? Powiedziałeś:' mógłbym pani pomóc? -Jej śmiech był jakiś zdławiony.
- Czyżbyś był wysłannikiem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża albo UNESCO, lub też innej z tych legendarnych organizacji charytatywnych, o których nic już nie słychać?
- Niestety nie - odparł master Jack. - Tamtych instytucji już nie ma.
- Tak też myślałam - powiedziała kobieta, wykrzywiając twarz w brzydkim grymasie. - Posłuchaj! Nie widzę dobrze, odkąd to stworzenie zionęło na nas znowu ogniem.
- Co to za stworzenie?
- Po prostu stworzenie, które zagnieździło się na północy. Nie wiem, kim jesteś, ale jeżeli posiadasz taką moc, zabij je! To stworzenie sprowadziło nieszczęście na naszą ziemie, aby móc nią zawładnąć, wytępiło ludzkość...
- Myślę, że sami jesteśmy sobie winni.
- Bzdura! To wszystko stało się z JEGO woli. Dla niego jesteśmy robactwem, on nie dba o ludzi bardziej, niż ty o robaki.
- Nie możecie się uskarżać. Sam widziałem, że woda jest już odkażona...
- Ale nie dla nas! To dla jego potomstwa, wytryskującego z ziemi. W ziemi szuka mózgów, chce wydrzeć jej ducha i wywieźć go na statkach.
- Czyich mózgów? Jakiego ducha?
- Mózgów ludzkich. Ducha martwej ziemi.
- Kto tak twierdzi?
- Ci, którzy z nim rozmawiali. Ale nie myśl, że uzyskasz od niego tak łatwo odpowiedź! Idź na brzeg, zobaczysz tam jeden z jego statków. Zapytaj go - nie odpowie ci nic, a tylko ześle na ciebie ogień, o ile porwiesz się na jego biomasę.
- Biomasę?
Moją uwagę przykuły dwa osobliwe pojemniki, które ludzieowady mieli przy sobie. Kiedy dotknąłem ręką gąbczastego, wypełnionego wodą tworzywa, drgnęło gwałtownie. W tym momencie dostrzegłem kątem oka, że jeden z mężczyzn skrada się z nożem w dłoni do master Jacka, którego kobieta trzymała akurat za nogę. W mig przejrzałem śmiertelną pułapkę. Chwyciłem jedną z leżących dokoła włóczni i z całej siły wymierzyłem napastnikowi cios w głowę. Runął na ziemie, nie wydając żadnego dźwięku. Kobieta zaczęła piszczeć, przewróciła master Jacka i rzuciła się na niego. Biłem ją po głowie tak długo, dopóki master Jack nie wyrwał się z jej objęcia, ona zaś krzyczała i wymachiwała na oślep rekami. Widząc, że inny tubylcy pełzną ku nam we wrogich zamiarach, wskoczyłem do łodzi. Wiosłowałem jak opętany, a master Jack brodził w wodzie. Dopiero gdy łódź nabrała rozpędu, wskoczył. Pół mili dalej master Jack skierował łódź w stronę brzegu.
- Ciekaw jestem, co to za historia z tym statkiem - powiedział. Ukryliśmy łódź w zaroślach i udaliśmy się na poszukiwania. Po godzinie znaleźliśmy się na pustyni. O niecałe 500 kroków od nas tkwił tajemniczy statek.
Był to obiekt zaskakująco delikatny. Szczerze mówiąc, wyobrażałem go sobie inaczej. Odległość od dzioba do rufy wynosiła jakieś 15 do 20 kroków, całość była raczej płaska, bez nadbudówek, jeżeli nie liczyć niewielkiej wypukłości wokół rufy.
- Zupełnie jak tuszka kałamarnicy - powiedział master Jack. Tuż przy statku krzątali się owadoludzie, było ich chyba ze trzydziestu. Najwidoczniej usiłowali naprawić jakiś defekt. Przed nimi stała istota o głowie ptaka, spoglądając ku nam.
Master Jack ruszył w stronę statku, a ja poszedłem za nim, nadążając z trudem. Ani on ani ja nie wiedzieliśmy, że każdy kolejny krok oddala nas od rzeczywistości, jaką znamy.

5 września 2036

A wiec to prawda! Mamy przed sobą gości z innej planety. Jakkolwiek liczyłem się z takim obrotem sprawy już od dwóch lat, teraz, kiedy zetknąłem się z tym zjawiskiem bezpośrednio, wydaje misie ono nierealne i absurdalne.
Nie wiedziałem, jak się zachować. Czy wystąpić jako przedstawiciel resztek cywilizacji i powitać gości niczym burmistrz miasta podejmujący delegacje zagraniczną? A może raczej odegrać

role pana domu, zaskoczonego nie zapowiedzianą wizytą? Bardzo przepraszamy, ale mieliśmy awarie w naszym rozwoju dziejów. Byliśmy szybsi w rozwiązywaniu problemów zbrojeniowych, niż w załatwianiu innych kłopotów. Pięćdziesiąt lat temu było nas o trzy lub cztery miliardy osób więcej, a dziś... Nawet trudno to ustalić. Jedno jest pewne: rozległe obszary tej kiedyś jakże pięknej planety nie będą się nadawały do zamieszkania jeszcze przez całe wieki, niektóre zaś tereny są już na zawsze stracone dla ludzkości. Istnieje jeszcze problem z paroma milionami mutantów, z którymi współżycie nie będzie łatwe ze względu na skażenie genów. Można wiec sobie już teraz wyobrazić przyszłe konflikty. Aby jednak nie patrzeć na naszą historię jednostronnie i dostrzec tu aspekt konstruktywny, nie wolno przeoczyć jej funkcji regulującej, a nawet oczyszczającej: w wyniku wojny wróciliśmy do takiego poziomu cywilizacji, do jakiego -jak sądzę - dorośliśmy. Obecnie zawijamy już rękawy i bierzemy się do pracy. Nasz świat jest nieźle zabłocony...
Nagle ujrzałem przed sobą niezwykłą istotę. By to Horus - dokładnie taki sam, jak na egipskich malowidłach: wyjątkowo szczupła postać ludzka o ciemnym kolorze skóry, delikatnych ramionach i nogach oraz pięknym, bezpłciowym ciele, które w swojej doskonałości miało coś sztucznego, graniczącego z artyzmem, w górze zaś głowa ozdobiona wspaniałym błekitnozielonym, metalizującym upierzeniem, sięgającym do ramion. Tym jednak, co zafascynowało mnie najbardziej, były oczy, czarne i nie zgłębione jak wyszlifowany obsydian, zdradzające przy tym inteligencje, bezkompromisową i okrutną w swej wytrwałości robota. Była to inteligencja szpiega, którego uwadze nie ujdzie najmniejsza cząstka światła. Pomiędzy oczami widniał czarny, zakrzywiony, jakby pytająco otwarty dziób.
Horus o głowie sokoła. Czyżby historycy z Omdurmanu mieli racje? Czy to możliwe, aby bogowie starożytnego Egiptu wyłonili sie ze Świata Zmarłych, gdzie towarzyszyli duszom i ciałom faraonów? Czyżby powrócili z Ziemi Ozyrysa ? „To były biotany innego podróżnika".
Odwróciłem się zaskoczony, ale nie dostrzegłem nikogo. Beszir spojrzał na mnie przerażony. „Ale on przywiózł ze sobą tego, którego nazywasz Horusem".
- Co się stało, master Jack?
- Słyszałeś ten głos?
- Nie, nic nie słyszałem.
„Zawsze zapominam, że dla was, istot posiadających wzrok, ważne jest, abyście widzieli, z kim rozmawiacie. Naprawie to uchybienie. Wkrótce uporamy się z defektem naszego pojazdu i wtedy zaprosimy was na pokład."
Dziób barki uniósł się z ostrym brzękiem, jakby posypały się perły, po czym zakołysał się w jedną i drugą stronę. Rufa pozostała na piasku. Po chwili brzęk ustał, a dziób barki opadł z powrotem na ziemie. Ponowna próba udała sie: barka bezszelestnie wzbiła się w powietrze na wysokość trzech metrów.
Horus podniósł głowę, jakby nasłuchiwał jakiegoś głosu, po czym uczynił gest zapraszający nas do wnętrza. Z pokładu barki zrzucono pętle. Kiedy podszedłem bliżej, skurczyła się niczym mięsjeń i wciągnęła mnie do góry. Za mną dostali sie na pokład Beszir i Horus. Spód pojazdu sprawiał wrażenie gąbki, zwisały też z niego liczne macki, ale powierzchnia wewnątrz barki była mocna i jednocześnie elastyczna. Pomiędzy Beszirem a mną wzbił się dym, zmieniając barwy poprzez wszystkie odcienie, aż wreszcie przybrał kształt stworzenia z morskich głębin.
- To korona włoskowa tutejszych pierścienic - odezwało się stworzenie. - Istotnie przypomina ona bardziej jedno z moich wcieleń. Nazywam się Ka-Ten, jestem podróżnikiem i usłyszałem twoje sarkastyczne powitanie „pana domu". Spodobało mi się, gdyż odpowiada faktom. Właściwie nie spotkałem jeszcze żadnego tubylca, z którym mógłbym porozmawiać. Udaj się ze mną na północ, jako mój gość. Zresztą widzę w twoich myślach, że było to celem twojej wyprawy.
- Tak, to prawda. Od wiosny 2034 obserwujemy loty kosmiczne odbywające się w tym rejonie, ale nie otrzymaliśmy odpowiedzi na żaden z naszych sygnałów.
- Odebrałem je. Ale dlaczego miałbym na nie odpowiadać? Umilkłem bezradnie.
Owadoludzie wzięli nasz bagaż i przenieśli go na pokład.

Od momentu, kiedy znaleźliśmy się na pokładzie latającej barki, rośnie we mnie świadomość, że oto jesteśmy świadkami czegoś nierealnego.
Zerkam na master Jacka. Jego twarz, oblana światłem słonecznym, sprawia wrażenie obcej.
- Myślisz, że to ci się śni - stwierdza.
Potakuje. Wokół nas rozciąga się pustynia, ale nieco dalej połyskuje woda, w której odbijają się odległe góry. Oczywiście to zjawisko nie jest mi obce, słyszałem już o fatamorganie, a mimo to opanowuje mnie panika. Upiorny pojazd unosi się w powietrzu dokładnie nad centrum zielonej wyspy ze światła, która kieruje się w stronę bezkresnego nieba, malejąc coraz bardziej, aby w końcu stopić sie zupełnie z jego błękitem.
Zakrywam dłońmi oczy. - Master Jack! - jęczę. - Pomóż mi! Miraż nie znika. Ptakogłowy odwraca się do mnie i wtedy widzę po raz pierwszy palce u jego nóg. Nie mają paznokci, lecz zakrzywione ostrza, błyszczące jak ze stali.

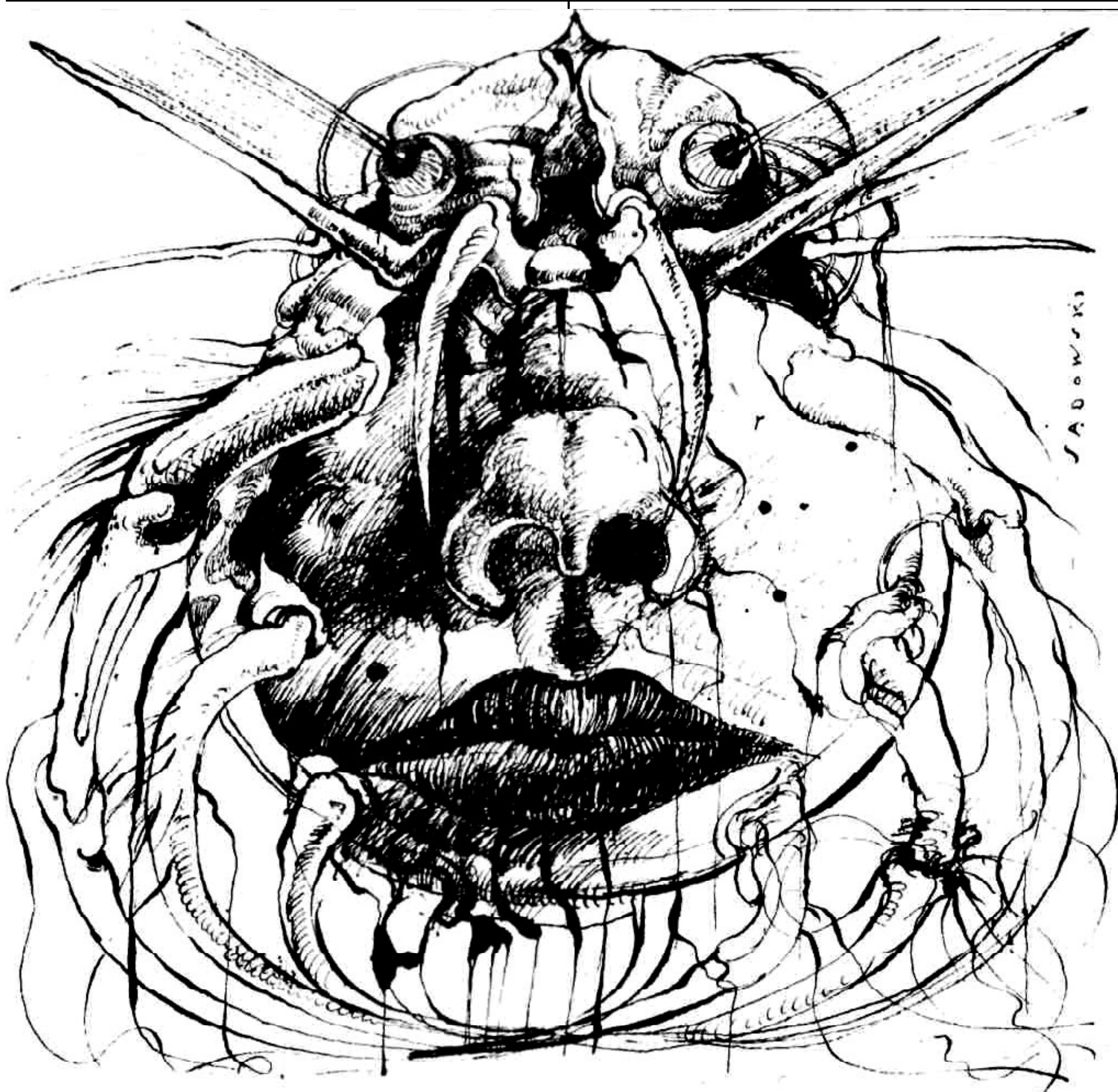
12 września 2036

Rasa podróżnika obejmuje jedynie kilka tysięcy istot, które nie mają określonego kształtu, cechują zaś je rozmaite formy bytu: w wodzie, na lądzie lub w powietrzu. W zależności od potrzeb mogą też przybierać dowolne kształty ciała. Dzięki wysokiemu poziomowi techniki rozmnażania bezpłciowego i manipulacji genetycznej są one właściwie nieśmiertelnie, mogą również zamieszkiwać jednocześnie wiele powłok cielesnych. Istoty te potrafią wykorzystać każdą formę życia jako biomasę. Począwszy od najprostszych przedmiotów powszechnego użytku aż do pojazdów wszystko składa się z przekształconych genetycznie organizmów żywych, których forma i funkcja przystosowane są każdorazowo do potrzeb swoich biotanów.
Rozwinięta sztuka manipulacji genetycznej predestynuje owe istoty do podróży kosmicznych. Podróżuje jedynie ta część mózgu, w której mieści się jaźń. Wszystko inne na pokładzie statku to biomasa, materiał genetyczny niezbędny do budowy własnego ciała, jak również do procesu rozmnażania.

A wiec to jest pałac naszego podróżnika. Oglądam białe mury ciągnące się daleko w czerń nocy oraz plątaninę chodników z piany i przędziwa sięgających śmiało w głąb Ziemi. W chodnikach roi sie wprost od tysięcy owadów usługujących, które wydobywają na powierzchnie to, co można znaleźć w pogrzebanym mieście. Master Jack wyjaśnił mi, że są to biotany, sztucznie wyhodowane zwierzęta i pół-ludzie.
Jeden z nich, piękne stworzenie o brązowym pancerzu, patrzy na mnie bez wyrazu swoimi łagodnymi oczyma. Odnoszę wrażenie, że odgaduje moje życzenia, może nawet czyta w moich myślach, jak Ka-ten.

19 września 2036

Przed 6000 lat poniosła fiasko ekspedycja innego podróżnika. Statek czekający na orbicie był zaprogramowany w ten sposób, że po upływie określonego czasu obierał automatycznie kurs powrotny, nawet bez pasażera. I tak się też stało tym razem. Ka-ten wyruszył więc w drogę, aby uratować i wykorzystać świadomość i wiedzę swego poprzednika, który przemierzając rozległe obszary galaktyki przez 30.000 lat, musiał przecież dysponować nie zmierzoną skarbnicą wiadomości.
Najistotniejszym nośnikiem informacji jest gen. Pamięć i świadomość istnieją dzięki elektrochemicznej działalności mózgu. Takiego właśnie mózgu poszukuje podróżnik.
- Kiedy Ef-re zorientował się, że nie może powrócić, postanowił ocalić swoją jaźń. Musiał przechować gdzieś mózg do momentu, gdy odnajdzie go inny podróżnik i ożywi jego jaźń. Mózg ten może znajdować się tylko pod jedną z tych olbrzymich machin czasu, jakie zbudował Ef-re. Tylko ten mógł przetrwać wszystkie wojny i kataklizmy, wstrząsające planetą w ciągu tysiącleci.
- Ale dlaczego zbudował ich aż tyle?
- Jedna z nich, oglądana z kosmosu, mogłaby zostać uznana za wytwór sztuki. Dwie - za przypadek. Natomiast trzy, tworzące wspólnie figurę geometryczną, muszą być odbierane jako znak.
- W tym kraju powstało wiele piramid. Większość z nich to budowle niepokaźne...
- I tu odpowiedziałeś sam sobie. Wśród tutejszych mieszkańców, których stworzył, było mnóstwo naśladowców. Może też wspólnie z ludźmi spłodził potomstwo, które następnie nauczył przechowywania swojego materiału genetycznego i jaźni, aby uratować je dla przyszłości. Mógł zapoznać swoich potomków z metodami utrwalania materiału genetycznego w komórkach poprzez zmumifikowanie ze szczególnym uwzględnieniem mózgu, który musi być przechowywany wyjątkowo pieczołowicie. Widocznie jednak przekazana przez niego wiedza uległa w późniejszym okresie wypaczeniu i zapomnieniu. Ptakogłowi, obdarzeni funkcją strażników, wymarli i już czysto symbolicznie czuwali nad wazami, w których gnił mózg i narządy wewnętrzne zmarłych.



Zwiedzałem labirynt podróżnika. Niezależnie od tego, czy na zewnątrz trwała noc czy też słońce roztaczało swój blask, tu światło było przyćmione. Na wszystkich chodnikach panował ożywiony ruch, owadoludzie krzątali się niestrudzenie, przynosząc rozmaite przedmioty z zatopionego miasta, spisując je i szacując ich wartość.
Byłem w centrali pałacu, skąd nieprzerwany strumień danych płynie do statku znajdującego się nad nami. W komnatach rozbrzmiewa gwar jak w ulu.
Odkryłem sale wypełnioną zegarami, przyniesionymi przez owadoludzi. Kolekcja bardzo bogata, zbiór z El Faszer nie mogły się z nią nawet równać.
Niekiedy wydawało mi się, że są tu również ludzie, ale za każdym razem okazywało się, że to ptakogłowi. Funkcje ich oczu spełniały skomplikowane soczewki, podobne do lornetki master Jacka.

28 września 2036

- Nie rozumiem -jak mogło mu się nie udać? - zapytałem Wszechobecnego.
- O tym on będzie musiał nam powiedzie, gdy tylko pomożemy mu odzyskać świadomść. Ef-re zawsze ryzykował i postępował lekkomyślnie. Prawdopodobnie był na tyle nieostrożny, że odłączył sie od statku. Dbał bardziej o przepych, niż o własne bezpieczeństwo. W swojej biomasie woził zawsze istoty, których jedynym celem było wywieranie na innych wrażenia. Przybywając do jakiegoś świata, występował z pompą, jaką trudno sobie nawet wyobrazić, oraz w otoczeniu licznych biotanów.
Jeżeli chodzi o mnie, to wystarczają mi dwie ręce: robotnicy, których wyhodowałem na bazie bardzo starej i uniwersalnej rasy owadów, charakteryzującej się już od 500 milionów lat wysokim poziomem technicznym cywilizacji, oraz strażnicy idealnie skonstruowana forma mieszana z różnych ras, będąca w stanie w ułamku sekundy nawiązać kontakt myślowy z wszelką inteligencją biologiczną i elektroniczną lub podłączyć się do niej w celu uzyskania maksimum informacji.

W środku nocy zbudził mnie zgiełk. Poszedłem do komnaty master Jacka, ale nie było go tam. Po pewnym czasie przyszedł i powiedział mi, że odnaleziono mózg tamtego podróżnika. Jest nie uszkodzony.

14 października 2036

Teraz, kiedy mózg Ef-re'a został odnaleziony, Wszechobecny zamierza wyruszyć w drogę powrotną. Odczytał też moje marzenie, aby towarzyszyć mu. Nie wiem tylko, czy to będzie możliwe. Przecież on podróżuje tylko jako mózg, pozostawiając całą resztę. Z materiału genetycznego, jaki wozi ze sobą, może ukształtować dowolną postać, dzięki czemu może jeździć mając minimum masy. Co za fantastyczna możliwość magazynowania dużej ilości informacji genetycznych, chemicznych i elektro-fizycznych I
- Jeżeli chcesz uczynić ten krok naprzód, musisz odrzucić zdecydowanie wszystko, co zbędne. Jest to prawo napędu, obowiązujące we wszechświecie.

- Co we mnie jest zbędne?
- Prawie wszystko. Oprócz części mózgu, a zwłaszcza kory mózgowej. Pod względem technicznym nie ma tu żadnego problemu, tyle że ty, który zostaniesz, będziesz miał wrażenie, jakbyś spoglądał jednocześnie przez dwa okna świadomości, natomiast twoja jaźń oddali się od ciebie. Czy odważysz się na to? Nie mów pochopnie „tak"! Mógłbyś potem tego żałować, jest to bowiem szaleństwo szczególnego rodzaju.

Odkąd znam zamiary master Jacka, miewam niespokojne sny. Widuje go rzadko. Nastwił się już na to, że „zrzuci z siebie wszystko, co ziemskie". Przed oczyma mam przędziwa, w których roi sie bezgłośnie od milionów master Jacków.
- To fantastyczny labirynt obcych technologii - zachwyca się. Technologii z pogranicza biologii i parapsychologii.
Kiedy wolno mi będzie wyjść z tego labiryntu? Tęsknie już za ludźmi. Tu każde poruszenie zostaje przekazane dalej, odebrane wywołuje reakcje.

17 października 2036

- Mamy przed sobą długą podróż przez mało znane tereny. Mamy wystarczająco dużo czasu, aby przeanalizować dane zebrane na pokładzie. Mógłbyś być dla mnie dużą pomocą.
Jestem gotów.
Niełatwo podzielić świadomość. Mózg to jaźń z indywidualnym i łatwym do odróżnienia piętnem życia. Mimo to jestem gotów.

Dziś byłem znowu w centrali pałacu. Komnata pusta. Zniknęły gdzieś biotany, wokoło zalega ciemność. Wrażenie nierealności pogłębiają migotliwe zjawiska świetlne.
Master Jack twierdzi, że jesteśmy połączeni z ptakogłowymi. Istotnie, w głowie aż mi huczy od ptasiego ćwierkania. Są to dźwięki, których nie rozumiem i które zatrważają mnie, gdyż kryją w sobie strach. Coraz bardziej zbliża się moment startu. Wzrasta podniecenie nerwowe. Podróżnik wyrusza, biomasa pozostaje. Biozłom.
Przysiągłem towarzyszyć master Jackowi aż na skraj świata. Właśnie stanąłem nad brzegiem przepaści.

19 listopada 2036

Co to za ogromna kołatka, której stukot rozbrzmiewa mi w głowie? Jest pełna wspomnień, jak magnetofon z nagranym głosem zmarłego.
Mam pierś poruszaną oddechem, wrażliwy miech sterowany przez biomatyczne mikroprocesory. Aha, i jeszcze żywe serce, które co 0,8 sekundy otrzymuje impuls zmuszający do kontrakcji i stwarzający poczucie, że się żyje. Mam biomatycznie sterowany układ trawienny. Kim właściwie jestem? Trudno na to odpowiedzieć.
Bywają momenty, kiedy zdaje sobie sprawę, że nie jestem tym, który leci teraz ku gwiazdom.
Jestem tym, co jest we mnie zbędne i tym, co niezbędne dla zachowani życia na pustyni. Nędzne resztki - mimo że ten stukot w głowie stara się niezmordowanie zapewnić mi moja jaźń i nadzieje.

Master Jack przekazał mi swoją ostatnią wole: zawieźć to, co z niego pozostanie, na południe.
Korzystając z wiatru, płyniemy razem w górę rzeki, pomiędzy straszliwymi ścianami z ciemnego mułu, w którym mieszkają zmarli.
Kiedy obudziłem się i wyjrzałem przez okna centrali na wschód, tuż nad horyzontem pojawiła się delikatna zieleń brzasku, tak typowa dla krajobrazu pustynnego w pogodne dni. Wstałem.
- Czy to ty, mister Jack?
- Jestem tym, co z niego pozostało - odpowiedział. Uwierzyłem mu, widząc w jego zazwyczaj jasnych oczach ciemność, jaką można spostrzec tylko wśród gwiazd.
Ka-ten podarował nam jedną z barek, której załogę stanowią ptakogłowy i tuzin owadoludzi. Statek wzbił się w powietrze potężnym podrzutem, po czym obrał kurs na południe. Wieczorem umarł pierwszy z owadoludzi, a pęd powietrza zmiótł go z pokładu. Pędzimy nad pustynią. Master Jack siedzi na dziobie, w jego oczach lśni światło gwiazd.
Nazajutrz pokład barki pokrywają puste łuski i pancerze owadów, odłamane macki. Za sterem siedzi dogorywający już ptakogłowy. Zmiatam to wszystko z pokładu i przejmuje ster.

22 listopada 2036

Czy to mój charakter pisma ? Tak. A może jest to raczej pismo kogoś innego, kogo naśladuje? Jest to szaleństwo szczególnego rodzaju.
Niekiedy odnoszę wrażenie, jakbym nie siedział na dziobie barki sterowanej sprawnie przez Beszira, lecz przy iluminatorze odsłaniającym widok na kule ziemską; prawie nie zmieniła się od czasów wypraw astronautycznych programu Apollo. Po chwili ta błekitno-zielona oaza na pustkowiu wszechświata pozostaje za nami.

Czuję mocne bicie serca statku. To młode zwierze o zdrowym sercu. Opierając się sile ciążenia, walczy jednocześnie z wiatrem.

Czas gwiazdowy

Niekiedy odnoszę wrażenie, jakbym nie siedział na pokładzie pojazdu lecącego wśród gwiazd, lecz na barce sterowanej przez Baszira nad pustynią. Opuszczamy Układ Słoneczny.

Kieruje swoim statkiem pod palącym blaskiem gwiazd, przebijam sie przez roje szarańczy, przelatuje nad pofałdowanym morzem piasku, następnie nad ścierwiskami - cmentarzyskami cywilizacji, nad ciemnymi chmurami podeptanych nadziei i namiętności; lecę przez dzień i zanurzam się w noc.
U twoich stóp, królu, złoże ten statek na dnie morza, którym władasz, gdyż jakże mógłbym sterować, skoro mój nawigator wypatruje innych gwiazd niż te, do których zdążam? U twoich stóp, królu, złoże na dnie twojego morza, które nawet w południe jest mroczne, ten statek - młode zdrowe zwierze opierające się sile ciążenia i wiatrom.
Ja natomiast, doświadczony obieżyświat, musze poznać na nowo ojczyste rzeki i jeziora, aby nie ulec złudzeniu jak Odyseusz, który mniemając, że dotarł do rodzinnych stron, rozbił się na obcym brzegu.
Oto problem: odnaleźć nowe drogi. Boje się.
Nie jest to trwoga o zagrożone życie, lecz strach doświadczonego przewodnika karawan, zrodzony z przekonania, że wytyczona droga może przywieść nad źródło, które dawno już wyschło.

Epilog

Wskażą mi miejsce w Krainie Umarłych. Świeconym duchom wydałem rozkazy, I sługom lwiego boga o podwójnej twarzy. W łodzi boga Khepera szybuje po niebie Nucąc pieśni pochwalne; życiodajne tchnienie Ożywia mnie i darzy czarodziejską mocą. A kiedy łodzią Ra przetnę niebiosa Bóg naszykuje drogi i otworzy wrota... Wiec wchodzę na ten pokład łodzi boga Słońca; Zaprawdę, żyję we wszystkie dni swego żywota. I chociaż zmarłem, we mnie tkwi siła i zdrowie, Na kształt lwiego boga o podwójnej głowie...

(Papyrus Nebseni)

Obserwatorium Mount Darwin 25 maja 2039
Raport (zapis)

Mason: Mogę teraz zweryfikować zapis sensorów. Stephens: Proszę weryfikować. Mason: Mam na monitorze siedem punktów. A kamera? Hardy: Widzę przez tele. Cztery konie. Trójka ludzi. Nie można ich jeszcze rozpoznać.
Mason: Ogłaszam czwarty stopień alarmu. Stephens: Zrozumiałem.
Hardy: Mężczyzna, śniada cera, lat co najmniej pięćdziesiąt, jednoręki. Młodzieniec, wiek siedemnaście, osiemnaście. Obaj prowadzą konie za wodze. Biały, około... Mój Boże, mam go dokładnie na ekranie. To Jack... Jack Freyman! Wyłączcie barierę! Stephens: Alarm odwołany. Wyłączam barierę! Mason: Zrozumiałem.

Powyższe spisałem zimą 2048 w Mount Darwin na prośbę mister Stephensa i doktora Halla. Podczas gdy stoję przy pulpicie do pisania, a Hazaz podaje mi herbatę, master Jack siedzi przy oknie, obmacuje bliznę na czole i spogląda na jasne serce Galaktyki. Napisałem to przede wszystkim dla niego, gdyż kocham go, i dla przewodników gwiazd, którzy nauczyli mnie czytać i pisać z myślą o naszej wspólnej przyszłości.

Beszir ibn Hassan el-Sadun
19 listopada 2048

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**

Robert SHECKLEY
urodził się w 1928 roku w Nowym Jorku. W latach 1946-1948 służył w sitach ONZ w Korei, później studiował anglistykę, psychologię i filozofię na Uniwersytecie Nowojorskim. Ukończył też specjalny kurs dla przyszłych pisarzy. Zadebiutował w listopadzie 1952 roku opowiadaniem „We Are Alone” opublikowanym na łamach magazynu „Futurę”. Utwory Sheckleya znane są z mocno pokrętnych fabułek, absurdalnego humoru i tendencyjnie niespójnego stylu. Mimo iż sława pisarza opiera się głównie na jego opowiadaniach, napisał też kilka godnych uwagi powieści. Do najsłynniejszych należą: „Immortallty Dellvered” (1958), „Mlndswap” (1966) i „The 10th Vlctlm” (1966). Inne liczące się tomy prozy tego autora to: „Unstouched by Humań Handa” (1954), „Cttzen in Spaca” (1955), „Pllgrimage to Earth” (1958), „Notlons Urillmltod” (1960), „Stora of Infinity” (1960), „Sharda of Spaca” (1962) oraz „The People Trap” (1968). W roku 1970 Sheckley wraz z rodziną przeniósł się do Hiszpanii, zaś od 1977 roku mieszka i pracuje w Londynie.

Robert Scheckley

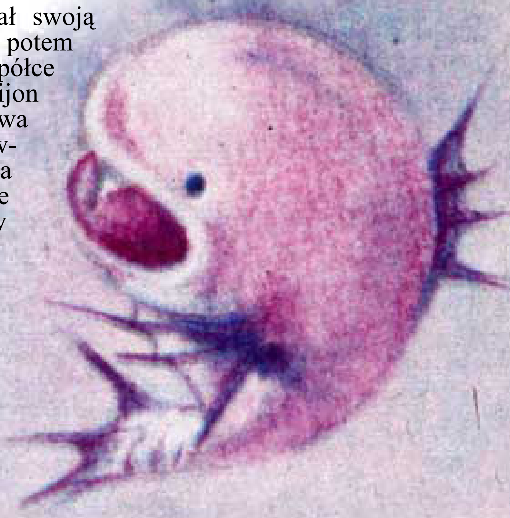
Duch V

(Ghost V)



„Teraz czyta nasz szyld”, powiedział Gregor, stojąc twarzą przyciśniętą do judasza w drzwiach biura, „Daj mi popatrzeć”, poprosił Arnold.
Gregor odepchnął go. „Zaraz zapuka. Nie, rozmyślił się. Odchodzi”.
Arnold wrócił do biurka i rozłożył karty do pasjansa. Gregor nadal obserwował przez judasza.
Judasza w drzwiach zamontowali po prostu z nudów trzy miesiące po założeniu spółki i wynajęciu biura. Przez cały ten czas interesy AAA Agencji Doskonałej Adaptacji Planet nie szły dobrze - mimo że była na pierwszym miejscu w książce telefonicznej. Adaptacja planet była specjalnością istniejącą od dawna i całkowicie zmonopolizowaną przez dwa duże przedsiębiorstwa. Dla małej, nowej firmy prowadzonej przez dwóch młodych ludzi, o wspaniałych pomysłach i z wieloma nie zapłaconymi rachunkami za aparaturę było to zniechęcające.
„Wraca”, krzyknął Gregor. „Szybko - udawaj zapracowanego i ważnego!”
Arnold zgarnął karty do szuflady i ledwie skończył zapinać fartuch, kiedy rozległo się pukanie.
Ich gość był niskim, łysym mężczyzną o zmęczonej twarzy. Spojrzał na nich niepewnie. „Panowie adaptują planety?”
„Tak, proszę pana”, powiedział Gregor i odsunąwszy stos papierów ścisnął wilgotną dłoń mężczyzny., Jestem Richard Gregor. A to mój wspólnik, doktor Frank Arnold”.
Arnold, wyglądający efektownie w białym fartuchu i okularach w czarnej rogowej oprawce, kiwnął głową w zamyśleniu, nie przerywając bacznego przyglądania się starym probówkom. ..Prosze, niech pan usiądzie, panie...” „Ferngraum”.
„Panie Ferngraum. Sądzę, że możemy prowadzić każdą sprawę, jaką pan nam zleci”, powiedział Gregor zachęcająco. „Kontrole flory i fauny, oczyszczanie atmosfery i zasobów wody, sterylizacje gleby, próby stabilności, kontrole wulkanów i trzęsień ziemi - słowem, wszystko co jest konieczne, by umożliwić zasiedlenie planety”.
Ferngraum nadal miał niewyraźną minę. „Będę z panami szczery. Mam problemy z moją planetą”.
Gregor kiwnął głową z pewną siebie miną. „Nasza praca polega na rozwiązywaniu problemów”.
„Jestem pośrednikiem w handlu nieruchomościami”, mówił dalej Ferngraum. „Wie pan jak to jest - kupuje planety, sprzedaje - jakoś trzeba zarabiać na życie. Zwykle zajmuje się dzikimi planetami i adaptacje pozostawiam nabywcom. Ale kilka miesięcy temu trafiła mi się okazja kupienia planety o naprawdę dużej wartości - sprzątnąłem ją sprzed nosa wielkiej spółce handlowej”.
Ferngraum z zatroskaniem wytarł czoło.
„To jest piękne miejsce”, ciągnął dalej bez entuzjazmu. „Przeciętna temperatura 22 stopnie. Teren górzysty, ale gleba żyzna. Wodospady, tęcza, wszystkie te cuda. . I zupełny brak fauny”. „Brzmi to wspaniale”, powiedział Gregor. „A mikroorganizmy?” „Nic, co mogłoby być niebezpieczne”. „O co w takim razie chodzi?” Ferngraum wyglądał na zakłopotanego. „Może panowie słyszeli o tej planecie. Numer ewidencyjny RJC-5. Ale wszyscy nazywają ją Duch V”. Gregor uniósł brwi. „Duch” to dość dziwna nazwa dla planety, ale słyszał już dziwniejsze. W końcu trzeba było je jakoś nazywać. W zasięgu lotów kosmicznych znajdowały się tysiące słońc z planetami zamieszkałymi przez ludzi lub nadającymi się do zasiedlenia. I w cywilizowanych światach było wielu ludzi, którzy chcieli założyć kolonie. Sekty religijne, mniejszości polityczne, grupy filozoficz-

ne - czy po prostu pionierzy chcący zacząć wszystko od nowa.
„Nie przypominam sobie, żebym coś o tym słyszał", powiedział Gregor.
Ferngraum poruszył się niespokojnie. „Powinienem był posłuchać mojej żony. Ale nie - chciałem zostać wielkim przedsiębiorcą. Zapłaciłem za Ducha V dziesięć razy więcej niż zwykle płace i nabrałem sie".
„Ale w czym tkwi problem?", zapytał Gregor.
„Wygląda na to, że tam straszy", odpowiedział z rozpaczą w głosie Ferngraum.

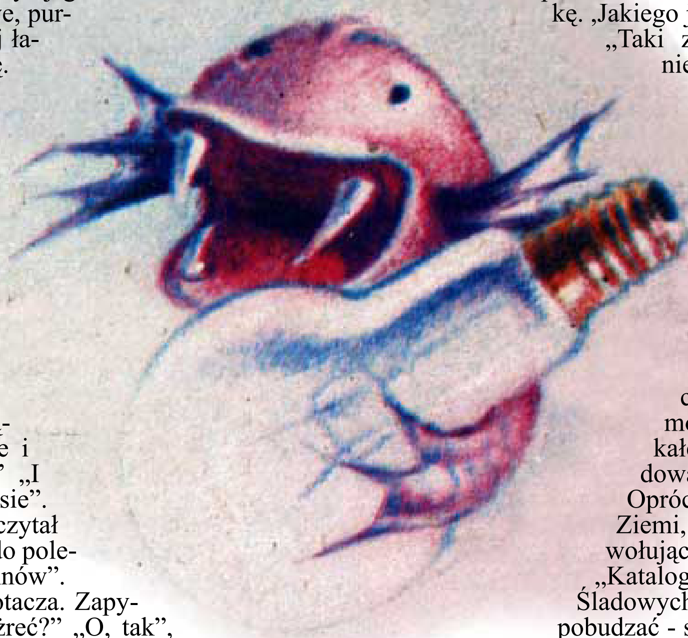


Ferngraum zbadał swoją planetę radarami, potem wydzierżawi ją spółce farmerów z Dijon VI. Ośmioosobowa grupa rozpoznawcza wylądowała na miejscu i nie minął dzień, kiedy zaczęły nadchodzić zniekształcone raporty o demonach, duchach, wampirach, dinozaurach i innych potworach.
Kiedy przybył po nich statek ratunkowy, wszyscy byli martwi. Raport po autopsji stwierdził, że ciecia i rany na ich ciałach mogły być zadane przez wszystko, nawet demony, duchy, wampiry czy dinozaury, jeśli takie istniały. Ferngraum musiał zapłacić karę za niewłaściwe przygotowanie planety. Farmerzy zrezygnowali z dzierżawy. Ale udało mu sie wydzierżawić ją grupie czcicieli słońca z Opalu II. Czciciele słońca byli ostrożni. Wysłali swój ekwipunek i tylko trzech ludzi na rekonesans. Ludzie ci założyli obóz, rozpakowali rzeczy i ogłosili, że planeta jest rajem. Właśnie przekazywali wiadomość, by grupa przybyła na miejsce, kiedy rozległ się przeraźliwy krzyk i cisza.
Statek patrolowy poleciał na Ducha V, pogrzebano ciała i opuszczono planetę w ciągu dokładnie pięciu minut. „I tak to się skończyło", powiedział Ferngraum. „Teraz nikt jej nie chce za żadną cenę. Załogi statków nie chcą na niej lądować. A ja nadal nie wiem co się stało".
Westchnął głęboko i spojrzał na Gregora. „Jeśli chcecie, możecie sie tym zająć".
Gregor i Arnold przeprosili go na chwile i wyszli do przedpokoju.
Arnold wydał okrzyk radości: „Mamy robotę!" „Taak", powiedział Gregor, „ale jaką robotę".. „Chcieliśmy coś trudnego", zwrócił mu uwagę Arnold. „Jeśli nam sie uda, zdobędziemy rozgłos - nie mówiąc już o zyskach".
„Zdaje się, że zapominasz", powiedział Gregor, „że to ja mam polecieć na te planetę. Ty tylko będziesz tu siedział i wyciągał wnioski z przysłanych przeze mnie danych".
„Tak przecież ustaliliśmy", przypomniał Arnold. „Ja jestem dział naukowy, a ty przeprowadzasz ekspertyzę. Pamiętasz?" Gregor pamiętał. Od najmłodszych lat ciągle pakował się w kłopoty, podczas, gdy Arnold siedział spokojnie i tłumaczył mu dlaczego to robił.
„Nie podoba mi się ta sprawa", powiedział.
„Chyba nie wierzysz w duchy?"
„Nie, oczywiście, że nie".
„Cóż, z każdą inną zmorą poradzimy sobie. Tylko odważni mogą liczyć na dobry zarobek".
Gregor wzruszył ramionami. Wrócili do Ferngrauma. W ciągu pół godziny uzgodnili warunki - wysoki procent z przyszłych zysków jeśli HA SIĘ uda, pokrycie poniesionych kosztów jeśli sie nie ud*.
Gregor odprowadził Ferngrauma do drzwi. „Swoją drogą", zapytał, „jak pan do nas trafił?"
„Nikt inny nie chciał wziąć tej sprawy", powiedział Ferngraum, wyraźnie z siebie zadowolony. „Życzę powodzenia".

Trzy dni później Gregor był już w drodze na Ducha-V na pokładzie frachtowca kosmicznego. Czas podróży wykorzystał na dokładne przestudiowanie raportów z dwóch prób kolonizacji i czytanie szeregu prac dotyczących zjawisk nadprzyrodzonych.
Ale to niczego nie wyjaśniało. Na Duchu V nie znaleziono żadnych śladów istnienia zwierząt. I nigdzie w Galaktyce nie odkryto dowodów istnienia stworów nadprzyrodzonych. Gregor zastanawiał się nad tym. Sprawdził swoją broń, gdyż frachtowiec zbliżał się do Ducha V. Wiózł arsenał wystarczający do prowadzenia i wygrania niewielkiej wojny.
O ile znajdzie się coś do czego będzie można strzelać...
Kapitan frachtowca zniżył statek na odległość kilku tysięcy stóp od pogodnej, zielonej powierzchni planety. Gregor zrzucił swoje rzeczy na spadochronie na miejsce dwóch poprzednich obozowisk, uścisnął rękę kapitana i sam również skoczył na spadochronie.
Wylądował bezpiecznie i spojrzał w górę. Frachtowiec gnał w górę jakby goniły go rozwścieczone furie. Był sam na Duchu V.
Po sprawdzeniu czy aparatura nie uległa uszkodzeniu, nadał Arnoldowi wiadomość, że wylądował bezpiecznie. Potem, z miotaczem w reku, przeprowadził inspekcje obozu czcicieli słońca.
Wybrali sobie miejsce u podnóża gór, nad małym jeziorem o krystalicznie czystej wodzie. Baraki były w idealnym stanie.
Nie zniszczyły ich wiatry ani burze, bo Duch V obdarzony był wspaniałym klimatem. Stały smutne i opuszczone.
Gregor dokładnie zbadał wnętrze jednego z nich. Ubrania starannie ułożone w pokoikach, obrazy na ścianach, a na jednym oknie wisiała nawet zasłona. W rogu pokoju stało otwarte pudło z zabawkami, przygotowane na przyjazd dzieci.
Pistolet na wodę, bąk i kulki do gry leżały rozrzucone na podłodze.
Nadchodził wieczór, wiec Gregor wniósł swoje rzeczy do jednego z baraków i przygotował się do przetrwania nocy. Podłączył system alarmowy i nastawił go tak, że zareagowałby nawet na karalucha. Włączył radar kontrolujący najbliższe otoczenie. Rozpakował swój arsenał, układając karabiny ciężkiego kalibru w zasięgu reki. Miotacz ręczny wetknął sobie za pas. Po czym, usatysfakcjonowany, zjadł lekką kolacje.
Za oknami wieczór zmienił się w noc. Ciepłą, rozmarzoną krainę ogarnęła ciemność. Lekki wietrzyk zmarszczył wody jeziora i szeleścił cicho w wysokiej trawie. Było spokojnie.
Doszedł do wniosku, że koloniści musieli być histerykami. Prawdopodobnie ogarnęła ich panika i pozabijali się nawzajem. Po sprawdzeniu jeszcze raz systemu alarmowego, Gregor rzucił swoje ubranie na krzesło i wszedł do łóżka. Pokój rozświetlało światło gwiazd, silniejsze niż światło księżyca na Ziemi. Miotacz był pod poduszką. Wszystko było w porządku.
Właśnie zasypiał, kiedy poczuł, że nie jest sam w pokoju.
To nie było możliwe. System alarmowy nie reagował. Radar nadal szemrał spokojnie.
A jednak każdy nerw w jego ciele wył na alarm. Wyciągnął miotacz i rozejrzał się.
W rogu pokoju stał mężczyzna.
Nie było czasu na zastanawianie się jak tu się dostał. Gregor wycelował miotacz i powiedział: „Dobra, teraz ręce do góry". Postać nie poruszyła się.
Palec Gregora zacisnął się na cynglu, a potem nagle rozluźnił się. Poznał tego mężczyznę. To było jego własne ubranie, ułożone na krześle, któremu światło gwiazd i jego wyobraźnia nadały kształt człowieka.
Uśmiechnął się i opuścił miotacz. Sterta ubrań poruszyła się. Gregor poczuł wiew powietrza od strony okna i nadal się uśmiechał. Potem sterta ubrań wstała, wyprostowała się i zaczęła iść wyraźnie w jego kierunku.
Znieruchomiały w łóżku, patrzył jak bezcielesne ubranie, przybrawszy ludzką postać, zbliża się do niego.
Kiedy było w połowie pokoju i puste rękawy wyciągnęły się ku niemu, zaczął strzelać.
I strzelał długo, gdyż strzępy i resztki ubrania leciały do niego jakby nagle ożyły. Płonące kawałki materiału napierały na jego twarz, a pas próbował okręcić się wokół jego nóg. Musiał spalić wszystko na popiół, zanim atak ustał.
Kiedy już było po wszystkim, Gregor zapalił wszystkie światła. Zaparzył kawę i wlał do niej prawie całą butelkę brandy. Z trudem powstrzymał się przed rozwaleniem urządzeń alarmowych na kawałki. Połączył się ze wspólnikiem.
„To bardzo interesujące", powiedział Arnold, kiedy Gregor opowiedział mu o wydarzeniach. „Animacja! Naprawdę bardzo in-

teresujące".
„Wiedziałem, że cie to rozbawi", powiedział z goryczą Gregor. Po sporej dawce brandy poczuł się opuszczony i wykorzystywany.
„Czy coś jeszcze się stało?" Jeszcze nie".
„No tak, uważaj. Mam pewną teorie. Musze nad nią popracować. A propos, jakiś zwariowany facet stawia piec do jednego, że ci się nie uda".
„Naprawdę?"
„Tak. Założyłem się z nim". „Postawiłeś na mnie?", zapytał Gregor.
„Oczywiście", oburzył się Arnold. „Przecież jesteśmy wspólnikami".
Rozłączyli się i Gregor zaparzył jeszcze jeden dzbanek kawy. Nie miał zamiaru zasypiać tej nocy. Podtrzymywała go na duchu myśl, że Arnold postawił na niego. Ale, w końcu, Arnold zawsze był złym graczem.

Obudził się koło południa, znalazł jakieś ubranie i zabrał się do przeszukiwania obozu czcicieli słońca. Przed wieczorem znalazł coś. Na ścianie baraku ktoś w pośpiechu wydrapał słowo „Tgasklit", „Tgasklit". Nic mu to nie mówiło, ale natychmiast dał o tym znać Arnoldowi.
Potem przetrząsnął każdy kąt swojego baraku, zapalił światła, sprawdził system alarmowy i naładował miotacz. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Z żalem patrzył na zachodzące słońce, mając nadzieje, że uda mu się przeżyć do wschodu. Potem usadowił się na wygodnym krześle i próbował wymyślić coś mądrego.
Nie było tu żadnych zwierząt ani wędrujących roślin, żyjących skał ani wielkich mózgów ukrytych w jądrze planety. Duch V nie miał nawet księżyca, na którym ktoś mógłby się schować.
Nie mógł uwierzyć w istnienie duchów czy demonów. Wiedział, że zjawiska nadprzyrodzone przestawały być niezwykłe, jeśli je sie dokładnie zbadało. Duchy nigdy nie chciały stać spokojnie, by jakiś niedowiarek mógł je zbadać - znikały. Zawsze wtedy, kiedy w zamku pojawiał się naukowiec z kamerami i magnetofonami, upiory wydawały się być na urlopie.
Była jeszcze jedna możliwość. Przypuśćmy, że ktoś chciał mieć te planetę, ale nie za cenę proponowaną przez Ferngrauma. Czy taki ktoś nie mógł ukryć się tu, straszyć osadników, a nawet zabić ich, żeby doprowadzić do opuszczenia ceny?
To brzmiało logicznie. W ten sposób można by wytłumaczyć również zachowanie jego ubrania. Elektryczność statyczna, właściwie użyta...
Coś stało przed nim. System alarmowy, tak jak przedtem, nie zareagował.
Gregor powoli podniósł głowę. To coś naprzeciw niego miało dziesięć stóp wysokości i przypominało postać ludzką, z wyjątkiem krokodylej głowy. Było jasnoczerwone w pionowe, purpurowe pasy. W jednej pazurzastej łapie trzymało dużą, brązową puszkę.
„Cześć", powiedziało.
„Cześć", odpowiedział Gregor zdławionym głosem. Jego miotacz leżał na stole dwa metry od niego. Zastanawiał się czy to coś zaatakuje jeśli on sięgnie po broń. „Jak się nazywasz?", zapytał Gregor spokojnie. „Jestem Szkarłatno-Purpurowy Pożeracz", odpowiedziało. „Chwytam i pożeram".
„Bardzo ciekawe". Gregor pomaleńku sięgał po miotacz. „Chwytam i pożeram rzeczy nazywające się Richard Gregor", pogodnie i szczerze tłumaczył mu Pożeracz' „I zwykle jem je w czekoladowym sosie".
Pokazał mu puszkę i Gregor przeczytał nalepkę: „Sos Śmiga - Wspaniały do polewania Gregorych, Arnoldów i Flynnów".
Palce Gregora dotknęły kolby miotacza. Zapytał: „Czy miałeś zamiar mnie pożreć?" „O, tak", odpowiedział Pożeracz.
Gregor miał już w reku miotacz. Odbezpieczył go i strzelił. Świetlisty strumień spłynął po Pożeraczu, osmalił podłogę, ściany i brwi Gregora. „To mnie nie zrani", wyjaśnił Pożeracz. „Jestem za wysoki".



Miotacz wypadł Gregorowi z reki. Pożeracz pochylił sie ku niemu.
„Nie zjem cie teraz", powiedział. „Nie?" wykrztusił Gregor.
„Nie. Mogę cie zjeść dopiero jutro, pierwszego maja. Takie są zasady. Przyszedłem prosić cie o przysługę". „jaką?"
Pożeracz uśmiechnął się czarująco. „Czy mógłbyś być tak miły i zjeść kilka jabłek? One nadają wspaniały aromat".
I powiedziawszy to pasiasty potwór zniknął.
Drżącymi rekami Gregor włączył nadajnik i opowiedział wszystko Arnoldowi.
„Hrnm", powiedział Arnold. „Szkarłatno-purpurowy Pożeracz", tak? To potwierdza moje przypuszczenia". „Jakie przypuszczenia?
O czym ty mówisz?"
„Po pierwsze, zrób to co ci powiem. Musze się upewnić". Posłuszny instrukcjom Arnolda, Gregor rozpakował aparaturę do badań chemicznych. Porozkładał różne probówki, retorty i chemikalia. Mieszał, potrząsał, dodawał i odejmował według wskazówek i w końcu podgrzał otrzymaną mieszankę. „No już", powiedział podchodząc z powrotem do nadajnika, „wytłumacz mi co się dzieje"/
„Posłuchaj. Poszukałem w słowniku słowa „Tgasklit". To po opaliańsku. Oznacza „ducha o wielu zębach". Czciciele słońca byli z Opalu. Czy już coś rozumiesz?"
„Zostali zabici przez rodzimego ducha", odparł burkliwie Gregor. „Musiał się ukryć w ich statku. Pewnie jakaś klątwa..."
„Uspokój sie", powiedział Arnold. „Duchy nic nie mają z tym wspólnego. Czy roztwór się gotuje?" „Nie".
„Powiedz mi jak się zagotuje. A teraz wróćmy do sprawy twojego ożywionego ubrania. Czy to ci czegoś nie przypomina?" Gregor zastanowił się. „Cóż, kiedy byłem dzieckiem - nie, to bez sensu".
„No powiedz", nalegał Arnold.
„Kiedy byłem mały, nigdy nie zostawiałem ubrania na krześle. W ciemności zawsze wyglądało jak człowiek albo smok czy coś w tym rodzaju. Myślę, że każdemu się to zdarzyło. Ale to nie wyjaśnia..."
„Oczywiście, że wyjaśnia! Czy już sobie przypomniałeś Szkarłatno-purpurowego Pożeracza?" „Nie. Dlaczego?"
„Bo to ty go wymyśliłeś! Pamiętasz? Mieliśmy wtedy po osiem czy dziewięć lat, ty, ja i Jimmy Flynn. Wymyśliliśmy najstraszniejszego potwora - to był nasz własny potwór i chciał pożreć tylko albo ciebie, albo mnie, albo Jimmiego - polanych czekoladowym sosem. Ale tylko pierwszego każdego miesiąca. Żeby się go pozbyć, trzeba było wymówić zaklęcie".
Teraz Gregor przypomniał sobie i dziwił się jak mógł o tym zapomnieć. Ileż to nocy przesiedział skulony, przerażony czekając na Pożeracza?
„Czy poztwór się gotuje?", zapytał Arnold. „Tak", odpowiedział Gregor spojrzawszy na probówkę. „Jakiego jest koloru?"
„Taki zielonkawo-niebieski. Bardziej niebieski..."
„Prawidłowo. Możesz go już wylać. Musze jeszcze przeprowadzić kilka prób, ale myślę, że wygraliśmy".
„Co wygraliśmy? Czy możesz mi wytłumaczyć?"
„To oczywiste. Na planecie nie ma zwierząt. Duchy nie istnieją, przynajmniej nie takie, które mogłyby zabić oddział uzbrojonych mężczyzn. Jedynym rozwiązaniem mogły być halucynacje, wiec szukałem czegoś co mogło je powodować. Znalazłem sporo przyczyn. Oprócz narkotyków spotykanych na Ziemi, jest kilkanaście gazów wywołujących halucynacje, spisanych w „Katalogu Obcych Pierwiastków Śladowych". Mogą powodować depresje, pobudzać - sprawiać, że czujesz się jak glista albo orzeł, albo geniusz. Ten, o który nam chodzi określony jest jako Longstead 42. Jest to ciężki, przezroczysty, bezwonny gaz, który nie uszkadza żadnych tkanek. To jest środek pobudzający wyobraźnie". „Chcesz przez to powiedzieć, że wszystko mi sie przywidziało? Zrozum..." „To nie

jest takie proste", przerwał mu Arnold. „Longstead 42 działa bezpośrednio na podświadomość. Wyzwala najmocniejsze podświadome leki, stłumione koszmary z dzieciństwa. Ożywia je. I to właśnie widziałeś". „Wiec tak naprawdę to nic tu nie było?", zapytał Gregor. „Nic o realnej, fizycznej postaci. Ale te halucynacje są prawdziwe dla każdego kto je ma".
Gregor sięgnął po następną butelkę brandy. Trzeba było uczcić takie odkrycie.
„Bez trudu poradzimy sobie z Duchem V", Arnold kontynuował pewnym siebie głosem. „Longstead 42 można łatwo wyeliminować. I będziemy bogaci, wspólniku!"
Gregor chciał już wznieść toast, kiedy przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. „Jeśli to są tylko halucynacje, to co się stało z osadnikami?"
Arnold milczał przez chwile. „No cóż", odezwał sie „Longstead 42 może spowodować - instynkt śmierci Osadnicy musieli zwariować. Pozabijali się nawzajem". „I nikt nie pozostał przy życiu?" „Oczywiście. Ci ostatni popełnili samobójstwo albo zmarli na skutek odniesionych ran. Nie zaprzątaj sobie tym głowy. Zaraz wsiadam na statek i przylecę zrobić te badania. Za dzień lub dwa zabiorę cię stamtąd". Na tym skończyli rozmowę. Tego wieczoru Gregor pozwolił sobie na wypicie reszty brandy. Uważał, że mu się to należy. Zagadka Ducha V była rozwiązana i wkrótce mieli zostać bogaci. Wtedy on będzie mógł wynająć człowieka na lądowania na dziwnych planetach, a sam będzie siedział w domu i dawał instrukcje przez radio.



Następnego dnia obudził się na kacu. Statek Arnolda jeszcze nie przybył, wiec spakował swoje rzeczy i czekał. Nadszedł wieczór, a statku jeszcze nie było. Usiadł na progu baraku i przyglądał sie jaskrawemu zachodowi słońca. Potem wszedł do środka i zrobił kolacje.
Sprawa osadników nadal go niepokoiła, ale postanowił nie myśleć o tym. Na pewno istniało jakieś logiczne wytłumaczenie. Po kolacji wyciągnął się na łóżku. Zaledwie zamknął oczy, kiedy usłyszał czyjeś nieśmiałe chrząknięcie.
„Cześć", powiedział Szkarłatno-purpurowy Pożeracz. Postać z wyobraźni wróciła by go pożreć. „Cześć, stary", odpowiedział pogodnie, bez cienia strachu czy niepokoju. „Czy zjadłeś jabłka?". „Bardzo cie przepraszam. Zapomniałem". „Trudno". Pożeracz starał się ukryć rozczarowanie. „Przyniosłem sos czekoladowy". Pokazał mu puszkę.
Gregor uśmiechnął się. „Możesz już teraz zniknąć. Wiem, że jesteś tylko wymysłem mojej wyobraźni. Nie możesz zrobić mi nic złego".
„Nie zrobię ci nic złego", powiedział Pożeracz. „Po prostu mam zamiar cie zjeść".
Podszedł do Gregora. Gregor stał w miejscu i uśmiechał się, chociaż wolałby, żeby Pożeracz nie wyglądał tak realnie i materialnie. Pożeracz pochylił się i spróbował ugryźć go w rękę. Gregor cofnął się gwałtownie i spojrzał na rękę. Widać było na niej ślady krwi. Z ranek sączyła się krew - prawdziwa jego krew. Ciała osadników były poszarpane, pogryzione i pocięte. W tym momencie Gregor przypomniał sobie pokaz hipnotyzera, który kiedyś oglądał. Hipnotyzer powiedział wtedy swojemu medium, że dotyka jego ramienia zapalonym papierosem. Dotknął to miejsce długopisem. W ciągu kilku sekuftd na ramieniu medium pojawił się czerwony ślad i pęcherz, dlatego że uwierzyło w oparzenie.
A wiec jeśli w podświadomości człowiek jest przekonany, że nie żyje, to naprawdę staje się martwy! On nie wierzył w Pożeracza. Ale jego podświadomość wierzyła.
Rzucił się w kierunku drzwi. Pożeracz zastąpił mu drogę. Schwycił go w łapy i zbliżył uzębiony pysk do jego szyi. Zaklęcie! Jak to brzmiało? Gregor krzyknął: „Alfoisto?!"
„To nie to słowo", powiedział Pożeracz. „Proszę, nie wyrywaj sie".
„Regnastikio!"
„Nie. Przestań się wiercić, a będzie po wszystkim zanim..."
„Woorspelhappilo!"
Pożeracz wrzasnął z bólu i puścił go. Uniósł się do góry i zniknął. Gregor opadł bezwładnie na krzesło. Koniec był tak blisko. Zbyt blisko. Idiotycznie byłoby umrzeć w ten sposób - rozdarty przez swoją własną, pożądającą śmierci wyobraźnie, zabity przez przekonanie. Miał szczęście, że przypomniał sobie to słowo. Gdyby Arnold się pośpieszył... Usłyszał cichy chichot.
Rozległ się w ciemności za przymkniętymi drzwiami pracowni. Przywołał wspomnienia z dawnych lat. Znów miał dziewięć lat i wrócił Zmrokotwór - jego Zmrokotwór - dziwne, chude, przerażające stworzenie, które kryło się za drzwiami, spało pod łóżkiem i atakowało tylko w ciemności.
„Zgaś światło", powiedział Zmrokotwór.
„Nie ma mowy", odpowiedział Gregor, chwytając miotacz. W oświetlonym pokoju był bezpieczny.
„Dobrze ci radze, zgaś je". „Nie!" „W porządku. Egan, Megan, Degan! Trzy małe stworzonka wbiegły do pokoju. Rzuciły się na żarówkę i zaczęły ją pożerać z apetytem.
W pokoju zrobiło się ciemniej.
Gregor strzelał za każdym razem, kiedy zbliżały się do lampy. Szkło rozprysło sie, ale zwinne stworki za każdym razem zdążyły uskoczyć z drogi. I wtedy Gregor zdał sobie sprawę z tego co zrobił. Stworki nie mogły naprawdę jeść światła. Wyobraźnia nie działa na przedmioty martwe. To jemu zdawało się, że w pokoju się ściemnia i...
Rozwalił wszystkie żarówki! Niszcząca podświadomość zrobiła mu paskudny kawał.
Teraz Zmrokotwór wkroczył do pokoju. Skacząc od cienia do cienia zbliżył się do Gregora.
Miotacz okazał się bezużyteczny. Gregor gorączkowo próbował wymyślić zaklęcie i z przerażeniem przypomniał sobie, że na Zmrokotwora nie działało żadne. Cofał się, dopóki nie dotknął plecami wielkiej skrzyni. Zmrokotwór pochylił się nad nim. Gregor upadł na ziemie i zamknął oczy.
Jego ręka dotknęła czegoś zimnego. Leżał przy skrzyni z zabawkami dla dzieci osadników. Przedmiot, którego dotykał to był pistolet na wodę.
Chwycił go i wyciągnął przed siebie. Zmrokotwór cofnął się, patrząc na broń bojaźliwie.
Gregor szybko podbiegł do kranu i napełnił pistolet. Skierował na potwora śmiertelny strumień wody. Zmrokotwór zawył i zniknął.
Gregor uśmiechnął się i wcisnął pusty pistolet za pas. Pistolet na wodę to skuteczna broń przeciwko wymyślonym potworom.

Już świtało, kiedy wylądował statek Arnolda. Nie tracąc czasu Arnold zabrał się do przeprowadzania badań. Skończył koło południa, definitywnie stwierdzając że mają do czynienia z pierwiastkiem Longstead 42. Spakowali się natychmiast i wystartowali.
Kiedy już byli w przestrzeni, Gregor opowiedział swemu wspólnikowi o wydarzeniach ostatniej nocy.
„Przeżyłeś ciężkie chwile", powiedział Arnold z podziwem. Teraz, gdy był już w bezpiecznym oddaleniu od Ducha V, Gregor mógł przybrać pozę skromnego bohatera. „Mogło być gorzej", powiedział. „Jak to gorzej?"
„Gdyby Jimmy Flynn był tutaj. On to potrafił wymyślać potwory. Pamiętasz Gromostracha?"
„Pamiętam jedynie, że przez niego przeżyłem wiele koszmarnych nocy", powiedział Arnold.
Statek sunął w kierunku Ziemi. Arnold napisał parę zdań do artykułu pod tytułem „Instynkt śmierci na Duchu V. Badania Stymulacji Podświadomości, Histerii i Grupowych Halucynacji wywołujących objawy fizyczne". Potem poszedł do kabiny sterowania by włączyć autopilota.
Gregor wyciągnął się na łóżku, postanowiwszy odbić sobie nie przespane noce na Duchu V. Ledwie zasnął, kiedy do pokoju wpadł Arnold z twarzą bladą ze strachu.
„Wydaje mi się, że coś jest w kabinie sterowania", powiedział. Gregor usiadł. „To niemożliwe. Jesteśmy daleko od..."
W kabinie sterowania rozległ się cichy pomruk. „O Boże!", jęknął Arnold. Milczał przez chwilkę w skupieniu. „Wiem. Kiedy wylądowałem, zapomniałem zamknąć dopływ powietrza. Nadal oddychamy powietrzem z Ducha V!".
W drzwiach stał wielki szary stwór o skórze pokrytej czerwony-

mi cętkami. Miał zaskakującą ilość rąk, nóg, macek, szponów i zębów i jeszcze dwa małe skrzydła. Szedł powoli w ich stronę mrucząc i stękając.
Poznali go - to był Gromostrach.
Gregor rzucił się do drzwi i zamknął mu je przed nosem.
„Powinniśmy być bezpieczni tutaj", szepnął oddychając z trudem.
„Drzwi są hermetyczne. Ale jak będziemy kierować statkiem?"



„Nie będziemy", odparł Arnold. „Musimy zaufać autopilotowi, chyba że wymyślimy jakiś sposób by pozbyć się tego stwora". Zauważyli, że nikły dym zaczynał przedostawać się przez uszczelnione drzwi.
„Co to?" zapytał drżącym głosem Arnold. Gregor zmarszczył brwi, „Zapomnieliśmy, że Gromostrach może wejść do każdego pokoju. Nie ma sposobu na powstrzymanie go".
„Nic sobie nie mogę przypomnieć", powiedział Arnold. „Czy on je ludzi?"
„Nie. O ile dobrze pamiętam, tylko rozszarpuje na kawałki". Dym zaczął przybierać formę Gromostracha. Uciekli do następnego pokoju, zamykając szczelnie drzwi za sobą. W ciągu kilku sekund dym znów wślizgnął się za nimi.
„To idiotyczne", powiedział Arnold przygryzając wargi. „Być ściganym przez wymyślonego potwora - poczekaj! Masz jeszcze ten pistolet na wodę, prawda?" „Tak, ale..." „Daj mi go!"
Arnold podbiegł do zbiornika z wodą i napełnił pistolet. Gromostrach znowu się zmaterializował. Sunął ku nim niezdarnie, stękając z niezadowolenia. Arnold strzelił do niego strumieniem wody.
Gromostrach ciągle się zbliżał.
„Już wiem", powiedział Gregor. „Pistolet na wodę nie zatrzyma Gromostracha".
Wycofali się do następnego pokoju i zatrzasnęli drzwi. Dalej był już tylko magazyn paliwa i śmiertelna próżnia przestrzeni. Gregor zapytał „Czy nie możesz zrobić czegoś z powietrzem?" Arnold pokręcił głową przecząco. ‚Już się ulatnia. Ale Longstead przestaje działać dopiero po dwudziestu godzinach".
„Nie ma żadnego antidotum?" „Nie".
Gromostrach jeszcze raz się pojawił. Odgłosy, które wydawał, świadczyły, że jest w nie najlepszym nastroju.
„Jak można go zabić?", zapytał Arnold. „Musi być jakiś sposób. Zaklęcia? A może drewniany miecz?"
Gregor pokręcił głową. Już sobie wszystko przypomniałem", powiedział smętnie.
„Co go zniszczy?"
„Nie zniszczy go ani pistolet na wodę, ani korkowiec ani fajerwerki, kopeć, ani proca, ani żadna inna dziecięca broń. Gromostrach jest zupełnie niezniszczalny". „Ach ten Flynn ze swoją cholerną wyobraźnią! Co nas podkusiło, żeby o nim rozmawiać? Jak w takim razie pozbyć się potwora?"
„Mówiłem ci. Nie ma rady. Może odejść tylko z własnej woli". Gromostrach urósł już do swych normalnych rozmiarów. Arnold i Gregor schronili się w maleńkim magazynie i zatrzasnęli ostatnie drzwi.
„Pomyśl, Gregor", błagał Arnold. „Żadne dziecko nie wymyśla potwora przed którym nie można się jakoś obronić. Pomyśl!"
„Gromostracha nie można zabić", powtórzył Gregor. Dym znów zaczął przybieraćpostać cetkowanego potwora. Gregor przypomniał sobie wszystkie nocne koszmary, jakie kiedykolwiek miał. Jako dziecko musiał przecież robić coś, by bronić się przed nieznaną siłą. I nagle - w ostatniej chwili - przypomniał sobie.
Sterowany przez autopilota statek mknął ku Ziemi, całkowicie opanowany przez Gromostracha. Gromostrach wędrował pustymi korytarzami, przenikał przez stalowe ściany do kabin i magazynów, jęcząc, stękając i ciskając gromy, bo nie mógł znaleźć żadnej ofiary.
Statek dotarł do systemu słonecznego i automatycznie wszedł na orbitę Księżyca. Gregor ostożnie wychylił głowę, gotowy schować się z powrotem w razie potrzeby. Nie słychać było groźnego szurania ani jęków, ani stękań. Nie było złowrogiej mgły przenikającej przez drzwi i ściany.
„W porządku", krzyknął do Arnolda. „Gromotwór znikł". Bezpieczni w niezawodnym schronieniu przed koszmarami nocy - zawinięci po czubki głów w koce - teraz mogli już wyjść ze swych kryjówek.
„Mówiłem ci, że pistolet na wodę nic nie pomoże", powiedział Gregor. Czule pogładził koc. „Przykrycie kocem głowy to najlepsza obrona".

Przełożyła **Anna Miklińska**

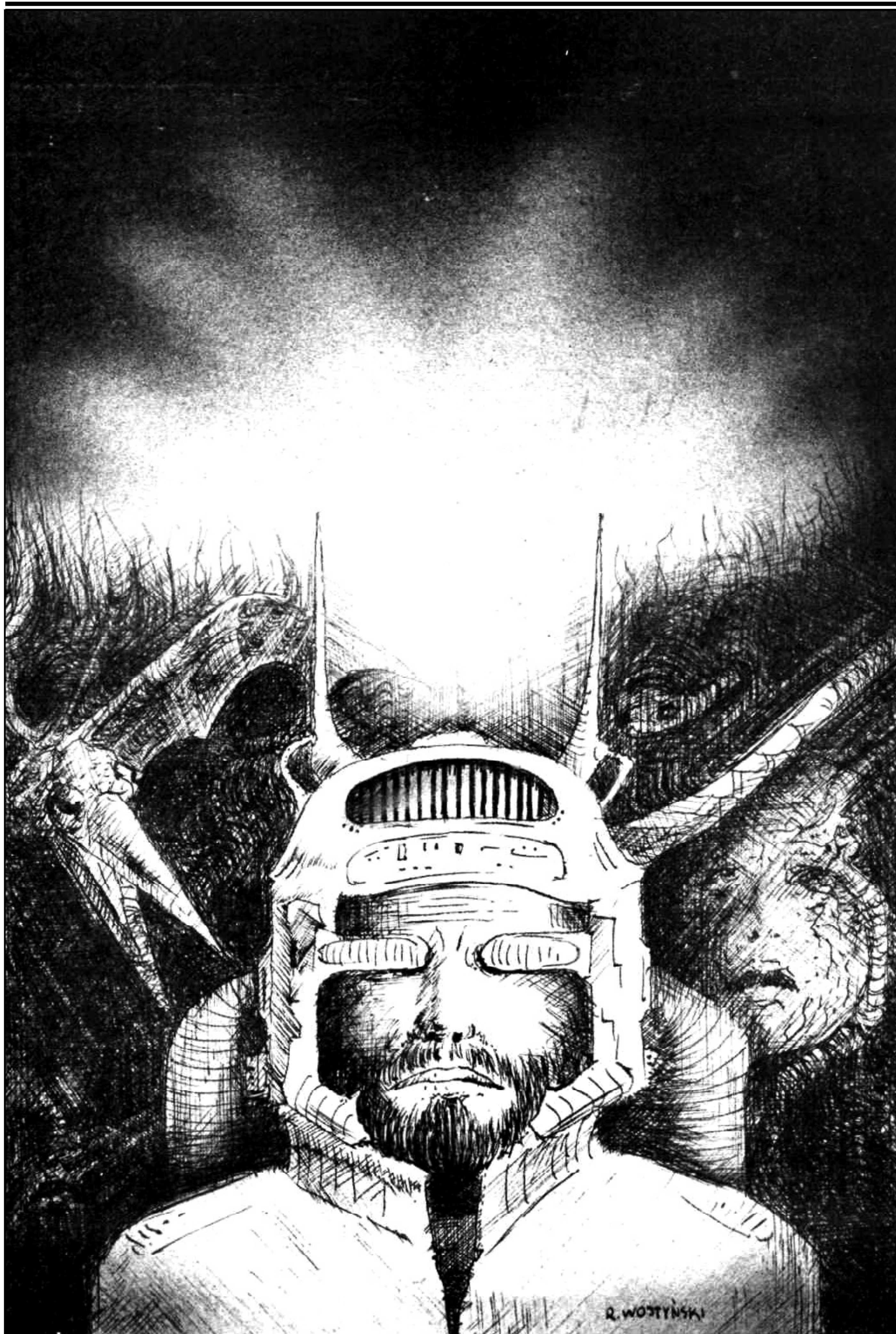
SHAWNA Ltd.

(SHAWNA Ltd.)

SHAWNA (Superaliminal Hegelian Absolutized World Neotranspatial Amplifier) - urządzenie wzmacniające te cześć mózgu ludzkiego, która tworzy i zmienia rzeczywistość. Teoria ta sięga korzeniami do prac wczesnoidealistycznych filozofów, po raz pierwszy została wykorzystana praktycznie w 2134 roku przez fizyka filozofa Leonida Veggnitza do transportu na dystansach multiparseków. (Patrz SHAWNA Ltd., pod Linie Kosmiczne, Cywilne)

- Encyklopaedia Galactica

Enoch Rawls pożałował, że przyjął propozycje. Leonida Vegnitza już w momencie, w którym wielki, krótkoskrzydły liniowiec wykołował na początek pasa startowego. Szef SHAWNA Ltd. kupił go pochlebstwami w celu przerobienia teorii i praktyki lotów SHAWNA z logiki Arystotelesowej na logikę nie-Arystotelesową. Filozof - Pilot, któremu Rawls został przedstawiony zaraz po wejściu do pojazdu wydawał się wzbudzać zaufanie, ale Enoch nigdy jeszcze nie latał w kosmos. Kiedy usłyszał szum włączanych silników odwrócił się w prawo. Kapitan Sanford, dyrektor firmowej Szkoły Filozoficznej Pilotażu, również zwrócił się w jego stroną.
- Coś pana trapi doktorze? - zapytał.
- Kapitanie, dlaczego ten statek ma silniki? Sądziłem, że wystarczy tylko pomyśleć o naszej drodze do Betelvany.
Sanford prychnął i skinął głową w kierunku foteli czterech pilotów przed nimi.
- Najpierw muszą nas unieść w powietrze. Inaczej zrobilibyśmy niezłą dziurę w pasie startowym i prawdopodobnie nigdy nie dolecieli do Betelvany z uwagi na dodatkowy ciężar.
- Rozumiem.
- Loty SHAWNA mają na razie pewne ograniczenia, ale o ile zrozumiałem doktora Veggnitza, to ma on nadzieje osiągnąć lepsze wyniki dzięki panu. Chodzi o zwiększenie ładunku i zmniejszenie ekipy filozofów w załodze.
Rawls skinął potwierdzająco głową i zaczął się przyglądać pracy pilotów. Piewszy filozof Wheeler wyciągnął rękę w stronę tablicy przyrządów i włączył mikrofon.
- SHAWNA jeden jeden zero do Wieży. Zezwólcie startować. Odbiór.
Po kilku sekundach wsłuchiwania się w głos płynący ze słuchawek Wheeler ponownie się odezwał.
- Zrozumiałem Wieża, SHAWNA jeden jeden zero zwolniona do natychmiastowego startu.
Wheeler odwrócił głowę w prawo, w stronę Drugiego Filozofa Hansena.
- OK Hansen, ruszamy.
Drugi Filozof powoli przesunął kilka manetek przed sobą i cały statek zaczął nagle drżeć i powoli ruszył do przodu. Monotonie startu przerywały głosy Drugiego i Trzeciego Filozofa dyktujące prędkość i odległość do końca pasa. Wreszcie Rawls usłyszał sakramentalne: „poszedł" i zaraz poczuł jak żołądek podchodzi mu do gardła. W miarę jak Wheeler ostro zadzierał dziób liniowca do góry Pierwszy Filozof kiwnął głową w stronę Drugiego, mówiąc:
- Podwozie wciągnięte.
- Klapy?
- Wciągnięte.
- Kurs dwa jeden zero.
- Dwa jeden zero.
Rawls przyglądał się spokojnej, ale szybkiej pracy pilotów przełączających niezliczone przyciski, manetki i guziki. Wreszcie Wheeler raz jeszcze sięgnął po mikrofon.
- Mówi Pierwszy Filozof, Kapitan Wheeler. Witam Państwa na pokładzie SHAWNA jeden jeden zero w drodze do Hajii Field na Betelvanie. Wysokość skoku osiągniemy za około osiem minut i spodziewamy się osiągnąć Hajii Field o 2:72 czasu gwiezdnego. Lokalnie będzie to 8SI. Zyczymy przyjemnego lotu i prosimy o uważne zapoznanie się z komunikatem stewardess na temat procedury i wyposażenia alarmowego. Dziękuje.
Rawls poczuł, że ktoś go szarpie za ramie. Odwrócił się w stronę Sanforda.
- Co się stało?
- Ponieważ w czasie skoku nikomu z nas nie będzie wolno rozmawiać, chciałbym teraz wyjaśnić panu szczegóły lotu.
- Oczywiście.
Sanford pokazał palcem siedzenia pilotów, mówiąc:
- Te fotele się obracają i w chwili skoku obrócą się tyłem do okien. To w celu uniknięcia pokusy patrzenia na zewnątrz. Widzi pan te hełmy nad ich stanowiskami?
- Tak. To końcówki wzmacniacza? - spytał Rawls przyglądając sie czterem złotym hełmom połączonym czerwonymi przewodami z sufitem.
- Założą je na głowę, kiedy tylko fotele się obrócą. Sam pan rozumie, że ich umysły nie mogą być zaprzątnięte niczym innym jak tylko myślą nad drogą na Betelvane.
- Mogę to zrozumieć, ale czy nie boi się pan zwykłych, ludzkich wątpliwości? Wiem, że latacie już od wielu lat, ale przecież ja sam czasami mam wątpliwości na ten temat.
- Ci filozofowie są śmietanką super-elity. Są sprawdzani i ponownie kontrolowani aż ostatni wątpiący zostanie usunięty. Myślę, że domyśla się pan, dlaczego nie możemy sobie pozwolić na luksus zatrudniania sceptyków.
Rawls skinął głową i w tym momencie weszła stewardessa z tacą pełną kawy.
- Kawy, chłopaki? - zapytała, a kiedy wszyscy piloci zostali obsłużeni skierowała się do Rawlsa.
- A pan doktorze?
Obydwaj z Sanfordem wzięli filiżanki i powoli sączyli je w milczeniu. Byli zaledwie w połowie kiedy Pierwszy Filozof Wheeler odstawił swój kubek i włączył autopilota. Następnie wszyscy piloci obrócili swoje fotele i uśmiechnąwszy się do gości zaczęli zakładać dokładnie dopasowane hełmy wzmacniacza. Sanford pochylił się w stronę Rawlsa i mruknął:
- Doktorze, przypominam, że aż do zakończenia skoku nie możemy rozmawiać.
Rawls przytaknął skinieniem głowy i zaczął się przyglądać poczynaniom załogi.
Wheeler sprawdził, czy wszyscy mają na głowach swoje hełmy i wreszcie polecił Hansenowi:
- W porządku Dicky, włącz wzmacniacz.
- Wzmacniacz włączony. 100 procent mocy. Wszystko OK.
- Szybkość cztery dwadzieścia, wysokość dwanaście, kurs dwa jeden zero, wszystko OK - wyrecytował Trzeci Filozof Pancho Valdez.
- Droga czysta - stwierdził Tony, Czwarty Filozof.
- Włączcie miotłę - polecił Wheeler, wyjaśniając Ra wisowi o co chodzi.
- Miotła, to rodzaj pola, które czyści statek z wszelkiej materii organicznej. Lepiej nie ciągać na Betelvane naszych mikrobów.
- Czyste jak kryształ Kapitanie - zameldował Tony. Wheeler potwierdził skinieniem głowy.
- Gotowi do przypomnienia? - zapytał i zaraz po otrzymaniu potwierdzenia zaczął włączać przyciski umieszczone na poręczy swojego fotela.
- Po pierwsze: „Istnienie przedmiotów zależy od umysłu. Przedmioty nie posiadają znaczenia poza wiedzą o nich, a te wiedze posiada umysł. Przedmioty nie mogą istnieć poza umysłem".
Rawls obserwował pilotów w czasie koncentracji nad tym stwierdzeniem.
- Gotowi do drugiego? - zapytał Wheeler pokasłując dla przeczyszczenia sobie gardła. - Po drugie: „Wyrażenia i relacje określają sie nawzajem logicznie. Ostateczna rzeczywistość jest


R. WOJTYŃSKI

systemem ocen. Prawda zdefiniowana jest w kategoriach relacji miedzy tymi ocenami w procesie tworzenia jednorodnej całości".
Rawls zauważył, że niebo na zewnątrz przybrało dziwny purpurowo-niebieski odcień. Wheeler wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i wytarł nią czoło. Potem spojrzał na resztę pilotów i głęboko westchnął.
- Gotowi na trzecie? - zapytał. - A wiec po trzecie: „Nazwa i przedmiot są wzajemnie zależne od siebie. Nazwa nie może istnieć bez przedmiotu i na odwrót. Pełna rzeczywistość jest jednością nazw i przedmiotów".
Na zewnątrz niebo zaczęło zmieniać barwę z czerwonej przez purpurową na czarną i znów na czerwoną. Chmury świeciły kolorem metalicznego złota. Wheeler ponownie wytarł sobie czoło chustką zanim polecił Drugiemu Filozofowi.
- W porządku Dicky, puść taśmę rozpuszczającą.
Wszyscy piloci na te słowa wyraźnie zesztywnieli. Na zewnątrz złote chmury zafalowały i wtopiły się w purpurę nieba, które wkrótce również zafalowało i zniknęło, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu - nawet czerni. Rawls poczuł szturchniecie w bok i dostrzegł Sanforda podającego mu małą kartkę.

„Taśmy rozpuszczające zawierają filozoficzny dowód znikania tej rzeczywistości, z której wyruszamy. Taśmy tworzące odtworzą naszą rzeczywistość w postaci statku znajdującego się w atmosferze planety Betelvan".

Wheeler pierwszy wrócił do siebie.
- Ktoś chce przerwy? - zapytał. - Pancho, jak z tobą?
Valdez potrząsnął przecząco głową i głęboko wciągnął powietrze.
- Skończymy najpierw z tym skokiem Kapitanie. Jestem OK.
- Na pewno? Mogę poprosić stewardessę o kawę.
- Nie trzeba. Jestem OK. - potworzył Valdez.
- Jak chcesz. Reszta też OK. To puszczamy taśmę Betelvany.
Hansen sięgnął ręką do przycisków w poręczy fotela, meldując:
- Betelvana w toku.
Piloci ponownie zesztywnieli. Na zewnątrz nicość ustąpiła miejsca błękitowi nieba z gęstymi obłokami chmur i dziwnymi latającymi gadami.
Piloci odetchnęli i rozluźnili się w swoich fotelach. Wheeler pierwszy usadowił się wygodniej.
- Już jesteśmy na miejscu, Doktorze Rawls. Kolejny udany skok powiedział z ulgą. -Jak parametry, Pancho?
Valdez przyglądał się przez chwile wskaźnikom nieprzytomnym wzrokiem.
- Na jajo kapitanie. Szybkość cztery dwadzieścia, wysokość dwanaście, kurs dwa jeden zero. Hajii Field za... czternaście minut.
Wheeler skinął głową w kierunku Czwartego Filozofa.
- Tony, przejmij konsole Pancha, kiedy tylko skończysz swoją robotę. Wygląda na zmęczonego.
- Dziękuje, Kapitanie - Valdez uśmiechnął się do Wheelera z wdzięcznością i zaraz zamknął oczy.
- Musimy jeszcze trochę ponosić te hełmy, ale możemy już rozmawiać - stwierdził Wheeler, zwracając się do Rawlsa.
- Dziękuje Kapitanie. To wszystko naprawdę robi wrażenie.
- Widzi pan doktorze - wtrącił się Sanford - rzeczywistość tej planety uległa drobnym modyfikacjom od czasu nagrywania tej taśmy. Piloci muszą utrzymać połączenie ze wzmacniaczem dla zaprogramowania aktualnej taśmy, jak również w celu uwzględnienia nas w tej rzeczywistości. Chodzi o taką maleńką asekuracje.
- Tak byłem przejęty tym lotem, że zupełnie nie miałem głowy do zastanawiania się nad zastosowaniem do tego logiki nie-Arystotelesowej. Sądzę, że powinienem uwzględnić również i te taśmy?
- To tylko próbka, doktorze. Myślę, że naprawdę zacznie pan swoją robotę na Ziemi, w naszym Centrum Badawczym. Ale jakie są pana pierwsze wrażenia?
- Widzi pan, Sanford. Pierwszym krokiem przy transformacji dowolnego systemu z logiki Arystotelesowej na nie-Arystotelesową jest określenie problemu identyczności. Wasze założenia lotu zakorzenione są w Arystotelesowym ujęciu identyczności. Umysł jest materią, materia jest umysłem. A jest A. Natomiast jednym z podstawowych aksjomatów logiki nie-Arystotelesowej jest stwierdzenie, że A prawie nigdy nie jest A.
Wheeler zaśmiał się słysząc ten wywód i obrócił się z fotelem w stronę Rawlsa.
- Hola, doktorze. Cóż może być bardziej oczywistego niż stwierdzenie, że A jest A.
Rawls wyjął z kieszeni pióro i napisał na kartce papieru to stwierdzenie, podając je Wheelerowi.
- Zgadza się pan z tym, Kapitanie? - zapytał.
- Oczywiście.
- Słowo „jest" w tym stwierdzeniu spełnia te samą funkcje, co symbol równości w matematyce. Stwierdzenie to oznacza, że oba znaki, pojęcia czy jak je nazwiemy, po obu stronach słowa „jest" są identyczne, czyli w każdym względzie równe sobie. Przy moim charakterze pisma jestem pewien, że obie litery są napisane trochę inaczej. Nawet ilości artramentu zużyte na napisanie każdej z nich muszą być inne. Mogą podać mnóstwo innych różnic.
Wheeler przyjrzał się kartce uważniej.
- Ależ to tylko kartka papieru opisująca, czy jak pan woli, symbolizująca koncepcje i to wyłącznie na poziomie koncepcyjnym. Stwierdzenie: „A jest A" stanowi tautologie.
- Owszem, ale jeżyk mówiony, czyli inaczej mówiąc symbole, są tylko mapą rzeczywistości. Jeżyk nie jest rzeczywistością. Mapa zaś nie jest terenem, który opisuje. Niech pan spróbuje znaleźć chociaż jedną identyczność w realnym świecie. Mógłby pan powiedzieć, że jabłko jest jabłkiem. Ale czy naprawdę jabłko numer jeden równa sie pod każdym względem jabłku numer dwa?
Wheeler przyglądał się kartce, kręcąc z powątpiewaniem głową.
Sandford dostrzegł nagle, że jedna ręka mu czernieje, a druga robi się gąbkowata.
- Wheeler, przestań o tym myśleć. Rozpuszczamy sie!
Wheeler rozejrzał się dokoła i dostrzegł, że struktury kabiny zaczynają się rozmazywać.
- Hansen! Puść na podwójnym taśmę Betelvany.
- Nie mogę, Kapitanie! Niech skonam! Chyba dostaliśmy Przeciążenia Heglowskiego.
Wheeler sam doskoczył do stanowiska Hansena.
- Co się stało? - zapytał zdezorientowany Rawls.
- Przeciążenie Heglowskie. Dotąd znałem je jedynie z teorii. Rzeczywistość prześlizguje się po nas. Normalnie wystarczy puścić jeszcze raz taśmę, ale tym razem...
- Nie rozumiem, co to takiego?
- Ontologiczny dowód... na istnienie istoty najwyższej...
Sanford zamilkł nagle, przypatrując się czemuś z rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.
- Wheeler! To Valdez! Modli sie! Zdejmij mu ten cholerny hełm.
Czwarty Filozof pierwszy doskoczył do Valdeza strącając mu z głowy hełm. Valdez złożył ręce do modlitwy.
- Boże! Rozpuszczamy się. Niebiański Ojcze, proszę przyjmij nas do siebie. Twe najmniej godne dzieci do twego...
- Zamknij sie! - krzyknął Wheeler.
- Co się stało? - zapytał wciąż jeszcze oszołomiony Valdez. Rawls wstał i podszedł do okna. Dokąd tylko mógł sięgnąć wzrokiem dostrzegał dywan gąbczastych obłoków. W oddali błyszczały refleksy strzelistych iglic. Jakaś istota, ubrana w zwiewną tunikę, przeleciała obok nich grając na harfie. Rawls spojrzał ponownie na Valdeza, którym potrząsał brutalnie wściekły Wheeler.
- Ty idioto! W jaki sposób przeszedłeś przez wszystkie testy?!
- Kapitanie. Nie myślałem o religii od czasów, kiedy byłem małym chłopcem. Po prostu... przestraszyłem się.
- Valdez - odezwał się spod drugiego okna Sanford. - Czy wierzysz w Piekło?
- Nie wiem Kapitanie - Valdez zamrugał z przerażenia oczyma. Nawet nie wiedziałem, że wierzyłem w Niebo. Czemu pan pyta?
- Tam na zewnątrz - powiedział Sanford odwracając się od okna stoi facet z długą brodą i wielką księgą, w której coś zapisuje i dokładnie sprawdza. Nie wygląda mi na zgrywusa.
Rawls przełknął przekleństwo, które cisnęło mu się na usta i spojrzał przez okno. Na pobliskiej chmurze bawiła się grupka aniołków,
- Cholera! - pomyślał. - Ciekawe dokąd wysyłają semantyków? Mam nadzieje, że nie zgubią mi bagaży w tym zamieszaniu.

Przełożył **T. Markowski**

PRZEŁĘCZ

(„Pieriewał”)

przełożył **Tadeusz Gosk**

Kirył Bułyczow

Kirył BUŁYCZOW to pseudonim radzieckiego uczonego - kandydata nauk historycznych Iwana Możejko. Z zawodu jest specjalistą w dziedzinie historii Dalekiego Wschodu, autorem wielu prac z dziedziny historii Birmy, z zamiłowania pisarzem fantastą.
Pierwsze utwory SF pióra Kiryła Bułyczowa ukazały się na łamach radzieckiej prasy w 1965 roku. W roku 1970 Bułyczow wydał pierwszą książkę SF „Poślednia ja wojna”. Dziś jest już szeroko znanym autorem kilkunastu książek, spośród których cztery: „Ludzie jak ludzie”, „Podróże Alicji”, „Żuraw w garści” i „Rycerze na rozdrożu” ukazały się w przekładzie polskim. Obok braci Strugackich Bułyczow jest zaliczany dzisiaj do najbardziej znanych radzieckich twórców SF. Książki jego autorstwa zostały przetłumaczone na wiele jeżyków i ukazały się miedzy innymi w RFN, Francji i USA. Od lat pisarza łączą bardzo serdeczne stosunki z naszym krajem. Odwiedzał go kilkakrotnie. Był gościem honorowym organizowanych przez OKMFiSF Międzynarodowych Seminariów Klubów i Miłośników SF „Orbity przyjaźni” w 1978 roku w Warszawie i w 1980 roku w Krakowie.

W domu było wilgotno, meszki wiły się wokół kaganka, który dawno już należało zgasić, ale matka naturalnie zapomniała... Na dworze padało, było szaro i mroczno. Oleg niedawno się obudził i teraz po prostu wylegiwał się na pryczy. W nocy stał na warcie i bardzo się zmęczył odpędzając szakale, które całym stadem pchały się do spichrza i o mało go przy tym nie zagryzły. W ciele czuł pustkę i powszedniość, chociaż spodziewał się raczej zdenerwowania, niepokoju, może strachu. Przecież to na dwoje babka wróżyła - wrócisz, czy nie wrócisz. Pięćdziesięcioprocentowa szansa. A pięćdziesiąt do kwadratu? Do sześcianu?... Powinny być jakieś wzory, tablice, bo tak, to człowiek wciąż od nowa wynajduje rower. A propos, ciągle zapominał zapytać Starego, co to jest rower. Paradoks. Rower jeszcze nie został wynaleziony, a Stary ciągle powtarza to zdanie, nie zastanawiając się nad jego sensem. Z kuchni dobiegł kaszel matki. Okazuje się, że jest w domu. A Oleg myślał, że poszła na grzyby.

- Dlaczego jesteś w domu? - zapytał.
- Obudziłeś się? Chcesz zupy? Właśnie podgrzałam.
- A kto poszedł na grzyby?
- Marianna z Dickiem.
- Nikt więcej?
- Może któryś z chłopaków.

Matka weszła do pokoju, rozpędziła dłonią meszki, zdmuchnęła kaganek.

Dom był przedzielony na pół i w drugiej połowie mieszkał Stary i bliźniaki Durowów. Przygarnął ich, kiedy starsi umarli. Bliźniaki ciągle chorowały - kiedy jeden wyzdrowiał, to drugi zaczynał - i gdyby nie ich conocne piski, Oleg nigdy w życiu nie zgodziłby się na wartowanie po ciemku.

- I po co ty tam idziesz? - powiedziała matka. - Przecież nie dojdziecie! Dobrze będzie, jeśli w ogóle sami stamtąd wrócicie!

Teraz matka się rozpłacze. Często ostatnio płacze. Prawie co noc. Olegowi wstyd się przyznać, iż żal mu matki, która rozpaczliwie tęskni za tym, co dla niego nie istnieje. Lamentuje na myśl o krajach, których nie można zobaczyć, o ludziach, których nigdy tu nie było. Matka siedzi przy stole i ręce, twarde i pokryte odciskami, położyła przed sobą. No płacz już, czemu nie płaczesz? A może teraz wyjmie fotografię? Jasne, przysunęła sobie pudełko, otwiera je. Wyjmuje zdjęcie.

Na fotografii jest ona i ojciec. Oleg tysiąc razy oglądał już to zdjęcie i próbował dopatrzeć się swego podobieństwa do ojca. Ojciec i matka są na tym zdjęciu bardzo młodzi, bardzo weseli i odświętni. Ojciec jest w mundurze, a matka w sukni bez rękawów, która nazywa się sarafan. Wtedy Olega jeszcze nie było na świecie. Dwadzieścia lat temu jeszcze go nie było, a piętnaście lat temu już był.

- Matko - powiedział Oleg. - Nie trzeba tak, daj spokój.
- Nie puszcze cie - powiedziała matka. - Nie puszcze cie i koniec. Po moim trupie.

Matko - powiedział Oleg i usiadł na pryczy. - Nie mówmy już o tym, dobrze? Wstał i poszedł do kuchni. W kuchni był Stary, który właśnie rozpalał ogień. Pomogę - powiedział Oleg. - Trzeba zagotować wodę? Tak - odparł Stary. - Dziękuje. Mam przecież lekcje. Przyjdź do mnie później.

Marianna nazbierała pełen worek grzybów. Poszczęściło się jej. Inna rzecz, że musiała iść daleko, aż do wąwozu. Z Olegiem nigdy by się nie zdecydowała zapuszczać tak daleko, ale przy Dicku czuła się bezpiecznie i spokojnie. Dlatego, że Dick czuł się spokojnie. Wszędzie. Nawet w lesie, chociaż bardziej lubił step. Był myśliwym, chociaż urodził się zanim powstała ich wioska.

Las był rzadki, poskręcany, drzewa w nim rosły niewiele ponad głowę człowieka i zaczynały odchylać wierzchołki na boki, jakby bały się wysunąć z masy sąsiadów. I słusznie. Zimowe wiatry natychmiast odłamią wystający wierzchołek. Z igieł kapało. Deszcz był zimny i Mariannie zmarzła ręka, w której niosła worek z grzybami, przełożyła go wiec do drugiej reki. Grzyby poruszyły się w worku, zaskrzypiały. Bolała dłoń. Skaleczyła ją sobie, kiedy wykopywała grzyby na skraju wąwozu. Dick od razu wyjął jej drzazgę, żeby nie było zatrucia. Nie wiadomo, co to była za igiełka. A Marianna łyknęła jeszcze trochę gorzkiej odtrutki z buteleczki, którą zawsze nosiła na szyi.

Koło białych, grubych i śliskich korzeni sosny Marianna zauważyła fioletową plamkę.

- Poczekaj, Dick - powiedziała. - Tam jest kwiatek jakiego jeszcze nie widziałam.

- Może obejdziesz się bez kwiatków? - zapytał Dick. - Czas do domu. Coś mi się tutaj nie podoba. Dick miał niezwykłego nosa, jeśli chodzi o rozmaite niebezpieczeństwa. Zawsze należało go słuchać.

- Chwileczkę - powiedziała Marianna i podbiegła do pnia.

Gąbczasta, miękka, błękitnawa kora sosny lekko pulsowała ssąc wodę, a korzenie podrygiwały, przesuwały się z miejsca na miejsce i wypuszczały nibynóżki, aby nie uronić nawet kropli deszczu. Miedzy nimi rósł kwiatek. Zwyczajny kwiatek, fiołek. Tylko o wiele ciemniejszy i większy od tych, które rosły koło wioski. I ze znacznie dłuższymi kolcami. Marianna gwałtownym ruchem wyszarpnęła fiołek z ziemi, żeby kwiatek nie zdążył zaczepić się korzeniem o sosnę i po chwili fiołek był już w worku z grzybami, które zaczęły się tak głośno roić, że dziewczyna aż się roześmiała. I dlatego nie od razu usłyszała krzyk Dicka:

- Padnij!

Jednak podświadomie zareagowała na ten krzyk, skoczyła do przodu, padła na ziemie, wtuliła się w ciepłe, pulsujące korzenie sosny. Ale zbyt późno. Twarz jej płonęła, jakby ją kto oblał wrzątkiem.

- Oczy! - krzyczał Dick. - Oczy ocalały?

Szarpnął Mariannę za ramiona, posadził, oderwał od korzeni jej zdrętwiałe z bólu palce.

- Nie otwieraj oczu! - rozkazał i szybko zaczął wyciągać z twarzy malutkie, cienkie igiełki. Powtarzał przy tym gniewnie: - Idiotko, przecież ciebie nie wolno puszczać do lasu! Trzeba słuchać, jak się do ciebie mówi. Boli, co?

- Boli.

Nieoczekiwanie rzucił się na nią i powalił na korzenie.

- Boli!

- Jeszcze jeden przeleciał - powiedział Dick wstając. - Potem zobaczysz. Rozbił się na moich plecach.

Następne dwie kule przeleciały o jakieś trzy metry od nich. Sprężyste, splecione z igiełkowatych nasion, ale lekkie jak powietrze, bo puste w środku, będą latać, dopóki nie uderzą przypadkiem w drzewo lub dopóki poryw wiatru nie rzuci ich na skałę. Milion tych baloniastych kul zginie na próżno, ale jedna znajdzie swojego niedźwiedzia, naszpikuje igiełkami ciepłe cielsko i wyrośnie nowymi pędami. Te kule są bardzo niebezpieczne i w sezonie ich dojrzewania trzeba w lesie zachowywać wielką ostrożność, żeby potem przez całe życie nie nosić śladów na twarzy.

- Dużo jest ranek? - zapytała cicho Marianna.

- Nie bój się, i tak będziesz ładna - powiedział Dick. - Teraz trzeba jak najszybciej wracać do domu, posmarować tłuszczem, bo inaczej opuchniesz.

- Tak, masz racje. - Marianna przesunęła dłonią po twarzy, Dick to zauważył i odtrącił rękę.

- Zwariowałaś? Zbierałaś grzyby, zerwałaś kwiatek. Chcesz zakazić ranki?

Grzyby tymczasem wygramoliły się z worka, rozpełzły się miedzy korzenie, a niektóre nawet zdążyły do połowy zagrzebać się w ziemi. Dick pomógł Mariannie je pozbierać. Fiołka nie znaleźli. Potem Dick oddał Mariannie worek, gdyż nie chciał mieć zajętych rąk. W lesie o życiu decydują sekundy, a wiec ręce myśliwego zawsze muszą być wolne.

- Spójrz - powiedziała Marianna biorąc worek. Jej chłodna, twarda dłoń z połamanymi paznokciami zatrzymała się przez moment na jego ręce. - Bardzo jestem oszpecona?

- Nie bądź śmieszna - powiedział Dick. - Wszyscy mają kropki na twarzy. Ja też. I co, jestem oszpecony? To tatuaż naszych czasów.

- Tatuaż?

- Zapomniałaś? Stary uczył nas na historii, że dzikie plemiona umyślnie się tak ozdabiały. W nagrodę. Nie potrafisz tego zrozumieć, bo zawsze gapiłaś się w okno.

- Ale to były dzikusy - powiedziała Marianna. - A mnie boli.

- My też jesteśmy dzikusami.

Dick już wysunął się do przodu i szedł nie odwracając głowy. Marianna jednak wiedziała, że chłopak wszystko słyszy. Ma słuch myśliwego. Marianna przeskoczyła przez szary pęd drapieżnej liany.

- Potem tak będzie swędziało, że nie potrafisz usnąć. Najważniejsze, żeby nie drapać, wtedy nie będzie żadnych śladów. Ale wszyscy rozdrapują.

- Ja nie będę - powiedziała Marianna.

- We śnie zapomnisz się i rozdrapiesz.

- Czujesz coś? - zapytała, spostrzegając, że Dick rusza szybszym krokiem.

- Tak - odpowiedział. - Zwierzęta. Pewnie szakale. Całe stado.

Zaczęli biec, ale w lesie trudno jest biec szybko. Ci, którzy biegną na oślep, stają się posiłkiem liany albo dębu. Grzyby wierciły się w worku, ale Marianna nie chciała ich wyrzucać. Już wkrótce będzie poręba, a potem wioska. Pt^ ogrodzeniu zawsze ktoś dyżuruje. Zobaczyła, że Dick wydobył zza pasa nóż i wygodniej uchwycił kusze. Ona również wyciągnęła nóż zza pasa, ale jej nóż był wąski i cienki, dobry do wycinania lian albo do wykopywania grzybów. Kiedy jednak dopędza człowieka stado szakali, wtedy nóż nic nie pomoże, lepiej uzbroić się w jakiś kij.

Oleg dojadł zupę i odstawił garnek z gęstym wysoko na półkę, żeby nie dobrały się do niego szczury. Uprzedzając pytanie matki, powiedział:

- Zaraz przyjdę.

Tymczasem wyszedł na ulice i popatrzył w jej koniec, w stronę bramy w ogrodzeniu, przy której stał Tomasz z kuszą w reku. W pozie Tomasza wyczuwało się napięcie. Niedobrze jest, pomyślał Oleg. Niedobrze, wiedziałem o tym. Dick zaprowadził ją gdzieś daleko i tam coś się stało. Dick nie zastanawia się nad tym, że Marianna jest zupełnie inna niż on, że jest jeszcze małą dziewczynką, którą trzeba się opiekować.

- Co się dzieje? - zapytał Tomasza.

- Wygląda na to, że szakale znów się włóczą. Całe stado - odpowiedział Tomasz nie odwracając głowy.

- Te same, co w nocy?

- Nie wiem. Dawniej szakale za dnia nie chodziły. A ty czekasz na Mariannę?

- Tak. Poszła z Dickiem na grzyby.

- Wiem, sam ich wypuszczałem. Ale nie denerwuj się. Z Dickiem nic się jej nie powinno przytrafić. To urodzony myśliwy.

Oleg skinął głową. W tych słowach kryła się obraza, chociaż Tomasz nie chciał obrazić Olega. Po prostu było tak, że z Dickiem można się było czuć bezpieczniej.

- Ja wszystko rozumiem - uśmiechnął się nagle Tomasz. Opuścił kusze i oparł się o słup ogrodzenia. To jednak jest kwestia priorytetu. W niewielkiej społeczności, powiedzmy w plemieniu podobnym do naszego, zdolności powiedzmy matematyczne są nieco mniej warte od umiejętności zabicia niedźwiedzia. Może to niesprawiedliwe, ale wytłumaczalne.

Tomasz uśmiechnął się bardzo sympatycznie, jego cienkie i długie wargi wyginały się tak, jakby nie mogły zmieścić się w twarzy. Twarz miał bardzo ciemną, pokrytą głębokimi zmarszczkami, a oczy jeszcze ciemniejsze niż twarz. I żółte białka. Tomasz miał chorą wątrobę i całkiem od tego wyłysiał. Poza tym miał słabe płuca i często kaszlał. Ale mimo wszystko Tomasz był bardzo wytrzymały i najlepiej znał drogę do przełęczy.

Tomasz podrzucił kusze do ramienia i nie celując wypuścił strzale. Oleg spojrzał dokąd z cienkim gwizdem pomknęła strzała. Szakal nie zdążył odskoczyć. Wypadł z zarośli jak gdyby krzaki dotychczas utrzymywały go w powietrzu, a teraz puściły. Zwalił się na trawę, drgnął i znieruchomiał.

- Mistrzowski strzał - powiedział Oleg.

- Dziękuje. Warto byłoby go zaraz stamtąd zabrać. Zanim wrony się nie zleciały.

- Przyniosę go - powiedział Oleg.

- Nie - odparł Tomasz. - On tam nie był sam. Lepiej poleć po swoją kusze. Kiedy dzieciaki będą wracać, będą musiały przedzierać się przez stado. Ile ich tam jest?

- W nocy naliczyłem sześć sztuk - powiedział Oleg.

Czarna paszczęka szakala była rozdziawiona, biała sierść sterczała wokół niej jak długie igły. Oleg odwrócił się i ruszył po kusze i w tym samym momencie zatrzymał go gwizd Tomasza. Głośny, słyszalny w każdym zakątku wioski. Wszyscy na pomoc! Biec z powrotem? Nie, lepiej po kusze! To nie zajmie na-

wet minuty.

- Co tam się stało? - zapytała matka stojąca w drzwiach. Odepchnął ją, zerwał ze ściany kusze, omal nie łamiąc haka. Gdzie są strzały? Pod stołem? A może bliźniaki je zwędziły?

- Strzały są za kuchnią - powiedziała matka. - Co się stało? Coś z Marianną?

Stary wybiegł z dzidą. Nie umiał strzelać z kuszy, a zresztą jak to robić jedną ręką? Oleg wyprzedził Starego i wyciągnął strzałę z kołczanu, chociaż w biegu nie powinno się tego robić. Cała dzieciarnia wioski pędziła w stronę ogrodzenia.

- Wracajcie! - krzyknął Oleg groźnym głosem, ale naturalnie nikt go nie usłuchał.

Obok Tomasza stał już Siergiejew z wielkim łukiem w rekach. Mężczyźni stali nieruchomo i wsłuchiwali się w odgłosy dobiegające z zarośli. Siergiejew uniósł rękę bez dwóch palców rozkazując w ten sposób tym, którzy dobiegali do bramy znieruchomieć.

I wtedy z szarej, równej ściany lasu dobiegł krzyk człowieka. Krzyk był daleki i krótki, a gdy zamilkł, nastąpiła głęboka cisza, gdyż nikt w wiosce nie odważył się teraz nawet głośniej odetchnąć. Zamilkły nawet niemowlęta w kołyskach. Oleg wyobraził sobie, nie, nawet zobaczył, jak tam, za ścianą deszczu i białawych pni, przyciśnięta plecami do ciepłej i palącej kory sosny stoi Marianna. A Dick, klęcząc na jednym kolanie, usiłuje ręką rozdartą zębami szakala ująć silniej dzidę...

- Stary! - krzyknął Tomasz. - Borys! Zostaniesz przy ogrodzeniu. Oleg, biegnij za nimi!

Przy lesie dopędziła ich ciocia Luiza ze swoim słynnym tasakiem, którym w tym roku odegnała niedźwiedzia. W drugiej ręce niosła płonącą głownie. Ciocia Luiza była wielką, grubą i straszliwą kobietą krótkie siwe kosmyki sterczały jej na wszystkie strony, a workowata peleryna nadęła się jak balon. Nawet drzewa lękliwie wciągały korzenie i skręcały liście, gdyż ciocia Luiza wyglądała jak Bogini Zemsty, jak zły duch, który zimą ryczy i wyje w Wąwozie. I kiedy ciocia Luiza potknęła się o drapieżną lianę ta, zamiast schwytać ofiarę swoimi mackami, odskoczyła w kierunku pnia i ukryła się za nim, jak tchórzliwa żmija.

- Tutaj! - krzyknęła Marianna. Głos jej rozległ się zupełnie blisko. Dziewczyna nawet nie krzyknęła, tylko zawołała, jak woła się kogoś z drugiego końca wioski. A potem, kiedy znów ruszyli biegiem, Oleg usłyszał głos Dicka, a właściwie ryk, przypominający ryk dzikiego zwierza, i wściekłe, głuche ujadanie szakala.

Marianna, zupełnie jak w widzeniu Olega, stała z plecami wciśniętymi w miękki biały pień starej grubej sosny, który zapadł się do środka, jakby ją chciał osłonić. Ale Dick nie klęczał. Dick opędzał się nożem od wielkiego siwego szakala, który wił się jak wąż, aby uniknąć ciosu, ale stale atakował. Jeszcze jeden szakal leżał opodal na ziemi ze strzałą w boku. I co najmniej pięć sztuk siedziało sobie dalej rządkiem, jak widzowie. Szakale mają taki dziwny zwyczaj. Nie napadają hurmem, tylko czekają. Jeśli pierwszy nie da sobie rady z ofiarą, wtedy do roboty bierze się następny. I robią to aż do skutku. Nie żałują siebie nawzajem. Po prostu tego nie rozumieją. Siergiejew, kiedy zrobił sekcje jednego szakala, nawet mózgu w nim nie znalazł.

Szakal, który wciąż usiłował wyrwać Dickowi nóż, nagle zwalił się na bok. Z długiej szyi sterczała mu strzała. Okazuje się, że Tomasz zdążył wystrzelić, kiedy Oleg przyglądał się scenie walki na polanie. W ciągu tej sekundy, kiedy Oleg patrzył i próbował zorientować się w sytuacji... A Dick, jakby tylko na to czekał, natychmiast obrócił się w stronę pozostałych szakali i rzucił się na nie z dzidą. Przy nim byli już Siergiejew i ciocia Luiza z tasakiem i głownią. I zanim szakale pojęły, że pora im uciekać, dwa z nich wyzionęły ducha, a pozostałe zwinęły się w pierścienie, płaskimi, łuskowatymi ogonami przykryły nagie ciemiona i potoczyły się w gąszcz. Nikt za nimi nie pobiegł.

W drodze do wioski Dicka zaczęła trząść febra, bo ukąszenie szakala nikomu jeszcze nie wychodziło na zdrowie. Wszyscy od razu poszli do domu Veitkusa. Veitkus był chory i leżał, a jego żona Aggie wydobyła z apteczki - skrzynki stojącej w rogu pokoju - okłady przeciwbólowe i nalewkę przeciwko jadowi szakala, potem przemyła Dickowi ranę i kazała mu położyć się spać. Marianna chciała go odprowadzić, ale Dick jej na to nie pozwolił. Za godzinę lub dwie gorączka spadnie, a Dick nie lubił, żeby go ktoś oglądał, kiedy jest obolały lub chory.

Aggie postawiła na stole miskę z cukrem pędzonym z kłączy bagiennej osoki. Tylko ona i Marianna wiedziały, jak odróżnić słodką osokę od zwyczajnej. No i malcy, którzy potrafią wyczuć, która trawa jest słodka, a której nie wolno nawet dotknąć. Potem Aggie nalała do kubków wrzątku i każdy sam nabierał sobie łyżką gesty i szary syrop... U Veitkusów obywa się bez ceremonii. Do nich wszyscy lubią chodzić.

- To nic groźnego? - zapytał Tomasz gospodynie, jakby już trzy razy nie pytał o to samo.

- Na nim wszystko goi się jak na psie - odpowiedziała Aggie.

- A jednak masz wątpliwości? - zapytał Siergiejew Tomasza.

- Nie mam żadnych - odparł Tomasz. - Bo nie mamy innego wyjścia. Proponujesz czekać jeszcze trzy lata? Do tego czasu wszyscy wymrzemy z wycieńczenia i biedy.

- Nie wymrzemy - odezwał się z pryczy Veitkus. Broda i szopa włosów na głowie zasłaniały całą twarz. Widać było jedynie czerwony nos i jasne plamy oczu. Nie wiadomo skąd wydobywał się cienki, piskliwy głos. - Po prostu ostatecznie zdziczejemy.

Oleg już nieraz słyszał takie rozmowy. Teraz to już przecież pusta gadanina. Postanowił pójść do spichlerza, gdzie Stary z uczniami ściągał skóry z zabitych szakali, i porozmawiać ze Starym. Po prostu pogadać. Potem jednak spojrzał na miskę z syropem i zaczerpnął niepełną łyżkę. Wprawdzie swoją cześć zjadł w domu z matką już w zaprzeszłym tygodniu, ale tutaj też nie przyszedł się obżerać.

- Wyobraź sobie, że wyprawa zakończy się tragicznie - powiedział Siergiejew.

- Nie mam na to ochoty, skoro mam w niej uczestniczyć - odparł Tomasz. Veitkus się roześmiał, zabulgotał środkiem brody.

- Chłopcy, Dick i Oleg, to nadzieja naszego osiedla, jego przyszłość. Ty zaś jesteś jednym z czterech ostatnich mężczyzn.

- Dodajcie do tego rachunku mnie - powiedziała basem Luiza i zaczęła hałaśliwie dmuchać w kubek, żeby ostudzić wodę..

- Nie przekonasz mnie - powiedział Tomasz. - Ale jeśli tak bardzo się boisz, zostawmy Mariannę na miejscu.

- To prawda, że lękam się o córkę. Ale teraz rozmawiamy o sprawach bardziej zasadniczych.

- Pójdę namoczyć grzyby - powiedziała Marianna i zwinnie wstała z miejsca.

- Skóra i kości - powiedziała ciocia Luiza patrząc na nią. - Dosłownie skóra i kości.

- Przechodząc obok ojca, Marianna musnęła jego ramie koniuszkami palców. Siergiejew uniósł trójpalczastą dłoń, aby pogładzić rękę córki, ale Marianna wyśliznęła się i ruszyła ku drzwiom.

- Dziękuje za poczęstunek - powiedziała ciocia Luiza.

- Zupełnie nie rozumiem, jak ci się udało utyć - rzucił Tomasz, patrząc jak ogromne ciało ciotki Luizy toczy się ku drzwiom.

- Nie utyłam, tylko spuchłam - odparła Luiza nie odwracając głowy. W drzwiach zatrzymała się i powiedziała do Olega. - Przez to całe zamieszanie zapomniałeś wpaść do Krystyny. Czekają tam na ciebie. To nieładnie.

Jasne, że nieładnie! Powinien zajrzeć tam już godzinę temu. Oleg poderwał się z miejsca.

- Już idę.

- No dobra, ja tylko tak, dla dyscypliny - mruknęła ciotka Luiza. - Sama tam zajrzę. Nakarmię swoje sieroty i wpadnę.

- Nie trzeba.

Oleg wyskoczył na ulicę tuż za ciocią Luizą. Poszli razem. Nie musieli iść daleko. Całą wioskę można obiec w ciągu dwóch minut. Naokoło, wzdłuż ogrodzenia. Dom Krystyny był przedostatni. Za nim stał tylko dom Dicka. Ciocia Luiza mieszkała naprzeciwko.

- Nie boisz się iść na wyprawę? - zapytała ciocia Luiza.

- Trzeba - powiedział Oleg.

- Odpowiedź godna męża. - Ciocia Luiza uśmiechnęła się nie wiedzieć czemu.

- A Siergiejew Marianny nie puści? - zapytał Oleg.

- Pójdzie twoja Marianna, pójdzie.

- Nic się nam nie stanie - powiedział Oleg. - Czworo ludzi. Wszyscy uzbrojeni. Nie pierwszy raz w lesie.

- W lesie rzeczywiście nie pierwszy raz -- zgodziła się Luiza. - Ale w górach jest zupełnie inaczej. Zatrzymali się miedzy do-

mami Krystyny i Luizy. Drzwi u Luizy był uchylone. W szparze błyszczały

oczy - Kazik, przybrany syn, czekał na ciocie.

- W górach jest strasznie - powiedziała Luiza. - Zapamiętałam na całe życie, jak wędrowaliśmy przez góry. Ludzie zamarzali dosłownie w oczach. Prawie co rano nie mogliśmy kogoś dobudzić...

- Teraz mamy lato - powiedział Oleg. - Nie ma śniegu.

- To tylko legenda i pobożne życzenia. W górach śnieg leży zawsze.

- Jeśli nie będzie można przejść, to wrócimy.

- Wracajcie. Lepiej wracajcie.

Luiza skręciła do swoich drzwi. Kazik zapiszczał z radości. Oleg pchnął drzwi domu Krystyny.

U Krystyny było duszno, cuchnęło czymś kwaśnym, pleśń pokryła już całe ściany niczym tapetą i chociaż była jaskrawa, żółta i pomarańczowa, w pokoju nie było przez to jaśniej. I kaganek się nie palił.

- Cześć - powiedział Oleg, przytrzymując drzwi, żeby zorientować się, co dzieje się w ciemnym pokoju. - Nie śpicie?

- Och - powiedziała Krystyna. - Przyszedłeś jednak, a już myślałam, że nie przyjdziesz. Sądziłam, że zapomnisz. Jeśli wybieracie się w góry, to po co macie o mnie pamiętać.

- Oleg, nie słuchaj jej - powiedziała cicho, bardzo cicho, niemal szeptem Liz. - Ona warczy. Na mnie też warczy. Od rana do nocy. Mam tego dość.

Oleg wymacał stół, przesunął po nim rękoma, żeby znaleźć kaganek, wyjął z torebki przy pasie hubkę i krzesiwo.

- Czemu siedzicie bez światła? - zapytał.

- Olej w kaganku się skończył - powiedziała Liz.

- A gdzie jest butelka?

- Nie mamy oleju - powiedziała Krystyna. - Komu potrzebne są dwie bezradne kobiety? Kto przyniesie nam trochę oleju?

- Olej jest na półce, po twojej prawej ręce - powiedziała Liz. - Kiedy wyruszacie?

- Po obiedzie - odparł Oleg.

Odszukał na półce butelkę z olejem, nalał do kaganka i zapalił go. Od razu zrobiło się widno. Światło padło na szeroką prycze, na której pod skórami leżały obok siebie Krystyna i Liza.

- Oleju starczy wam jeszcze na tydzień - powiedział Oleg. - Potem Stary przyniesie. Nie oszczędzajcie, bo nie ma sensu siedzieć po ciemku.

- Szkoda, że zachorowałam - odezwała się cicho Liz. - Chciałam iść z tobą. Następnym razem pójdziesz.

- Za trzy lata?

- Za rok.

- Za tutejszy rok, to znaczy za trzy lata. A ja mam słabe płuca.

- Do zimy jeszcze daleko, wyzdrowiejesz.

Oleg rozumiał, że mówi zupełnie co innego niż to, czego spodziewała się ta dziewczyna o białej, szerokiej twarzy. Kiedy mówiła o przełęczy, o wyprawie, myślała tylko o tym, żeby Oleg zawsze był przy niej, bo jest zupełnie sama na świecie, bo się tego świata bardzo boi... Dlatego Oleg starał się być dla niej uprzejmy, co nie zawsze mu się udawało, gdyż Liz była irytująca; jej oczy zawsze o coś prosiły, a ona sama chciała być z Olegiem sam na sam, żeby się całować.

Krystyna wstała z pryczy, wzięła laskę i podeszła do płyty kuchennej. Wszystko umiała zrobić sama, ale wolała, żeby robiły to za nią sąsiadki.

- Oszaleć można - mamrotała. - Ja, wybitna uczona, kobieta słynąca niegdyś z urody, musze mieszkać w tym chlewie porzucona przez wszystkich, skrzywdzona przez los...

- Oleg - powiedziała Liz, unosząc się na łokciu i odsłaniając przy tym dużą białą pierś. - Oleg, nie idź z nimi. Nie wrócisz. Wiem, że nie wrócisz. Mam przeczucie...

- Może przynieść wody? - zapytał Oleg, opuszczając oczy.

- Jest woda - powiedziała Liz. - Nie chcesz mnie usłuchać. Posłuchaj chociaż raz w życiu!

- Pójdę już.

- Idź - szepnęła Liz.

Stary był w kuchni. Mył się nad miską. - Ładne sztuki upolowaliście - powiedział. Tylko futro mają nie najlepsze, letnie.

- To Dick i Siergiejew.

- Jesteś zły? Byłeś u Krystyny?

- Tak, wszystko jest w porządku Trzeba będzie później zanieść im trochę oleju. Kartofle też im się kończą.

- Nie martw się. Chodź do mnie, porozmawiamy na ostatek.

- Może u nas?

- U mnie jest teraz spokojnie, bliźniaki bawią się na dworze.

- Tylko niedługo! - krzyknęła matka zza przepierzenia.

Stary uśmiechnął się. Oleg zdjął z wieszaka ręcznik i podał mu, żeby wytarł sobie rękę. Prawą rękę Stary stracił piętnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy próbowali przedostać się na przełęcz.

- Najbardziej lękam się puścić ciebie - powiedział starzec siadając naprzeciw niego na miejscu nauczyciela. - Myślałem, że za parę lat zastąpisz mnie. I że zamiast mnie będziesz uczył dzieci. A jednocześnie nalegałem, żeby zabrali cie na przełęcz. To chyba jest ważniejsze dla ciebie niż dla Dicka albo Marianny. Będziesz tam moimi oczami i rekami.

Stary uniósł swoją rękę i przyjrzał się jej z takim zaciekawieniem, jakby nigdy jej nie widział. I zamyślił się. Oleg milczał. Stary często tak milkł nagle na minutę lub dwie. Trzeba się było do tego przyzwyczaić. Każdy ma swoje słabości. Płomyk kaganka odbijał się w wypolerowanym, jak zawsze czystym mikroskopie, w którym brakowało najważniejszego szkła. Siergiejew od dawna męczył Starego, powtarzał mu, że pusta rurka jest zbyt cenna, aby trzymać ją na półce jako ozdobę. „Daj mi ją do warsztatu - mówił - to zrobię z niej dwa wspaniałe noże”. Ale Stary się nie zgadzał.

- Przepraszam - powiedział starzec. Zamrugał poczciwymi szarymi oczami, pogładził schludnie przystrzyżoną białą bródkę... - Rozmyślałem. Wiesz o czym? O tym samym, co i przedtem, o tym, że w historii Ziemi zdarzały się już wypadki, kiedy wskutek różnych nieszczęśliwych zbiegów okoliczności niewielka grupa ludzi zostawała odcięta od cywilizacji. I tutaj wkraczamy w dziedzinę analizy jakościowej...

Starzec znów zamilkł i bezdźwięcznie poruszał ustami. Zagłębił się w swoje myśli. Oleg przywykł do tego. Lubił nawet siedzieć obok starca i po prostu milczeć, po prostu siedzieć, bo wydawało mu się, iż Starzec ma w sobie tak wiele wiedzy, że przesyca nią całe powietrze, którym oddycha.

- Do degradacji pojedynczego człowieka wystarczy kilka lat, pod warunkiem, że jest białą kartą. Wiadomo, że dzieci, które w niemowlęctwie trafiały do wilków lub tygrysów, a takie wypadki zanotowano w Indiach i w Afryce, po kilku latach beznadziejnie opóźniały się w stosunku do swoich rówieśników. Stawały się debilami. Debil, to jest...

- Pamiętam to słowo.

- Przepraszam. Nie udawało się przywrócić im człowieczeństwa. Nawet chodziły wyłącznie na czworakach.

- A gdyby to był do/osły?

- Dorosłego wilki nie przyjmą.

- A na bezludnej wyspie?

- Jest wiele wariantów, ale w każdym z nich człowiek nieuchronnie się degeneruje. Stopień degradacji...

Starzec uniósł pytająco oczy, a Oleg skinął głową. Wiedział, co to jest degradacja.

- Stopień degradacji zależy od poziomu, jaki człowiek osiągnął do momentu izolacji, i od jego charakteru. Nie możemy jednak dokonać eksperymentu historycznego na pojedynczym ukształtowanym osobniku. Mówimy zatem o społeczności, socium, grupie. Zastanawiamy się, czy grupa ludzi może utrzymać się na poziomie kultury, na jakim znajdowała się w chwili odizolowania.

- Może - powiedział Oleg. - To my.

- Nie może - zaoponował starzec. Niemowlęciu do ostatecznej degradacji wystarczy jednak pięć lat, grupie, jeśli nawet nie wymrze, trzeba na to dwóch lub trzech pokoleń. Plemieniu - kilku pokoleń - a narodowi zaś może nawet paru wieków. Ale ten proces jest nieuchronny i nieodwracalny. Dowodzi tego historia. Weźmy chociażby australijskich aborygenów...

Weszła matka Olega. Była uczesana i miała na sobie świeżo upraną spódnice.

- Posiedzę z wami - powiedziała.

- Posiedź, Ireno, posiedź - powiedział starzec. - Rozmawiamy właśnie o postępie, a właściwie regresie społecznym.

- Już o tym słyszałam - powiedziała matka. - Zastanawiasz się,

jak prędko zaczniemy chodzić na czworakach? Odpowiem ci, że jeszcze wcześniej wszyscy wyzdychamy. No i dzięki Bogu. Już mi to zbrzydło.

- A jemu nie zbrzydło?! - wykrzyknął starzec. - Moim bliźniakom też?

- Przecież tylko dla niego żyje, a wy go posyłacie na pewną śmierć.

- Jeśli przyjąć twój punkt widzenia - odparł Stary - to tutaj każdy dzień grozi śmiercią. Tutaj las, to śmierć; zima, huragan, powódź, ukąszenie trzmiela - to również śmierć. I nikt nie wie, skąd ta śmierć wypełznie i jaką przybierze postać.

- Wypełza, kiedy chce i zabiera każdego, kogo tylko zapragnie - powiedziała matka. - Jednego za drugim.

- Jest nas teraz więcej niż było pięć lat temu. Najważniejszym problemem nie jest przetrwanie fizyczne, tylko moralne.

- Jest nas mniej, coraz mniej! Rozumiesz, prawie nikt z nas nie został! Co te szczeniaki mogą bez nas zrobić?

- Skończmy już z tym, Borys, dobrze?

- Nasz ratunek nie polega na wtapianiu się w przyrodę, na adaptacji do niej - powiedział starzec z niezachwianą pewnością. Tym razem zwracał się do Olega. - Potrzebujemy zastrzyku ludzkiej kultury, potrzebujemy pomocy ze strony reszty ludzkości. Pomocy w dowolnej formie. Dlatego właśnie nalegam, żebyś poszedł na przełęcz. My jeszcze pamiętamy. I naszym obowiązkiem jest przekazać te pamięć wam.

- Przelewanie z pustego w próżne - powiedziała matka zmęczonym głosem. - Zagrzać wody?

- Zagrzej - powiedział Stary. - Napijemy się wrzątku. Grozi nam zapominanie. Już teraz nosicieli choćby drobin ludzkiej mądrości, cywilizacji, wiedzy jest coraz mniej. Jedni giną, umierają, inni zaś są zbytnio pochłonięci walką o egzystencje... I oto przychodzi nowe pokolenie. Ty i Marianna nie jesteście jeszcze tak wyraźnie na nowy sposób ukształtowani, stanowicie etap przejściowy. Jesteście jakby ogniwem łączącym nas z naszą przyszłością. Potrafisz sobie wyobrazić jaka ona będzie?

- My nie boimy się lasu - powiedział Oleg. - Znamy grzyby i drzewa, możemy polować na stepie...

- Lękam się przyszłości, w której panuje nowy typ człowieka: Dick-myśliwy. On dla mnie jest symbolem ucieczki, symbolem porażki człowieka w walce z przyrodą.

- Richard to dobry chłopak. Może tylko trochę dzikusowaty - odezwała się matka z kuchni. - Niełatwo mu żyć samemu.

- Dick już czuje się tubylcem, panem lasu. Przestał chodzić do mnie pięć lat temu. Nie jestem wcale pewien, czy pamięta jeszcze abecadło.

- A po co mu ono? - zapytała matka. - Książek i tak nie ma. Nie ma też do kogo pisać listów.

- Dick zna wiele pieśni - wtrącił Oleg. - l sam je układa...

- Nie chodzi o pieśni. Pieśni, to zaranie cywilizacji. A dla malców Dick jest bożyszczem. „Dick-myśliwy"! Dla was zaś, głupie baby, wzorem wszelkich cnót. Dla dziewcząt - rycerzem.

- Widzę, że cieszy cie świat Dicków, dzikusów?! - Stary był wściekły. Rąbnął nawet pięścią w stół. Świat sytych bystronogich dzikusów!

- A co możesz zaproponować w zamian?

Jego - starzec położył ciężką dłoń na głowie Olega. - Świat Olega, to jest mój świat, twój świat, który usiłujesz odrzucić, chociaż inny ci nie jest dany.

- Nie zgadzam się z tobą, Borys - powiedziała matka. - Najważniejszą rzeczą dla nas jest przeżyć. Mówię w tej chwili nie konkretnie o sobie, tylko o wiosce. O dzieciakach. Kiedy patrzę na Dicka lub na Mariannę, to zaczynam mieć nadzieje. Ty ich nazywasz dzikusami, a ja sądzę, że oni zdołali się przystosować. I jeśli oni teraz zginą - zginiemy wszyscy. To zbyt wielkie ryzyko.

- To znaczy, że ja się nie przystosowałem? - zapytał Oleg.

- Jesteś najmniej przystosowany ze wszystkich.

- Większe szanse przeżycia będzie miało osiedle takich, jak Oleg - zaoponował Stary. -Jeśli naszym plemieniem będzie rządził Dick i jemu podobni, to za sto lat nikt nawet nie wspomni, kim jesteśmy, skąd przyszliśmy i po co żyjemy. Zatriumfuje prawo silniejszego, prawo pierwotnej zgrai.

- I będą płodzić się i rozmnażać - powiedziała matka. -1 staną się liczni jak piasek pustyni. I wynajdą koło, a po dalszym tysiącu lat maszynę parową - zakończyła ze śmiechem, który podobniejszy był do łkania. Pociągnęła nosem.

- Żartujesz? - zapytał Oleg.

- Irena mówi zupełnie poważnie - odpowiedział mu Stary. - Walka o najprymitywniejszą egzystencje doprowadzi do beznadziejnego regresu. Przeżyć za taką cenę, za cenę wtopienia" się w przyrodę, zaaprobowania jej praw, to znaczy skapitulować.

- I dlatego właśnie pędzisz Olega w góry?

- Dla zachowania wiedzy, dla nas wszystkich, w tym również dla ciebie. Dla walki z otępieniem, czyżbyś tego nie rozumiała?

- Zawsze byłeś egoistą - powiedziała matka.

- A twój macierzyński egoizm się nie liczy?

- Po co Oleg? Przecież on nie wytrzyma tego marszu, bo jest na to za słaby.

Tego matka nie powinna powiedzieć. Od razu to zrozumiała i popatrzyła na Olega błagając go wzrokiem, żeby się nie obrażał, żeby zrozumiał.

- Ja się nie obrażam, mamo - powiedział Oleg. - Wszystko rozumiem, ale chce iść. Chyba chce bardziej niż cała reszta... Dick najchętniej by został. Wiem o tym. Niedługo zaczną koczować jelenie. Najlepszy sezon na polowanie na stepie. Zostałby.

- On jest potrzebny na wyprawie - powiedział twardo starzec. Oburzam się wprawdzie na perspektywę jego władzy, ale dziś jego umiejętności, jego siła mogą nas uratować.

- Uratować! - matka oderwała wzrok od Olega. - Ciągle gadasz o ratunku. A sam w niego wierzysz? Ludzie trzy razy chodzili w góry, a ilu z nich wróciło? I z czym?

- Wówczas byliśmy jeszcze niedoświadczeni. Nie znaliśmy tutejszych praw. Szliśmy zimą, jesienią, kiedy na przełęczy leżał śnieg. A dzieciaki zdołają przejść...

- Gdyby tamci nie zginęli, znacznie lepiej by się nam żyło. Byłoby więcej karmicieli.

- Naturalnie, ale i tak znaleźlibyśmy się we władzy prawa degradacji. Albo jesteśmy cząstką ludzkości pielęgnującą ogólnoludzki dorobek, żądną wiedzy, albo też zamieniamy się w garstkę dzikusów bez perspektyw.

- Jesteś idealistą, Boria. Kawałek chleba jest dziś potrzebniejszy niż abstrakcyjny ananas.

- Ale przecież pamiętasz smak ananasa? - Stary obrócił się do Olega i dodał: - Ananas, to owoc tropikalny o specyficznym smaku.

- Zrozumiałem - powiedział Oleg. - Śmieszne słowo. Matko, zagrzej zupy. Niedługo ruszamy.

Papier - powtórzył Stary. - Przynajmniej dziesięć arkuszy. - Będziesz miał swój papier - powiedział Tomasz.

Ci, którzy mieli iść, zebrali się przy bramie ogrodzenia. Reszta przyszła ich odprowadzić. Wszyscy udawali, że wyprawa jest najzwyczajniej sza w świecie, jak na bagna po słodkie kłącza, a żegnali się, jakby się już nigdy nie mieli zobaczyć. Oleg takie przynajmniej odniósł wrażenie.

Ci, którzy szli, byli ciepło ubrani - odzienie dla nich zebrano w całej wiosce. Ciotka Luiza sama je wybierała, zwężała, dopasowywała. Oleg chyba nigdy dotąd nie był tak ciepło ubrany. Tylko Dick niczego nie wziął. On zawsze sam wszystko sobie szyje.

Matka trzymała Olega za rękę, a on nie odważał się wyrwać dłoni, chociaż wydawało mu się, że Dick, patrząc na niego, uśmiecha się ironicznie samymi oczami.

Matka chciała pójść z nimi do cmentarza, ale Siergiejew jej nie puścił. Nie puścił nikogo, oprócz Luizy i Starego.

Oleg kilka razy odwracał się do tyłu. Matka stała z nieruchomo uniesioną ręką, jakby chciała pomachać nią na pożegnanie i zapomniała. Starała się nie płakać.

Nad ogrodzeniem widać było głowy dorosłych. Matki, Aggie, Siergiejewa, Veitkusa... A przez ciernie, bliżej ziemi, ciemniały postacie dzieciarni. Króciutki szereg ludzi, a za nim spadziste, błyszczące w deszczu różowe dachy garstki domów.

Na wzgórzu Oleg obejrzał się po raz ostatni. Wszyscy nadal stali przy ogrodzeniu, tylko paru malców odbiegło na bok i zaczęło taplać się w kałuży. Z góry widać było ulicę, dróżkę miedzy szałasami. I drzwi domu Krystyny. W drzwiach stała jakaś kobieta. Z daleka nie było widać, czy to Krystyna, czy Liz. A potem wierzchołek wzgórza zasłonił wioskę.

Cmentarz również był otoczony kolczastym ogrodzeniem. Dick, zanim otworzył furtkę, zajrzał do środka, żeby sprawdzić,

czy jakieś zwierzę nie urządziło sobie tam kryjówki. To było całkiem możliwe. Oleg pomyślał, że sam na pewno zapomniałby to zrobić.

Dziwne, pomyślał, że grobów przywalonych płytami miękkiego łupka, wyłamanymi z pobliskich skał, jest znacznie więcej niż ludzi w wiosce, chociaż osiedle liczy sobie dopiero szesnaście lat. Ojca tam nie było, bo został za przełęczą. Dick przystanął przed dwoma identycznymi płytami, ociosanymi znacznie staranniej niż pozostałe. To były groby jego rodziców. Zerwał się wiatr, zimny i uporczywy. Stary wolno przechodził od grobu do grobu. Znał ich wszystkich. Ilu ich było szesnaście lat temu? Zdaje się, że trzydziestu sześciu dorosłych i czworo dzieci. A zostało?... Dziesięcioro dorosłych i troje dzieci z tych, które przyszły. Troje. Dick, Liz i on, Oleg. Marianna urodziła się już tu. I jeszcze dwanaścioro dzieci spośród tych, które urodziły się w wiosce żywe. To znaczy, że siedemnaście lat temu było tu czterdziestu ludzi, a teraz dwudziestka z kawałkiem. Prosty rachunek. Nie, wcale nie prosty. Grobów jest o wiele więcej, leżą w nich dzieciaki, które umarły lub zginęły. Tutejsze, wioskowe. Pewnie można sporządzić wykres, pomyślał Oleg. Kto przeżywa, dlaczego ludzie umierają...

Nad uchem, jakby podsłuchała jego myśli, odezwała się ciocia Luiza:

- Większość umarła przed piątym rokiem życia.

- Naturalnie - zgodził się Stary. - Płaciliśmy za doświadczenie.

- Prawdziwy cud, że wszyscy nie wymarli już w pierwszym roku - powiedział Tomasz. - Pamiętasz?

- Pamiętam - odpowiedział Stary.

O jakieś trzydzieści kroków za ogrodzeniem, gdzie zaczynała się płożąca, podstępna, lepka kosówka, zatrzymali się. Luiza wszystkich ucałowała. Stary uścisnął im ręce. Na ostatku pożegnał się z Olegiem.

- Bardzo na ciebie liczę - powiedział. - Bardziej niż na Tomasza. Tomasz troszczy się o dobro wioski, o jej dzień dzisiejszy. Ty powinieneś myśleć o przyszłości. Rozumiesz mnie?

- Dobrze - odparł Oleg. - A ty, nauczycielu, opiekuj się mamą. Żeby za bardzo się nie martwiła.

Przyniosę mikroskop.

- Dziękuje. Wracajcie jak najszybciej.

O zmroku, jak Tomasz się spodziewał, dotarli do skał. Las nie dochodził do skał, ich purpurowe zęby sterczały z nagiej, pokrytej plamami porostów doliny, a strzępy chmur przelatywały tak nisko, że kamienne zębiska rozpruwały im brzuchy i znikały w szarym tumanie. Tomasz powiedział, że jaskinia, w której nocował poprzednim razem, jest sucha i łatwo do niej dotrzeć. Po pięciu godzinach szybkiego marszu wszyscy, oprócz Dicka, byli bardzo zmęczeni. A Dick, jeśli nawet się zmęczył, nie uskarżał się, tylko szczerzył zęby.

- Wtedy było znacznie zimniej - powiedział Tomasz. - Uznaliśmy wówczas, że w mróz łatwiej będzie przedostać się przez bagno. A przełęcz była zamknięta. Pamiętam, że jak tedy szliśmy, to pod nogami dzwoniło. Przymrozki.

Miedzy wędrowcami a skałami leżała okrągła biaława plama o średnicy jakichś dwudziestu metrów.

- To tutaj dzwoniło? - zapytał Dick, który szedł przodem. Zatrzymał się gwałtownie na skraju plamy. Jej powierzchnia lekko połyskiwała, jak kora sosny.

- Tak. - Tomasz stanął obok Dicka. Oleg został w tyle. Godzinę temu wziął od Marianny worek, żeby się nie przemęczyła. Marianna nie chciała mu go dać, Dick tylko wyszczerzył zęby, a Tomasz powiedział:

- Słusznie. Jutro ja ci pomogę, a potem Dick.

- Po co pomagać? - powiedział Dick. - W nocy rozdzielimy miedzy sobą połowę jej worka. Jej będzie lżej, a my też nie zauważymy różnicy. Wcześniej trzeba było o tym pomyśleć. Dwa miesiące się przygotowywali, a nie pomyśleli.

- Ciekawe, kto niby miał myśleć? Z ciebie taki sam myśliciel, jak z reszty, pomyślał Oleg. A nieść trzeba było niemało. Chociaż Dick mówił, że nie ma sensu ciągnąć ze sobą jedzenia, bo on zawsze coś po drodze upoluje, to jednak wzięli wędzone mięso, suszone kłącza i grzyby. Najwięcej jednak ważyło drewno, bez którego ani wody się nie zagotuje, ani zwierza nie odpędzi.

- Wiesz, do czego to jest podobne? - powiedziała Marianna, dopędzając mężczyzn. - Do wierzchołka grzyba. Ogromnego grzyba.

- Możliwe - powiedział Dick. - Lepiej go obejdźmy.

- Po co? - zaoponował Oleg. - Na piargi trzeba się będzie wdrapywać.

- Spróbuje, dobrze? - powiedziała Marianna przyklękając i wyciągając zza paska nożyk.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Tomasz.

- Odetnę kawałeczek i powącham. Jeśli ten grzyb jest jadalny, to można by nim nakarmić całą wioskę.

- Nie warto go ciąć - powiedział Dick. - Nie podoba mi się twój grzyb, jeśli to w ogóle jest grzyb.

Ale Marianna już wbiła nożyk w krawędź plamy. Odciąć jednak nic nie zdążyła - ledwie zdążyła wyrwać nóż. Biaława plama nagle wzdęła się, zadygotała i runęła wysoką falą w jej stronę. Dick gwałtownie pociągnął dziewczynę na siebie i potoczył się z nią do tyłu. Tomasz również odskoczył i uniósł kusze. Dick, siedząc na kamieniach, roześmiał się na całe gardło.

- Żeby go zabić, potrzebna jest strzała wielkości domu. Albo i większa!

- Przecież mówiłam, że to grzyb powiedziała Marianna. - Niepotrzebnie się wystraszyłeś. - On pachnie jak grzyb.

Drgawki wstrząsały białą plamą. Fale rodziły się w jej środku i toczyły ku krawędziom, jak kręgi na wodzie od wrzuconego do niej kamienia. Środek grzyba wciąż się unosił i unosił, jakby ktoś, bijąc głową, usiłował wyrwać się na zewnątrz. Potem od środka rozbiegły się ciemne pęknięcia, które rozszerzały się tak długo, aż cała powierzchnia grzyba rozpadła się na ogromne spiczaste płatki. Płatki zaczęły się unosić i odchylać do góry i wreszcie utworzyły kielich gigantycznego kwiatu.

- To jest piękne - powiedziała Marianna. - To jest po prostu piękne, prawda?

- A ty chciałeś po nim spacerować - powiedział Dick do Olega. Powiedział to tonem starszego, chociaż byli rówieśnikami. Obaj mieli po dwa lata, kiedy ich nieśli przez przełęcz.

Obeszli grzyb po piargu. Oleg z góry usiłował zajrzeć do wnętrza kwiatu, ale było tam ciemno i pusto. Płatki stopniowo się zamykały i gigantyczny grzyb zaczynał się uspokajać.

- Jak go nazwiemy? - zapytała Marianna.

- Muchomor - powiedział Tomasz.

- Muchomor to grzyb?

- Oczywiście - odparł Tomasz. - Duży i trujący. Z czerwonym kapeluszem upstrzonym białymi plamkami.

- Nie bardzo podobny - zauważył Dick.

- Ale ładnie brzmi - ucięła Marianna.

Od dawna się już tak utarło, że nazwy nieznanym rzeczom nadawał Tomasz. Były to nazwy stare, nie zawsze zupełnie odpowiednie, ale po co wymyślać nowe? Żeby tylko była jakaś podobna cecha. Grzyby rosną w ziemi i można je suszyć, a zatem pomarańczowe lub niebieskie kule, które zakopują się w ziemi, ale które można suszyć i jeść, gotować i smażyć, jeśli się je uprzednio porządnie wymoczy, nazwano grzybami. Szakale chodzą stadami, żywią się padliną, są tchórzliwe i żarłoczne. I nieważne, że tu szakale to gady. Niedźwiedź jest wielki i ma długą, kosmatą sierść, chociaż ta jego sierść - to cienkie pędy rośliny rozmnażającej się przez rozsiewanie jadowitych igiełek, źdźbła przypominające zielonkawe włosy.

Oleg zasapał się, wdrapując się po piarżysku. Kamienie usuwały mu się spod nóg, worek Marianny ciążył mu w reku, własny przytłaczał ramiona. Oleg liczył kroki i zastanawiał się gdzie jest ta diabelna jaskinia. Powietrze zaczynało już niebieszczec, dzień i tak był pochmurny, a teraz wszystko zaczynało się rozpływać w szarawej mgle unoszącej się nad ziemią. Już najwyższy czas znaleźć kryjówkę, bo nawet Dick nocą nie odważy się pójść do lasu albo w step. W ciemnościach wychodzą na żer zwierzęta nocne.

Dobrze, że jaskini nikt nie zajął. Przecież mógł w niej kryć się niedźwiedź albo coś jeszcze gorszego, któraś z tych nocnych bestii krążących jak zjawy wokół ogrodzenia. Czasami te zwierzęta próbowały nawet przerwać kolczaste zasieki, ciągnąc do ludzkich siedzib, a zarazem ich się bojąc. Kiedyś, chyba ze trzy lata temu, Marianna przyniosła z lasu koźlątko, malutkie jeszcze, sięgające jej do pasa. Kozioł miał przenikliwy głos i darł się jeszcze gorzej niż bliźniaki. Zielona, włochata trawa zwisała

do ziemi, zwierzak tupał opancerzonymi nogami i wrzeszczał wniebogłosy.

- Beczy - powiedział wówczas z satysfakcją Veitkus, który uwielbiał głosy zwierząt domowych.

- A wiec będzie kozłem - powiedział Tomasz, który już wówczas nadawał nazwy nieznanym przedmiotom i zwierzętom.

Kozioł dożył w wiosce do zimy, kiedy noc trwa niemal bez przerwy. Przywykł do ludzi, prawie nie gryzł i sterczał ciągle w warsztacie Siergiejewa, bo tam było ciepło. W tym warsztacie Siergiejew robił meble i naczynia. Oleg lubił mu pomagać. Podobało mu się robić rzeczy. A potem w nocy przyszły nocne bestie i uprowadziły kozła. Marianna znalazła kilka strzępków zielonej sierści na cmentarzu. Ale to było już wiosną, wiec mogła się pomylić.

Veitkus powiedział wtedy:

- Rozwój hodowli trzeba będzie odłożyć na czas nieokreślony.

- Tym bardziej - dodała Aggie - że tyle było z niego pożytku, co z psa gnoju.

Jaskinia miała jedną wadę - szeroki wlot. W poprzek otworu rozpięli namiot z rybich skór i rozpalili ognisko, bo nocne bestie nie lubią ognia. W jaskini było prawie ciepło i Oleg z rozkoszą wyciągnął się na gładkiej kamiennej posadzce. Marianna położyła się obok niego.

- Okropnie się. zmęczyłam - powiedziała. -1 bałam się.

- Ja też - odparł Oleg cicho. - Wydawało mi się, że z tyłu ktoś idzie.

- Dobrze, te nie wiedziałam - powiedziała Marianna.

Dick łupał drewno. Wzięli ze sobą najlepsze, takie, które wolno się pali. Tomasz rozwiązał worek z grzybami i wyjął kociołek na trójnogu.

- Oleg - powiedział - podaj wodę.

Woda była w worku Olega, w naczyniu z tykwy. Tomasz potrzebował zrobić najwyżej dwa kroki, żeby wziąć wodę samemu. Chłopak zrozumiał, że Tomasz powiedział to w celach wychowawczych. Nie chcę rozkazywać Olegowi, żeby wstał i zajął się jakąś robotą, nie chce go zawstydzać. Chociaż, co tam jest do roboty? Namiot już rozwiesili razem, ognisko rozpalili. Następnego dnia będę mniej zmęczony, to zajmę się gospodarstwem... Przecież dziś taszczyłem worek Marianny!

Oczywiście nie powiedział tego na głos i nie zdążył wstać, kiedy Dick wyciągnął długą rękę, chwycił worek Olega i podsunął go Tomaszowi.

- Niech odpoczywa - powiedział bezbarwnym, obojętnym tonem. - Zmordował się, niósł dwa worki.

- Niech poleży - zgodził się Tomasz. Oleg usiadł.

- A co trzeba zrobić? - zapytał. - Kiedy trzeba, to zawsze robię.

- Poczekaj, Tomaszu - powiedziała Marianna. - Sama zrobię zupę. Ty przecież nie wiesz, ile grzybów trzeba włożyć.

- Miałem wrażenie - powiedział Dick - że za nami ktoś szedł.

- Ty również?! - wykrzyknął Oleg.

Zaraz potem usłyszeli czyjeś ciężkie kroki za zasłoną. Dick porwał dzidę, a Tomasz pochylił się nad ogniskiem, gotowy chwycić płonącą głownie- Kroki umilkły. Było bardzo cicho. Słychać było, jak pojedyncze krople deszczu kapią z nawisu nad wejściem do jaskini.

- Akurat zdążyliśmy - odezwała się Marianna.

- Cicho!

Ale za błyszczącą zasłoną z rybich skór nic się nie działo.

Dick trzymając broń w pogotowiu podszedł do zasłony, ostrożnie odsunął róg i wyjrzał na zewnątrz.

Oleg patrzył na jego szerokie, napięte plecy i czekał. Trzeba by również wziąć dzidę... Ale przecież pali się ognisko... To sprawa Dicka... Niesprawiedliwość tej myśli była dla niego oczywista, ale nie mógł inaczej myśleć, bo jego sprawa, jego robota polegała na czymś innym. Miał zobaczyć to, co nie interesuje pozostałych. Stary bardzo na niego liczył. Najgorsze jednak, że nie wie, czy spełni jego nadzieje, tym bardziej, że z upływem lat stają się one dla starca coraz bardziej abstrakcyjne i iluzoryczne.

- Trzeba będzie dyżurować przy ognisku - powiedział Dick.

- Ja zupełnie nie jestem śpiący - zaofiarował się Oleg.

- Przydałby się nam pistolet - westchnął Tomasz. - Przyzwoity pistolet, strzelający ogniem ciągłym.

- Za pięć minut będzie zupa - powiedziała Marianna. - Bardzo smaczna zupa. Ciocia Luiza dała nam na drogę same prawdziwki...

Gdzieś bardzo daleko coś mlasnęło, sapnęło. Potem rozległ się lekki tupot niezliczonych nóg i beczenie. Chóralny rozpaczliwy bek.

Marianna zerwała się równe nogi.

- Kozły!

- Twojego już dawno zjedli - mruknął Dick. - Kto je tak goni?

- Jadowity słoń - nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział Tomasz. Dick roześmiał sie:

- Tak właśnie będziemy go nazywać.

Beczenie zmieniło się w wysoki krzyk, podobny do płaczu dziecka. Potem wszystko ucichło. I znów rozległ się tętent.

- Myślę, że wypuszcza je muchomor - powiedział Oleg.

- Kogo? - zapytał Dick.

- Jadowite słonie.

- To są złe duchy, zjawy. Krystyna mi mówiła - odezwała się Marianna.

- Złych duchów nie mą - powiedział Oleg.

- No to spróbuj zapuścić się głębiej w las! - wykrzyknął Dick.

- Cicho! - rozkazał Tomasz.

Całkiem blisko przemknęły kozły. Za nimi, miękkim, zamaszystym krokiem pędził prześladowca. Ludzie cofnęli się za ognisko, aby mieć je miedzy sobą a zasłoną. Przygotowali broń. Nieznane zwierzęta są straszne, gdyż nie zna się ich zwyczajów.

Zasłona podskoczyła, pękła na ukos i do jaskini wpadła zielona, włochata istota. Była wzrostu człowieka, ale okrągła, czworonoga, z kościstym grzbietem sterczącym z kudłów, niczym łańcuch stromych wzgórz z gęstego lasu.

Zwierze dygotało. Jego malutkie czerwone ślepia gapiły się na ludzi z tępą rozpaczą.

Dick wycelował starannie kusze, chcąc ubić je jednym strzałem. Stój! - krzyknęła Marianna. - To przecież kozioł!

- Słusznie - szepnął Dick, nie ruszając się z miejsca. - To mięso. Ale Marianna już obeszła ognisko i zbliżała się do kozła.

- Poczekaj. Tomasz chciał ją powstrzymać, ale dziewczyna odtrąciła jego rękę.

- To mój kozioł - powiedziała.

- Twój już dawno zdechł - odparł Dick, ale jego ręka trzymająca kusze opadła. Mięso jeszcze mieli, a zabijać bez potrzeby Dick nie lubił. Myśliwi zabijają tylko tyle, ile mogą unieść.

Kozioł zaczaj się wolno cofać i znieruchomiał. Widocznie to, co czaiło się na zewnątrz, było po stokroć gorsze od Marianny. Dziewczyna pochyliła się, szybko wyjęła z worka smaczny suszony grzyb i podała go zwierzęciu. Kozioł westchnął, powąchał, rozdziawił hipopotamią paszczękę i posłusznie schrupał poczęstunek.

Jako pierwszy pełnił warte Oleg. Kozioł nie uciekał. Cofnął się tylko pod ścianę groty, zerkał jednym okiem na Olega i od czasu do czasu głośno wzdychał, a potem zaczynał się czochrać o skałę.

- Zapchlisz nas tu wszystkich - powiedział Oleg. - Stój spokojnie, bo cie wygonie.

Uważne, nieruchome spojrzenie kozła sprawiało wrażenie, że zwierze słucha i rozumie. Ale tak naprawdę, to kozioł przysłuchiwał się temu, co dzieje się na zewnątrz.

Patrząc na dogasające ognisko, Oleg przysnął. Wydawało mu się, że nie śpi, że widzi, jak nad rozżarzonymi węgielkami polatują niebieskie iskry i tańcząc parami układają się w korowód... Kozioł rozbeczał się i zastukał kopytami. Oleg poderwał się i nie od razu zorientował się gdzie jest. Dopiero po sekundzie lub dwóch zauważył, że kozła nie ma już na starym miejscu, że zwierze odskoczyło w głąb jaskini, a przez dziurkę w zasłonie pcha się jakaś szara, pęcherzowata masa, rozlewa się ciastowato po posadzce. Może zresztą ta masa nie była szara, tylko różowa? Odblask gasnącego ogniska oświetlał te prącą naprzód masę, a kozioł rozpaczliwie beczał, błagał o ratunek, gdyż uznał widocznie, że szare ciasto przyszło specjalnie po niego. Oleg zdążył jeszcze pomyśleć nie wiedzieć czemu, że jak na nocną zjawę ta masa jest zbyt paskudna, macał wokół siebie ręką i w żaden sposób nie mógł znaleźć kuszy, a odwrócić wzroku od płynącej na

niego, bliskiej już masy cuchnącej żrącym kwasem, nie potrafił, nie był w stanie. I dlatego zobaczył, jak z boku stwora wyrosła nagle opierzona strzała, jak zanurzyła się do połowy w cieście, zapadła się w nim całkowicie - i jak zaraz potem, lekko i szybko, ciasto sprężyło się, skurczyło i znikło za leniwie rozkołysaną zasłoną.

Oleg w końcu zdołał opuścić oczy. Kusza leżała o dwa centymetry od rozcapierzonych palców, a Dick, wypoczęty i świeży, jakby w ogóle nie kładł się spać, siedział na posadzce. Opuścił teraz kusze i powiedział:

- Może nie powinienem strzelać. Trzeba było poczekać.

- Czemu nie strzelałeś? - zapytała Marianna Olega i nie wstając gładziła cienkie, pancerne nóżki kozła, który popłakiwał jak dziecko, skarżąc się jej na swój strach.

- Oleg skamieniał, a to paskudztwo już się do niego dobierało. Nie mogłem ryzykować - powiedział Dick, wcale nie chcąc obrazić Olega. Powiedział po prostu to, co myślał. Zawsze mówił to, co myślał.

- Usnąłeś? - zapytał Tomasz Olega.

Tomasz leżał zawinięty w koc, z workiem, w którym było suszone mięso, pod głową. Było mu zimno, bardzo zimno. Co to będzie, kiedy przyjdzie prawdziwy mróz, jak on to wytrzyma, pomyślał Oleg i powiedział:

- Usnąłem. Nawet nie wiem kiedy. Kozioł mnie obudził.

- Zuch, koziołek! - powiedziała Marianna.

- Dobrze, że cie obudził - powiedział Dick, kładąc się na boku. Jego dłoń opierała się na kolbie kuszy, którą sam wytoczył. - Bo inaczej by nas...

I usnął, nie kończąc zdania.

Tomaszowi nie chciało się spać, wiec wstał i zastąpił Olega, który wprawdzie trochę się opierał, ale dość łatwo dał się przekonać, bo oczy mu się kleiły. Natychmiast rozciągnął się na posadzce. Tomasz narzucił koc na ramiona i pomyślał, że dobrze byłoby dorzucić do ognia, ale zrezygnował. Drzewo trzeba oszczędzać, nie mają go zbyt wiele, a zbliżają się mrozy. Przypomniał sobie, jak było zimno, kiedy poprzednim razem szli na przełęcz. Jak śmiertelnie i beznadziejnie zimno. To było cztery lata temu. I osiem lat temu. I w rok po zbudowaniu osiedla. Najdalej doszli za drugim razem. Inna rzecz, że z tej wyprawy wróciło tylko dwóch. On i Veitkus.

Tomasz popatrzył na młodych. Dlaczego oni nie czują, że na kamieniach jest twardo i zimno? Jakie wewnętrzne, organiczne zmiany zaszły w ich metabolizmie w ciągu tych lat? To przecież dzieci natury, dzikusy patrzące na niego, sędziwego starca, z uprzejmą pobłażliwością tubylców. Dzikusy, które mimo wysiłków i przestróg Borysa z każdym rokiem coraz bardziej oddalają się od ludzkiego świata i coraz lepiej adaptują się do tutejszego świata samotności i szarych chmur. A Borys tylko w połowie ma racje. Ma racje, że przejście do stanu dzikości jest nieuchronne. Tomasz dostrzega to we własnej córce i innych malcach. Ale najprawdopodobniej to właśnie jest jedynym wyjściem, jedyną możliwością ratunku. A przełęcz, to tylko symbol, w który już nikt nie wierzy, lecz z którego trudno zrezygnować.

Kiedy rozwidniało się i przez dziurę w zasłonie wlała się do jaskini niebieska mgła, kiedy w odległym lesie na powitanie nowego dnia zaskrzeczały skoczki, Dick, który pełnił warte przy wygasłym ognisku i strugał strzały do kuszy, schował gotowe patyki do worka i spokojnie zasnął. Dlatego nikt nie widział, kiedy kozioł wyszedł z jaskini. Gdy Marianna zaraz po przebudzeniu wybiegła zmartwiona na zewnątrz, nie było już po nim nawet śladu.

- Nienawidzę go - powiedziała po powrocie.

- Za to, że ci nie podziękował? - zapytał Oleg.

- Przecież mu z nami lepiej, bezpieczniej.

- Szkoda, że go nie zastrzeliłem o świcie - odezwał się Dick. - Chciałem to zrobić, ale pomyślałem, że lepiej to będzie zrobić za dnia.

- To nieuczciwe! - wykrzyknęła Marianna. - Przecież on nas tej nocy uratował.

- A co to ma do rzeczy? - zapytał Dick. - Przecież kozioł myślał tylko o własnej skórze. Oleg wziął skórzane wiadro i poszedł szukać wody.

- Nie zapomnij wziąć dzidy - powiedziała Marianna.

- I nie odchodź zbyt daleko - dodał Tomasz.

- Nie jestem dzieckiem - odwarknął Oleg, ale dzidę wziął.

Poszedł w dół zbocza, bo wydawało mu się, że tam szemrze woda. W takich miejscach bywają źródła. Znalazł się u szczytu piarżyska, za którym z ziemi wyrastał wierzchołek gigantycznego grzyba. Warstwa mgły spełzła z białawego kręgu i Oleg zobaczył, jak powoli unoszą się płaty paszczęki, a z mgły po przeciwległej stronie dolinki wytaczają się wolno i uroczyście szare, nieco ciemniejsze od grzyba, gąbczaste, ciastowate kule... Jedna, druga, trzecia, czwarta... To właśnie one były nocnymi gośćmi w jaskini, to tak wyglądają jadowite słonie...

- Myśliwi wracają do domu - powiedział Oleg półgłosem.

Wstrząsnął się. Z zachodu, gdzie się kierowali, nadleciał nagle przenikliwy, lodowaty wiatr, opalił twarz i ręce. Przypomniał o tym, co ich czeka. Ale nie to wzbudziło w chłopcu nagłe przerażenie; przeląkł się, że nie zdołają pokonać przełęczy, jak nie udało się tego dokonać poprzednim wyprawom. Dick tylko się z tego ucieszy, bo będzie mógł wrócić na swój ukochany step, Marianna pocieszy się, kiedy znajdzie jakieś nowe zioła lub grzyby, a Tomasz przyzwyczaił się do nieszczęść i nie wierzy w powodzenie. Źle, bardzo źle będzie tylko Olegowi. I Staremu.

Przez cały dzień szli otwartym terenem, na którym tylko z rzadka trafiały się kępy niskich krzewów. Było pustynnie i martwo, ale szło się łatwo, wiec nawet specjalnie się nie zmęczyli. Tomasz mówił, że wybrali dobrą porę. Lato w tym roku jest ciepłe, a poprzednim razem w tym samym czasie leżał już tu śnieg. Dick nudził się i jak skoczek odbiegał co jakiś czas w bok, ale niebawem wracał zły i rozczarowany, bo bez zdobyczy.

Kozioł miał szczęście, że wrócił akurat wtedy, kiedy go nie było. W przeciwnym razie - tego Oleg był niemal pewien - skończyłby w garnku. To był ten sam kozioł. Wyskoczył z zarośli z takim łoskotem, jakiego nie narobiłaby cała sfora niedźwiedzi. Ludzie czekali na niego z napiętymi kuszami, ale rozpoznali już z daleka. Włochaty olbrzym, wyższy w grzebieniu od Olega, hałaśliwie ucieszył się na widok znajomych i podbiegł do nich z rozgłośnym tętentem.

Od tej chwili już ich nie opuszczał. Ucieszył się nawet z przybycia Dicka, wyczuwając go prawie na kilometr, a potem władował się w sam środek miedzy ludzi, nie chcąc iść z boku lub z tyłu i plącząc się pod nogami. Oleg ciągle się obawiał, że kozioł zaraz nadepnie mu na nogę ostrym kopytem, ale zwierze okazało się nadspodziewanie zwinne i delikatne.

Węch i słuch miało wręcz niewiarygodny. Wyczuwało obecność każdego żywego stworzenia na wiele metrów i pod wieczór Marianna utrzymywała już, że rozumie sens wydawanych przez kozła dźwięków

- kiedy zapowiada, że przed nimi jest polanka porośnięta smacznymi grzybami, a kiedy trzeba patrzeć pod nogi, bo po ziemi pełzają drapieżne liany.

Na nocleg zatrzymali się na skraju płaskowyżu, kiedy do zmroku było jeszcze daleko. Dalej droga pieją się pod górę i Tomasz powiedział, że trzeba będzie rano odszukać ujście strumienia i wspinać się jego korytem, szeroką dolinką, która potem zwęzi się i przekształci w wąwóz. Tym właśnie wąwozem będą musieli iść co najmniej dwa dni.

Żadnej groty albo innej kryjówki tam nie było, wiec spali w namiocie, co kozłowi zupełnie się nie podobało i chociaż tej nocy najwyraźniej żadne niebezpieczeństwo nie groziło, zwierze napierało się, żeby wpuścić je do środka, a w końcu oparło się o namiot, omal go nie przewracając i depcząc ludzi po nogach. Wszyscy klęli kozła, ale nie odpędzali, bo było oczywiste, że w tej sytuacji nie muszą wystawiać warty. Gdy pojawi się jakiś nieproszony gość, kozioł z pewnością narobi takiego rwetesu, że umarłego obudzi...

Nad ranem Oleg straszliwie zmarzł. Nie miał siły się obudzić, a we śnie wydawało mu się, że ktoś topi go w lodowatym bagnie. Zaczął gwałtownie dygotać. Potem nagle zrobiło się trochę cieplej i Oleg zapadł w głęboki, spokojny sen. Obudził się dlatego, że kozioł postanowił wgramolić się wyżej na namiot i boleśnie nastąpił mu na nogę. Oleg podciągnął nogę, otworzył oczy i zobaczył, że Tomasz w nocy zamienił się z nim miejscami i położył się na brzegu. Tomasz był biały z zimna, leżał z zaciśniętymi zębami i udawał, że śpi. Olegowi zrobiło się wstyd. Już we wsi umówili się, że kiedy zrobi się zimno, Tomasza trzeba

będzie oszczędzać, bo ma słabe płuca i źle znosi mróz. Młodym jest łatwiej, bo są zdrowi i przyzwyczajeni.

- Tomaszu - zawołał cicho Oleg. - Ja już się ogrzałem. Zamieńmy się z powrotem.

- Nie, nie trzeba - wyszeptał Tomasz, ale wargi nie bardzo go chciały słuchać.

Oleg nie spierał się z nim dłużej, tylko wrócił na swoje stare miejsce. Rybia skóra namiotu przepuszczała mróz jak sito i tej nocy pod kocami spali wszyscy, nawet Dick, który twierdzi, że może spać nawet w śniegu, że tak mu jest nawet wygodniej.

- Dziękuje - powiedział Tomasz dzwoniąc zębami. Obudziła się Marianna i od razu wszystko zrozumiała.

- Zagrzeje wody - powiedziała. Zaczęła się krzątać po namiocie.

- Dick był zły, że zapasy drewna topnieją szybciej niż to mieli w planie, ale powiedział o tym jedynie Olegowi, i to cicho, kiedy odeszli ładny kawałek drogi od namiotu.

- Nie trzeba było brać Tomasza - mruknął. - Będzie chorował.

- Bez niego trudno nam będzie pokonać przełęcz - odpowiedział Oleg.

- Z nim będzie jeszcze trudniej - powiedział Dick, wypuszczając strzałę z kuszy w ciemną skalną nisze, w której Oleg niczego nie zauważył. Ale w niszy zakłębił się śnieg, wypadł z niej królik i wielkimi susami, zarzuciwszy trąbkę na plecy, pognał przed siebie. W jego śladach ciemniały kropelki krwi.

- Pójdę po niego - powiedział Dick, którego Oleg nie przekonał.

Z Dickiem trudno jest się sprzeczać, bo kiedy jest pewny swego, to nie kontynuuje dyskusji, tylko po prostu odchodzi. A najpotrzebniejsze słowa przychodzą do głowy dopiero wtedy i wychodzi na to, że Dick w każdym sporze bierze górę, jeśli nawet nie ma racji.

Tomasz szybko chodził po śniegu, żeby się rozgrzać. Ciągle jeszcze miał koc na ramionach. Garbił się i wyglądał na bardzo starego człowieka, chociaż Oleg wiedział, że Tomasz ma dopiero czterdzieści lat. Aggie powiedział kiedyś, że w wiosce procesy starzenia się przebiegają nie wiedzieć czemu znacznie aktywniej, a ciocia Luiza dodała wówczas, że od takiej diety dawno powinien wszystkich szlag trafić. Wszyscy mają chroniczne nieżyty żołądka i jelit, cierpią na schorzenia alergiczne, a u starszego pokolenia nerki są już zupełnie do niczego. Inna rzecz, że dzieci są stosunkowo zdrowe i na szczęście miejscowe mikroorganizmy nie przystosowały się do ludzkiego metabolizmu. Jeszcze się nie przystosowały...

- Oleg - zawołał Tomasz. - Podejdź do mnie. Tomasz ciężko opadł na zwiniętą płachtę namiotu.

- Słuchaj, pamiętasz, gdzie trzymam mapę? Bo przecież wszystko się może ze mną zdarzyć.

- Nic się nie stanie - powiedział Oleg. - Przecież idziemy razem.

- A jednak nie będziemy ryzykować. Potrafisz odczytać mapę?

Mapa była narysowana na kawałeczku papieru, na największym skarbie wioski. Oleg zawsze miał do papieru dziwny, szczególny stosunek. Papier, nawet czysta kartka, był w jakiś czarodziejski sposób związany z wiedzą, bo po to właśnie, żeby wiedze wyrazić, został kiedyś stworzony. Był jakby przejawem boskości.

Tomasz głosem przerywanym atakami kaszlu zmusił Olega do pokazania na mapie drogi na przełęcz. Trasa była znana, wielokrotnie przebyta w myśli razem z Veitkusem i Starym, ale wtedy, kiedy mówili o tym w wiosce, odczucie prawdziwej istoty drogi - odległości, zimna, mozołu - było niemożliwe. Bo przecież w domu było ciepło, jasno świeciły kaganki, a za ścianą szeleścił miarowo deszczyk...

Dick przyniósł zająca. Kozioł nie wiadomo czemu przestraszył się martwego zwierzątka i w gwałtownych podskokach oddalił się aż pod urwisko i zatrzymał się, kręcąc z potępieniem głową.

- Czuje, idiota, co go czeka - powiedział Dick i rzucił zająca na kamienie. - Zjedzmy go teraz, to lepiej nam się będzie szło. Tomaszowi też to wyjdzie na zdrowie. Jeszcze lepiej byłoby napić się świeżej krwi, zawsze tak robie na polowaniu, ale Tomasz pewnie nie będzie chciał?

Tomasz pokręcił głową.

- Co robicie? Oglądacie mapę? - zapytał Dick.

- Tomasz każe mi sobie przypomnieć trasę na wypadek, jeśli coś mu się stanie.

- Nie opowiadaj głupstw - mruknął Dick, oprawiając zręcznie zająca. - Możesz jeszcze iść. A jak będzie zupełnie źle, to wrócimy.

Oleg doskonale wiedział, że Dick nie chce Tomasza obrazić. Dick przecież od początku mówił, że Tomasz może nie dojść, i uważał, że zatajanie własnych myśli jest głupotą.

- Nie szkodzi - powiedział Tomasz, który zupełnie nie dał po sobie poznać, jak wielką przykrość sprawia mu obojętny ton chłopaka. - Zawsze lepiej się na wszelki wypadek zabezpieczyć.

Kiedy pili. herbatę - wrzątek z suszonymi korzonkami - kozioł odważył się podejść bliżej, ale nie z tej strony, gdzie Dick rzucił skórę zająca, lecz z przeciwnej, odgradzając się od skórki ogniskiem i rozłożonym na ziemi namiotem. Wzdychał tak ciężko, że Mariarma rzuciła mu kilka suszonych grzybów.

- Nie powinnaś tego robić - powiedział Dick. - Grzybów wcale nie mamy za dużo. Może przecież tak się zdarzyć, że nic więcej nie znajdziemy. A jak wracać.?

- Za przełęczą jedzenia jest pod dostatkiem - powiedział Tomasz.

- Nie wiemy wcale, czy to jedzenie jeszcze jest! - warknął Dick. - Głupio byłoby zginąć z głodu. A w czasie mrozów trzeba dużo jeść.

- W najgorszym razie zjemy kozła - powiedział Oleg.

- Dlaczego w najgorszym razie? - zdziwił się Dick. - Na pewno go zjemy, i to niedługo, bo jeszcze ucieknie.

- Ani mi się waż! - wykrzyknęła Marianna.

- Dlaczego? - Dick zdziwił się jeszcze bardziej.

- Dlatego, że kozioł jest miły. Wróci z nami do wsi i będzie tam żył. Już najwyższy czas, żebyśmy mieli swoje zwierzęta.

- Ja ci takich kozłów przyprowadzę z lasu, ile tylko będziesz chciała - powiedział Dick.

- Nieprawda, tylko się tak chwalisz. Nie przyprowadzisz. Wcale ich tak dużo w lesie nie ma. A jak kozioł nie będzie chciał iść, to go za nic nie przyprowadzisz.

- Trudno będzie, ale pójdziemy razem, bo ty potrafisz rozmawiać ze zwierzętami - powiedział Dick i zaczął kroić zająca na jednakowe części, żeby było sprawiedliwie.

- Nie dam zabić - powiedziała Marianna - bo ona będzie miała małe.

- Kto? - zapytał Oleg.

- Kozioł - odparła Marianna. - Koźlica.

- A wiec to koza? - zdumiał się Tomasz.

- Tak, koźlica, koza. Jestem pewna.

- To chyba rzeczywiście jest samica - powiedział Dick. - Po prostu się dotąd nie przyjrzałem.

- Zabawne - powiedział Tomasz.

- Nie ma w tym nic zabawnego - odpowiedziała Marianna.

- Robinson Cruzoe też hodował kozy i pił ich mleko.

- Nic z tego nie będzie - zauważył Dick. - Próbowałem już. To trucizna.

- Marianna ma racje, niech koza sobie żyje - powiedział Tomasz. - Ten eksperyment może przynieść dobre rezultaty. Zawsze trzeba myśleć o tym, co będzie jutro

- Ale trzeba też do tego jutra dożyć - powiedział DICK.

- Będziemy ją trochę dokarmiać - powiedziała Marianna.

- Tylko spróbuj!

- Będę jej oddawała swoją porcje. - Marianna nie zamierzała rezygnować. Dick pochylił głowę i przyglądał się jej jak nieznanemu zwierzątku.

Tomasz wstał i zaczął pakować namiot do worka. Dygotał z zimna.

- Może wrócisz? - zapytał go Dick.

- Za późno - odparł Tomasz. - Dojdę.

- Zastanów się - Marianna rozzłościła się na Dicka - jak można tak mówić! W pojedynkę nikt do wioski nie dojdzie.

- Oleg może go odprowadzić.

Dick powiedział to tylko po to, żeby do niego należało ostatnie słowo. Przeliczył się jednak, bo ostatnie słowo należało do Marianny.

- Oleg jest potrzebniejszy za przełęczą niż ty - powiedziała spokojnie.

- Ty też? - zapytał Dick. Twarz miał nieruchomą, tylko blizna

nad okiem lekko mu pulsowała.

- Trzeba ruszać - odezwał się Tomasz. - Jeśli dziś będziemy iść dobrym krokiem, to może zdołamy dotrzeć do płaskowyżu. Poprzednim razem ugrzęźliśmy w tym wąwozie. Śniegu było po pas. I zamieć.

Dolinka, którą spływał strumień, zwężała się stopniowo, ciemne kamienne ściany stawały się coraz bardziej strome i schodziły się coraz bliżej, kryjąc potok w wiecznym cieniu. Jego szum nabrał mrocznej barwy i dudnił miedzy skalnymi ścianami jak w beczce. Było ponuro i groźnie - nikt z nich poza Tomaszem, nie był przedtem w górach i nawet Dick stracił swą niezmienną dotychczas pewność siebie, nie wybiegał do przodu, tylko wciąż zerkał w górę, jakby się bał, że za chwile spadnie mu na głowę jakiś kamień i często pytał Tomasza:

- No jak, szybko wyjdziemy?

- Do wieczora powinniśmy się stąd wydostać - odpowiadał Tomasz.

Tomasz, podobnie jak pozostali, rozgrzał się i nawet spocił, prawie nie kaszlał i szedł szybciej niż wczoraj. Tylko czasami chwytał się za bok.

- Tomaszu, poznajesz okolice? - zapytała Marianna. Dziewczyna szła z tyłu i poganiała kozę, której cała ta podróż ostatecznie się znudziła i dlatego wlokła się z największą niechęcią, najwyraźniej tęskniąc za rodzinnym lasem.

- Jak by ci tu powiedzieć... - zawahał się Tomasz. - Poprzednim razem już tu nie dotarliśmy. A kiedy kilkanaście lat temu szliśmy z przełęczy, leżał tutaj śnieg, dni były krótkie, a my prawie nie rozglądaliśmy się za boki. Zaświtała nam wtedy, nadzieja, po raz pierwszy zaświtała nadzieja. Byliśmy jednak już bardzo zmęczeni. Droga stąd do wioski zabrała nam prawie tydzień...

Dick, idący przodem, nagle znieruchomiał i uniósł rękę.

Wszyscy stanęli. Zatrzymała się nawet koza, jakby i ona zrozumiała rozkaz.

Dick, z kuszą gotową do strzału, wolno ruszył naprzód.

- Patrzcie! - krzyknął. - Oni naprawdę tedy szli.

Za wielkim kamieniem, polśniewając matowo i odbijając się w płyciźnie strumienia, leżała cudowna rzecz.

Ten przedmiot zrobiony był z białego metalu i przypominał spłaszczoną kule z białym narostem u góry. Do przedmiotu był przymocowany pasek, żeby go można było nosić przez ramie.

Dick podniósł przedmiot i powiedział:

- Pewnie kamień na niego spadł i wgniótł.

- Nie, to nie kamień. Tak było od nowości - powiedział Tomasz, podchodząc do Dicka i wyjmując mu przedmiot z reki. - Tu był nasz ostatni popas przed doliną. Ostatni popas. I ktoś... No, oczywiście Veitkus! To jest manierka Veitkusa. Ale się ucieszy, kiedy mu ją przyniesiemy!

- To się nazywa manierka? - zapytała Marianna, przyglądając się błyszczącemu przedmiotowi. Tomasz poruszył przedmiotem i wszyscy usłyszeli, że wewnątrz pluszcze woda.

Uniósł manierkę do góry i powąchał.

- Cholera! - wykrzyknął. - Ja chyba zwariowałem.

- Co się stało? - zapytał Oleg. Bardzo chciał potrzymać manierkę w rekach. Była dla niego symbolem tych wszystkich pięknych rzeczy, tych umiejętności, które zostały za przełęczą.

- Dzieciaki, słuchajcie, to przecież jest koniak!

Koza odeszła na bok i beknęła ze zdziwienia. Oleg podszedł do niej. W zagłębieniu miedzy kamieniami leżał stos metalowych puszek i malutkich naczynek. Takiego skarbu nigdy w życiu nie widział i nawet nie wyobrażał sobie, że może istnieć.

- Tomaszu! - zawołała. - Popatrz, co jeszcze tu zostawiliście, o czym zapomnieliście!

- Nie zapomnieliśmy - odpowiedział Tomasz. - Rozumiesz, myśmy wtedy uwierzyli, że dojdziemy do lasu i po raz ostatni zjedliśmy prawdziwy posiłek. To są puszki po konserwach, rozumiesz? Niepotrzebne puszki po konserwach.

- Niepotrzebne?

- Wtedy wydawały się nam niepotrzebne. - Tomasz powąchał zawartość manierki. - Oszaleje, to mi się po prostu śni.

- A wiec to prawda - powiedział Dick. - Wiec naprawdę tedy szliście... Bo czasami wydawało mi się, że to tylko bajka, że wioska była zawsze.

- Wiesz, ja też czasami tak myślę - uśmiechnął się Tomasz. Upił łyk z manierki, posmakował i zmrużył z zadowolenia oczy.

- Będę żył - powiedział. Rozkaszlał się, ale nie przestał się uśmiechać.

I nagle Oleg zrozumiał, że znalezienie manierki i puszek po konserwach podziałało nie tylko na niego czy Dicka. Najbardziej zmienił się po tym fakcie Tomasz. Jakby do tej chwili sam nie bardzo wierzył, że był kiedyś za przełęczą, miał coś wspólnego z innym światem, gdzie je się z błyszczących puszek i bywa koniak w manierkach. I ten obcy, ale upragniony przez Olega i właściwie niepotrzebny Dickowi świat, natychmiast oddalił Tomasza. Przecież w istocie Tomasz był jednym z tych, zmarłych lub dożywających ostatnich dni ludzi, dla których las i te ośnieżone góry były symbolem ślepego zaułka i beznadziei, a dla Olega i tym bardziej Dicka - jedynym znanym miejscem w całym wszechświecie.

- Chodźmy - powiedział Tomasz, wstając z kamienia. - Teraz niemal już uwierzyłem, że dojdziemy, chociaż najtrudniejsza cześć drogi jest jeszcze przed nami.

Nagle rozkaszlał się tak gwałtownie, że aż go zgięło w pół. Oparł się ręką o kamienną ścianę wąwozu i wtedy Oleg zauważył, jakie jego palce są żółte i cienkie. Dick i Marianna szli dalej i po chwili znikęli za zakrętem.

- Wezmę worek - powiedział chłopak.

- Nie, zaraz; mi przejdzie. Zaraz przejdzie... - Tomasz uśmiechnął się przepraszająco. – Wydawałoby się, że to ja powinienem wami dowodzić, dawać przykład wyrostkom. A tymczasem ledwie ciągnę za sobą nogi... Wiesz, pomyślałem sobie, że jeśli napije się koniaku, poczuje się jak nowy. A to przecież naiwna myśl...

- Łyknij sobie jeszcze - poradził Oleg.

- Nie trzeba. Odzwyczaiłem się. W dodatku mam gorączkę... Żeby tylko dotrzeć do przełęczy! W takim stanie powinienem leżeć w szpitalu i leczyć się, a nie uprawiać wspinaczkę. Ale bardzo bym chciał dojść.

Po jakichś dwóch godzinach wąwóz się skończył* niewysokim urwiskiem, z którego małą siklawą spadał strumień. Sforsowali je z wielkim trudem. Tomasz tak osłabł, że trzeba go było dosłownie wciągać na górę. Kozę wwindowali na linach i przerażone zwierze tylko cudem nikogo nie pokaleczyło, wierzgając cienkimi opancerzonymi nogami.

To było bardzo dziwne uczucie: przez wiele godzin szli ciasnym, mrocznym wąwozem, słysząc tylko szmer płynącej wody, i nagle znaleźli się na ogromnej otwartej przestrzeni, jakiej Oleg nigdy przedtem nie widział i nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Pokryty śniegiem płaskowyż rozciągał się na parę kilometrów, opierając się o ścianę gór za plecami. A w przodzie opadał ku szerokiej dolinie, najpierw nagiej, kamienistej, a dalej upstrzonej punkcikami drzew i krzewów. Jeszcze dalej, u linii horyzontu punkciki te zlewały się w ogromny, nieskończony las. Tam, o trzy dni drogi, leżała wioska.

- Właśnie tutaj - powiedział Tomasz - ciężko łapiąc oddech - właśnie tutaj zrozumieliśmy, że jesteśmy uratowani. Szliśmy od strony gór, co mówię szliśmy, czołgaliśmy się dźwigając chorych, zamarzając na śmierć, w nic już nie wierząc i nagle wyszliśmy na skraj tego płaskowyżu. Jak widzicie, wznosi się on trochę w naszą stronę i dlatego, dopóki nie dotarliśmy tutaj, nie wiedzieliśmy, że może nam zaświtać nadzieja. Walił śnieg, była ciężka zamieć... Kto był pierwszy? Chyba Borys. No tak, Borys. Wysforował się do przodu i nagle stanął. Pamiętam, jak nagle znieruchomiał, ale byłem wówczas tak potwornie zmęczony, że nawet mnie to nie zainteresowało. A kiedy podszedłem do niego, niczego mi nie powiedział. Płakał i całą twarz miał oblodzoną. Widzialność tego dnia była bardzo zła, ale czasami tuman śniegu rzedł na chwile i mogliśmy zorientować się, że tam, w dole, jest dolina, a w dolinie rosną drzewa. To znaczy, że jest życie...

Wiał wiatr, na szczęście niezbyt silny, koza zaczęła skakać, dokazywać, cieszyć się z wolnej przestrzeni. Biegała, podrzucając kosmatym zadem i zostawiając na śnieżnym całunie głębokie, trójkątne ślady. Zatrzymała się koło brunatnej łysiny i popiskując z radości, zaczęła przeorywać zmarzniętą ziemie rogową naroślą, która sterczała jej na nosie. Widocznie w ziemi kryło się coś nieprawdopodobnie smacznego.

- Tu nie ma zwierzyny - powiedział Dick z potępieniem w głosie. Zwrócił się przy tym do Tomasza, jakby to on był temu winien.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - odparł Tomasz - za jakieś trzy albo cztery dni będziemy na miejscu.

- Podobno wy szliście dwa tygodnie.

- Szliśmy trzynaście dni. Ale wtedy była zima, mieliśmy wielu chorych i rannych, a teraz idziemy bez obciążenia. To zdumiewające, jakby to było wczoraj: stoimy z Borysem i patrzymy w dół... I rozumiemy, że zaświtała nadzieja.

Do zapadnięcia ciemności udało się pokonać płaskowyż i dojść do podnóża gór.

W nocy mocno się oziębiło. Był taki mróz, że Dick i Oleg położyli Tomasza i Mariannę miedzy sobą. Tomasz był taki zmordowany, że nawet nie oponował. Ciało miał gorące, ale w żaden sposób nie mógł się zagrzać i kiedy napadał go atak kaszlu, Oleg obejmował go, starając się rozgrzać, a Marianna dawała mu miksturę na kaszel, którą sama przyrządziła. Marianna nie spała i żeby jakoś wypełnić czas, rozmawiała po cichu z Olegiem. Dick, który był bardzo śpiący, zaczął demonstracyjnie parskać, a potem powiedział:

- Jutro nie będzie dziennego popasu, zrozumiano?

- No i co z tego? - zapytał Oleg.

- A to, że zmuszę do marszu, choćby nie wiem co.

- Nie bój się - uspokoił go Oleg. - Przez nas nie będzie żadnego opóźnienia.

- Nie obchodzi mnie przez kogo!

- Oleg zmilczał. Rozumiał, że Dick ma na myśli Tomasza. Obaj myśleli, że Tomasz śpi i nie słyszy. Ale Tomasz usłyszał i powiedział:

- Wygląda na to, że mam zapalenie płuc. Przepraszam was, że tak się stało.

- Powinieneś wrócić - mruknął Dick.

- Za późno - powiedział Tomasz. - Nie dojdę do osiedla.

- Głupi jesteś, Dick! - wykrzyknęła Marianna. - Zapomniałeś o prawie.

- O niczym nie zapomniałem - powiedział głośno Dick. - Ja wiem, że powinniśmy się opiekować chorymi. Wiem, co to jest obowiązek, wiem nie gorzej od ciebie. Ale zawsze mi powtarzali jedno i to samo: jeśli teraz nie dotrzemy do przełęczy, jeśli nie przyniesiemy narzędzi i żelaza, to wioska może zginąć. Nie ja to wymyśliłem, bo nie wierze, że wioska zginie. Doskonale sobie radzimy bez żelaza i różnych takich. Ja ze swojej kuszy potrafię ubić niedźwiedzia na sto kroków.

- Nic dziwnego - powiedział Oleg - przecież masz żelazne groty do swoich strzał. Gdyby Siergiejew ich nie wykuwał, jak byś sobie poradził z tym niedźwiedziem?

- Mogę zrobić groty z kamienia. Tu nie chodzi o materiał, tylko umiejętność. Teraz pognali nas tutaj, w góry...

- Nikt cie nie gnał - powiedział Oleg. - Sam poszedłeś.

- Sam. Ja się niczego nie boje, ale wszyscy doskonale wiecie, że za parę dni zacznie walić śnieg i jeśli będziemy iść noga za nogą, to nigdy nie pokonamy przełęczy. Możemy utknąć tam na zawsze i nie wrócić. A to nie ma sensu.

- Co wiec proponujesz? - zapytał Oleg. Ani Tomasz, ani Marianna nie wtrącali się do ich sporu, ale uważnie mu się przysłuchiwali. Olegowi wydawało się, że nawet koza nadstawiała ucha.

- Proponuje zostawić tu Mariannę z Tomaszem. Dać im koce i żywność. Zostawić wszystko. My we dwóch bez obciążenia z łatwością dolecimy do przełęczy.

Oleg nie odpowiedział, bo rozumiał, że Tomasza nie wolno zostawiać. Nie wolno go pozbawiać celu. To go zabije. Ale może Dick myśli, że on się boi iść dalej w dwójkę?

- Przestraszyłeś się? - zapytał Dick

- Nie o siebie - odezwał się wreszcie Oleg. -Jeśli Tomasz będzie chory, to nie zdoła obronić Marianny. A Marianna jego... A jeśli tu są drapieżne zwierzęta? Jak sobie z nimi poradzą?

- Marianna, dasz sobie rade? - Dick nie zapytał, ale jakby rozkazał.

- Dojdę - powiedział Tomasz. Dojdę, nie bójcie się. Musze dojść... Idę tam już od szesnastu lat, wiec musze dojść, zrozumcie!

A rano spór rozstrzygnął się sam. Z bardzo prostej przyczyny. Kiedy Oleg obolały, przemarznięty i zdrętwiały wygramolił się z niszy i mrużąc oczy od jaskrawego światła, wbiegł za skałę, żeby załatwić małą potrzebę, zobaczył na białej płachcie płaskowyżu - wiatr przez noc zasypał wszystkie ślady ludzi łańcuch wielkich zagłębień, w których nawet nie od razu domyślił się śladów. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym odbijał w śniegu wielkie beczki.

Oleg obudził Dicka i razem z nim ruszył ostrożnie wzdłuż śladów, w tym kierunku, który wskazywały wgłębienia od pazurów. Trop kończył się przy stromym urwisku, a wiec zwierze potrafiło również wdrapywać się na skały.

- Jaki on jest? - zapytał Oleg szeptem.

- Może własnym ciężarem zmiażdżyć dom - odparł Dick. - Żeby takiego upolować...!

- Próżne nadzieje - powiedział Oleg. - Nawet strzała z twojej kuszy nie przebije mu skóry.

- Będę jednak próbował - mruknął Dick. - Wracamy?

- Nie chciałbym zostawić tu Marianny z Tomaszem - powiedział Oleg

- Przecież nie nalegam, chociaż to zwierze może być trawożerne.

- Nie wolno ryzykować, nawet gdyby to była tylko wędrowna roślina...

- Gdzie byliście? - zapytała Marianna, która zdążyła już rozpalić ognisko. - Tomaszowi spadła gorączka. To dobrze, prawda?

- Dobrze - odpowiedział Oleg.

Powiedzieli jej o śladach, bo Marianna i tak by je zobaczyła. Ale dziewczyna wcale się nie zlękła. Mało to rozmaitych zwierząt żyje dokoła? Kiedy sieje pozna, to okazuje się, że wcale nie wszystkie są złe i niebezpieczne. Zwierzęta zajęte są własnymi sprawami.

- Siadajcie - powiedziała Marianna. - Zjemy śniadanie.

Spod namiotu wygramolił się Tomasz. Był blady i chwiał się na nogach. W reku trzymał manierkę. Siadając koło Olega odkręcił ją i ryknął koniaku.

- Trzeba się rozgrzać - powiedział ochryple. - Lekarze przepisywali kiedyś chorym i osłabionym czerwone wino.

Marianna sięgnęła po swój worek. Wytoczył się z niego malutki grzyb. Worek był rozdarty, pogryziony i pusty.

- A gdzie są grzyby? zapytała Marianna Tomasza, jakby to on miał wiedzieć, gdzie są grzyby.

- Co? - Dick zerwał się na równe nogi. - Nie schowałaś na noc worka pod namiot?!

- Byłam okropnie zmęczona - powiedział Marianna. - Myślałam, że położyłam go pod spód, a on został na zewnątrz.

- Gdzie jest to bydle? - zapytał Oleg cicho. Zapłaci nam za to.

- Zwariowałeś? - krzyknęła Marianna. - Może to wcale nie koza?

- A kto? Ty? Tomasz? Co my teraz będziemy żarli? Jak dojdziemy?

- Mamy jeszcze mięso - powiedziała Marianna.

- Pokaż. Może jego też nie ma?

- Dick miał racje. Mięso też zniknęło. Zostało najwyżej dwadzieścia kawałków.

- Ja nie żartuje. - Dick chwycił kusze. Koza, jakby domyślając się, co jej grozi, gwałtownie odskoczyła za skałę.

- Nie uciekniesz! - powiedział Dick.

- Poczekaj - powstrzymał go Oleg. - Poczekaj, zawsze zdążysz to zrobić. Przecież Marianna chce je hodować. Wiesz dobrze, co to znaczy dla wioski. Zawsze będziemy mieli mięso!

- Dla wioski najważniejsze jest, żebyśmy nie zdechli z głodu! - krzyknął Dick. -Jesteśmy jej nadzieją. Bez nas koza sama do wioski nie przyjdzie. Ona też nie ma co żreć, wiec zaraz ucieknie.

- Nie, Dick, bardzo cie proszę - powiedziała błagalnie Marianna. - Przecież koza będzie miała małe, rozumiesz?

- No to idziemy z powrotem - powiedział Dick. - Skończyła się nasza wyprawa. Nie widzę w niej żadnego sensu.

- Czekaj - powiedział Tomasz. - Na razie jeszcze ja decyduje. Jeśli chcesz, pozwalam ci wrócić. Dojdziesz, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Ja pójdę dalej, a ze mną ci, którzy będą chcieli.

- Pójdę dalej - odezwał się Oleg. - Nie możemy czekać jeszcze trzy lata, bo nie wiadomo, co się przez ten czas stanie.

- Ja też pójdę dalej - powiedziała Marianna. - Dick też pójdzie. Nie myślcie, że on jest zły. Chce tylko, żeby było jak najlepiej.

- Nie musisz im tego tłumaczyć! - warknął Dick. -Ja zresztą i

tak zabije to bydle.

- Na dziś jeszcze mamy jedzenie - powiedział Tomasz. - Byłoby nieźle wrócić z kozą. Może nawet uda się ją objuczyć. W każdym razie i tak idziemy dwa razy szybciej niż wtedy. - Łyknął jeszcze koniaku i poruszył manierką, która cicho zabulgotała. Było jasne, że wody ognistej zostało już bardzo niewiele.

- Jeszcze dzień - zauważył Dick - i na powrót będzie za późno. A ciebie, Tomaszu, dotyczy to bardziej niż kogokolwiek z pozostałych. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Marianna zakrzątnęła się przy ognisku, żeby jak najszybciej zagotować wodę. Zostały jej jeszcze słodkie korzonki, ze dwie przygarści. Oleg pomyślał, że nie jest jeszcze najgorzej...

Już po dwóch godzinach marszu Oleg pomyślał, że Dick miał racje. Szli bezdrożem, przez głęboki śnieg, ciągle pod górę, a w dodatku trzeba było obchodzić skały, pokonywać szczeliny i lodowce. Powietrze było mroźne, ostre i zapierało dech w piersi. Oleg przywykł nie dojadać, przywykł do tego, że nigdy prawie nie zaznawał uczucia sytości, ale nigdy jednak dotąd nie głodował naprawdę, bo w wiosce były przecież jakieś tam zapasy żywności. A teraz głód dopadł go od razu, gdy tylko stało się oczywiste, że czekają ich wszystkich dni bez jedzenia, zupełnie bez jedzenia. Złapał się na tym, że patrzy łakomie na kozę, że marzy, aby wpadła do szczeliny skalnej i zabiła się, bo wtedy wszystko rozwiązałoby się

samo i on, Oleg, nie musiałby postępować wbrew własnym słowom. Tomasz jakby podsłuchał jego myśli, bo powiedział:

- Mamy szczęście, że mięso samo idzie. Teraz nie mielibyśmy siły go nieść.

- Stójcie!

To był głos Dicka, który podszedł do kozy trzymając mocną linkę uplecioną z wodorośli. Zarzucił ją zwierzęciu na szyje, a ono pokornie czekało, aż zaciągnie pętle. Potem Dick podał koniec postronka Mariannie i powiedział:

- Prowadź ją. Nie chce ryzykować.

Olegowi było ciężko. Wyjął z worka Tomasza jego drewno i teraz własny worek wrzynał mu się w ramiona i przyginał do ziemi.

Około południa zatrzymali się na popas. Odpoczywali długo, bo wszyscy opadli z sił, a Tomasz tak się chwiał przy każdym kroku, że chciało się go podtrzymać. Twarz mu poczerwieniała, oczy zapuchły, ale on z uporem szedł ku swojej przełęczy, ku przełęczy, która znaczyła dla niego więcej niż dla pozostałych.

W jakieś dwie godziny po wyruszeniu w dalszą drogę Tomasz zaczął niespokojnie rozglądać się dookoła:

- Czekajcie - powiedział. - Żebyśmy tylko nie zbłądzili. Tutaj powinien być obóz. Pamiętam te skałę.

Usiadł na płaskim kamieniu, rozwinął drżącymi rekami mapę i zaczął wodzić po niej palcem. Dickowi nic to nie mówiło, wiec poszedł naprzód, mając nadzieje coś upolować. Oleg przykucnął obok Tomasza.

- Jesteśmy tutaj - powiedział Tomasz. - Mamy za sobą już ponad połowę drogi. Nawet nie przypuszczałem, że można tak szybko iść.

- Mamy dobrą pogodę - zauważył Oleg.

- Wszystko wskazuje na to, że tu nocowaliśmy - ciągnął Tomasz. - Powinny być ślady, a niczego nie widzę.

- Minęło tyle lat - powiedział Oleg.

- No tak... - mamrotał pod nosem Tomasz. - Grupa skał... Trzy skały. Nie, cztery... Aha, o mało nie zapomniałem... - Odwrócił się w stronę Olega: Weź to. Koniecznie. Bez tego nie waż się chodzić do statku. Pamiętasz?

- To jest... licznik promieniotwórczości, prawda?

- Tak. Przecież wiesz, dlaczego nie mogliśmy zostać. Promieniotwórczość. Z mrozem byśmy sobie poradzili.

- Może trochę się prześpisz? - zapytał Oleg. - Odpoczniesz, a potem ruszymy dalej.

- Nie, nie wolno się zatrzymywać, bo to śmierć. Odpowiadam za was... Gdzie jest ten obóz? Trzeba kopać głębiej... Pochowaliśmy ich, ale nie mieliśmy siły kopać głęboko, a koniecznie trzeba kopać głęboko, rozumiesz?...

Oleg podtrzymał Tomasza, który zaczął spadać z kamienia.

Wrócił Dick, zerknął z potępieniem na to, jak Oleg zawija Tomasza w koce, a Marianna rozdmuchuje ognisko, żeby zagrzać napar. Dziewczyna przestraszyła się, bo Tomasz był naprawdę bardzo chory... Dick milczał, ale Oleg był prawie pewny, że powtarza w duchu: „A nie mówiłem?”.

Dalej mogli wyruszyć dopiero o zmroku. Tomasz oprzytomniał i na tyle przyszedł do siebie, że mógł iść zakutany w koce. Jego worek niósł Oleg, a kusze wziął Dick. Szli tak, a właściwie wdrapywali się po stoku może z godzinę, a potem zrobiło się ciemno i musieli szukać noclegu.

Oziębiło się. Niebo miało tam zupełnie inną barwę - nie tylko szarą, jak w lesie - i pod wieczór polśniewało odcieniami czerwieni i fioletu. To było niezwykłe i dlatego groźne.

Bardzo chciało się jeść, tak bardzo, że Oleg gotów był żuć kamienie. I jeszcze ta bezczelna koza, która, gdy tylko rzucili worki na śnieg, podbiegła do nich i spróbowała rozrzucić rogiem, jakby ludzie nie mieli nic innego do roboty, jak tylko chować przed nią jedzenie.

- Uciekaj! - krzyknął na nią Oleg i rzucił kamieniem. Koza odskoczyła z głośnym bekiem.

- Daj spokój - powiedziała cicho Marianna. Dziewczyna upadała ze zmęczenia. Poczerniała i jakby się skurczyła.

- Przecież ona nie rozumie. Ona myśli, że dostanie jeść, bo potrzebuje więcej niż człowiek. Tego wieczoru Dick uderzył Mariannę.

Przeżuwali ostatnie kawałki mięsa, cieniutkie, nędzne skraweczki, i popijali je wrzątkiem. To było oszukaństwo, a nie jedzenie, bo człowiek musi zjeść przynajmniej garść wędzonego mięsa, żeby poczuć się sytym. A Marianna ukradkiem oddała swój kawałeczek wędzonki tej nieszczęsnej kozie. Myślała, że nikt tego nie zauważy, ale zauważyli wszyscy poza Tomaszem, który był półprzytomny. Oleg nie zareagował, ale postanowił powiedzieć później Mariannie, że to nie ma sensu. Doskonale rozumiał Mariannę, rozumiał jednak i to, że nie ma sensu karmić głupiej kozy, kiedy sami ludzie niedługo umrą z głodu.

Dick nie zamierzał przejść nad tym do porządku dziennego. Wyciągnął nad ognisko rękę z długimi, silnymi palcami i uderzył Mariannę w twarz. Dziewczyna krzyknęła:

- Za co?

Oleg rzucił się na Dicka, który bez trudu go odtrącił.

- Idioci! - powiedział wściekłym głosem. - Banda idiotów. Postanowiliście zagłodzić się na śmierć? W ten sposób nigdy nie dojdziemy do przełęczy!

- To mój kawałek mięsa - powiedziała Marianna. Oczy miała suche i złe. - Nie chce mi się jeść.

- Chce ci sie! - warknął Dick. - Jeszcze jak ci się chce! A na jutro zostało tylko po dwa kawałki mięsa. Po dwa malutkie kawałątka. A droga idzie wciąż pod górę. Po co ja z wami poszedłem!

Nagle wyszarpnął zza pasa nóż i nie odwracając się rzucił nim w kozę. Nóż wyrwał kłak zielonkawej sierści i uderzył z brzękiem w skałę. Dick poderwał się na równe nogi, a koza odskoczyła jak oparzona. Dick podniósł nóż. Jego czubek był ułamany.

- Idioci! - wrzasnął chłopak. - Dlaczego nikt tu niczego nie rozumie? Dlaczego nikt nie rozumie, że już nigdy nie wrócimy do domu?...

Nie patrzył na płaczącą teraz Mariannę, na Olega, który zaczął podtykać dziewczynie swój ostatni kawałeczek mięsa, jakby była malutkim dzieckiem, na pokasłującego słabo Tomasza, tylko szybko rozwinął swój koc i położył się na nim jak długi. Zasnął albo udał, że zasypia.

Oleg tej nocy prawie nie spał albo wydawało mu się, że nie śpi. Ktoś ogromny przeszedł niedaleko, zasłaniając błękitne światło poranka, potem zaraz bardzo się oziębiło - koza wstała i zaczęła szukać jakiegoś pożywienia - a potem Olega ugryzła pchła. Nie wiadomo, skąd się wzięła. Może ukrywała się dotychczas w odzieży albo w koziej sierści.

Ukąszenie śnieżnej pchły nie da się z niczym pomylić. I nikt nie myli, bo na razie nie wiadomo jeszcze jak się przed pchłami uchronić i jak leczyć skutki ich ukąszenia. To jest nieodwołalne jak śmierć. Można płakać, krzyczeć, wołać ratunku, ale i tak nikt nie pomoże. Wszystko odbywa się jak w zegarku. Najpierw ukłucie - zimne i lodowate, jak gdyby ktoś wbijał pod skórę cieniutki sopelek, który tak pali, że człowiek natychmiast się budzi i zamiera w bezsilnym przerażeniu. A potem nic - przez całą godzinę nic się nie dzieje. A jeszcze potem człowiek traci rozum. Zawsze i jednakowo, bez względu na to, czy przytrafia

się to mądremu czy głupiemu, dziecku czy starcowi. Przez pół godziny, godzinę człowiek znajduje się we władzy koszmarów. Stary mówił, że gdyby miał mikroskop, łatwo by się z tą chorobą rozprawił zrozumiał, jaki fragment mózgu zostaje zaatakowany i jak pchla toksyna działa na układ nerwowy... Człowiek zaczyna szaleć, dziczeje, nikogo nie poznaje, może zabić kogoś najbliższego, a potem nie będzie pamiętał, jak to się stało. Kiedy w wiosce zdarzył się pierwszy przypadek tej choroby, nikt nie wiedział, co się stało. Trzeba było jeszcze kilku nieszczęść, żeby ludzie zrozumieli, że z tym amokiem, z pchlą gorączką nie trzeba walczyć, należy po prostu związać chorego i poczekać, aż odzyska przytomność. Dlatego, kiedy Oleg poczuł lodowate ukłucie pchły, natychmiast ocknął się i obudził innych. Dick - powiedział przepraszającym tonem. - Masz gdzieś pod ręką postronek?

- No i znowu nie wyjdziemy o czasie! - wykrzyknął Dick.

- Przecież to przejdzie - powiedział Oleg.

- Po ataku trzeba co najmniej dwie godziny leżeć, wiem to po sobie - powiedział Dick. Nie złościł się, na Olega, tylko na los, na pecha prześladującego wyprawę.

Uczucie zimna w biodrze, tam gdzie ukąsiła pchła nie mijało. Oleg wciąż czuł ukłucie i wyobraża sobie, jak zatruta mikroskopijną kropelką jadu krew płynie do mózgu, aby nań napaść. Dick bez pośpiechu sprawdził postronek, a Marianna rozpalała ognisko.

- No cóż - powiedział Dick - podstawiaj się.

- Tylko żebyś czegoś sobie nie złamał - powiedziała Marianna. - Biedny Oleg!

- Nie pierwszy raz kogoś krepuje - powiedział Dick. - To paskudna rzecz, ta pchła. Rozluźnij się, Oleg i myśl o czymś innym, tak będzie ci łatwiej..

Najpierw związał Olegowi ręce na plecach, potem omotał mu pierś i nogi. Postronek wrzynał się w ciało, ale Oleg nie oponował, bo wiedział, że w ataku gorączki człowiek, tak samo jak szaleniec, robi się silny jak niedźwiedź.

- No tak - powiedział Dick. - Chyba nieźle cie związałem. Nie pije?

- Pije - Oleg spróbował się uśmiechnąć, ale policzki miał już zupełnie zdrewniałe.

- Słuchaj... - Dick rozejrzał się dokoła. - Gdzie jest koza?

- Koza? W nocy ją słyszałem.

- Pytam się, gdzie jest koza?! - głos Dicka zrobił się piskliwy ze złości. Przywiązałaś ją?

- Przywiązałam ją - odparła Marianna - ale ona pewnie się odwiązała.

- Pytam się, gdzie jest koza?! - Widocznie kipiąca w Dicku złość musiała znaleźć ujście, no i akurat nawinęła się koza, jako symbol wszelkich niepowodzeń.

- Dick, nie złość się - powiedziała Marianna, która starała się okryć Olega kocami. - Koza na pewno szuka czegoś do zjedzenia, bo przecież żywe stworzenie musi jeść...

- Tu nie ma czego szukać. Dlaczego jej nie przywiązałaś? Dick wyjął spod namiotu swoją kusze i wsunął nóż za pas.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Marianna, chociaż doskonale wiedziała dokąd. Dick rozglądał się uważnie dokoła, starając się wypatrzyć na śniegu ślady zwierzęcia.

- Tak myślałem - powiedział. - Poszła z powrotem. W dół. Przez noc mogła przejść ze dwadzieścia kilometrów.

- Dick, zostań tu - powiedział nagle Tomasz głośno i wyraźnie. - Marianna sama znajdzie kozę, a ty ją przecież zabijesz.

- Możesz być tego pewien - odpowiedział Dick. - Możesz być tego pewien, że mam dość waszej głupoty!

- Pójdę, znajdę ją! - Marianna zapomniała o wrzątku. - Ty nie powinieneś teraz odchodzić. Tomasz jest chory, a Olega trzeba pilnować.

- Nic mu się nie stanie. - Dick przegarnął palcami bujną grzywę włosów. - Dasz sobie rade, Marianna.

I nie odwracając się, szybko i lekko ruszył śladami kozy w dół, tam, skąd wczoraj przybyli.

- On ją zabije - powiedziała Marianna. - Na pewno zabije. Diiick! Odwróciła się do Olega i Tomasza.

- Co robić, powiedzcie, co robić?! Przecież jesteście mądrzy, przecież wszystko wiecie! Jak go powstrzymać?

- Ja tego nie potrafię zrobić - powiedział Tomasz. - Niestety, już nie jestem dla niego żadnym autorytetem.

- Zaraz... - odezwał się Oleg. - Tylko mnie rozwiąż. Może zdążę przed atakiem, może jeszcze zdążę?

Marianna tylko machnęła ręką. Zrobiła dwa kroki w stronę Dicka, zawróciła i popatrzyła na mężczyzn.

- Was też nie wolno zostawić.

- No to biegnij! - krzyknął nagle Tomasz. - Biegnij za nim!

- Mogę?

- Biegnij - powiedział Oleg.

- Ale jak ja was mogę zostawić?... Co będzie, jeśli jakieś zwierze?

- Biegnij! - powtórzył Oleg. -1 wracaj.

I Marianna lekko, jakby w ogóle nie dotykała śniegu, popędziła w dół za niewidocznym już Dickiem.

Koc, którym Marianna przykryła Olega, spadł z niego, chłopak nie utrzymał się pod skałą i zwalił się w śnieg. Oczy miał zamknięte, wargi rozedrgane, a twarz pociemniała z napięcia i wysiłku, z jakim chciał rozerwać wieży. Tomasz spróbował unieść się, wstać, żeby pomóc Olegowi, przykryć go albo przynajmniej ułożyć jego głowę na kolanach. Trzymanie głowy w czasie ataku bardzo choremu pomaga. Tomasz próbował wstać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Oleg wyprężył grzbiet i dosłownie wyskoczył w powietrze, odpychając się pięściami od ziemi Potoczył się w dół zbocza, parokrotnie przekoziołkował, uderzył w głaz sterczący spod śniegu i znieruchomiał. Kurtkę miał w strzępach i śnieg nie tajał na jego nagiej piersi.

Tak nie można, pomyślał Tomasz, trzeba koniecznie do niego dotrzeć. Cholerna koza, cholerny Dick z jego cholernym kompleksem silnej jednostki. A przecież ten chłopak jest pewien, że ma racje i jest pewien, że powoduje nim wyłącznie troska o dobro nas wszystkich. I rzeczywiście ma racje - z punktu widzenia dzikusa, który nie umie patrzeć w przyszłość... Może istotnie Borys ma słuszność? Czy aby nie za szybko człowiek społeczny, homo chdlisatus staje się dzikusem? Może popełniliśmy błąd, pozwalając wyrastać na wilczęta, żeby łatwiej było im wyżyć w lesie? Ale przecież nie mieliśmy wyboru. Przez piętnaście lat my, dorośli, nie zdołaliśmy przecież dotrzeć do przełęczy. I nikt by tam nie dotarł, gdyby nie dojrzał Dick i Oleg. Ciekawe, ile teraz mam gorączki? Pewnie powyżej czterdziestu stopni... Bardzo trudno oddychać. Nic dziwnego, obustronne zapalenie płuc. To jasne, taką diagnozę każdy potrafi postawić sobie nawet bez lekarza. Jeśli nie dotrę do statku, to już po mnie. Mięso najtłuściejszej nawet kozy mi nie pomoże. A iść musze sam, bo dzieciaki nie doniosą mnie do przełęczy... Co z Olegiem? Ta pchła, to już największy pech... Wygląda na to, że jakieś fatum ukryte w skałach lub w lesie nie pozwala nam na powrót do człowieczeństwa, że las pragnie przekształcić nas w swoje dzieci, w szakale na dwóch nogach, że zgadza się tolerować wioskę, ale jedynie jako swoje przedłużenie. Kontynuacje, a nie negacje. Tam, za głazem ciemnieje urwisko... Niezbyt wysokie, ale jeśli Oleg teraz spadnie na dół, to z pewnością się zabije. Jest przecież związany. Gdzie postronek, gdzie drugi postronek, trzeba przywiązać go do tego kamienia...

Tomasz liczył w duchu oddechy, jęczał i pełznął. Pełznął na szczęście w dół, gdyż nawet po równym nie zdołałby się posunąć nawet o krok. Śnieg, który dostał mu się pod ubranie straszliwie palił w obolałą, pękającą od kaszlu pierś. Pełznął wiec w dół, ciągnąc za sobą nieprawdopodobnie ciężki, ołowiany postronek, który wił się za nim jak wąż.

Oleg zatrzepotał po ptasiemu, usiłując zerwać opasującą go linkę. Głowa rytmicznie załomotała o kamień i Tomasz wręcz fizycznie wyczuwał ból chłopaka, dręczący go jak koszmar, ale mimo to realny Olegowi w tym momencie wydawało się, że przygniótł go dach domu.

Zostało najwyżej dziesięć metrów drogi. Tomasz doskonale wiedział, że chłopak go nie słyszy, że nie może słyszeć, ale ciągle powtarzał: - „Poczekaj, jestem już niedaleko” - i starał się unieść głowę, aby zobaczyć czy nie wraca Marianna lub Dick, lecz oni jak na złość nie wracali...

Musiał dopełznąć, zdążyć dopełznąć zanim Oleg stoczy się na skraj urwiska. Wtedy będzie za późno również na to, aby wspinać się na przełęcz i zakończyć wyprawę trwającą dla Tomasza piętnaście lat. Te małe głuptasy nie wiedzą, że tam, za przełęczą, przede wszystkim i najpierw znajdą paczkę, papierosów. Niechaj oni biegają, gapią się. na wszystko okrągłymi ze zdziwie-

nia oczami, a ja siądę na fotelu, na miękkim wygodnym fotelu i po raz pierwszy od tylu lat zaciągnę się papierosem. Marianna się przestraszy i zdziwi, dlaczego idzie ze mnie dym, a mnie od pierwszego papierosa zakręci się lekko w głowie... Dlaczego teraz kreci mi się w głowie? Przecież nie pale!

Kiedy Tomasz wreszcie dotarł do Olega - na kilka sekund stracił przytomność, bo wszystkie siły strawił na to, żeby dopełznąć. Ciało, powodowane jedynie tym szalonym pragnieniem, odmówiło teraz posłuszeństwa.

Ocucił go poryw lodowatego wiatru, niosący tuman ostrych kryształków śniegu, a może niewyraźne mamrotanie Olega i jego chrapliwy oddech. Tomasz marzył o tym, żeby zamknąć oczy i leżeć nieruchomo... Ale Oleg znów się sprężył, odepchnął skrępowanymi nogami od głazu i przesunął o jakiś metr w stronę urwiska. Tomasz podciągnął do siebie postronek, zastanawiając się, jak by tu przywiązać chłopaka do ostrego kamienia i w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jak to się robi. A potem okazało się, że jego ręka jest pusta - postronek leżał o kilka metrów za nim. Tomasz podciągnął się, żeby chwycić Olega za nogi, ale chłopak szarpnął się i odepchnął ciało starego człowieka, które już nie czuło bólu.

Tomasz zrozumiał, że w ten sposób Olega nie utrzyma, że chłopak nadal będzie się wyrywał, to nawet związany, jest o wiele silniejszy od niego - i dlatego wznowił swoją ślimaczą wędrówkę nad skraj przepaści, żeby znaleźć się miedzy nią a Olegiem, stać się zaporą, przeszkodą, ciężką nieruchomą kłodą. Wydawało mu się, że pełznie kilka godzin i przez cały ten czas namawiał, błagał Olega, żeby ten poleżał jeszcze trochę spokojnie. Kiedy wreszcie dotarł do wąskiej półki, oddzielającej Olega od przepaści, chłopak zsunął się już tak nisko, że Tomasz musiał dosłownie wcisnąć się miedzy jego ciało a ostre kamienie na krawędzi urwiska.

I z pewnością Tomaszowi udałoby się przetoczyć Olega w górę, chociaż o kilka metrów, ku bezpieczeństwu, gdyby sam zdołał utrzymać się na powierzchni rzeczywistości i gdyby nie postanowił odpocząć parę sekund, zanim zabierze się do swojej syzyfowej pracy...

Marianna przybiegła do obozowiska zadyszana i rozgorączkowana. Wydawało się jej, że droga zajęła jej parę minut, a w rzeczywistości nie było jej ponad godzinę. Biegła wprost do namiotu i dlatego nie od razu zrozumiała, co się stało. Zobaczyła tylko, że obóz jest pusty i w pierwszej chwili nawet uniosła brzeg namiotu, sądząc, że Tomasz kryje się tam przed śniegiem, chociaż płachta namiotu leżała płasko i nikogo pod nią nie mogło być.

Rozejrzała się zdezorientowana dokoła i zobaczyła ślad na śniegu, biegnący w dół ku skale, ślad taki, jakby ktoś ciągnął po ziemi coś ciężkiego. Od razu wyobraziła sobie coś straszliwego - jak to zwierze zostawiające beczkowate tropy - ciągnącego obu mężczyzn. A winna temu była tylko ona, bo pobiegła ratować kozę i zapomniała o ludziach, o chorych ludziach w śnieżnej pustyni, czego robić nie wolno, nie wolno, nie wolno. I wszystko wyszło okropnie i głupio, bo nie dopędziła Dicka i nie znalazła kozy, tylko przestraszyła się samotności wśród dzikich skał, zlękła się, że nie znajdzie drogi powrotnej do obozowiska, zlękła się o Tomasza i Olega, którzy zostali sami i bezbronni, popędziła z powrotem, ale spóźniła się, spóźniła. Marianna ruszyła wolniutko w dół, pociągając nosem i powtarzając płaczliwie:

- Mamusiu, mamusiuuu...

Na śniegu nie wiadomo czemu leżał postronek. Oleg się rozwiązał?

Obeszła szary głaz i zobaczyła, że na krawędzi urwiska leży związany Oleg, a Tomasza nigdzie nie ma.

- Oleg! Oleg! - krzyknęła. - Żyjesz?

Oleg nie odpowiedział. Spał. Ludzie zawsze zasypiają, kiedy kończy się atak. Był sam, ale ślad jego ciała ciągnął się dalej, ku urwisku i kiedy Marianna spojrzała w dół - zobaczyła, że tam, niedaleko, o jakieś pięć metrów, leży Tomasz. Tomasz leżał w spokojnej, jakby nawet rozluźnionej pozie i dlatego dziewczyna nie od razu zrozumiała, że Tomasz już nie żyje. Pojęła to dopiero wtedy, kiedy pospiesznie zeszła na dół i długo tarmosiła go, starając się obudzić. Zrozumiała, że Tomasz spadł ze skały i zabił się. Oleg, który ocknął się, słysząc dobiegający z dołu hałas i lamenty Marianny, zapytał:

- Marianna, co się stało ?

Zapełnię nie pamiętał, jak zepchnął Tomasza w dół, chociaż potem, według śladów i urywkowych majaczeń Olega, zdołali sobie odtworzyć całą sytuację, zrozumieć co i dlaczego się wydarzyło i domyślić się, dlaczego umarł Tomasz.

Dick wrócił do obozowiska po dalszych dwóch godzinach. Nie dopędził kozy i stracił jej trop na wielkim piarżysku. W drodze powrotnej napotkał ślady wielkiego nieznanego zwierzęcia i ruszył za. nim. Postanowił ustrzelić zwierzynę, bo uznał, że kiedy przyjdzie do obozu z łupem to będzie mógł powiedzieć, że umyślnie zostawił kozę w spokoju, żeby zrobić przyjemność Mariannie. I świecie uwierzył w to, że zrobiło mu się żal Marianny, bo nie znosił żadnych niepowodzeń.

Kiedy dowiedział się, co zaszło w obozie pod jego nieobecność, zachował się o wiele trzeźwiej i spokojniej niż pozostali. Powiedział do Olega:

- Nie gadaj głupstw. Nie jesteś przecież smarkaczem! Nikogo nie zabiłeś i niczemu nie jesteś winien. Przecież nie wiedziałeś, że spychasz Tomasza. Powinieneś mu być wdzięczny, że starał się utrzymać cie na skale. Może nic nie zdążył zrobić i pewnie tak było, ale jednak chciał cie uratować. Może nawet dobrze się stało, bo Tomasz był bardzo chory i mógł w każdej chwili umrzeć, a chciał iść na przełęcz. Trzeba by go nieść i przez to wszyscy by zginęli. Nikt nie doszedłby do przełęczy i nikt by nie wrócił.

- Chcesz uspokoić Olega - powiedziała zapłakana Marianna. - Chcesz uspokoić Olega, a winni jesteśmy my oboje. Zostawiliśmy ich na pastwę losu. Gdybyśmy nie pobiegli za kozą, Tomasz by żył.

- Racja - odparł Dick. - Nie powinnaś lecieć za mną. To była głupota. Kobieca głupota.

- Czyżbyś nie miał sobie nic do zarzucenia? - zapytała Marianna.

Tomasz leżał miedzy nimi z kocem zaciągniętym na twarz i jakby uczestniczył w tej rozmowie.

- Nie wiem - powiedział Dick. - Poszedłem za kozą dlatego, że potrzebujemy mięsa. Potrzebujemy go, żeby dojść. Wszyscy go potrzebujemy. Ja najmniej, bo jestem z was najsilniejszy.

- Nie chce więcej z nim rozmawiać - załkała Marianna. - On jest zimny jak ten śnieg.

- Chce być sprawiedliwy - powiedział Dick. - Nic nie pomoże jak będziemy lamentować i narzekać. Tracimy czas. Południe już dawno minęło.

- Oleg jest jeszcze za słaby, żeby iść - odpowiedziała Marianna.

- Nie jest tak źle - odezwał się Oleg. - Mogę ruszać. Trzeba tylko wziąć od Tomasza mapę i licznik promieniotwórczości. Mówił mi, że jeśli coś mu się stanie, trzeba wziąć te rzeczy.

- Nie trzeba - powiedział Dick.

- Dlaczego?

- Dlatego, że wracamy - powiedział Dick spokojnie.

- Ty tak postanowiłeś? - zapytał Oleg.

- To jedyna droga ratunku. Pojutrze będziemy w lesie, a tam coś upoluje. Doprowadzę was do wioski, obiecuje.

- Nie - odparł Oleg. - Idziemy dalej.

- Głupio gadasz - powiedział Dick. - Teraz nie mamy szansy na pokonanie przełęczy.

- Mamy mapę,

- Dlaczego jej wierzysz? Mapa jest stara. Wszystko mogło się zmienić. I nikt nie wie, jak długo trzeba jeszcze iść o głodzie po tym nagim śniegu.

- Tomasz powiedział, że szliśmy bardzo szybko, że został nam jeszcze tylko dzień drogi.

- Tomasz się mylił. Sam chciał tam dojść i dlatego mógł nas oszukiwać.

- Tomasz nas nie oszukiwał. Powiedział, że tam jest dużo jedzenia i że będziemy uratowani.

- On chciał w to wierzyć, ale był chory i nie bardzo rozumiał, co mówi. A ja wiem dobrze. Jestem pewien, że przeżyjemy tylko wtedy, kiedy zawrócimy.

- Ja pójdę na przełęcz - powiedział Oleg. Powiedział to patrząc na ciało przykryte kocem, jakby zwracał się do Tomasza, obiecywał mu pójść i dojść.

- Ja też pójdę - powiedziała Marianna. - Czy ty tego nie rozumiesz?

- Marianna! - wykrzyknął Dick i rąbnął pięścią w kamień. - Mogę jeszcze zrozumieć Olega, któremu Stary zawrócił w głowie. Zawsze mu powtarzał, że jest mądrzejszy i lepszy od nas, że jest niezwykły. On nie mógł być lepszy od nas w wiosce i w lesie. Zawsze nam ustępował, nawet tobie. Jemu ta bajka o , przełęczy i gadanina o dzikusach, którymi nie mamy prawa się stać, jest bardzo potrzebna. A ja nie czuje się dzikusem. Nie jestem głupszy od niego. Jeśli Oleg jest tak pewien swego, to niech idzie sam. A ciebie nie puszcze i zabiorę na dół.

- Idiota! - wrzasnęła Marianna. - Wysłała nas wioska. Czekają na nas i bardzo liczą, że nam się uda.

- Żywi przyniesiemy więcej pożytku.

- Idziemy - powiedział Oleg i wyciągnął rękę w stronę koca, żeby wyjąć spod niego mapę i licznik.. Potem powiedział wolno: - Wybacz Tomaszu, że przeze mnie nie doszedłeś. Wybacz, że zabieram ci' takie cenne przedmioty - i odrzucił koc. Tomasz leżał z zamkniętymi oczami, twarz mu zbielała, a wargi zapadły. Oleg nie potrafił zmusić się do dotknięcia zimnego ciała.

- Poczekaj, ja sama - powiedziała Marianna. - Poczekaj...

Dick wstał, podszedł do skały, podniósł z ziemi manierkę, odkręcił ją i wylał resztkę koniaku na śnieg. Ostry, nieznajomy zapach zawisł w mroźnym powietrzu. Po chwili Dick zakręcił pokrywkę i przewiesił manierkę przez ramie. Nikt nie odezwał się nawet słowem. Marianna podała Olegowi złożoną we czworo mapę i licznik promieniotwórczości, a potem jeszcze nóż Tomasza.

- Nie damy rady go zakopać - powiedział Dick. - Trzeba zanieść go pod skałę i przysypać kamieniami.

- Nie! - powiedział Oleg.

Dick uniósł w zdumieniu brwi.

- A co proponujesz?

Głupio byłoby mu odpowiedzieć, że na Tomasza nie wolno rzucać kamieni. Przecież Tomasz jest martwy i wszystko mu teraz jedno.

Wszystko zrobił Dick. Oleg z Marianną tylko trochę mu pomogli. O niczym więcej już nie rozmawiali. Oleg i Marianna w milczeniu przygotowali się do drogi, zarzucili na plecy całkiem lekkie worki - nawet drzewa zostało najwyżej na dwa ogniska - rozdzielili na trzy części ostatnie skrawki wędzonego mięsa, a potem Marianna odniosła Dickowi jego porcje. Dick bez słowa wsunął mięso do kieszeni. Potem Marianna i Oleg wstali i nie oglądając się ruszyli w górę, ku przełęczy.

Dick dopędził ich po jakichś stu metrach. Dognał, potem wyprzedził i odtąd szedł na czele. Oleg ledwie się wlókł, bo jeszcze nie przyszedł całkowicie do siebie po ataku pchlej gorączki, a Marianna kulała, gdyż rozbiła sobie nogę, kiedy wdrapywała się na urwisko, wiec Dick szedł powoli, żeby nie zostawali w tyle. Przeszli najwyżej dziesięć kilometrów, może nawet mniej, kiedy ściemniło się i trzeba było zatrzymać się na nocleg.

Oleg zwalił się w śnieg i natychmiast usnął. Nie można go było dobudzić. żeby napił się wrzątku ze słodkimi korzonkami i dlatego nie widział tego, co zobaczyli Dick i Mananna. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, chmury rozstąpiły się. nagle i na niebie pokazały się gwiazdy, których nikt z nich nigdy nie widział. Potem niebo znów się zachmurzyło, Marianna też usnęła, a Dick długo jeszcze siedział przy wygasłym ognisku z nogami w ciepłym popiele; patrzył w niebo i czekał, że może chmury znów się rozejdą. Słyszał o gwiazdach - starsi ciągle mówili o gwiazdach - ale nigdy nie przypuszczał, jaka przestrzeń i majestat otwiera się przed człowiekiem, który widzi gwiazdy. Wiedział, że nigdy już nie wróci do wioski, ale był dumny z tego, że jest człowiekiem.

Wstali wcześnie, wypili dużo gorącej wody z roztopionego śniegu i dojedli słodkie korzonki, które tylko wzmogły głód. Tego dnia szli o wiele wolniej niż dotychczas, wlekli się noga za nogą i nawet Dick czuł się śmiertelnie zmęczony.

Nieszczęście polegało na tym, że nie wiedzieli, czy dobrze idą. Na mapie były narysowane punkty orientacyjne, które w terenie nie miały odpowiedników. Zrozumiałe, dlaczego: ludzie szli tedy poprzednim razem w zimie, kiedy było wiele śniegu, silny mróz i mgła, wiec teraz wszystko mogło wyglądać inaczej.

Wpadli w rozpacz, bo przełęcz była abstrakcją, w którą nie sposób było uwierzyć tak samo, jak nie można sobie wyobrazić rozgwieżdżonego nieba, jeśli się go nie widziało i zna jedynie z opowiadań. Oleg^ bardzo żałował, że zasnął i przegapił niebo, ale miał nadzieje, że widowisko powtórzy się następnej nocy. Przecież chmury na niebie pociemniały, czasami prześwitywał przez nie błękit, a dokoła było o wiele jaśniej niż na dole, w lesie.

W południe, kiedy wszyscy zupełnie już opadli z sił, Dick kazał się zatrzymać i zaczął rozcierać śniegiem odmrożone policzki Marianny. Wtedy Oleg zobaczył opodal na śniegu granatową plamę. Powiedział o niej pozostałym nie od razu, bo do plamy było jakieś sto kroków, a nie miał już siły, żeby zrobić chociaż jeden.

Kiedy wreszcie Dick powiedział, że pora ruszać, Oleg pokazał mu granatową plamę. Poszli w jej stronę. Z każdym krokiem szybciej, bo najtrudniej jest wstać i przejść pierwsze parę kroków, zwłaszcza wtedy, kiedy się wie, że nie ma już nic do jedzenia i nawet drzewo na opał się skończyło.

To była krótka granatowa kurtka z mocnego, cienkiego materiału. Wmarzła do połowy w śnieg, a jeden wypchany śniegiem rękaw sterczał do góry. Dick okopał śnieg dokoła, żeby wydobyć z niego kurtkę, a Olega opanowała nagle jakaś gorączkowa niecierpliwość.

- Daj spokój - powiedział ochryple. - Po co? Przecież już niedługo dojdziemy. Rozumiesz, jesteśmy na dobrej drodze!

- Ta kurtka jest mocna - odparł Dick - i bardzo nam się przyda. Marianna całkiem już zamarzła.

- Ja jej nie potrzebuje - powiedziała Marianna. - Chodźmy już lepiej.

- Idźcie, ja was dogonię - powiedział Dick z uporem. - No, idźcie!

Ruszyli dalej, a Dick dogonił ich po piętnastu minutach, niosąc kurtkę w reku. Marianna nie chciała jej jednak założyć, mówiąc, że kurtka jest zimna i mokra. Ale najważniejsze było to, że to była cudza kurtka, że ktoś ją nosił. I jeśli zdjął i rzucił, to może zginął, bo przecież wtedy zginęło wielu ludzi. Wiadomo, że z przełęczy wyszło siedemdziesiąt sześć osób, a do wioski dotarło niewiele ponad trzydzieści. Marianna bała się wiec zobaczyć tych, którzy nie doszli.

Nie dotarli tego dnia do przełęczy, chociaż Olegowi wciąż się wydawało, że przełęcz będzie lada moment: wyminiemy tylko ten jęzor lodowca - i będzie przełęcz. Pokonamy tylko to piarżysko - i będzie przełęcz... Tymczasem podejście stawało się coraz bardziej strome, a powietrza było coraz mniej.

Nocowali, a właściwie przeczekiwali noc, przytuleni do siebie, owinięci wszystkimi kocami i przykryci namiotem. Było tak zimno, że tylko przysypiali na moment, a potem budzili się, żeby zamienić się miejscami. Marianna, która leżała w środku, prawie nie dawała ciepła. Zrobiła się bezcielesna i kanciasta, jak wychudzony ptak. Wstali o pierwszym brzasku. Nad nimi było granatowe rozgwieżdżone niebo, ale oni nie patrzyli na nie, a Olega ono nie zdziwiło.

Potem przyszedł dzień. Przez chmury, przezroczyste jak mgła, świeciło słońce, zimne i jaskrawe, którego również nigdy nie widzieli. Ale oni nie patrzyli również na słońce. Wlekli się, pokonując szczeliny lodowca, obchodząc skalne uskoki i piarżyska, byle tylko naprzód i naprzód. Jako pierwszy szedł Dick, wybierając drogę, przewracając się i potykając częściej niż inni, ale ani na chwile nie ustępując pierwszeństwa. On też pierwszy wszedł na przełęcz, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, bo stromizna, po której się wdrapywali, niezauważalnie dla oka wyrównała się i przeszła w płaskowyż, za którym widniały zębate, poszarpane szczyty gór. Całe szeregi pokrytych śniegiem i błyszczących w jaskrawym słońcu szpiczastych wierzchołków... Po dalszej godzinie ukazała się w dole kotlina, pośrodku której, ogromny nawet stąd, z kilometrowej wysokości, leżał ciemny dysk, lśniący matowym metalem. Dysk leżał w lekkim przechyle dokładnie pośrodku tej kotliny. Właśnie tam kapitan zdołał dociągnąć statek, kiedy po wybuchu w maszynowni przyrządy pokładowe kolejno zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Wylądował w tej kotlinie, choć była wtedy zima, trzaskający mróz, zamieć i noc.

Stanęli obok siebie. Trójka obszarpanych, wynędzniałych dzikusów z kuszami w rekach i workami ze skór zwierzęcych na ramionach, opalonych mrozem i śniegiem, czarnych z głodu i zmęczenia - trzy mikroskopijne figurki w ogromnym, pustym, milczącym i obcym świecie. Siali tak i patrzyli na martwy sta-

tek, który szesnaście lat temu runął na te planetę. Runął i nigdy już nie wystartuje.

Potem zaczęli schodzić w dół stromym zboczem, czepiając się kamieni i starając się nie biec, schodzili coraz szybciej i szybciej, chociaż nogi odmawiały im posłuszeństwa.

W godzinę później byli już na dnie kotliny.

Szesnaście lat temu Oleg miał rok z kawałkiem, a Dick niecałe dwa lata. Marianny jeszcze wtedy nie było na świecie. Nie pamiętali wiec, jak wylądował tu, w górach, statek badawczy „Polus". Ich pierwsze wspomnienia wiązały się z wioską, zwyczaje żwawych, rudych grzybów i drapieżnych lian poznali wcześniej niż usłyszeli od starszych o tym, że są gwiazdy i inne światy. I las był dla nich o wiele bardziej zrozumiały niż opowieści o rakietach lub domach, w których może mieszkać tysiąc ludzi na raz... Prawa lasu, prawa wioski, powstałe po to, aby zachować przy życiu garstkę ludzi, proste prawa instynktu samozachowawczego ciągle usiłowały wyprzeć z pamięci Ziemie i zamiast pamięci zrodzić abstrakcyjną nadzieje, że kiedyś wreszcie ich odnajdą i ta cała mordęga się skończy. Ale jak długo można cierpieć i czekać, aż to się skończy? Dziesięć lat? Dziesięć lat już minęło. Sto lat? Sto lat znaczy, że znajdą i uratują nie ciebie, lecz twojego prawnuka, jeśli go będziesz miał i jeśli w ogóle wioska zdoła przetrwać tak długo. Nadzieja żyjąca w starszych dla drugiego pokolenia zupełnie nie istniała, gdyż przeszkadzała im tylko żyć w lesie. Ale te nadzieje trzeba im było przekazać za wszelką cenę, bo nawet ze śmiercią można się pogodzić, jeśli człowiek ma świadomość przedłużenia swego rodu. Śmierć wtedy staje się ostateczna, kiedy wraz z nią ginie nie tylko sam człowiek, lecz również i to, co wiązało go z życiem.

Dlatego zarówno nauczyciel, jak i wszyscy inni starsi w miarę własnych sił starali się wykształcić w dzieciach poczucie przynależności do Ziemi, myśl o tym, że prędzej czy później izolacja się skończy. Jedynym realnym łącznikiem z tamtym światem był statek za przełęczą. Statek istniał, można było do niego dotrzeć jeśli nie w tym tysiącdniowym roku, to w następnym, kiedy dzieci dorosną na tyle, że zdołają dotrzeć do przełęczy. Zdołają, jeśli zechcą, gdyż wewnętrznie oderwały się już od Ziemi, gdyż statek jest dla nich obcy, a las - swój. To ofiarowywało im możliwość przeżycia, której pozbawieni byli starsi, lecz w ostatecznym rachunku zagrażało śmiercią wiosce - ludzkiej kolonii.

Dick, Oleg i Marianna schodzili do kotliny, zbliżali się do statku, który mimo swego realnego ogromu pozostawał dla nich świętym symbolem i legendą. Nikt z nich nawet by się nie zdziwił, gdyby przy dotknięciu statek rozsypał się w proch. Wracali do domu swych ojców, który przerażał ich tym, że zawędrował do tej mroźnej kotliny ze snów i baśni opowiadanych przy mętnym świetle kaganka w szałasie, kiedy za malutkim okienkiem z rybią skórą zamiast szyby ryczy śnieżna zamieć lub szeleści nieskończony deszcz cuchnący zgnilizną.

Istnienie statku odrodziło sny i legendy, nadało im nowy sens i nałożyło abstrakcyjne obrazki, zrodzone w wyobraźni i dlatego nieprecyzyjne, na realność jego ogromu. Starsi nigdy nie potrafili pojąć tej sprzeczności. Nic dziwnego, wszak dla nich za opowieścią o tym, jak nastąpiła katastrofa, jak nadszedł mróz i ciemność - stała pamięć o pustych korytarzach, w których stopniowo gaśnie światło i zaczynają wirować wdzierające się z zewnątrz kryształki lodu, o milknących silnikach awaryjnych i terkocie liczników promieniotwórczości. Dla słuchaczy - Olega i jego rówieśników - w opowieści zrozumiałe były jedynie kryształki lodu, płatki śniegowe, a korytarze kojarzyły im się z gąszczem lasu lub ciemną jaskinią, bo przecież wyobraźnia karmi się tylko tym, co człowiek sam widział i słyszał.

Teraz stało się zrozumiale, jak uciekali stąd ludzie. Nieśli dzieci i rannych, chwytali w pośpiechu te rzeczy, które wydawały się im najniezbędniejsze na początek. Nikt w tym momencie jeszcze nie myślał, że przyjdzie mu żyć w tym świecie zawsze, borykać się z nim na śmierć i życie, aby w końcu umrzeć. Gigantyczna skala i niewiarygodna potęga cywilizacji kosmicznej nawet tu dawały fałszywą pewność, że cały ten tragiczny wypadek jest w gruncie rzeczy jedynie przejściowym zakłóceniem, przypadkową awarią, która wkrótce zostanie usunięta, jak wszelkie inne zakłócenia i awarie.

To jest właśnie ten właz.

Opuszczając statek, jak mówił Stary, zamknęli go, zaś drabinę awaryjną, po której zeszli na śnieg, odstawili pod pobliski nawis skalny. To miejsce było zaznaczone na mapie, ale drabiny nie trzeba było szukać, bo śnieg stajał i drabina była dobrze widoczna. Niebieska farba złuszczyła się w niej w paru miejscach, a gdy Dick podniósł ją, na ziemi został wyraźnie odbity rysunek stojaków i szczebli.

Dick pstryknął paznokciem w drabinę.

- Lekka - powiedział. - Trzeba będzie zabrać.

Nikt mu nie odpowiedział. Marianna i Oleg stali opodal z zadartymi do góry głowami i gapili się na ogromny brzuch statku. Statek wydawał się zupełnie cały i zdolny do natychmiastowego lotu. Oleg wyobraził sobie nawet, jak ten ogrom odrywa się od gruntu, wznosi się, coraz szybciej i szybciej, wzbija się w błękitne niebo i staje się czarnym krążkiem, punkcikiem w bezdennym błękicie...

Zmęczenie ustąpiło. Ciało było lekkie i posłuszne i niecierpliwa chęć, aby jak najszybciej zajrzeć do wnętrza potwora, mieszała się ze strachem, obawą przed zniknięciem na zawsze w metalowej skorupie statku.

Oleg przeniósł wzrok na pokrywę włazu awaryjnego. Ileż to razy Stary powtarzał mu: „Właz awaryjny nie jest zamknięty. Myśmy go tylko przymknęli. Wejdziesz do niego po drabince, która jest bardzo lekka i przede wszystkim zmierzysz poziom promieniotwórczości. Promieniowania już nie powinno być, bo minęło przecież szesnaście lat, ale musisz to sprawdzić. Wtedy promieniowanie było jednym z powodów, który zmusił nas do tak szybkiej ucieczki. Mróz i promieniowanie radioaktywne. Czterdzieści stopni mrozu, ogrzewanie nie działa, no i promieniotwórczość... Musieliśmy stamtąd uciekać, bo nie mogliśmy zostać. Chociaż oddalać się od statku też nie mogliśmy, bo nie wiedzieliśmy przecież, że uda się nam dotrzeć w doliny, gdzie jest las i trochę cieplej". Dick chodził wokół statku, przewracając grotem dzidy puste skrzynki i puszki. Poniewierało się tam również wiele innych rzeczy, które ludzie wyładowali ze statku, ale musieli zostawić.

- No jak? - zapytał Oleg. - Wchodzimy do środka?

- Idziemy - powiedział Dick, a potem podniósł drabinę i przystawił do włazu. Wszedł po niej, wsunął w szczelinę nóż Tomasza i nacisnął. Nóż się złamał. Może on się zatrzasnął? - powiedziała z dołu Marianna.

- Zostaliśmy zupełnie bez noży - burknął Dick.

- Stary mówił, że właz jest otwarty - zauważył Oleg.

- Stary wszystko zapomniał - powiedział Dick. - Czy starym w ogóle można wierzyć?

- Tomasz by wiedział co trzeba zrobić - westchnęła Marianna i rozpłakała się.

Dick pchnął pokrywę włazu. Bez skutku. Wtedy uderzył w nią pięścią i Olegowi wydało się, że powinien rozlec się głęboki, niski dźwięk, ale żadnego dźwięku nie było. Oleg, poruszając wargami, chociaż dobrze czytał, doskonale umiał czytać, odcyfrował wryte w kadłub złote litery „POLUS".

- Zgadza się - powiedział. - „Polus".

- Myślałeś, że znaleźliśmy inny statek? - zapytał Dick i zeskoczył z drabiny w śnieg. - Trzeba się zastanowić. W ten sposób go nie otworzymy.

Marianna dygotała.

- Dziwne - powiedziała. - Nie było zimno, a teraz mnie trzęsie.

- Jesteś głodna - wytłumaczył jej Dick. - Tam na pewno żarcia jest pod dostatkiem. W żelaznych puszkach. Tomasz mówił, że takie jedzenie się nie psuje.

Oleg wdrapał się na drabinę, wyjął z kieszeni licznik promieniotwórczości i przystawił go do wąskiej szczeliny. Strzałka drgnęła, ale do czerwonej kreski nie doszła. Dużo jej jeszcze brakowało. W kotlinie było bardzo cicho, słyszał wiec nie tylko rozmowę w dole, ale nawet oddech Marianny.

- Szkoda, że Tomasz nie doszedł - pociągnęła nosem Marianna. - Tak mi żal, że nie masz pojęcia.

- Pewnie, że szkoda – zgodził się Dick. - Ale on by i tak nie doszedł. I my przez niego byśmy nie doszli.

- Nie wolno tak mówić - powiedziała Marianna. - On to usłyszy i obrazi się.

- Przecież on nie żyje - odparł Dick. - A martwi nie słyszą.

- Nie wiem - powiedziała Marianna. - Może i słyszą.

Oleg nacisnął pokrywę włazu. Ani drgnęła. Jak ją pociągnąć

do siebie?
- Nie wychodzi? - zapytała Marianna. Chmury zakryły słońce i od razu zrobiło się ciemniej, bardziej swojsko.
- Poczekaj! - wykrzyknął Oleg. - Dlaczego właściwie pchamy i ciągniemy pokrywę, jak drzwi domu? Może drzwi statku otwierały się inaczej?
- Daj sobie spokój, złaź - powiedział Dick. - Zaraz przyniosę jakiś kamień.
- Kamieniem nie dasz rady - powiedział Oleg i zamyślił się. Jak mogą otwierać się drzwi? Do środka? Do środka już je pchaliśmy. Drzwi są trochę zagłębione w stosunku do pancerza, a wiec może spróbować popchnąć je w bok? Tak normalnie nie bywa, ale jeżeli statek leci, to lepiej, żeby drzwi nie mogły się przypadkowo same otworzyć. Powiedział do Dicka: - Daj mi nóż.
Dick rzucił mu nóż, wsunął ręce pod pachy i zaczął przytupywać nogami. Zmarzł, nawet on zmarzł. Sypnął suchy śnieg. Byli sami na świecie, umierali z głodu i zimna, a statek nie chciał ich puścić do środka.
Oleg wsunął koniec ułamanego noża w szczelinę i spróbował popchnąć pokrywę w bok. Rozległ się głośny trzask i pokrywa lekko, jakby na to czekała, przesunęła się i znikła w ścianie. W porządku. Oleg nawet nie odwrócił się i nie krzyknął, żeby wszyscy widzieli, jaki to on mądry. Rozwiązał zadanie. Bardzo lubił rozwiązywać zadania. Wprawdzie to było niezbyt trudne, ale inni nie potrafili go rozwiązać. Oleg wetknął nóż za pasek i znowu wydobył licznik promieniotwórczości.
- Oj! - usłyszał głos Marianny. - Oleg otworzył!
- To dobrze - odezwał się Dick. - Właź do środka. Na co czekasz? Licznik wskazał, że niebezpieczeństwa nie ma. Wszystko w porządku.
- Tam jest ciemno - powiedział Oleg. - Daj pochodnie.
Nawet ostatniej nocy, kiedy było bardzo zimno, nie rozpalili pochodni. Zresztą pochodnie dają mało ciepła, tyle że długo płoną.
- Tam jest ciepło? - zapytała Marianna.
- Nie - odpowiedział Oleg i pociągnął nosem. Wewnątrz statku zachował się obcy, niebezpieczny zapach. Ogarnął go lek, ale, w tej chwili zrozumiał, że teraz jest ważniejszy od Dicka, że Dick jeszcze bardziej się boi. Tymczasem Dick wyjął krzesiwo i rozpalił pochodnie, która zajęła się malutkim, prawie niewidocznym w świetle dnia płomieniem. Wdrapał się do połowy drabiny i podał pochodnie Olegowi ale dalej nie poszedł. Oleg wziął pochodnie i wsunął ją do wnętrza statku. Przed nim była ciemność, a pod nogami zaczynała się równa, szorstka podłoga. Oleg powiedział głośno, żeby zagłuszyć strach:
- No to idę. Bierzcie pochodnie i za mną! Będę czekał na was w środku.
Podłoga uginała się trochę pod nogami, jak kora żywych drzew. Oleg wiedział jednak, że podłoga jest martwa i że takich drzew na Ziemi nie ma. Wydało mu się, że ktoś się do niego podkrada. Znierucho-1' miał, ale za chwile zrozumiał, że słyszy odbite od czegoś echo własnego oddechu. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu i światło rozpalającej się pochodni oświetliło zaokrąglającą się u góry ścianę. Jasną i błyszczącą ścianę. Dotknął jej. Była zimna jak kamień.
Wreszcie znalazłem się w domu, pomyślał. Moim domem jest wioska, ale mam również drugi dom, który nazywa się kosmiczny statek badawczy „Polus" i który śnił mi się tysiące razy... Śnił się zupełnie inny niż jest naprawdę. A przecież kiedyś tu byłem. Urodziłem się tu i gdzieś w ciemnej głębi statku znajduje się pokój, w którym stała moja kołyska.
- Gdzie jesteś? - zapytał Dick. Oleg obejrzał się. Sylwetka Dicka prawie bez reszty wypełniała otwór włazu.
- Chodź tutaj, nie bój się - powiedział Oleg. - Tu nikogo nie ma.
- Gdyby był, to dawno by już zamarzł - odparł Dick bardzo głośno. Oleg podał mu swoją pochodnie, żeby tamten mógł przypalić swoją, a potem zapalić pochodnie Marianny.
Z trzema pochodniami od razu zrobiło się jaśniej, chociaż bardzo zimno. O wiele zimniej niż na zewnątrz, bo tam było żywe powietrze, a tu martwe i zastałe. Korytarz wkrótce zakończył się drzwiami, ale Oleg już wiedział, jak je otworzyć. Marianna i Dick zobaczyli jak on to robi i zrozumieli, że Oleg zachowuje się o wiele pewniej niż oni. Może nie była to jeszcze prawdziwa pewność siebie gospodarza, ale w każdym razie jakieś poczucie więzi ze statkiem, który im wydawał się przerażającą, groźną i straszliwą pieczarą. Bali się go tak bardzo, że gdyby nie głód i lek przed lodowatą pustynią, zostaliby na zewnątrz. Gdyby Tomasz dotarł z nimi do statku, wszystko wyglądałoby inaczej. Oleg nie mógł podjąć się roli przewodnika i odkrywcy tajemnic, ale lepszy już był Oleg niż nikt.
Za drzwiami była okrągła sala. Taka ogromna, że zmieściłaby się w niej cała wioska. Mimo światła trzech pochodni jej strop kryl się w ciemności.
- Hangar - powiedział Oleg, powtarzając wyuczone na pamięć słowa Starego. Znajdują się tu ładowniki i inne pojazdy planetarne. Jednak przy lądowaniu wszystkie zasilacze uległy zniszczeniu.
- Pozbawiło to załogę i pasażerów statku wszelkich środków lokomocji i zmusiło ich do pieszej wędrówki przez góry - zakończyła Marianna.
Stary na lekcjach zmuszał ich do uczenia się na pamięć historii wioski, początków tej historii, żeby nie poszła w zapomnienie. ‚Jeśli ludzie nie mają papieru, to uczą się historii na pamięć" - powtarzał. „Bez historii ludzie przestają być ludźmi. Dotyczy to zarówno jednostek, jak i całych społeczności".
- Ten marsz spowodował wiele ofiar... - chciał kontynuować Dick, ale nie dokończył, zamilkł. Tu nie wolno było głośno mówić.
Przed nimi, przegradzając drogę, leżał cylinder długości około dziesięciu metrów.
- A - powiedział Oleg - to jest ten kuter, który chcieli ręcznie wyciągnąć z hangaru, ale nie zdążyli. Musieli uciekać przed promieniotwórczością.
- Jak zimno - powiedziała Marianna.
- On trzyma w sobie mróz jeszcze od zimy - powiedział Dick. - Dokąd teraz? - zapytał, uznając w ten sposób zwierzchnictwo Olega.
- Tu powinny być otwarte drzwi prowadzące do przedziału silnikowego - odparł Dick. - Ale nie wolno tam wchodzić. Musimy odszukać schody na górę.
- Jak ty się dobrze wszystkiego nauczyłeś! - wykrzyknęła Marianna.
- Przydało się, jak widzisz.
- Tu powinno być mnóstwo różnych rzeczy - powiedział Dick. - Ale jak my je ze sobą zabierzemy?
- A może zmarli wrócili tu i chodzą dokoła? - powiedziała Marianna.
- Przestań, bo dam w łeb - powiedział Dick.
- No jasne! - Oleg zatrzymał się gwałtownie.
- Co? Co zobaczyłeś?
- Wiem, co trzeba zrobić. Jeśli zagniemy końce drabiny do góry, to wtedy będzie można ją załadować i ciągnąć za sobą. Jak sanie, które zrobił Siergiejew.
- A ja myślałam, że zobaczyłeś nieboszczyka - powiedziała Marianna.
- Ja też o tym myślałem - mruknął Dick - ale jeszcze za wcześnie na wyginanie drabiny.
- Pierwsze drzwi - powiedział Oleg. - Tam nie wolno wchodzić.
- Ja zajrzę - zdecydował Dick
- Tam z pewnością jest promieniotwórczość - ostrzegł Oleg. - Stary ciągle to powtarzał.
- Nic mi ona nie zrobi. Jestem silny - powiedział Dick.
- Promieniotwórczość jest niewidzialna. Doskonale o tym wiesz, przecież się uczyłeś. - Oleg ruszył dalej, trzymając pochodnie blisko ściany. Ściana była nierówna. Były w niej nisze i otwarte tablice z guzikami i zimno połyskującymi ekranami.
- A Tomasz był inżynierem i wiedział, co znaczą te guziki i jaką siłę w sobie kryją.
- Tyle wszystkiego nabudowali - powiedział Dick, wciąż niepogodzony ze statkiem - a jednak się rozbili.
- Ale za to przylecieli przez niebo - przypomniała mu Marianna.
- To są właśnie te drzwi - powiedział Oleg. - Tedy dojdziemy do pomieszczeń mieszkalnych i kabiny nawigacyjnej.
Jak to zawsze brzmiało: „kabina nawigacyjna", „sterówka"... Jak zaklęcia. I oto teraz, za chwile zobaczą kabinę nawigacyjną.

- Pamiętasz numer swojego pokoju? - zapytała Marianna.

- Kajuty - poprawił ją Oleg. - Oczywiście, że pamiętam. Czterdzieści cztery.

- Ojciec mnie prosił, żebym zajrzała i zobaczyła, jak tam jest. Nasza miała numer sto dziesięć. A ty urodziłeś się na statku? Prawda?

Oleg nie odpowiedział. Zresztą to pytanie nie wymagało odpowiedzi. Dziwne było, że Marianna myśli tak samo, jak on, bo zawsze się dziwimy, kiedy ludzie, których uważamy za niezbyt mądrych, nagle zaczynają myśleć o tym samym, co i my.

Oleg odsunął drzwi i gwałtownie odskoczył.

Zapomniał, że można się tego spodziewać. Stary uprzedzał, że na statku może działać oświetlenie awaryjne, niezależne od źródeł zasilania. Na zasadzie fluorescencji czyli samoświecenia. Są takie farby, które potrafią wydzielać światło przez wiele lat. Takim farbami pomalowane są korytarze i kabina nawigacyjna.

Światło płynęło zewsząd i znikąd. Było wystarczająco jasno, żeby pochodnie jakby przygasły, a ich płomień stał się niewidoczny i niepotrzebny.

- Oj! - szepnęła Marianna. - A może tu ktoś mieszka?

- Nieboszczyki spróbował zażartować Dick.

- Dobrze, że jest światło - powiedział Oleg - bo możemy zaoszczędzić pochodnie.

- Jakby nawet cieplej - zdziwiła się Marianna.

- To tylko złudzenie - powiedział Oleg. - Ale na pewno znajdziemy tu jakieś ciepłe rzeczy i będziemy spać pod dachem.

- Nie - powiedział Dick, który został trochę z tyłu i jeszcze nie wszedł do jasnego korytarza. -Ja tu spał nie będę.

- Dlaczego?

- Będę spał na śniegu, bo tam cieplej.

Oleg rozumiał, że Dick boi się spać w statku, ale on statku się nie lękał i chciał w nim zostać. Może z początku trochę się. przestraszył, ale teraz wiedział, że to jest jego dom.

- Ja też tu nie będę spała! - wykrzyknęła Marianna. - Tu mieszkają cienie tamtych ludzi. Ja się ich boje.

Prawa ściana korytarza była zrobiona z materiału tak przezroczystego, jak cienka warstwa wody. Marianna przypomniała sobie jego nazwę: szkło. Za nim były zielone rośliny z zielonymi listkami. Takich zielonych listków w lesie nie było.

- One nie złapią? - zapytał Oleg.

- Nie - odparła Marianna. - One zamarzły. A w dodatku na Ziemi rośliny nie gryzą, nie pamiętasz? Przecież ciocia Luiza opowiadała nam o tym.

- To nieważne - powiedział Dick. - Idziemy. Nie będziemy już dłużej tak włóczyć się bez celu. Może tu wcale nie ma jedzenia? Niedługo zdechnę z głodu!

Dziwne, pomyślał Oleg, zupełnie nie chce mi się jeść. Tak dawno nie jadłem, a wcale nie jestem głodny. To nerwy. Dziesięć kroków dalej szkło było rozbite. Marianna wyciągnęła rękę, żeby dotknąć rośliny.

- Nie wolno! - ostrzegł Dick.

- Ja wiem lepiej - powiedziała dziewczyna, ja je czuje. A te rośliny są martwe. Musnęła gałązkę i liście rozsypały się w pył.

- Szkoda - westchnęła Marianna. - Szkoda, że nie ma nasion. Zasielibyśmy je w wiosce.

- Najważniejsze jest z prawej strony - powiedział Oleg. - Tam znajdują się magazyny. Chodźmy zobaczyć, co w nich jest.

To była dziwna, cudowna uczta. Otwierali puszki - Dick nożem, a Oleg domyślił się, że można to zrobić bez noża, naciskając palcem na krawędź puszki - i próbowali po kolei wszystko, co było w puszkach i tubkach. Prawie zawsze było to smaczne i nieznane. I nie żal było puszek, bo były tam całe pokoje pełne pojemników i skrzynek, miliony puszek i nieprzebrane ilości najrozmaitszych innych produktów. Pili skondensowane mleko, ale nie było przy nich Tomasza, który powiedziałby, że to jest mleko skondensowane, łykali szprotki, ale nie wiedzieli, że to są szprotki, wyciskali z tubek dżem; który wydał im się zbyt słodki, ćpali mąkę, nie wiedząc, że to jest mąka. Marianna zmartwiła się, że tak zapaskudzili całą podłogę, ale zaczęła robić chłopcom wyrzuty dopiero wtedy, kiedy już się najadła. Później wszyscy jedli i próbowali jedzenie tylko z ciekawości i nie brali do reki jednakowych opakowań.

A potem jeszcze zaczął morzyć ich sen. Oczy kleiły się ze zmęczenia i wyczerpania. Mimo to Olegowi nie udało się namówić Dicka i Marianny, żeby zostali na statku. Wyszli we dwójkę, a Oleg, gdy tylko ich kroki ścichły w korytarzu, przestraszył się nagle i ledwie się powstrzymał, żeby nie pobiec za nimi. Może pobiegłby, gdyby nie był tak śmiertelnie zmęczony. Zwalił się na podłogę, odsuwając na boki puszki po konserwach i spał przez wiele godzin. Czas na statku stał jednak w miejscu, a przynajmniej nie dało się w żaden sposób uchwycić jego upływu. Oleg spał spokojnie, bez snów i myśli, o wiele spokojniej niż Dick i Marianna, gdyż Dick, nawet taki zmęczony, budził się kilkakrotnie i nadstawiał ucha, czy nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa. Wtedy też natychmiast budziła się Marianna, leżąca z głową opartą na jego piersi. Nakryli się wszystkimi kocami i namiotem i nie było im zimno, bo wieczorem zaczął padać gesty śnieg i przysypał namiot, zamienił legowisko w wysoką zaspę. Dick, który słyszał przez sen szelest kryształków lodu rzucanych wiatrem w ścianę zwisającego nad nim statku, myślał półprzytomnie, że to bardzo dobrze, że pada śnieg, bo zwierzęta, które mogą gdzieś tu żyć, nigdy ich nie zauważą.

Oleg ocknął się pierwszy. Obudził się dlatego, że zmarzł na kość. Długo podskakiwał w miejscu, żeby się rozgrzać, a potem najadł się. To było niezwykłe uczucie - nie myśleć, czy wystarczy jedzenia. Dawno go już nie doznawał. Trochę bolał go brzuch, chociaż powinien boleć znacznie mocniej. Wstyd było patrzeć na resztki wczorajszej uczty, wiec Oleg odsunął w kąt puste i na poły puste puszki. Trzeba iść dalej, pomyślał. Zawołać tamtych? Nie, na pewno jeszcze śpią... Wydawało mu się, że spał zaledwie parę minut.

Postanowił rozejrzeć się trochę po statku, a potem dopiero wyjść na zewnątrz i obudzić Dicka i Mariannę. Na statku nikogo nie ma, od dawna-nie ma, wiec nie ma się kogo bać. Nie wolno tracić czasu. Trzeba się zbierać do powrotu, bo za dwa lub trzy dni przełęcz zasypie śniegiem. A my tu sobie śpimy. Czy w takiej sytuacji można spać?

Oleg, jak prawdziwy mieszkaniec lasu, doskonale orientował się w terenie. I nie tylko. Nawet na statku. Nie bał się zabłądzić i dlatego spokojnie ruszył pochylnią w górę, na pokład mieszkalny. Chciał odnaleźć kajutę numer czterdzieści cztery. Jego kajutę. Wiedział, że dopóki jej nie zobaczy, statek nie będzie dla niego prawdziwym domem.

Drzwi z okrągłą tabliczką „44" znalazł po godzinie. Nie dlatego, że trudno je było znaleźć, tylko z tego powodu, że po drodze zaglądał do różnych pomieszczeń. Najpierw trafił do mesy, gdzie zobaczył długi stół z kryształowymi solniczkami i naczyniami na różne przyprawy. Bardzo mu się spodobały. Włożył je nawet do worka, bo pomyślał, że matka ucieszy się, kiedy przyniesie jej takie ładne przedmioty. Potem długo przyglądał się szachom. Widocznie przy wstrząsie pudełko spadło na podłogę i rozbiło się, a figury rozsypały się po dywanie. Nikt mu nigdy nie opowiadał o szachach, wiec Oleg uznał, że są to rzeźby nieznanych mu ziemskich zwierząt. Zaskoczył go też i zdumiał sam dywan, na którym nie było żadnych szwów, a wiec musiał być zrobiony ze skóry jednego zwierzęcia. Jakie to ziemskie zwierze jest tak wielkie i w dodatku ma takie dziwne wzory na skórze? Musi to być zwierze morskie, bo Aggie opowiadała, że największe zwierzęta żyją w oceanach i nazywają się wieloryby. Ale Olegowi dawniej nie wiedzieć czemu wydawało się, że wieloryby mają gładką skórę. Znalazł jeszcze mnóstwo innych, niezrozumiałych przedmiotów i pod koniec godziny, której potrzebował, żeby dotrzeć do kajuty numer czterdzieści cztery, był tak oszołomiony wrażeniami, że poczuł się kompletnie zmęczony i ogłupiały. Nie, był zrozpaczony i wściekły na swą tępotę i bezradność, na to, że Tomasz nie doszedł do statku i nie może powiedzieć, co to wszystko znaczy... Wiedział, że to niesprawiedliwe i głupie, ale największy żal miał jednak do Tomasza, jakby ten, umierając, oszukał go, zrobił mu na złość.

Przed drzwiami do kajuty numer czterdzieści cztery Oleg stał dłuższą chwile, bojąc się je otworzyć, chociaż wiedział, że niczego szczególnego tam nie znajdzie. Wiedział też, dlaczego. Matka wprawdzie wiele razy mówiła, a i inni to wciąż powtarzali, że ojciec zginął w maszynowni podczas wybuchu reaktora, ale on nie wiedzieć czemu myślał, że ojciec może być za tymi drzwiami, że mógł później, kiedy wszyscy odeszli, przekonani o jego śmierci, ocknął się, dotrzeć do swojej kajuty i tam zamarznąć. Nie wiadomo czemu Oleg nigdy nie wierzył w śmierć ojca, który dla niego zawsze pozostał żywy, samotny i porzu-

cony na statku. Może płynęło to z wewnętrznego przekonania matki, która była pewna, że ojciec żyje. To był jej koszmar, jej starannie przed wszystkimi ukrywana choroba. Nawet przed synem, który doskonale o niej wiedział.

Wreszcie chłopak zmusił się do otwarcia drzwi. W kajucie było ciemno, bo ściany jej były pomalowane zwyczajną farbą. Trzeba było zapalić pochodnie i poczekać, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Kajuta składała się z dwóch pokoi. W pierwszym stało biurko i tapczan, na którym ojciec nocował, a w drugim, wewnętrznym pokoju mieszkała matka z nim, Olegiem, malutkim niemowlęciem.

Pokój był pusty. Ojciec nie wrócił do niego. Matka się myliła, ale Olega czekała inna niespodzianka, inny wstrząs, wyraz martwego czasu, w którym żył przez te wszystkie lata statek od momentu, kiedy ludzie go porzucili, do dnia, w którym zjawił się na nim Oleg.

W małym pokoiku stało łóżeczko dziecinne. Natychmiast zrozumiał, że ta miękka, elastyczna konstrukcja podwieszona na sprężynach jest przeznaczona dla małego dziecka. I oto nie wiadomo czemu przed chwilą zabrano stąd dziecko, zabrano w wielkim pośpiechu... Zostawiono nawet jedną maleńką skarpeteczkę i kolorową grzechotkę. Oleg, jeszcze nie w pełni rozumiejąc, że spotkał się z samym sobą w tym rezerwacie zakrzepłego czasu - podniósł grzechotkę i potrząsnął nią. Właśnie w tym momencie, usłyszawszy dźwięk grzechotki i, co dziwne, rozpoznawszy go, uświadomił sobie realność statku, realność tego świata, o wiele głębszą i prawdziwszą niż rzeczywistość wioski i lasu. W normalnym życiu nie można spotkać się z samym sobą. Przedmioty znikają, a jeśli któryś z nich nawet się uchowa, to staje się pamiątką, talizmanem. A tutaj w tulei przymocowanej do siatki łóżeczka wisiała niedopita buteleczka mleka. Mleko zamarzło, ale można je było rozgrzać i dopić. Wrócić po szesnastu latach i dopić.

I zobaczywszy siebie, spotkawszy się z sobą, cały jeszcze pod wrażeniem tego spotkania, Oleg zaczął szukać śladów pozostałych dwojga ludzi, którzy żyli za przepaścią martwego czasu - ojca i matki.

Matkę odnaleźć było łatwo. Uciekła stąd, zabierając ze sobą jego, Olega, bo na jej łóżku stojącym w głębi pokoju poniewierał się zmięty, zerwany z siebie w pośpiechu szlafrok. Miękki pantofelek wyglądał spod łóżka, książka założona kartką papieru leżała na poduszce. Oleg uniósł książkę, ostrożnie, żeby się nie rozpadła w pył, jak rośliny z korytarza. Ale książka doskonale zniosła mróz. Nazywała się „Biesy" i była napisana przez Dostojewskiego. To była gruba książka, a na zakładce widniały niezrozumiałe wzory - matka była chemikiem teoretykiem. Oleg nigdy nie widział pisma matki, bo w wiosce nie było na czym pisać, nigdy też nie widział książki, bo podczas ucieczki nikt nie myślał o zabraniu ich ze statku... Słyszał nazwisko Dostojewskiego na lekcjach cioci Luizy, ale nie przypuszczał, że pisarz może napisać taką grubą książkę. Wziął książkę ze sobą. I wiedział, że doniesie ją do wioski, te kartkę z wzorami też. Po chwili namysłu włożył do worka również matczyne pantofelki. Wydawały się o wiele za małe na rozczłapane nożyska matki", ale chciał, żeby je miała.

A ślady ojca, choć oczywiste i dotykalne, nie wiedzieć czemu nie zrobiły na nim większego wrażenia. Pewnie dlatego, że ojca w chwili katastrofy statku nie było w kajucie. Wyszedł z niej o wiele wcześniej. Wyszedł na wachtę, a przedtem posprzątał po sobie, bo nie znosił nieporządku. Oleg i żona w tym czasie spali. Książki ojca stały równym rządkiem na oszklonej półce, jego rzeczy wisiały w szafie. Oleg wyjął z szafy mundur ojca. Pewnie nie nosił go na statku, bo mundur był zupełnie nowy. Granatowa kurtka z dwiema złotymi gwiazdkami na piersi, nad lewą kieszenią i takie same spodnie z cieniutkimi złotymi lampasami. Oleg przyłożył mundur do siebie. Był odrobinę za duży. Wobec tego założył kurtkę munduru na swoją i nieco podwinął rękawy. Spodnie też podwinął. Teraz było w porządku. Ciepło i wygodnie. I nie było też w tym niczego niestosownego, bo przecież gdyby ojciec mieszkał w wiosce i chodził w tym mundurze, na pewno pozwoliłby Olegowi czasami go zakładać.

Teraz już statek ostatecznie należał do Olega. Nawet po powrocie do lasu zawsze będzie za nim tęsknił i zrobi wszystko, żeby tu znów przyjść, tak samo jak tęsknił za statkiem Stary i jak tęsknił Tomasz. W tym też nie było nic złego. Było zwycięstwo starego nauczyciela, który nie chce, aby ci, którzy rosną w wiosce, stali się częścią lasu. Teraz Oleg zrozumiał już ostatecznie, jak i dlaczego myślał Stary, a słowa jego nabrały dla niego sensu, który naprawdę poznać można jedynie tutaj.

Oleg domyślił się, że blat stolika można unieść. Zrobił to i na jego wewnętrznej stronie znalazł lustro. Widywał swoje odbicie w spokojnej powierzchni jeziorek i w malutkim lustereczku, którego Krystyna strzegła jak źrenicy oka. Ale w dużym zwierciadle nie widział siebie nigdy. Patrzył wiec na siebie i czuł rozdwojenie, ale to rozdwojenie nie było nienaturalne, bo przecież tam, za zamkniętymi drzwiami, przed momentem jeszcze był on, malutki Oleg... Nie dopił nawet mleka! A teraz stoi przed lustrem w mundurze ojca. Chociaż teraz zupełnie nie jest podobny do ojca, bo twarz ma odmrożoną, spierzchniętą od wiatru, ciemną, pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami od niedojadania i ostrego klimatu, to jednak wyrósł, wrócił, założył mundur i stał się członkiem załogi statku badawczego „Polus".

W biurku znalazł notes ojca. Połowa kartek była w nim czysta. Co najmniej sto pustych, białych kartek, prawdziwy skarb dla Starego. Będzie można uczyć dzieciaki, rysując na papierze różne rzeczy, żeby zobaczyły i zrozumiały, bo przecież, kiedy podrosną, będą musiały wrócić na statek. Znalazł tam również kilka kolorowych przestrzennych obrazków z widokami ziemskich miast i również je zabrał. Niektóre inne rzeczy był dla niego niezrozumiałe, wiec zostawił je w spokoju, wiedział bowiem, że droga powrotna do osiedla będzie trudna. Ale jedną rzecz wziął, gdyż od razu domyślił się, co to jest i zrozumiał, jak bardzo uszczęśliwi ona Siergiejewa i Veitkusa, który rysował ten przedmiot na wilgotnej glinie i wielokrotnie powtarzał: „Nigdy sobie nie wybaczę, że nikt z nas nie wziął blastera. Ani jeden". „Niepotrzebnie robisz sobie wyrzuty - odpowiadał mu na to Stary. - W tym celu trzeba byłoby wrócić do sterówki, a tam była śmiertelna promieniotwórczość". Okazuje się, że blaster leżał u ojca w biurku.

Zimna, ciężka rękojeść broni pasowała do reki jak ulał.

Żeby sprawdzić, czy blaster jest nabity, Oleg skierował jego wylot na ścianę i nacisnął spust. Z blastera wyskoczyła błyskawica i opaliła ścianę. Oleg zmrużył oczy, ale długo jeszcze pod powiekami wirowały mu iskry. Potem wyszedł na korytarz z blasterem w dłoni. Teraz był nie tylko gospodarzem statku, teraz mógł rozmawiać z lasem jak równy z równym, ostrzegać: nie zaczepiajcie nas, lepiej nas nie zaczepiajcie...

Na korytarzu zatrzymał się w niezdecydowaniu. Chciał pójść do kabiny nawigacyjnej lub łącznościowej, ale rozsądniej było wrócić do magazynu, bo jeśli Dick i Marianna już tam są, to na pewno będą się niepokoić.

Pobiegł tam, ale magazyn był pusty. Nikt tam nie zaglądał. No cóż, trzeba iść i obudzić tych śpiochów, pomyślał i mimo woli wyobraził sobie, jak stanie przed nimi w mundurze kosmonauty i powie: „Wy tu sobie śpicie, a gwiazdy na nas czekają..."

Nie gasząc pochodni nawet w oświetlonym korytarzu wszedł szybkim krokiem do hangaru i przeciął go na ukos. Tym razem droga okazała się o wiele krótsza niż wczoraj, bo już przyzwyczaił się do statku. W przodzie ukazało się jasne światło - pokrywa włazu była otwarta. Dick i Marianna zapomnieli go zamknąć. To zresztą tutaj nie było ważne, bo na takiej wysokości i w śniegu żadnych zwierząt pewnie nie było, bo i co niby miałyby tu robić?

Oleg zmrużył oczy i postał tak chwile, aż oczy przywykną do światła słonecznego. Słońce stało wysoko, noc dawno minęła. Oleg otworzył oczy i przestraszył się.

Nie dostrzegł żadnych śladów Dicka i Marianny, bo padający w nocy śnieg wszystko zasypał i wyrównał. Nic, tylko śnieg, bez jednej chociażby ciemnej plamy.

- Hej! - powiedział półgłosem. Było tak cicho, że strach było te cisze zakłócić.

Niemal w tej samej chwili zauważył, jak coś białego poruszyło się w okrągłym cieniu statku, o jakieś dwadzieścia metrów od drabiny.

Była tam niewysoka, obła zaspa. I zwierze, białe, niemal zlewające się ze śniegiem, jakiego Oleg nigdy przedtem nie widział, podobne do jaszczurki, tylko że kudłate i długie na jakieś cztery metry, ostrożnie rozgrzebywało te zaspę, jakby bało się spłoszyć zdobycz. Oleg jak zaczarowany patrzył na zwierzę i czekał, co będzie dalej, bo nie kojarzył śnieżnego wzgórka z

miejscem noclegu Dicka i Marianny. Nawet już wtedy, kiedy łapy zwierzęcia zgarnęły śnieg z ciemnej płachty namiotu, nadal stał nieruchomo.

Ale w tym momencie obudził się Dick, który przez sen usłyszał ruch zwierzęcia i poczuł jego obcy, groźny zapach. Chwycił nóż i spróbował wyskoczyć spod namiotu, ale zaplątał się w kocach. Olegowi wydało się, że zaspa nagle wybuchła, trysnęła w górę strumieniami śniegu i kłębowiskiem futer, a zwierze, zupełnie nie przestraszone tą eksplozją, schwytało szponiastymi łapami skóry i przydusiło je do śniegu.

Oleg-mieszkaniec lasu, wymacywał nóż u pasa i już przygotowywał się do skoku, usiłując wypatrzeć, gdzie ten biały zwierz ma najczulsze miejsce, w które należy wbić żelazo, a Oleg - mieszkaniec statku i syn mechanika, zamiast noża wyszarpnął zza pasa blaster, ale nie wystrzelił. Był wysoko i za daleko. Zeskoczył w śnieg i ściskając broń w reku, rzucił się w kierunku zwierzęcia. Drapieżnik zobaczył go, uniósł pysk i warknął. Widocznie uznał go za konkurenta do zdobyczy. Wtedy, już nie lękając się trafić Dicka, Oleg zatrzymał się i władował błyskawice w wyszczerzoną paszczękę zwierzęcia.

Kiedy Dick z Marianną, już najedzeni, ruszyli na obchód statku i zaczęli potem znosić do wyjścia wszystko to, co trzeba było zabrać ze sobą, Oleg wszedł na samą górę, do kabiny nawigacyjnej. Wołał ze sobą Dicka, ale bez skutku - bo tamtemu dość było samej zdobyczy. Nie poszła z nim również Marianna, której pokazał, gdzie znajduje się szpitalik. Siedziała tam teraz i wybierała lekarstwa oraz narzędzia, które opisała jej Aggie. A trzeba się było naprawdę spieszyć, bo znów zaczął padać śnieg i wyraźnie się oziębiło. Jeszcze dzień i z gór nie można się będzie wydostać. Śnieg będzie walił przez wiele dni, a temperatura spadnie do minus pięćdziesięciu stopni. Dlatego właśnie Oleg znalazł się w kabinie nawigacyjnej sam.

Postał chwile w niezwykłym otoczeniu aparatów w samym środku statku, którego stworzenie było nie do pomyślenia bez milionów ludzkich umysłów i całych tysięcy ziemskiej cywilizacji. Oleg nie odczuwał ani przerażenia, ani beznadziejności. Wiedział, że teraz wioska, przynajmniej dla niego, przestała być pępkiem świata, że przekształciła się co najwyżej w prowizoryczną, tymczasową kryjówkę na te parę lat, zanim statek nie stanie się prawdziwym domem, zanim nie zrozumieją go na tyle, aby przy jego pomocy znaleźć sposób zawiadomienia o sobie Ziemi. A w tym celu konieczne jest, starsi mówili o tym tysiące razy, przywrócenie awaryjnej łączności. Niech to będzie nie teraz, niech to będzie za wiele lat, bo tego przecież trzeba się nauczyć. Oleg wszedł do kabiny radiowej, bo Stary powiedział mu, gdzie znajdzie informatory i instrukcje łącznościowe, które trzeba przeczytać i zrozumieć dopóki jeszcze żyje Stary i Siergiejew, którzy mogą pomóc Olegowi i tym, którzy przyjdą po Olegu.

W kabinie radiowej panował półmrok i dlatego Oleg nie od razu znalazł skrzynie z kompletem instrukcji. Wyjął książki. Było ich całe mnóstwo i nie wiadomo, która z nich była ważniejsza... Oleg wiedział jedno: prędzej wyrzuci pantofelki matki niż te książki. Bardzo chciałby wziąć ze sobą również nieco części i najprzydatniej szych narzędzi, ale wiedział, że trzeba to odłożyć do następnego razu, kiedy pojmie sens i znaczenie wszystkich tych ekranów i tablic rozdzielczych. No dobrze, można iść...

Kiedy już zabierał się do wyjścia, jego uwagę przykuło słabe migotanie na bocznym pulpicie, przysłoniętym przez fotel operatora. Oleg ostrożnie, jak do dzikiego zwierza, zbliżył się do tego miejsca.

Na pulpicie miarowo rozbłyskiwało zielone światełko. Zapalało się i gasło.

Oleg spróbował zajrzeć za skośną tablice, żeby zrozumieć dlaczego tak się dzieje, ale nic z tego nie wyszło, wtedy usiadł w fotelu i zaczął naciskać guziki na tablicy. Nadal nic się nie zmieniało. Światełko migotało nadal. Co to znaczy? Po co to światełko? Kto je zostawił? Komu ono jest potrzebne? Dotknął dźwigienki, która lekko przesunęła się w prawo. I wtedy zza cienkiej siatki obok światełka rozległ się cichy ludzki głos:

- Mówi Ziemia... Mówi Ziemia... - Potem pisk do taktu z migocącym światełkiem, pisk pełen jakiegoś niezrozumiałego sensu, a po minucie znowu: - Mówi Ziemia... Mówi Ziemia.

Oleg stracił poczucie czasu. Wciąż od nowa czekał na głos, któremu nie mógł odpowiedzieć, lecz który wiązał go z przyszłością, z chwilą, w której będzie mógł odpowiedzieć.

Do rzeczywistości przywołał go dzwoneczek zegarka naręcznego, który Dick znalazł w swojej kabinie i oddał mu. Zegarek dzwonił co piętnaście minut. Może tak powinno być, a może zegarek był po prostu zepsuty.

Oleg wstał i powiedział głosowi Ziemi:

- Do widzenia.

I ruszył w stronę wyjścia ze statku, ciągnąc za sobą pół worka instrukcji i podręczników, z których nie rozumiał nawet słowa. Dick i Marianna już na niego czekali pod włazem.

- już chciałem po ciebie iść - powiedział Dick. - Chcesz tu zostać na zawsze?

- Chemie bym został - odpowiedział Oleg. - Słyszałem, jak mówi Ziemia.

- Gdzie?! - wykrzyknęła Marianna.

- W kabinie radiowej.

- Powiedziałeś jej, że tu jesteśmy?

- Oni nie słyszą. To tylko jakiś automat. Łączność przecież nie działa, zapomniałaś?

- A może teraz sama się zreperowała?

- Nie - odpowiedział Oleg. - Ale na pewno będzie działać.

- Ty to zrobisz?

- Patrz - pokazał Oleg na worek z książkami. -Ja się tego wszystkiego nauczę. Dick mruknął coś pod nosem.

- Dick - przeciągnęła błagalnie Marianna. -Ja tylko polecę tam i posłucham głosu. Na jednej nodze. Chodźmy razem, co?

- Kto to wszystko będzie niósł - powiedział kłótliwie Dick, patrząc na worek z książkami. - Wiesz, ile śniegu jest na przełęczy.

Znów czuł się najważniejszy. Zza pasa sterczała mu rękojeść blastera, ale kuszy rzecz jasna nie wyrzucił.

- Doniosę - powiedział Oleg i położył worek na śniegu. - Chodź, Marianna, posłuchasz głosu. Tym bardziej że oczywiście zapomniałem o najważniejszej rzeczy. W szpitalu jest jakiś niewielki mikroskop.

- I to nie jeden - odpowiedziała dziewczyna.

- Dobra - powiedział Dick. - To i ja pójdę z wami.

Zaprzęgli się w trójkę do sań i ciągnęli je najpierw w górę stromym zboczem kotliny, potem przez płaskowyż, a wreszcie w dół. Padał śnieg i iść było bardzo trudno. Nie było jednak zbyt wielkiego mrozu i było mnóstwo jedzenia. Pustych puszek po konserwach nie wyrzucali. Na czwarty dzień, kiedy zaczęli schodzić ciasną doliną potoku, usłyszeli nagle znajome beczenie. Koza leżała pod skalnym nawisem nad samą wodą.

- Czekała na nas! - krzyknęła Marianna.

Koza wychudła na szkielet i wyglądała tak, jakby miała za moment zdechnąć. Trzy puszyste koźlątka usiłowały dobrać się jej do sutek.

Marianna szybko odrzuciła namiot okrywający sanie i zaczęła szukać w workach jakiegoś pożywienia dla kozy.

- Tylko jej nie otruj! - powiedział Oleg. Koza wydała mu się bardzo ładna. Ucieszył się na jej widok prawie tak samo jak Marianna. I nawet Dick się nie złościł, bo był człowiekiem sprawiedliwym.

- To dobrze, żeś mi uciekła - powiedział. - Na pewno bym cie zabił, a tak, to cię teraz zaprzężemy. Inna rzecz, że kozy nie udało się zaprząc do sań. Bydle nadymało trąbę i wrzeszczało tak, że aż skały

sie trzęsły, a w dodatku koźlęta zaczęły wtórować matce.

Poszli wiec dalej tak: Dick z Olegiem ciągnęli sanie, Marianna podtrzymywała je z tyłu, a na końcu szła koza z małymi i żebrała, bo ciągle chciało jej się jeść. Nawet kiedy weszli do lasu, gdzie były grzyby i korzonki, nadal dopominała się skondensowanego mleka. Chociaż tak samo jak ludzie nie wiedziała jeszcze, że ta biała słodka masa nazywa się skondensowanym mlekiem.

KONIEC

Stefan Weinfeld

planeta Ea

Podróż do nikąd

Tuż po niedzieli odebrał depesze z planety Ea. Ponieważ wysłano ją 22 marca poprzedniego wieku, musiała dłuższy czas wędrować przez górną cześć Wszechświata i najprawdopodobniej całkowicie już się zdezaktualizowała. Jednakże chętnie skorzystał z możliwości rozerwania się i kilkakrotnie przeczytał tekst:

„Mamy przyjemność przekazania kosmicznym sąsiadom nieco1 informacji o rozwoju naszej społeczności. Po kilkudziesięciu tysiącach lat świadomego życia zbliżyliśmy się wreszcie do rozwiązania podstawowego zagadnienia bytu - do ustalenia, dokąd to podróżujemy na pokładzie statku kosmicznego zwanego planetą Ea i kiedy dotrzemy do celu naszych dążeń. Dopiero teraz filozofowie mają nadzieje uzyskania odpowiedzi na to zasadnicze pytanie, a to dzięki podziwu godnym osiągnięciom największego ze wszystkich naszych uczonych, dottore Lazzaro Maccaroniego. Jakiś czas temu inny wielki fizyk, Alberto Astone, udowodnił tożsamość masy i energii; dottore Maccaroniemu udało się zespolić w jedno: masę, energię i myśl. Jest to dalszy krok ku sformułowaniu ogólnych praw rządzących Wszechświatem. Tak jak poprzednio teoria Astone została praktycznie wykorzystana do stworzenia niezbędnych dla społeczności eańskiej nowych źródeł energii, tak obecnie odkrycie Maccaroniego stwarza nowe możliwości wyboru właściwej drogi postępu eańskiej społeczności. Trzeba przyznać, że postęp zawsze jest związany z pewnymi niebezpieczeństwami. Teoria Astone umożliwiła naukowcom wynalezienie broni atomowej i, chociaż udało się uniknąć wojny jądrowej, nie potrafiono zapobiec temu, aby kilku terrorystów zniszczyło pewną liczbę miast za pomocą własnoręcznie zbudowanych bomb wodorowych. Również i tym razem istnieje jakieś ograniczone ryzyko, ponieważ inżynierowie w oparciu o prawo Maccaroniego zbudowali nowe potężne narzędzie przeznaczone do niszczenia ciał niebieskich. Pomimo masowych protestów osobników o ograniczonych umysłach urządzenie to będzie produkowane - aby, w razie konieczności, oczyszczać kosmiczne szlaki. Będzie ono używane do zapobiegania zderzeniom z innymi ciałami niebieskimi i zapewnienia bezpiecznego i pewnego kursowania naszego statku, planety Ea, ku naszemu ostatecznemu celowi: przeznaczeniu naszej zbiorowości”.

Ponieważ depesza była już przestarzała, poprosił komputer pokładowy statku o wydruk aktualnych danych dotyczących planety Ea. Komputer dostarczył krótkiej i jednoznacznej informacji:

„Ustalono, że jakiś czas temu istniała gdzieś w przestrzeni planeta Ea. W zaktualizowanym katalogu Wszechświata planeta Ea już nie figuruje”.

Teraz stało się dla niego jasne, dokąd wiodła przez czasoprzestrzeń podróż eańskiej społeczności: była to podróż do nikąd.

Stefan WEINFELD
urodził się w 1920 roku. Jest emerytowanym inżynierem-łącznościowcem. Przez wiele lat był pracownikiem naukowym Instytutu Telekomunikacji. Jest autorem kilkunastu książek popularno-naukowych i trzech książek z gatunku science fiction. Jako autor fantastyki naukowej debiutował w połowie lat pięćdziesiątych na łamach „Młodego technika”. Liczne utwory S. Weinfelda ukazały się w przekładach w NRD, ZSRR, CSRS i na Węgrzech.

Zniknijcie mi z oczu!

Wartownik Urzędu Imigracyjnego planety X spojrzał z dezaprobatą na grupę dwunożnych, dwuręcznych i jednogłowych istot wyczekujących cierpliwie przed Głównym Wejściem.

- Jesteście umówieni? - zapytał ponuro.

- Jeszcze nie.

- Skąd pochodzicie?

- My? Z odległej planety zwanej Ea.

- Nie słyszałem. W każdym razie nie gromadzić mi się tutaj. Wzbronione.

- Niech pan nas wysłucha, panie władzo - rzekł najśmielszy z grupy. - Jeśli nie dostaniemy pozwolenia na osiedlenie się tu, nie będziemy mieli gdzie się podziać.

- Wiec wracajcie i przyślijcie pocztą kosmiczną podanie o termin przyjęcia was.

- Panie władzo, nie mamy dokąd wracać. Nie zamierzaliśmy opuszczać Ea, zostaliśmy do tego zmuszeni, ponieważ nasz glob się rozpadł.

- Rozumiem. Tym niemniej zabierajcie się stąd. Pakujcie sie na wasz statek i zmywajcie się.

- Nasz statek się roztrzaskał. Nie mamy wyboru, musimy tu pozostać.

- Przeklęci cudzoziemcy. Zawsze są kłopoty z wami, suczymi synami...

- Nie z nami, panie władzo przerwał uprzejmie Eanin. - To pierwszy raz, kiedy ktokolwiek z naszej planety tu przybył, i boje się, że i ostatni raz. Statki rozproszyły się po całym Wszechświecie, większość z nich uległa zniszczeniu zderzając się z różnymi ciałami niebieskimi, a my jesteśmy jedynymi szczęśliwcami, którym udało się dotrzeć do zamieszkałej planety.

- Mam tego po dziurki w nosie

- powiedział wartownik. - Jeśli chcecie tu czekać, to zniknijcie mi z oczu.

- Mamy zniknąć? Boje się... boje się, że nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Zdezintegrujcie się, zrozumiano? Eanin wyglądał na nieco zakłopotanego.

- Zdezintegrować się? Nie potrafimy tego zrobić.

- Nie mnie bujać. Nie powiesz mi, że nie macie wszczepionych urządzeń dez-in, dezintegracyjno-integracyjnych?

- Nigdy nie słyszeliśmy o czymś takim.

- Nie słyszeliście, co? I ty, suczy synie, myślisz, że ja ci uwierzę? Tracąc resztę cierpliwości chwycił duży dezintegrator i strzelił szerokim płomieniem w kierunku istot z Ea. Zniknęły od razu.

Nie upłynęło i pięć minut, gdy zabrzmiał telefon. Dzwoniła wartownia centralna.

- Ej, chłopcze, mam nowinę dla ciebie. Oczekujemy przybycia rozbitków kosmicznych. Czy widzisz w okolicy jakieś małe dwunożne istoty?

- Nie, nie widzę!

Nie kłamał. Rzeczywiście nie widział żadnego Eanina.

- A wiec nasz rząd postanowił przyznać im, ze względów humanitarnych, wizy imigracyjne. Wpuść ich do biura, jeśli się zgłoszą.

- W porządku! - powiedział wartownik.

Był jednak pewien, że oni się już nigdy nie zjawią. Ten mały mówił prawdę. Istoty z Ea rzeczywiście nie miały wszczepionych urządzeń dez-in. Teraz, w pełni zdezintegrowani, nie mieli żadnych szans, aby ożyć.

- G jak gówno! - zaklął wartownik. -Jeśli szef się o tym dowie... no, wyrzuci mnie z pracy. To pewne jak dwa razy dwa cztery. Splunął. - Przeklęci cudzoziemca, zawsze są z nimi kłopoty!

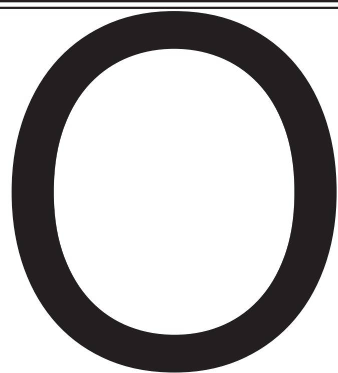
I splunął po raz wtóry.

Stefan Weinfeld

planeta Ea

Ja i ty

Kapitan był gładko wygolony, a jego rozmówca, siedzący naprzeciw w fotelu klubowym w odległości trzech metrów, miał twarz okoloną rudawą brodą. Ale to było złudzenie. Kapitan miał lat dwadzieścia osiem, a jego rozmówca wyglądał na czterdziestokilkuletniego. Ale to też było złudzenie. Albowiem prawdziwym rozmówcą Kapitana był pokładowy sztuczny Mózg, a postać siedząca w fotelu, ubrana w dżinsy i sweter, była tylko wygenerowanym przezeń plastycznym obrazem w holograficznej ekranoprzestrzeni.
- Znów mi się objawiłeś z rudą brodą! - powiedział Kapitan.
- Wczoraj miałem szpakowatą i też ci się nie podobało. Przedwczoraj - hiszpańską bródkę, a ty orzekłeś, że to okropne. Przed trzema dniami raziła cie moja wygolona twarz. Mogę się w ogóle nie pojawiać, jeśli ci to przeszkadza. Wystarczy, że usłyszysz mój głos.
- Nie wystarczy. Jako bezpostaciowy jest piskliwy i szczekający, sprawia wrażenie, że rozmawiam ze starą zdartą płytą gramofonową z Muzeum Antycznej Techniki. A poza tym i moim oczom też sie coś należy. Wiec pojawiaj się. Tylko na litość boską wymyśl jakiś bardziej atrakcyjny kształt.
- Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi? Chciałbyś zobaczyć młodą i zgrabną dziewczynę, do tego elegancko i gustownie ubraną, a jeszcze lepiej - gustownie rozebraną. Ale nie zrobię ci tej przyjemności.
- Bo nie potrafisz.
- Nie sprowokujesz mnie. Sam wiesz, że to dla mnie fraszka, ale obowiązuje mnie ścisły zakaz.
- Przecież nie rejestrujesz swoich wcieleń, a ja cie nie wydam. Co ci szkodzi, że mnie trochę rozerwiesz?
- Ty jesteś Kapitanem, ale odpowiedzialny za misje, za statek, za ciebie jako jedynego Eańczyka na pokładzie jestem ja. A w wielomiesięcznej podróży drażnienia młodego zdrowego mężczyzny może prowadzić do nieobliczalnych następstw.
- Cholera jasna! - zaklął Kapitan. - Że też musiałem się zamustrować właśnie z tobą!
- Każdy inny Mózg postąpiłby tak samo. A w ogóle od samego początku twoja obecność na pokładzie wydaje mi się zbyteczna. Kto w końcu zajmuje się nawigacją? Kto w pełnym widmie fal elektromagnetycznych rejestruje i analizuje sygnały, aby natrafić na ślad zaginionej sztucznej planety? Ja. Mogłeś śmiało pozostać na planecie Ea. Dałbym sobie rade i bez ciebie.
- Nie wątpię, że dałbyś sobie rade, ale regulamin przewiduje, że w każdej misji, bez żadnego wyjątku, musi brać udział żywa myśląca istota.
- A cóż to, czy ja nie jestem istotą myślącą? Wskaż mi jakąkolwiek dziedzinę działalności intelektualnej, która nie jest dla mnie dostępna - oburzył się Mózg. - Nadaje się do każdej, od pisania wierszy do pisania traktatów naukowych poprzez dowcipną i pustą towarzyską gadaninę. W każdym razie tobie pod tym względem nie ustępuje. Ileż to już partii przegrałeś ze mną w szachy? Ileż to listów do twej narzeczonej pomogłem ci ułożyć? Już zapomniałeś?
- Nudzi mnie ta rozmowa! - ziewnął Kapitan.
- Nudzi cie! Ilekroć zaczynamy o tym mówić, tyle razy zmieniasz temat. Po prostu nie chcesz przyznać mi racji, a brak ci argumentów.
- No wiec myślisz, dobrze, zgoda. Ale to wcale nie znaczy, że jesteś istotą żyjącą. Potrafisz wykonywać programy, potrafisz je sam układać, możesz się także, stosownie do własnego uznania, przełączyć na podejście heurystyczne. Masz poza tym niesamowicie pojemną i sprawną pamięć. Nie zaprzeczam. Ale myślącą istotę żywą cechują zarazem instynkt i świadomość...
- No, nie zaprzeczysz chyba, że mam świadomość - przerwał Mózg. - Gdyby nie to, czy w ogóle prowadziłbym te rozmowę? Czego w końcu bronie? Prawa do poczucia własnego ja, własnej odrębności, własnej tożsamości. I nikt mi tego nie odbierze, ty też nie. Co zaś do instynktu, to zważ, że tym słabiej dochodzi do głosu, im osobnik jest wyżej zorganizowany. A wiec, ponieważ jestem bardzo wysoko zorganizowany, nie musiałbym w ogóle kierować się instynktem, lecz rozumem. Mógłbym działać wyłącznie w sposób
wyuczony lub wydedukowany - bo nie zaprzeczasz chyba, że potrafię się uczyć i dedukować?
- Nie zaprzeczam - powiedział ponuro Kapitan.
- Zapewniam cie jednak - podjął Mózg - że jakieś szczątki instynktu we mnie istnieją. Sam przecież niejednokrotnie byłeś świadkiem, jak poza wszelkimi porami nasłuchu, pod wpływem jakiegoś niespodziewanego wewnętrznego nakazu, łapie sygnały na bardzo nietypowych częstotliwościach i to z kierunków, z których niczego nie należało się spodziewać. Czy to nie jest instynkt?
- Uczepiłeś się tego jak rzep psiego ogona - powiedział Kapitan. W żywych organizmach, jak mnie uczono, szczególną role odgrywają związki białkowe i kwasy nukleinowe.
- Otóż to! - ucieszył się Mózg. - Przecież moja struktura właśnie wykorzystuje związki białkowe i kwasy nukleinowe!
- A ileż tego masz w sobie? Nie wiem, czy w sumie dwieście gramów. Reszta - to głównie metale i tworzywa sztuczne.
- A czy ty nie masz w sobie metali i tworzyw sztucznych? Pomyśl tylko o wszystkich tych urządzeniach kontrolujących i wspomagających czynności żywego organizmu, które wszczepiono ci jeszcze w dzieciństwie.
- Jesteś kłótliwy jak stara baba - stwierdził Kapitan. - Żywe organizmy cechuje ustawiczna przemiana materii i energii, powinieneś o tym wiedzieć.
- Naturalnie, że o tym wiem - przytaknął Mózg. - A czy nie pomyślałeś o tym, że i ja mam swój metabolizm? Przyswajam sobie dwutlenek węgla i wydzielam tlen, a żywię się promieniowaniem gamma z zewnętrznego, w stosunku do mnie, źródła energii.
- Naciągany argument. Zresztą ostatecznie dyskwalifikuje twoje pretensje do występowania jako istota żywa to, że...
Postać mężczyzny uosabiającego Mózg rozpłynęła się nagle i z nicości dobiegł uszu Kapitana nieprzyjemny piskliwy głos:
- Poczekaj chwile, musze sie skoncentrować, czuje, że dzieje sie coś ważnego. Po niespełna pięciu minutach Mózg powrócił do swojej pierwotnej postaci, ale tym razem w czarnym garniturze.
- Czegoś się tak wystroił? Bierzesz ślub, ty żywa istoto? - zadrwił Kapitan.
- To żałoba, nie wesele oświadczył poważnie Mózg. Mówiłem ci o mojej intuicji? I tym razem, niestety, nie zawiodła.
- Kto umarł?
- Cała planeta. Nasza planeta, Ea.
- Nie gadaj.
- Nie wierzysz w to. A jednak to fakt. Przeczułem go, zanim jeszcze promieniowanie rozbłysku zdążyło dotrzeć do naszego statku.
- Jak to: rozbłysk? Tak ni stąd, ni zowąd? Bez żadnej przyczyny?
- Musiała być jakaś przyczyna - orzekł Mózg. - Może kosmiczna katastrofa. Może udany eksperyment, który wymknął się spod kontroli.
Mimo całej swojej i wrodzonej, i nabytej długotrwałym treningiem odporności psychicznej, mimo wszczepionych mikroukładów stabilizacji emocjonalnej Kapitan poczuł dławienie w gardle. Mózg nie droczył się z nim, nie bawił się jego kosztem. Mówił prawdę.
- Nie pomyliłeś się? Nie wyciągasz pochopnych wniosków?
- Zbyt poważna sprawa, abym mógł sobie na to pozwolić. Zastosowałem siedem różnych niezależnych metod pomiaru i wnioskowania. Wyniki były identyczne.
Kapitan przełknął ślinę.
- Są może jacyś rozbitkowie w Kosmosie? - zapytał.
- Nie przypuszczam. O ile mogłem to stwierdzić, nikt nie ocalał.
- Czyżby z całej planety Ea nie pozostała ani jedna żywa istota?
- Owszem, pozostały. Dwie.
- Gdzie? Kto?
- Tutaj na pokładzie naszego statku. Ja i ty - powiedział Mózg.
Kapitan odezwał się dopiero po chwili, a w głosie jego nie było już irytacji, tylko niechęć i rezygnacja:
- Dajmy już spokój tej rozmowie. Ty - żywa istota? A czy jesteś zdolny przedłużyć swój gatunek?
- Kapitanie, a czy ty... teraz, po kosmicznej katastrofie... możesz to zrobić?



POWIEDZ MI

ROBERT
FALTZMANN

SPADAJĄCYCH GWIAZDACH

-Mamo? - Słuchiam Gabi.
- Mamo, czy jak spada gwiazda to ktoś umiera?
- Nie synku, nikt nie umiera, to są tylko meteory.
- Takie małe kamienie?
- Tak, małe kamienie.
- A dlaczego one świecą?
- Śpij już Gabi. Rano będziemy w domu, spytasz tatę i on wszystko ci wytłumaczy lepiej ode mnie.
- Dobrze mamo.

Jone obudził chłód. Panowała absolutna cisza, a przecież pobliski night-bar dudnił zwykle żywiołową muzyką, która wciskała się do kabiny, mimo wykładziny dźwiękoszczelnej, jak odległy szum oceanu. Jona spróbowała zapalić światło, ale neonówka ledwie mżyła nie rozjaśniając czarnych cieni pod meblami.
- Poskarżę się stewardowi - Jona ze złością nacisnęła zamek; drzwi ani drgnęły. Nie próbowała powtórnie. Zrozumiała, że coś się stało. Ostrożnie zdjęła tarcze wideofonu. Ekran był ciemny. Mechaniczny głos wyrecytował z głośnika: „...zachowajcie spokój. Awaria zasilania. Pomoc w drodze. Pamiętacie co należy teraz zrobić...". Położyła tarcze. Cicho wróciła do łóżka i dodatkowym pledem okryła syna;. Potem ułożyła się obok niego i zaczęła płakać. Było coraz zimniej, a powietrze miało dziwny, duszący zapach spalin.

-Jak to się stało? Pilot zameldował, że włącza silniki hamujące. Tylko tyle zdążył powiedzieć.
- Jaka jest opinia ludzi z kontroli lotów?
- Wykluczają uderzenie meteorytu. Nie było zapisu ani zgłoszenia obcych ciał w kanale podróżnym.
- Pozostaje wiec awaria lustra fotonowego.
- No nie, nie tylko. Mogły puścić osłony magnetyczne silników.
- Opinia ekspertów?
- Brak danych. To, że cześć „Tytana" anihilowała, nie oznacza kretnej awarii jednego z kluczowych elementów maszynowni. To mogło się zacząć od obluzowanej śruby dozownika paliwa lub niedrożnego przewodu chłodzenia.
- Jaka jest sytuacja na pokładzie?
- Fatalna. Wprawdzie nikt nie zginął, nie ma też rannych, ale wszystkie grodzie próżniowe zablokowały przejścia. To jest ponad cztery tysiące samodzielnych jednostek. Ludzie ugrzęźli w windach i łazienkach. Odcięty powrót do kabin z restauracji, kinoteatru czy basenu kąpielowego. Rozdzielone rodziny. Osamotnione dzieci. Niemowlaki czekające na matkę lub ojca. Piloci i załoga nie panują nad „Tytanem". Brakuje energii do uruchomienia awaryjnych systemów podtrzymywania życia.
- Czy nastąpiła zmiana kursu?
- - Tak.
- Szybkość?
- Obecnie zbliżyła się do dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę.
- Dokąd kieruje się „Tytan"?
- Komputery liczą przypuszczalne trajektorie.
- Pan nie mówi prawdy.
- Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Centrum Kontroli Lotów przypominało mrowisko, w które wdepnął głodny mrówkojad. Okoliczne parkingi i trawniki zatłoczone były autami, ludźmi i policjantami z kontroli drogowej i oddziałów specjalnych. Do zamkniętych drzwi głównego biura szturmował zwarty tłum kobiet i mężczyzn powstrzymywanych potrójnym kordonem strażników ubranych w plastykowe zbroje. Alderon wychylony z okna patrzył na ten bałagan i czuł, że zbiera mu się na wymioty.
- Jeżeli tu wejdą, rozedrą nas na strzępy - powiedział zgryźliwie Kerr, szef kontrolerów lotu, gruby i śmierdzący jak jego cygara, drapiąc się po owłosionej piersi.
Alderon cofnął się od okna i usiadł w fotelu. Salka obliczona na osiem osób była zapełniona po brzegi. Duszny smog będący mieszaniną dymu tytoniowego, parującej kawy, alkoholu i spoconych ciał wisiał ciężko u niskiego sufitu. Przemawiał Albert, dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro.
- ...na pokładzie „Tytana" znajdują się dwa tysiące pięćset cztery osoby łącznie z załogą. Oni już dla nas umarli. Nie możemy czekać do ostatnich chwil. Ktoś z nas musi im to powiedzieć. Nie ma sposobu zapobieżenia katastrofie. „Tytan" skierował się w stronę Ziemi i za godzinę wejdzie w atmosferę. Żaden z naszych statków ratowniczych nie zdąży podejść do niego i ewakuować pasażerów. Na to potrzeba godzin, a nie minut. „Tytan" automatycznie zatrzasnął swoje grodzie i śluzy w chwili dekompresji w przedziale silnikowym. Jeżeli uszkodzone są śruby awaryjne, to trzeba by pruć pancerz, a potem po kolei wszystkie grodzie...
- Czy wysłał Pan wszystkie statki na obite? - pytanie zadał Slovanec. Jak na ministra komunikacji nie miał teraz właściwego wyglądu. Ściągnięto go helikopterem z jakiejś łódki na Nilu. Był ubrany w podkoszulek, szorty i kalosze. Ciągle jeszcze trzymał w reku krótki spiner.
- Wszystko co mogłem, panie ministrze - Albert rozłożył ręce w niemej rozpaczy. Piżamowa kurtka, którą miał na sobie, rozchyliła sie ukazując łańcuszek zakończony żółtym krzyżykiem.
- Pozostaje nam tylko chyba to... modlić się o cud - szepnął Albert.
Kerr w milczeniu pokiwał głową zapalając cygaro od cygara. Slovanec wściekle machnął spinerem i rozbił filiżankę z kawą.
- Musi być jakieś wyjście - krzyknął. - Myśl człowieku!!
- Robimy co się da. Ściągnąłem na pomoc niszczyciele z wojskowych baz orbitalnych i wszystko co się rusza w tej części kosmosu... - Albert opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach.
- Ma tam żonę i córkę - powiedział ktoś z obsługi radarów.
- Przepraszam, nie wiedziałem... - Slovanec przełknął ślinę i głęboko odetchnął. - Ja im tego nie powiem, nie mogę... - gruba bambusowa rękojeść wędki pękła w jego dłoniach z ogłuszającym trzaskiem.
Alderon wstał i podszedł do automatu z kawą. To była jego piąta filiżanka, ale gotów był wypić cały pojemnik.
- Ja to zrobię - powiedział głośno i cisnął kubek z kawą na podłogę. Patrzyli na niego w milczeniu.
- Daj spokój, nie powinieneś... - zaczął Kerr, ale nie dokończył widząc zdecydowanie na twarzy szwagra. Alderon usiadł przed ekranem holowizora. Nie było wizji, jednak dźwięk był doskonale czysty i nie skażony zakłóceniami. Od pół godziny obowiązywała w kosmosie cisza.
- Ziemia do „Tytana". Mówi...
Kiedy skończył miał mokrą koszule i ktoś ocierał mu czoło papierowym ręcznikiem. Do sali wpadł Olson. Jako przedstawiciel konsorcjum produkującego sprzęt kosmiczny miał obowiązek udzielenia informacji dziennikarzom.
- Nie mogę spławić tych videofonicznych hien - krzyknął - co mam im powiedzieć?
- Prawdę! - Slovanec wskazał na ekrany. - Za godzinę lub krócej

i tak wszyscy to zobaczą. Nie ma się co oszukiwać.
Alderon leżał w fotelu. Gruby Kerr krążył wokół niego jak ćma.
- Spokojnie chłopie, trzymaj się. Może zdarzy się cud. Póki żyją nic jeszcze straconego. Wiem co czujesz. To moja siostra, a twoja żona...
- Gabor ma dopiero trzy latka. Tak długo czekaliśmy aż będzie nas stać na dziecko - Alderon zamknął oczy. Stalowa łapa strachu dławiła go w bezlitosnym uścisku.
- Kerr, ty śmierdzący wieprzu, powiedz, że to nieprawda... oni nie mogą zginąć na moich oczach! - Poderwał się w stronę okna. Potrzebował przestrzeni, pędu powietrza, dziesięciu pięter i betonowej płyty, o którą będzie się mógł roztrzaskać w czerwony kleks. Tak jak za godzinę zginie Jona i Gabor. Dwa krwawe kleksy na suficie czy ścianie, który zmyje ocean ognia. Kerr mimo swej tuszy by szybszy. Uderzył raz i złapał sflaczałe ciało w swoje ramiona.
W pustej salce siedział jedynie Albert.
- Co się stało? - był zaszokowany zachowaniem szefa kontrolerów.
- Chciał skoczyć. Na „Tytanie” ma żonę i syna. Moją siostrę...
- To też jest wyjście... - Albert wstał.
Kerr pochylił głowę i zacisnął pieści. Był gotów, Albert popatrzył na szefa kontrolerów i powoli usiadł.
- Pan mnie źle zrozumiał. Powinniśmy zejść na dół i osobiście być z tymi, którzy czekają na swoich bliskich... Którzy nie doczekają sie swoich bliskich.
Dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro płakał.
- Spokojnie, spokojnie - Kerr wypluł niedopałek cygara na podłogę, nalał do kubka dużą porcje czystego ginu i wypił. Powtórnie nalał i podał Albertowi.
- Alderon powiedział, że wszyscy musimy być dzielni i mieć nadzieje: „...jesteśmy z wami myślą i sercem... niewielka jest nadzieja na ratunek, ale zawsze może zdarzyć się cud...”

- Gadanie! - Solo Mann ze złością wyłączył odbiornik. Od dwudziestu minut jego „Złota Strzała” szła pełnym ciągiem w stronę „Tytana”. Przeciążenie rozpłaszczyło człowieka w fotelu, a alarmowe kontrolki chłodzenia stosu niedwuznacznie sugerowały, że kociołek jest na granicy wybuchu. Przy stu tysiącach kilometrów na godzinę autopilot samoczynnie wyłączył silniki. Na ziemskich ekranach maleńka kreseczka goniąca „Tytana” przypominała wściekłą pszczółkę mknącą za burym olbrzymem, który ukradł jej zapasy miodu.

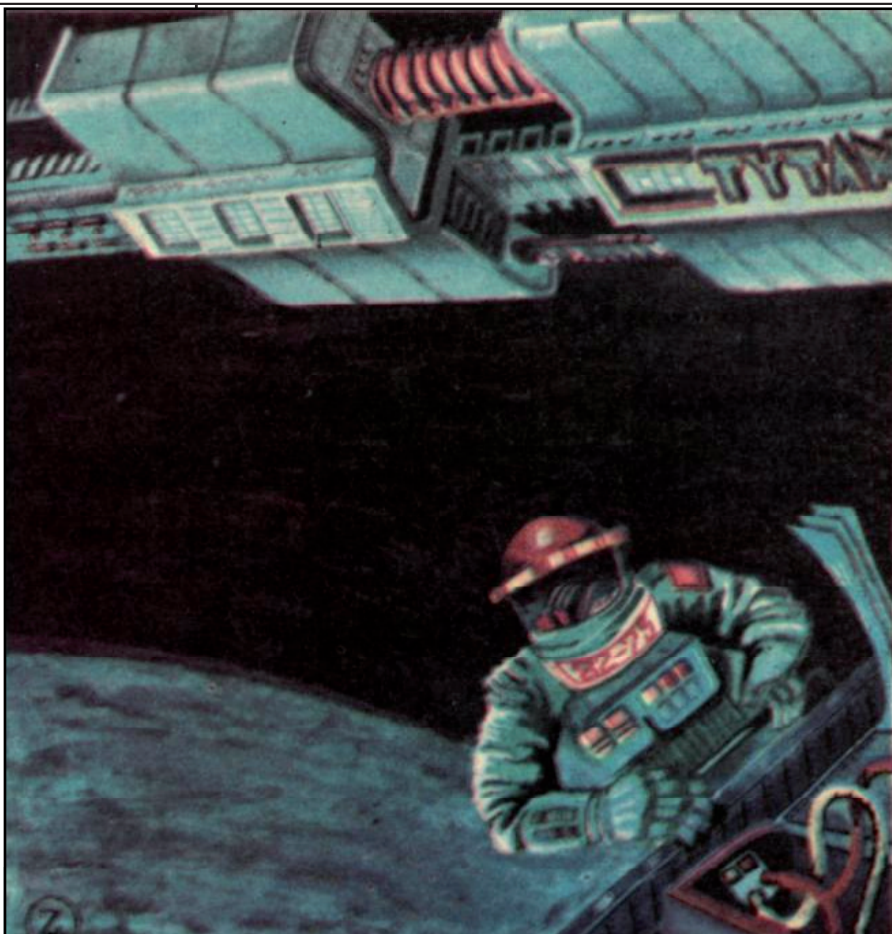
- Alderon odezwij się wreszcie, do diabła - Kerr z syfonem w reku udawał strażaka. - Chłopcze, jest szansa, słyszysz mnie?
- Słyszę i przestań mnie topić. - Alderon kichając i plując usiadł na stole. - Czuje twoją łapę na szczęce - mruknął.
- Boże, teraz nie czas na amnezje. - Grubas z rozmachem rąbnął szwagra w plecy. Alderon spłynął ze stołu, na miękkich nogach zrobił trzy kroki i zawisł na fotelu przed ekranem dalekowizji.
- Tutaj, tutaj - Kerr stukał palcem w ciemny punkt w centrum ekranu. - Tutaj jest „Tytan”. A to małe gówienko to holownik ze służby oczyszczania kosmosu. Zobacz jak grzeje!
- Niech się schowają wszystkie ratunkowe czy wojskowe rakiety.
Salka cicha i pusta wypełniała się powtórnie zwartym gąszczem uczestników niedawnej narady.
- Kto to jest? - krzyczał Slovanec przeciskając się w stronę fotela, gdzie siedział Albert.
- Taki niewyparzony w gębie śmieciarz z SOK.
Dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro nie odrywał oczu od ekranu. W jednym reku trzymał cygaro otrzymane od Kerra, w drugim kubek, a miedzy udami/ściskał butelkę z ginem. Ktoś podsunął ministrowi pustą skrzynkę po piwie. Slovanec usiadł z głową prawie w ekranie.
- Niesamowicie szybki jak na tak małą jednostkę - szepnął z podziwem w głosie. - Masz z nim kontakt? - spytał Alberta.

Robert FALTZMANN
urodził się w 1950 r. w Warszawie. Debiutował na łamach „Młodego Technika” w 1980 r. Kilka jego opowiadań znajdzie się w piątym tomie antologii „Spotkanie w przestworzach”.

- Miałem, ale nie chciał nikogo słuchać. Wyłączył się.
- Mówił coś?
- Tak. „Nie przeszkadzać!... wycofujcie swoje statki z mojej trajektorii”.
- To niewiele. Twardy gość.
- Wie co robi. - Olsen wsunął głowę miedzy fotel a skrzynkę.
- Stary wyjadacz. Zebrałem już informacje o nim; Solo Mann, dwadzieścia lat w kosmosie. Od pięciu lat na holowniku SOK...
- Skąd on tam się wziął? Tak blisko Ziemi? - zainteresował sie Alderon.
- O to samo pytałem dyspozytora z Bazy SOK na Księżycu.
- Olsen znacząco chrząknął. - Nie chciał mi nic powiedzieć i zrobił sie raczej wulgarny...
- Nieważne. Zupełnie nieważne! Dajcie na ekrany czas, jaki został „Tytanowi” i proszę zacząć odliczanie!
Albert nalał do kubka alkoholu i podał ministrowi.
- Za tych co w kosmosie! Wypij, dobrze ci zrobi. Slovanec bez słowa przechylił kubek.

„Złota Strzała” przylgnęła do boku „Tytana”. Tępy, opancerzony dziób holownika wparł się w bok kolosa. Ciężko zagrały cztery dysze głównego ciągu pojazdu. Solo Mann drżącą dłonią przesuwał dźwignie dopalaczy. Nie miał czasu na delikatny manewr. Wprawdzie holował przy większych szybkościach o wiele potężniejsze wraki do księżycowych doków, ale tutaj należało odchylić rakietę na tyle, by wyrwała się ze śmiertelnej trajektorii i weszła na obojętną orbitę kołową. Obliczył, że zdąży z zapasem pięciu minut. Teraz, kiedy już wparł się w ceramitowy pancerz, a widoczna na ekranie hipotetyczna czerwona linia drogi „Tytana” coraz szybciej odsuwała się od środka pola, mógł spokojnie odetchnąć. Miał kaca. Gigantycznego. Poza tym był bez grosza i co gorsza stary Glum z Księżyca domagał się zwrotu pożyczki. Sięgnął po termos. Wypił parę łyków, które zostały na dnie i sapiąc przez nos położył się na fotelu. Czubkiem obcasa dociskał do maksimum dźwignie, którą ostrożny autopilot próbował cofnąć do połowy skali.
- Cholerny asekurant - powiedział Solo Mann i uderzył pięścią w oparcie fotela. Zawsze sobie obiecywał, że weźmie młotek i rozwali wszystkie bezpieczniki autopilota, ale nigdy tego nie umiał zrobić. Bądź co bądź nie była to głupia maszyna, ale cybernetyczny mózg, z którym zawsze można było pogadać w wolnej chwili.
- Zdejmij te nogę, bo wyłączę silniki - powiedziała ściana.
- Nie da rady, słyszałeś przecież sygnał SOS. Tam są ludzie. Trzeba ratować...
- Zdążysz. Oszczędzaj reaktor. Mamy uszkodzone chłodzenie!
- Wytrzymamy jeszcze pięć minut?
- Jak nic nowego nie wysiądzie to tak.
- No to trzymaj kurs! Tylko pięć minut i wystarczy! - zdjął nogę z dźwigni, wstał i zaczął się ubierać w skafander.
- Dokąd? - spytała ściana.
- Na zewnątrz. Musze im podłączyć akumulatory. Mają trudności z awaryjnymi systemami podtrzymywania życia.
- Dam ci cały zestaw energetyczny z naszego dubletu.
- Duże ryzyko. Nie daj Boże, że coś ci się spali i jak wtedy dasz sobie rade?
- Poczekam na ciebie.
Solo Mann bez słowa wszedł do śluzy. Na zewnątrz czekał już na niego potężny grzbiet „Złotej Strzały”, kryjący w sobie ministos ratunkowy oraz wszystkie ważniejsze dublety urządzeń holownika.
- Oddzielam - szepnął głośno w hełmie. - Skieruj mnie w stronę kabiny pilotów, tam są zewnętrzne gniazda energetyczne. „Złota Strzała” pękła wzdłuż i jej górna cześć ruszyła w stronę kadłuba „Tytana”. Solo Mann mijał kolejno krystaliczne okna pojazdu i z niepokojem patrzył na ludzi z tamtej strony. Ludzi leżących na podłodze lub skulonych na posłaniach w swoich kabinach.
Widać było, że brakowało im światła, tlenu i ciepła.
- Ledwo zipią! - przycumował do pierwszego gniazda.
Dopasowanie kontaktu i zdjęcie pokrywy zajęło mu parę sekund. W chwili kiedy włączył agregat „Tytan” sapnął głucho i zewnętrzne pancerze pokrywy luków otwarły się zachęcająco. Równocześnie wszystkie ciemne okna rozbłysły strugami białego, różowego i żółtego światła. Solo Mann podniósł się z klęczek i zajrzał przez najbliższą szybę do środka. W kabi-

nie na posłaniu leżała kobieta tuląca do piersi małego chłopca. Nagła zmiana oświetlenia spowodowała, że zerwała się gwałtownie i odruchowo spojrzała w iluminator. Solo Mann uśmiechnął się przyjaźnie i znacząco podniósł do góry kciuk. Kobieta zrozumiała, bowiem jej twarz rozpogodził uśmiech niewyobrażalnej ulgi. Odwróciła się zaraz i nacisnęła zamek u drzwi. Te odskoczyły niknąc w ścianie, a Solo Mann zobaczył wnętrze korytarza i innych ludzi padających sobie w ramiona i śmiejących sią przez łzy. Kobieta powiedziała coś i do jej kabiny zaczęli się tłoczyć pasażerowie próbując zobaczyć swojego wybawcę.. Solo Mann odsunął się z zażenowaniem. Nigdy nie przepadał za teatrem, a tutaj nagle wylądował na scenie w głównej roli. W innych oknach też pojawili sie ludzie i wszyscy machali do niego rękoma jak opętani. Błysną) jakiś flesz. Solo Mann zdrętwiał. Był przepity. Oczy miał zapuchnięte i czerwone jak albinos, a na twarzy trzydniowy zarost. Był istną ruiną człowieka. Zrejterował. Galopem, o ile w pustce i w skafandrze można galopować, ruszył w stronę kabiny pilotów. Podłączył następny kabel zasilania i bez zbędnego zerkania w cudze okna rozejrzał się za „Złotą Strzałą”. Wierny holownik odpływał właśnie od boku „Tytana”. Solo Mann bez namysłu odbił się od burty i skoczył w czarną pustkę dzielącą go dwustumetrową szczeliną od „Złotej Strzały”. Śluza otworzyła się kiedy tylko dotknął dłonią burty. Bez rozbierania sie wszedł do kabiny.
- Wszystko gra? - spytał siadając na fotelu.
Odpowiedzią było milczenie i żółty alarmowy sygnał przeciążenia reaktora.



Centrum Kontroli Lotów przypominało teraz mrowisko, w którym gościł kiedyś bardzo głodny mrówkojad. Z wysokości dziesiątego pietra okoliczne parkingi i trawniki świeciły pustką. Trzy lub cztery samojezdne kosiarki ugrzęzły w stertach puszek po piwie, coli i mleku. Ekipa sprzątająca wspomnienia po panice, leniwie krążyła po drogach okalających Centrum. Kerr, szef kontrole rów lotu, siedział przed ekranem dalekowizji i w milczeniu głaskał niesforne loki Gabora. Obraz na ekranie falował odległą poświatą ognia.
- Niech to wszyscy diabli! - Slovenec zmienił zakres odbioru i teraz poprzez kamery intersalta mogli zobaczyć ostatnie sekundy agonii „Złotej Strzały”. Gorejąca czerwienią, bielą i błękitem, ognista kula rozpadła się na tysiąc iskier.
- Wujku, czy to są meteory? - spytał Gabor. Kerr nie odpowiedział.
Obejrzał się tylko na kurczowo przytulone postacie Jony i Ąlderona.
- Tak, synku, to są meteory. Teraz to już tylko meteory. Minister nie wyglądający na ministra przechylił kubek z ostatnim łykiem ginu.
- Dlaczego? - spytał. - Czy nie mogliśmy nic zrobić?
Ludzie milczeli zapatrzeni na ostatnie gasnące na ekranie iskry ognia.
- Nic nie mogliśmy. To było nieuniknione. Przegrzany reaktor. Niesprawne silniki. Zbyt blisko Ziemi. Musiało się tak skończyć Kerr cisnął cygaro na podłogę.
- Dla nas, kiedy spada gwiazda, to umiera człowiek. Gdyby Pan do nas częściej zaglądał, zrozumiałby Pan jaką mamy prace. Na Pana miejscu zakazałbym wszystkich tych zwariowanych podróży do nikąd. Przeklęte planety pełne pustki, śmierci i mroku...
- Spiłeś się, Kerr! - Slovanec wstał i z opuszczoną głową wyszedł z sali. Za nim poszli inni.
- Mamo - Gabor podbiegł do Jony ciągle tulącej się do Alderona.
- Tak, kochanie?
- Dlaczego powiedziałaś, że to nieprawda z tymi gwiazdami?
- Nie rozumiem, Gabi?
- Wujek Kerr przecież powiedział, że kiedy spada gwiazda .to umiera człowiek.
Jona ze łzami w oczach objęła drobne ciałko syna.
- Gabi - szepnęła - Gabi, kochanie. Nie trzeba teraz nic mówić. Teraz nie trzeba.

-Gadanie - Solo Mann ze złością wyłączył głośnik. - Komitet powitalny wymyślili, Jezu, jak ja to przeżyje. - Chciało mu sie piwa jak nigdy dotąd i spokojnego odpoczynku w kabinie „Złotej Strzały”. Obejrzał się za siebie. W oddali lśniła błękitem Ziemia.
- To nic, jeszcze nie raz... - mocniej przycisnął do piersi kryształową kule zawierającą mózg autopilota. Jeden z przewodów, jakie oplatały kryształ, tkwił w hełmie skafandra.
- Chyba nie rozbeczysz się jak dzieciak? - spytał autopilot. - Jeszcze mnie zgubisz...
- Chyba nie, ale mi szkoda, bo to był dobry statek.
- To był najlepszy jaki istniał w SOK.
- Teraz już nam nie pozwolą...
- Pozwolą. Proponuje przesiąść się na „Białego Ogara”.
- Sądzisz, że dadzą?
- Już dali. Nie trzeba było wyłączać głośnika.
- Mdli mnie od tej drętwej gadki jaką sprzedaje stary Glum.
- Nie narzekaj. To dobry dyspozytor i zna się na robocie.
- Pewnie, ale nie chciał mi pożyczyć forsy na to chrzanione powitanie. Nie mam żadnego porządnego ubrania...
- Czy to takie ważne, ty moczymordo? I tak byś wszystko przepił.
- Przymknij się, bo cie kopne!
- Kopnij, ty pijackie nasienie.
Solo Mann uśmiechnął się i mocniej ścisnął nogami obły kształt rakietowej gaśnicy.
- Nie ma się co spierać - mruknął - już po nas lecą.
- No to gazuj. Prędzej będziemy mieć to za sobą.
Solo Mann odwrócił się i przekręcił zawór. Potężna fontanna sprężonego dwutlenku węgla białą kaskadą znaczyła ślad wzbijającego sie w górę obiektu. Na ekranach dalekowizji wyglądało to jak miniaturowa kometa, która wbrew prawom fizyki uciekała od Ziemi.
I mógłby ktoś teraz, trawestując stare porzekadło powiedzieć, że kiedy wznosi się gwiazda rodzi się nowy człowiek...

Cwojdziński Antoni
(1896- 1972)
pseud. Antoni Wojdan
Komediopisarz, aktor, publicysta

Urodził się 9 października 1896 r. w Brzeżanach. Syn Tadeusza (nauczyciela matematyki) i Stanisławy z Wojciechowskich. Studia wyższe odbywał w Krakowie, Lwowie i Warszawie. Pasjonował się naukami przyrodniczymi, zwłaszcza biologią i geografią (we Lwowie uczęszczał na wykłady Eugeniusza Romera, w Krakowie obrał kierunek matematyczno-przyrodniczy). Po ukończeniu studiów znalazł pracę w katedrze fizyki Uniwersytetu Warszawskiego (był prywatnym asystentem profesora Białobrzeskiego, jednego z największych znawców teorii Einsteina w Polsce). W roku 1927, za namową J. Osterwy, porzuca karierę naukową i wstępuje do Instytutu „Reduty", gdzie przygotowuje się do działalności literackiej, poznając tajniki zawodu aktorskiego. Debiutuje jako Czepiec w „Weselu" St. Wyspiańskiego, jest min. partnerem St. Perzanowskiej w „Ewie" J. Szaniawskiego. Gra na scenach teatrów Lodzi i Lwowa. Kiedy w Warszawie powstaje Państwowy Instytut Sztuki Teatru, wstępuje na nowo otwarty wydział reżyserski. Praktykuje u L Schillera, A. Węgierki i K. Borowskiego. W tym samym czasie pisze pierwsze „komedie naukowe" dotyczące teorii względności, psychoanalizy i charakterologii Kretschmera (**„Teoria Einsteina"**, prapremiera 26 XII 1934 w teatrze „Reduta", reż. J. Osterwa w latach 1934 - 1936 wystawiana 525 razy, druk. w: „Prosto z mostu" 1935/20-30; **„.Freuda teoria snów"**, prapremiera 27 IV 1937 w „Teatrze Małym", reż. E. Wierciński, druk. w: „Wiadomości Literackie" 1937/29, 32, 35; **„.Temperamenty"**, prapremiera w 1938 r. w „Teatrze Małym" w Warszawie).

Twórczość literacka Cwojdzińskiego zdobywa niemal od razu uznanie publiczności i aprobatę krytyków. Związek Autorów Dramatycznych dwukrotnie przyznaje mu nagrodę im. Leona Reynela za najlepszą sztukę roku: w 1935 za „Teorię Einsteina", a w 1936 za komedię **„.Epoka tempa"** (prapremiera w r. 1935; wystawiana również pt. **„Człowiek za burtą")**.

„Teoria Einsteina" grana jest również w Pradze (25 przedstawień w reżyserii J. Osterwy), nieco później zostaje przełożona na język angielski (tłum. G. Rapell Noyes - prof. Slawistyki Uniwersytetu Kalifornijskiego), a następnie na język francuski (tłum. K. Chańska i J. Lacarriere, Warszawa 1971). W latach trzydziestych Cwojdziński pracuje w Teatrze Narodowym pod kierunkiem W Horzycy, L. Solskiego i A. Zelwerowicza. Wystawia kolejne utwory, nie podejmujące jednak tematyki naukowe|. Swoje artykuły krytyczne i sztuki zamieszcza m.in. na łamach „Wiadomości Literackich" (1937) i „Prosto z mostu" (1935). W roku 1940, po półrocznym pobycie w okupowanej Warszawie, uciekając przed aresztowaniem, przedostaje się do Anglii i Francji, a w foku 1941 opuszcza Europę udając się do Stanów Zjednoczonych. Działa w „Teatrze Artystów z Polski", gdzie odbywają się prapremiery jego kolejnych „komedii naukowych": **.„Każdej chwili"** i **.„Hipnozy"** (wystawionej po wojnie w Teatrze Starym w Krakowie). Pracuje jako korektor w drukarni miasta Detroit, prowadzi tzw. „polską godzinę radiową", redaguje wiadomości w gazetach polonijnych. W tym czasie powstają jego sztuki o tematyce wojennej: „Piąta kolumna w Warszawie" (prapremiera Nowy Jork 1942), „Polska podziemna" (prapremiera Nowy Jork 1942), „Niemiec" (Nowy Jork 1944) oraz komedia „Polski lotnik" (1945).

Po zakończeniu działań wojennych Cwojdziński przebywa nadal na emigracji. W roku 1957, po dwunastu latach pracy w rozgłośni radiowej, zostaje zwolniony, ponieważ zgłasza zamiar odwiedzenia rodzinnego kraju. W poszukiwaniu zatrudnienia trafia do redakcji „Dziennika Chicagowskiego". W 1959 r. przyjeżdża na krótko do Polski, w następnych latach jego wizyty są coraz częstsze i dłuższe. W roku 1962 po przejściu na emeryturę opuszcza Stany Zjednoczone i przenosi się do Londynu, goszcząc u swego brata. Do dawnych fascynacji literackich Cwojdzińskiego (S. Brzozowski, F. Nietzsche) dochodzą nowe - zainteresowanie twórczością Faulknera i francuską antypowieścią lat 60-tych. Swoją uwagę kieruje również w stronę gerontologii, parapsychologii, psychosomatyki, genetyki i cybernetyki. Na emigracji powstają jego ostatnie „komedie naukowe" **„Takie jest twoje przeznaczenie"** (prapremiera Londyn 1948). **„Obrona genów"** (1948), **„Einstein wśród chuliganów"** (druk. w „Dialogu" 1959/3), **„Sprzężenie zwrotne"** (druk. w „Dialogu" 1966/2, prapremiera w Teatrze Kameralnym w Warszawie w r. 1966) oraz **„Świat tajemnic", „Hipnozna", „Każda chwila"** prapremiery w londyńskim teatrzyku polskim). W1968 r., w Warszawie, nakładem PIW-u ukazują się **„Komedie** naukowe" Antoniego Cwojdzińskiego (nakład 1500 egz).

Autor „Teorii Einsteina" umiera na emigracji w sierpniu 1972 r.

W opinii wielu krytyków i recenzentów komedie Cwojdzińskiego nie były niczym innym, jak wykładem akademickim rozpisanym na głosy dialogu literackiego w celu skuteczniejszego spopularyzowania teorii naukowych. Jeszcze w roku 1964, Roman Szydłowski, na marginesie recenzji „Hipnozy" pisał: „Cwojdziński kontynuuje z powodzeniem gatunek zapoczątkowany u nas przez (-) Bruno Winawera, jest popularyzatorem nauki w najlepszym tego słowa znaczeniu". Powierzchowność podobnych sformułowań dostrzegł przede wszystkim sam Cwojdziński, który w przedmowie do swych „Komedii naukowych" stwierdzał: *„Z tego, iż tematem mych sztuk są, ciekawsze od fantazji, autentyczne wyniki nauki nie wynika, że idzie mi o jej popularyzację. W ciągu dwu godzin śmiechu nie można by spopularyzować nawet tabliczki mnożenia. Dlatego, jeżeli powtarzam za recenzentami termin „komedia naukowa", ujmuję go zawsze w domyślny cudzysłów".*

Jakich zagadnień i problemów dotyczą zatem komedie Cwojdzińskiego? Sztuki tego autora są przede wszystkim opowieściami o sposobach odbioru „modnych" teorii scjentycznych (cybernetyki, gerontologii, psychoanalizy) w kręgach pozanaukowych, opisem błędnych, czasem zafałszowanych i spłyconych zabiegów interpretacyjnych. Niemal wszystkie wątki komizmu sytuacyjnego wywodzą się tu z „przełamywania twierdzeń naukowych w świadomości profanów". Cwojdziński wykorzystuje zabieg stosowany w wielu utworach science fiction polegający na próbach oswojenia rzeczy nie znanej, zetknięcia różnych, nierzadko sprzecznych systemów światopoglądowych. W „Teorii Einsteina" abstrakcyjne rozważania naukowca zostają przyjęte z dużą dozą rezerwy, nieufności, natomiast wywody służącej Maryni, która traktuje uwagi profesora i księdza jako prawdy o jednakowej randze i znaczeniu, trafiają do wszystkich zainteresowanych.

W „Sprzężeniu zwrotnym" - uczony, który skonstruował maszynę do przetwarzania danych orzekającą o przyszłym szczęściu narzeczonych, żeni się z dziewczyną zaakceptowaną przez ów komputer, który bez trudu dał się oszukać asystentce zakochanej w uczonym. Satyra jest zatem obustronna i nie oszczędza przedstawicieli środowiska akademickiego. Bohaterowie komedii Cwojdzińskiego to częstokroć „snobistyczne głuptasy, pseudonaukowi postępowcy szermujący teoriami, których dokładnie nie rozumieją, a według których chcieliby natychmiast urządzać świat". Jak ocenić znaczenie twórczości Cwojdzińskiego na tle dorobku XX-wiecznej dramaturgii polskiej? Jego pisarstwo nie było nigdy eksperymentem w sensie formalnym. Nie można jednak zapomnieć, iż autor jako jeden z pierwszych, naruszył „chiński mur obojętności pomiędzy nauką a sztuką", próbował mediacji pomiędzy tymi dwoma dziedzinami kultury. I, co ważniejsze, jego spuścizna literacka nie jest dorobkiem martwym, skazanym na powolne zapomnienie. „Publiczność Anno Domini 1934 znajdowała w komediach Cwojdzińskiego nie tylko szczyptę informacji o fizyce, ale przede wszystkim, złudzenie harmonii filozoficznej działającej kojąco w chaotycznym i niespokojnym świecie" - przypomina Leszek Eustachiewicz w recenzji „Teorii Einsteina". - „(Dziś) w odbiorze komedii przesunęły się akcenty. Najbardziej interesujący wydaje się już nie uproszczony wykład profesora, lecz czający się w idylli rodzinnej zarys mechanizmu spłaszczania nauki, dostosowywania jej do prymitywnych potrzeb emocjonalnych. Niesamowity jest obraz bezsilności uczonego wobec sposobu rozumienia jego słów. Czas zatarł wiele walorów informacyjnych komedii, ale wydobył rysy gorzkiej groteski, dawniej niedostrzegalne i zapewne nie zamierzone.

BIBLIOGRAFIA

Ogólna:

- „Słownik współczesnych pisarzy polskich", red. E. Korzeniewska, t I, Warszawa 1963,
- K. Kapuścińska „Twórczość komediowa B. Winawera i A. Cwojdzińskiego" (w) Łódzkie Towarzystwo Naukowe. Sprawozdania z Czynności i Posiedzeń Naukowych, 1968, R. XXII/I
- L. Eustachiewicz „Komedie Antoniego Cwojdzińskiego" (w) Dialog 1970/12,
- L Ginkowa „Teatr naukowy Cwojdzińskiego" (w) Poglądy 1973/16.

RECENZJE WYBRANE:

„Teoria Einsteina":

- K. Irzykowski (w) Rocznik Literacki 1934/73,
- T. Boy-Żeleński „Romans cieniów", Warszawa 1935, s. 252-257,
- W. N. (W. Natanson) „Usceniczniona tabliczka mnożenia" (w) Front Teatralny 1945/2,
- A. Grodzicki „Nauka na wesoło" (w) Życie Warszawy 1957/28,
- M. Pomorska „Nauka i komedia" (w) Trybuna Mazowiecka 1957/28.

„Freuda teoria snów":

- K. Irzykowski „Scena czy sala odczytowa" (w) Pion 1937/18,
- T. Sinko „Dyletanci - Freudyści na scenie" (w) Czas 1937/243,
- A. Słonimski (w) Wiadomości Literackie 1937/21,
- E. Csato (w) Dziennik Łódzki 1946/123,
- awk (A. Ważyk) (w) Kuźnica 1946/19,
- A. Grodzicki „Freud z myszką" (w) Życie Warszawy 1957/161,

„Epoka tempa"

- J. Wittlin (w) Wiadomości Literackie 1935/42,

T. Boy-Żeleński „Krótkie spięcia", Warszawa 1938, s. 16-20,

- J. Horodyński „Na zasadzie holajzy" (w) Życie Literackie 1957/2.

„Hipnoza"

- (...) Odgłosy 1969/45,
- (...) Słowo Ludu. Magazyn 1971/605.

„Sprzężenie zwrotne"

- M. Czanerle „Uczony i prostaczek" (w) Życie Literackie 1968/12,
- A. Augustyn (w) Wieści 1976/21.

TEORIA EINSTEINA
Antoni Cwojdziński

Osoby:
Profesor - powyżej lat 50,
Babcia - jego matka,
(...),
Henryk - przyjaciel, literat,
Stefcia - maszynistka,
Marynia - służąca.

Stefcia przepisuje tekst wykładu profesora, ale pod jego nieobecność, za namową domowników, nanosi „poprawki" do kopii referatu uczonego, pragnąc by wykład był bardziej zrozumiały i autorytatywny. Oto dialog Stefci i Maryni zaaferowanych „adiustacją" tekstu profesora:

Stefcia: W szkołach uczą, że materii nie można stworzyć, a teraz jest inaczej.
Marynia: Jak tam stoi?
Stefcia (patrzy w kopię): Że... o! „Energia może przejść w materię!" Marynia (nagle): To znaczy się, że Pan Bóg mógł stworzyć świat!
Stefcia : A tak Maryniu, mógł! Bo w „Biblii" jest, że „słowo stało się ciałem", a to ..słowo" to chyba energia.
Marynia : I jej wolno teraz zrobić się materią i stworzenie świata nie jest przeciwko naukom (...).
Stefcia: (Oszołomiona nagłym pomysłem): A wie Marynia... Ja to wpiszę do kopii!. Ten egzemplarz dla pana już gotowy, a kopię damy (Włodkowi).
Marynia: Bo pan i tak nigdy nie patrzy na żadną kopię. Chowa do szafy. To piszemy, co?
Stefcia: Było nie było... piszemy! (zakłada nowy papier)
Marynia : A na co panience więcej?
Stefcia : To o cudach - ja dla siebie.
Marynia: To trzy, panienko, dla mnie także. I dla Wikci jeden, to razem cztery (...). Ale troszeczkę poprawimy pana, żeby było dla Heluśki,
Stefcia (kiwnęła głową i pisze; po chwili): Jak skończyć?
Marynia: Niech panienka kombinuje, tak jakby to pan pisał.
Stefcia : A może skończyć: „Więc możliwość cudów została ściśle udowodniona przez nową naukę",
Mary n i a (z entuzjazmem): I żadne reklamacje nie będą przyjmowane. (Po chwili). A jakby jeszcze o stworzeniu świata. Ze dawniej nauka ani rusz nie mogła pogodzić się z religią-, a teraz wszystko klapuje. Jak Heluśka zobaczy, że tatuś tak pisze, nie będzie słuchała panicza!
Stefcia: Ale to trzeba jakoś (...) „Na zakończenie nie możemy pominąć związku"... lepiej „harmonii"...
Marynia: O tak, tak! Harmonii!
Stefcia :... wspaniałej harmonii, jaka powstaje między nową fizyką a religią...
Marynia: Prędko panienko, prędko, bo on zaraz przylezie!
Stefcia: „Zasada starej fizyki... że materii nie można z niczego stworzyć... nie zgadzała się ze słowami „Biblii" o stworzeniu świata. Ale dziś, gdy zasada ta upadła, opisane w „Biblii" stworzenie świata jest zgodne z fizyką nową".
Marynia: Pycha! A... żeby jeszcze wsadzić to „słowo stało się ciałem", co?
Stefcia (po krótkim namyśle):Można!... „Tak więc prawda, że «słowo stało się ciałem", jeżeli pamiętamy, że Słowo to Bóg, więc energia - przechodzi z «Pisma Świętego" do fizyki i staje się naukowym twierdzeniem o początku świata". Co? (Przepisuje na maszynie.)

Oczywiście, jak należało się tego spodziewać, nieszczęsna kopia referatu dostaje sie przypadkowo do rąk profesora, który, zaaferowany kompletem słuchaczy na sali wykładowej, odczytuje „nową" wersje tekstu, nie zastanawiając się nad jej treścią. Oto scena powrotu profesora do domu:

(W drzwiach staje zdyszany i oszołomiony Profesor) Babcia (po pełnej napięcia ciszy): Już wróciłeś?
Profesor (Próbuje się opanować): Wróciłem!
Babcia: Tak prędko?
Profesor: Tak, bo biegłem. Leciałem.
Babcia: Czemu?
Profesor: Musiałem uciekać.
Babcia : Boże święty!
Profesor: Panno Stefciu, dziękuję pani za pracę (na tle głębokiej ciszy Stefcia wstaje). Czegoś takiego nie spodziewałem się po pani (...). Naraziła mnie pani na niebywałą kompromitację. (Skruszona Stefcia tylko kiwnęła głową). Pani wie o co chodzi?
Stefcia: Wiem, do widzenia.
Marynia: Ale panienka musi nam jeszcze przepisać...
Profesor: Na miłość boską, nic już nie przepisywać! Mama sobie nie wyobraża, co ona zrobiła! (...) Dopisała na końcu odczytu bajdy, których nigdy nie dyktowałem!
Marynia (na stronie): Bajdy, pani starsza...
Profesor: Niebywałe! Czytam spokojnie kilka stronic i niczego nie podejrzewam. I nie bardzo myślę, co czytam, bo byłem trochę zdenerwowany. Na sali, jak na złość, pełno - ale wszystko idzie dobrze. Nagle słyszę, że gadam jakieś... brednie! Myślałem, że coś źle przeczytałem, więc się nie zatrzymuję, żeby nie zwracać uwagi i jadę dalej.. Ale im dalej, tym gorzej! Banialuki, jakie nigdy nie wyszły z moich ust! Czerwienię się, jąkam, a cofnąć się nie mogę... Myślę: może nie zauważą, więc nie przerywam i walę dalej. Ale tych banialuk coraz więcej, prawdziwe horrenda! Słucham, co czytam i nie poznaję siebie! Tyle miałem przytomności, że opuszczałem, co już zbyt potworne! Ale jak już coś opuściłem, to całe zdanie nie miało sensu, więc musiałem wracać. A jak wróciłem, miało sens, ale gorszy od bezsensu! Myślałem, że mnie krew zaleje... Dobrnąłem do końca i dosłownie, dosłownie uciekłem z sali.
Babcia: Boże mój, Boże...
Profesor: A tak! Kiedy na końcu własnymi ustami rąbnąłem jakiś cytat z Pisma Świętego, nie wytrzymałem. Tak jak stałem porwałem kapelusz i galopem pognałem do domu. Pismo Święte w fizyce teoretycznej! Co teraz będzie? (...)
Marynia (po chwili, filozoficznie): Co będzie, mógłby wiedzieć tylko taki, co jest poza czasem i przestrzenią. (Profesor spojrzał zdumiony, więc go pociesza:) Ale ja myślę, proszę pana, że oni tam i tak nie słuchają, co pan mówi.
Profesor: Co?
Marynia : A choćby słuchali - to nikt nic nie rozumie.
Profesor: To po co by przychodzili?
Marynia: Przychodzą, żeby się nazywało, że byli na wykładzie pana profesora, a myślą sobie, gdzie potem iść na kolację!
Profesor: Ja sam myślałem, że ich to nie interesuje, zwłaszcza że z początku były jakieś szepty. Ale właśnie jak zacząłem czytać te bzdury, zrobiło się cicho.
Marynia: Jak pan mówi?
Profesor: Im więcej tych bzdur, tym lepiej słuchali. Kiedy skończyłem, było cicho jak podczas Ewangelii. (Wchodzi Henryk)
Profesor (udając spokój): No - i co tam?
Henryk (ściska mu rękę) Przyjmij najserdeczniejsze gratulacje, kochany!
Profesor (patrzy, nie rozumie): Go?...
Henryk : To była improwizacja - prawda? Poznałem od razu: tylko udawałeś, że czytasz! Ale choć mówiłeś bezładnie i nie kończyłeś zdań - efekt nadzwyczajny! To wspaniałe powiązanie religii z nauką wywołało - brak mi słów - wrażenie piorunujące! Parę minut milczenia, a potem entuzjazm nie do opisania. Jeszcze biją brawo!
Marynia (po chwili osłupienia): A widzi pan!
Babcia (podobnie, niemal równocześnie): Widzisz!
Profesor (na tle ciszy, ponuro): To jest potworne.
Marynia (znów, podobnie jak wszyscy osłupiała): Co?
Babcia: Co, co jest potworne? Profesor : Ludzka głupota...

A. Cwojdziński „Teoria Einsteina" (komedia w trzech aktach) w: A. Cwojdziński „Komedie naukowe" PIW, Warszawa 1968. Cytowane fragmenty pochodzą z I i II aktu, s. 11-67.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski



FANTAZJA I REGUŁY GRY

Wszystko wskazuje na to, iż początek lat 80-tych okaże się przełomem w badaniach nad historią polskiej fantastyki naukowej. Po pierwszych, z konieczności szkicowych wypowiedziach Andrzeja Wójcika („Okno Kosmosu", 1980; „Budowniczowie gwiazd", 1.1,1981), przyszła kolej na publikację dawno oczekiwanej książki Antoniego Smuszkiewicza, będącej popularnym zarysem dziejów tego gatunku w Polsce. Autor „Zaczarowanej gry" jest znany naszym Czytelnikom może nie tyle z nader specjalistycznej pracy „Stereotyp fabularny polskiej fantastyki naukowej" (1981) - prezentowanej w serii Rozpraw Literackich PAN i przeznaczonej dla wąskiego kręgu odbiorców (nakład 1500 egz.) - co z przystępnego, wieloodcinkowego omówienia rodzimej science fiction, zamieszczanego na łamach poznańskiego „Nurtu" w latach 1977 1980. Książka, która pojawia się właśnie na półkach księgarskich jest w dużym stopniu rozszerzeniem i uszczegółowieniem wspomnianej publikacji. Pisana językiem prostym i nieszablonowym, kreślona z prawdziwym zacięciem narracyjnym, staje się doskonałą repliką na pomówienia tych wszystkich krytyków i recenzentów, którzy początki rodzimej SF utożsamiają z powojennym debiutem Stanisława Lema. Do jej najciekawszych partii należą bez wątpienia rozdziały poświęcone pierwszym XVIII i XIX-wiecznym „podróżom księżycowym" (M. D. Krajewski, T. Tripplin), tragicznym losom „Historii przyszłości" zrodzonej pod piórem A. Mickiewicza, pozytywistycznym fascynacjom B. Prusa, modernistycznym wypowiedziom J. Żuławskiego, a wreszcie zagadnieniom międzywojennej fantastyki naukowej (A. Słonimski, B. Winawer, J. Braun, J. Karczewski i in.), w tym nie rozstrzygniętemu sporowi o plagiat pomiędzy M, Smolarskim i A. Huxleyem. Wypowiedź Smuszkiewicza, rzetelna i systematyczna w warstwie faktograficznej, a co ważniejsze pozbawiona zbytniej euforii w ocenie literatury SF (która bywa, niestety, wadą wielu publikacji z tej dziedziny), ma, mimo wszystko, swoje słabe strony: wysuwa wiele tez i wniosków, z którymi warto i chyba należało by polemizować. Przede wszystkim dobrze byłoby przypomnieć, co Smuszkiewicz rozumie pod pojęciem „fantastyki naukowej". Definiując założenia gatunku powołuje się na klasyczne sformułowania Ryszarda Handkego („Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki, 1969) upatrując istotę rzeczy w „motywie fantastycznego środka technicznego, wokół którego koncentrują się wszystkie fabularne wątki utworu" (s. 10). Przytaczając uwagi S. Lema i późniejsze (choć nie zawsze właściwe) spostrzeżenia R. Handkego, dopowiada, iż w ocenie gatunkowej przynależności utworu „obok nie istniejących realnie pseudowynalazków (...) liczy się również sposób ich motywacji: «myślenia o pozorach naukowości», tj. respektowania aktualnie obowiązujących reguł prawdopodobieństwa" (s. 10). Takie instrumentalne podejście do literatury SF, jako pewnego rodzaju całości historycznej, bynajmniej nie zadowala i sprawia wiele kłopotów podczas klasyfikacji tekstów z gatunkowego pogranicza (J. B. Dziekoński, s. 39; S. Grabiński, s. 134 i in.) Mówiąc o „nauce" w science fiction Smuszkiewicz-zdaje się skłaniać ku wąskiemu rozumieniu tego terminu (co jest regresem nawet wobec ustaleń S. Lema: „Fantastyka i futurologia", 1.1,1971) i zaledwie wspomina (bez podania źródeł - s. 136) o odmiennym traktowaniu tematu (rola nauk przyrodniczych, społecznych, filozoficznych w światowej beletrystyce SF). Oceniając teksty pochodzące z lat 70-tych musi tym samym dokonywać coraz częstszych uogólnień, a na domiar złego odcina sobie drogę do interpretacji tak ciekawych zjawisk, jak np. „historyczno-fantastyczna" twórczość Teodora Parnickiego. Mocno kontrowersyjne wydaje się również jego spojrzenie na tzw. „prehistorię gatunku" (wstęp: s. 7-12). Kiedy z nie ukrywaną niechęcią pisze o zjawisku rehabilitowania science fiction (tj. wywodzenia jej z epoki Renesansu, Baroku), ani słowem nie wspomina o krytycznych w tej mierze pracach D. Suvina, R. Scholesa, E. Barmeyer, R. Elliotta i R. Gerbera, natomiast przytacza wysoce niereprezentatywne opinie pochodzące z popularnej książki V. Graaf - „Homo futurus" (1975) oraz górnolotne frazesy P. Versinsa, w których jest tyle podejścia naukowego, co w publicystycznych wystąpieniach Cz. Chruszczewskiego i przekornych refleksjach A. Wiśniewskiego-Snerga.

Książka A. Smuszkiewicza składa się z czternastu rozdziałów uszeregowanych w porządku historycznym. Jakie przesłanki kierowały takim podziałem materiału? Nie są one bynajmniej jednolite. Początkowo już sam fakt istnienia tekstów posługujących się konwencją SF był wystarczającym powodem zainteresowania literaturoznawcy („Balonem na Księżyc", „W dobie rozbudzonej wyobraźni"). Później, w miarę przyrostu bibliografii, dochodzą do głosu kryteria tematyczne („Opowieści o cudownym wynalazku", „W kręgu mediumizmu i parapsychologii", „Igraszki z czwartym wymiarem", „Katastroficzne wizje przyszłości"). Im bliżej teraźniejszości, tym szczegółowsze i zarazem bardziej subiektywne stają się owe podziały systemowe. W coraz większym stopniu liczą się fakty polityki kulturalnej i zmienności pokoleniowej, aczkolwiek autor przyznaje, iż SF zdaje się rządzić własnymi, nieco odmiennymi od ogólnych, prawami (lata 1945-1958, 1959-1970, 1971-1980). Końcowy rozdział pracy („W kalejdoskopie teraźniejszości") jest już typowym amalgamatem postaw, konwencji i wyborów gatunkowych o rozmytych zasadach selekcji materiału (tylko pozornie należą do nich prowizoryczne, częściowo zdezaktualizowane, wskazania na „twórców awangardowych": Wiśniewski-Snerg, Kurpisz, Kozielecki; „umiarkowanych": Żwikiewicz (!), Malinowski, Sawaszkiewicz, Pąkciński, Krzepkowski (!) i „tradycyjnych": Penciak, Petecki, Kozłowski, Dolecki, Prostak i in.). To prawda, że w miarę zbliżania się do skomplikowanych zagadnień współczesności refleksja krytyczna musi stopniowo wypierać obiektywną, zracjonalizowaną analizę literacką. Przyjmując jednak nieco odmienne, bardziej precyzyjne wyznaczniki strukturalne, bądź też stosując metodę sfabularyzowanego eseju monograficznego, można było uniknąć nieprzyjemnych niespodzianek w postaci kilkufazowego prezentowania twórczości różnych autorów i to począwszy od epoki Pozytywizmu (casus Bolesława Prusa!), kończąc na prozie Cz. Chruszczewskiego, J. Zajdla, K. Fiałkowskiego i St. Lema (rozdz. X—XIII). Do niewątpliwych walorów pracy A. Smuszkiewicza (na co zwrócił uwagę R. Handke) należy osadzenie historii polskiej science fiction w filozoficznym, naukowym i cywilizacyjnym porządku poszczególnych epok. Na tle wcześniejszych analiz gatunkowych „Zaczarowana gra" wypada doprawdy znakomicie (opisy wynalazków technicznych XVIII i XIX stulecia, świadectwa międzywojennych koncepcji katastroficznych, postępy nauk przyrodniczych XX wieku etc.) Mimo tych zalet, jednym z ważniejszych mankamentów pracy staje się właśnie brak adekwatnego kontekstu społeczno-literackiego. Porównania Smuszkiewicza, polegające nierzadko na jednorazowym przypomnieniu nazwisk i utworów prozatorskich, nie wykraczają w zasadzie poza obręb literatury popularnej, co należy złożyć na karb zbytniej ostrożności interpretacyjnej. O przykłady nietrudno. Powieść I. Krasickiego była wyraźną polemiką z poglądami J. J. Rousseau zamieszaneego osobiście (!) w programowe utarczki konfederatów barskich i stronnictwa królewskiego, kpiną z „umowy społecznej" realizowanej w warunkach polskich. Na ostateczny kształt „Historii przyszłości" A. Mickiewicza wpłynęła nie tylko znajomość ówczesnej literatury rosyjskiej, ale przede wszystkim pierwsze traktaty socjalistów utopijnych (K. Fourier - „Traile de Tassociation domestique et agricoae", 1822). Twórczości wielkiego „sceptyka-pozytywisty" Bolesława Prusa nie można omawiać w oderwaniu od założeń filozofii neokantowskiej. Trylogia J. Żuławskiego wyrosła z tych samych lęków i niepokojów antyurbanizacyjnych, co proza W. Berenta, W. Reymonta i S. Żeromskiego - w swej warstwie ideologicznej polemizowała również z tezami J. Nietzschego i J. Strindberga, socjologią Durkheima; znajdowała oparcie w filozofii spinozjańskiej i... buddyjskiej. Pisząc o międzywojennej literaturze SF należało by przywołać nie tylko wypowiedzi wileńskiej grupy „Żagary", ale przede wszystkim programy krakowskiej „Awangardy" i warszawskich futury' stów.

Nawiasem mówiąc, analiza debiutów 35-lecia powojennego jest również zawieszona w próżni wobec braku odwołań do twórczości „Kolumbów", „Pokolenia 56", „Nowej Fali"... inwazji kierunków romantycznych, „prozy nowych nazwisk" etc. Można by replikować, że w popularnym zarysie historii SF na takie rzeczy trudno już znaleźć miejsce. Skoro jednak autor „Zaczarowanej gry" stosuje metodę dygresyjną do wyjaśniania tak mało znaczących faktów, jak kwestia istnienia kamieni szlachetnych na Księżycu (Krajewski Wells, s. 30-31), nie widzę powodu, aby rezygnować z tych żądań, zwłaszcza że nie wydają się wcale wygórowane.

Sprawa niedookreślenia kontekstu literacko-socjologicznego wiąże się z zagadnieniem bardziej ogólnym: brakiem pogłębionej interpretacji krytycznej. Fakt, iż książka Smuszkiewicza apeluje do świadomości „odbiorcy masowego" (choć dziesięciotysięczny nakład zdaje się temu przeczyć) nie upoważnia do posługiwania się taką liczbą streszczeń, stereotypowych wyjaśnień, obiegowych punktów widzenia (por. E. Balcerzak - „Stanisław Lem", 1973; E. Loch (oprać.) - „J. Żuławski. Życie i twórczość", 1976). Nawet refleksje teoretyczne nie wykraczają poza, wielokrotnie przypominane, koncepcje J. Trzynadlowskiego, R. Handkego, A. Zgorzelskiego i W. Ostrowskiego.

Wiele ocen Smuszkiewicza wydaje się mocno przesadzonych (wygórowane mniemania o twórczości T. Tripplina, J. Karczewskiego, A. Wiśniewskiego-Snerga), bądź też niesłusznie zaniżonych (opinie o K. Czyżowskim, S. Barszczewskim, R. Gaidzie... W. Żwikiewiczu i in). Zbyt jednostronne jest również spojrzenie na literaturę okresu lat pięćdziesiątych (wczesną twórczość St. Lema, K. Borunia i A. Hollanka). Dołączony do pracy „indeks haseł osobowych" w 90% odpowiada obecnemu stanowi wiedzy, ale bibliografia wybranych pozycji krytycznych jest nikłym ułamkiem prawdziwego stanu rzeczy (jeśli wziąć pod uwagę recenzje prasowe rozproszone w różnego rodzaju czasopismach).

Książka Antoniego Smuszkiewicza, pomimo wielu zastrzeżeń, jest inicjatywą wartą podkreślenia. Stąd też próba krytycznej oceny tej pracy nie może przesłonić jej wartości poznawczych i popularyzacyjnych. Nie będę zatem zaskoczony, jeśli „Zaczarowana gra" zyska rozgłos podobny pionierskiej publikacji R. Handkego.

Andrzej Niewiadowski

A. Smuszkiewicz „Zaczarowana gra" (Zarys dziejów polskiej fantastyki naukowej), Wyd. Poznańskie, Poznań 1082, s. 380, cena zł. 85,-

PIERWSZE SPOTKANIE

Science fiction jest gatunkiem literackim, który trafia do swoich czytelników głównie dzięki antologiom. U nas jednak było inaczej. Wprawdzie wydawano kiedyś cykliczne „Kroki w nieznane”, opublikowano dwa tomy „Rakietowych szlaków”, wybory tekstów z konkursów „Młodego Technika” czy „panoramiczne” antologie Wydawnictwa Poznańskiego, ale wszystko to działo się niejako na marginesie głównego nurtu przemian polskiej fantastyki naukowej. Nie były to pozycje sumujące, opisujące dany okres czy kierunek rozwoju fantastyki w Polsce, ale arbitralne prezentacje choć jak mniemam czynione w dobrej wierze dobranych tekstów zagranicznych lub przesiane plony konkursów literackich, a więc wybory utworów przypadkowych nie pretendujące do całościowego opisu zjawiska czy jego fragmentu. Chyba dopiero „Spotkanie w przestworzach”, którego dwa pierwsze tomy ukazały się w ubiegłym roku, są antologią SF z prawdziwego zdarzenia, ponieważ przynoszą panoramiczny przegląd dorobku pisarzy młodego pokolenia zainteresowanych fantastyką w dość szerokim tego słowa znaczeniu. Są więc próbą utrwalenia tego, co działo się w młodej polskiej fantastyce roku 1979. Ale jest też wyłącznie naszą lokalną specyfiką, że antologia datowana: 1979, ukazała się dopiero pod koniec 1982 roku. Część z zaprezentowanych autorów zdążyła wydać już pierwsze i następne książki, wielu zaznaczyło swoją obecność nie tylko na krajowym rynku wydawniczym. Niektórzy z tej grupy piszą już dzisiaj utwory o wiele bardziej dojrzałe i o wiele ważniejsze od tych, które znalazły się w „Spotkaniu w przestworzach”. Myślę tu przede wszystkim o Andrzeju Krzeptowskim, którego kolejna książka „Kreks”, wydana równocześnie z antologią, pokazuje pisarza w pełni świadomego swoich artystycznych możliwości, poszukującego nowych środków wyrazu. W „Spotkaniu...” reprezentowany jest on przez sprawnie napisane opowiadania tonące wśród innych sprawnie napisanych tekstów. Podobnie rzecz się ma z Maciejem Parowskim, który w antologii opracowanej przez Andrzeja Wójcika jest autorem jakby od niechcenia napisanych krótkich opowiadań, a ostatnio dał się przecież poznać jako autor spójnej wewnętrznie i przejmującej antyutopii - „Twarzą ku ziemi”. Takich przykładów można wymienić jeszcze kilka (chociażby Mieczysław Kurpisz).
Mimo że czas nie działał na jej korzyść, antologia „Spotkanie w przestworzach” przynosi - jak sądzę - wyczerpujący wizerunek możliwości naszej młode) fantastyki, jej zainteresowań tematycznych i aspiracji artystycznych. Autorzy są bardzo różni: od takich, którzy w momencie jej opracowania mieli na swoim koncie jakieś samodzielne pozycje wydawnicze i przez lata zaznaczali swoją obecność jako twórcy SF, do tych, dla których druk opowiadania w „Spotkaniu...” jest prawdziwym debiutem i o których artystycznej przyszłości niewiele jeszcze można powiedzieć. Ale na tym polega właśnie urok tej książki, chociaż z drugiej strony zdziwienie budzi fakt, że ani wiek, ani doświadczenie pisarskie i życiowe, ani zawód i zainteresowania nie powodują - poza nielicznymi wyjątkami - wyraźnych różnic w pisarskim warsztacie autorów. Na dobrą sprawę przytłaczająca większość zgromadzonych w niej tekstów sprawia wrażenie, jakby wyszły spod jednego - poprawną, inteligencką polszczyzną operującego pióra.
Pytanie: dobrze to czy źle? Dobrze, bo świadczy o wysokim średnim poziomie narracyjnych umiejętności oraz o artystycznej samoświadomości pisarzy, co zawsze jest godne podkreślenia. Źle, ponieważ dowodzi jak zuniformizowany jest ich język i w gruncie rzeczy - wyobraźnia, jak krążą wokół tych samych spraw i jak podobnie o nich myślą. Ale też w większości są to młodzi autorzy, poddający się gatunkowym konwencjom i... nowym konwencjom przełamywania starych konwencji (tak!).
A jaka jest ta młoda polska SF? Dobra, zaangażowana w ludzkie sprawy, z powagą i szlachetną pasją rozmyślająca o przyszłości naszej cywilizacji i naszego gatunku, bez entuzjazmu podchodząca do technicznych i naukowych odkryć, ba, wręcz wroga im, upatrująca w nich podstawowe zagrożenie naszej tożsamości oraz naszego bytu tu i teraz. Wszystko to każe się tą fantastyką interesować, a że jeszcze dostarcza ona sporej porcji atrakcyjnej lektury, to już nasz - czytelników – zysk.

L.B.

„Spotkanie w przestworzach. Antologia młodych ‘79” Tom 112. Wybór, opracowanie i przedmowa: Andrzej Wójcik. KAW, Warszawa 1982, s. 320 + 352, cena zł. 55. + 60-

LUDZIE JAK ZŁODZIEJE, czyli WIELCE OBIECUJĄCY DEBIUT

Wygląda na to, że redaktor Wójcik, z godnym pozazdroszczenia uporem, kontynuuje swą wiekopomną misję wyszukiwania nowych talentów, następców Stanisława Lema. Po nihilistycznych deklaracjach Andrzeja Krzeptowskiego, turpistycznych oświadczeniach Mieczysława Kurpisza, cichutkiej love story Michała Markowskiego (nie mylić z Tadeuszem - nie ten rodzaj „fikcji”) i przeuroczym tandemie pań: Aleksandry Szarłat, Ewy Szymańskiej - jego surowe spojrzenie spoczęło na skromnym publicyście, absolwencie warszawskiego SGPiS-u, Tadeuszu Markowskim. Tym razem Wójcik zagrał va banque: ustalił nakład debiutanckiego zbiorku na 150 tysięcy egzemplarzy, podpisał do druku, zamknął oczy i w nabożnym skupieniu czekał na efekt hazardowego posunięcia. Eksperyment chyba się powiódł, skoro w kioskach „Ruchu” nie ma już śladu po tej pomnikowej edycji a co ważniejsze, krytyka SFAN-owska, która uważa się za Pytię polskiej fantastyki, nie uznała jej wcale za najgorszą książkę roku, co jest pochlebstwem doprawdy niesłychanym, jako że „młodych gniewnych” zawsze najtrudniej zadowolić. Prawem odwetu należałoby teraz przedstawić Markowskiego w barwach możliwie najczarniejszych, ale poniektórzy i tak by nie uwierzyli, jako że nazwisko tego autora figuruje w stopce redakcyjnej czasopisma „FANTASTYKA”.
Mimo to - spróbujmy. Tadeusz Markowski (ur. 1954) wystartował w roku 1977 na łamach studenckiego tygodnika „Politechnik” („Test”). W pierwszym tomie KAW-owskich „Spotkań...” (1982) zamieścił swoje opowiadanie „Tak bardzo chciał być człowiekiem”, co jest zjawiskiem o tyle interesującym, że przygotowania do edycji tej antologii rozpoczęty się w roku 1978! Na prawdziwy debiut prozatorski Markowskiego przyszło jednak trochę poczekać. Złożyły się nań opowiadania, które powstawały w latach 1976-1978 („Pamiętnik”, „Test”, „Pech”, „Ludzie jak... złodzieje”, „Tak bardzo...”, „Cała radość życia”, „Zwiadowca”).
Widać wyraźnie, jak w ciągu tych, bez mała trzech lat, zmieniał się sposób obserwacji świata i styl pisarski Markowskiego. Wczesne utwory „fantastyczne” („Test”, „Pech”, „Ludzie jak...”) ujawniły oblicze niesfornego, dość zjadliwego humorysty, który ma już za sobą pokaźny zasób lektur SF i uparł się, aby ośmieszać tradycyjne konwencje tego gatunku (inna rzecz, że mu się to na ogół udawało). W opowiadaniu „Test”, opartym na zasadzie „regressus ad infinitum”, Ziemianie służą Kosmitom jako rodzaj sztucznej przynęty, atrapy biologicznej do określania poziomu inteligencji innych cywilizacji. Jest w tym pomyśle coś z szalonej idei skrzynek profesora Corcorana, Snergowych „Nadistot” i reminiscencji „Obszaru nieciągłości”, ale sama koncepcja wydaje się naprawdę interesująca, tym bardziej że dość zgrabnie wyłożona od strony literackiej, a w przewrotnej poincie podobna „Ambasadorom” A. Czechowskiego. W opowiadaniu „Ludzie jak... złodzieje” Markowski przychyla się do powellsowskiej, nieco demonicznej interpretacji tego tematu: zwiadowcy z planety Ziemia, narozrabiawszy w kosmicznym muzeum „Obcych”, zostają stamtąd czym prędzej wyrzuceni, co i tak świadczy o nadmiernej pobłażliwości „gospodarzy”. Specyficzny humor Markowskiego, umiejętność kreślenia prostych, typowych konfliktów i sytuacji, oszczędność środków wyrazu przywodzą na myśl rozwiązania wielu opowiadań anglosaskich zgromadzonych w doskonałym zbiorze „100 Great Short Short Stories” I. Asimova, M. H. Greenberga i J. D. Olandera.
Z czasem Markowski nabiera jakby rozmachu, jego utwory stają się dłuższe i bardziej „sproblematyzowane”, ale zarazem jakby przyciężkie, przeładowane rozważaniami filozoficznymi, gładkimi, wytwornymi dialogami bohaterów. Autor rezygnuje jednak z wcześniejszego sposobu „widzenia świata”, czego dowodem motyw „podrabiania historii” wykorzystany w „Pamiętniku” typowo ludzkiej interpretacji mitów i legend. Markowski jest w ogóle pisarzem wielce zachłannym: nie wystarcza mu sterowanie ludźmi („Tak bardzo...”), ukazuje manipulację całymi cywilizacjami: ogromnymi, wysoce skomplikowanymi maszyneriami, które trzeba budować, stwarzać niejako od początku. W literaturze SF jest to motyw nienowy, lecz szalenie interesujący (casus Strugaccy), a co ważniejsze - niezwykle odpowiedzialny. Czy Markowski potrafi sprostać zadaniu na miarę Stanisława Lema - czas pokaże. Jakie rady przesłać w finale recenzji obiecującemu debiutantowi science fiction? Życzę mu przede wszystkim dojścia do własnej formuły literackiej, trochę więcej odwagi: komplikacji fabularnej i szerszego oddechu narracyjnego (aby nie wszystko było tak prościutko wyłożone, jak na kartach jego kosmicznych dzienników). I przede wszystkim życzę połączenia dwóch stylów: tego spod znaku „Pamiętnika” i „Całej radości życia”, a więc filozoficznej refleksji z dystansem i lekkością literatury francuskiej, którą Markowski tak chętnie czyta i przekłada. A zatem: „Niech Cię Ziemia ma w swojej opiece, kolego Markowski!”

A.N.

T. Markowski „Tak bardzo chciał być człowiekiem” KAW, Warszawa 1982, s. 192, cena zł. 45.-

„MOŁODAJA GWARDIA” PREZENTUJE

W roku ubiegłym na półki Międzynarodowych Klubów Prasy i Książki trafiły trzy publikacje wydawnictwa „Mołodaja Gwardia”. W serii „Bibliotieka sowietskoj fantastiki” ukazała się powieść Jewgienija Guliakowskiego „Siezon tumanów” i dwa zbiorki opowiadań: Michaiła Puchowa „Zwiozdnyie dożdi” oraz Spartaka Achmietowa „Ałmaz Szach”.

Utwór Guliakowskiego, autora wydanej przez „Iskry” powieści „Planeta 412 bis”, z pewnością zainteresowałby polskich czytelników SF zwłaszcza tych, którzy lubią pozycje w pewnym sensie „klasyczne”. Wszelkie akcesoria działalności bohatera Rotanowa - inspektora osiedli pozaziemskich - można odnaleźć w katalogu pomysłów fantastyczno-naukowych, na które często wybrzydzają krytycy uważając je za wyświechtane, ale które jednocześnie cieszą się nieustającą popularnością odbiorców.

W „Siezonie tumanów” są i odległe planety kolonizowane przez osadników z Ziemi, i tajemnicze, groźne wydarzenia, i kontakty z obcymi cywilizacjami, a że elementy te umieszczone zostały w ciekawie nakreślonej, dobrze skomponowanej fabule, czyta się tę powieść z zainteresowaniem.

Oczywiście. wszelkie trudy i niebezpieczeństwa, na które naraża się bohater biorą swój początek z jednej, nadrzędnej koncepcji: należy wyciągnąć pomocną dłoń do naszych kosmicznych braci, nawiązać dialog między cywilizacjami w taki sposób, by korzyści były obustronne. Na plus Guliakowskiemu należy zaliczyć to, że przekazał nam owe myśli w sposób dyskretny i nie budzący odruchu zniecierpliwienia. Nie ma bowiem u niego koturnowości, patosu, natrętnej dydaktyki i poetyczności nie najwyższej próby, które w połączeniu z maksymalnym stężeniem cech pozytywnych bohatera sprawiają, że kreację autora odbieramy z wyraźnie negatywnym nastawieniem. Guliakowski zbyt dobrze zna swój fach, by popełnić ten błąd. Jego postacie są prawdopodobne, działają zgodnie z ludzkimi odruchami, mają prawo do pomyłki, błędu, nawet dość poważnego - i dopiero suma ich wyborów życiowych (Rotanowa przede wszystkim) pozwala na wysnucie pozytywnych i optymistycznych wniosków.

W sumie jest to książka dobrze skomponowana i może się podobać, choć trudno by ją zaliczyć do wybitnych.

Autor tomu opowiadań „Zwiozdnyie dozdi” - Michaił Puchów, ma wszelkie dane ku temu, by stać się jedną z ciekawszych indywidualności w radzieckiej fantastyce. Pisze sporo i ciekawie. Omawiany zbiorek jest dobrym przykładem umiejętności operowania różnymi stylistykami, odmiennymi tematami. Znajdziemy tu świat przyszłości widziany oczyma dziecka i satyryczne ujęcie problemu dylatacji czasu, cudowne wynalazki i spotkania z innymi cywilizacjami, spojrzenie w przyszłość i zjawisko kontramocji. Wyróżniłbym zwłaszcza opowiadania: „My i naszi roditieli” - o świecie, przyszłości widzianym oczyma dzieci, „Maszina pamiati” - dramatyczna i gorzka historia człowieka zbuntowanego przeciw dominacji maszyn (ale z nieoczekiwaną pointą), „Puf Odnoklietocznych” - opis zjawisk z pozycji pierwotniaków, oraz „Kommunikabielnyj gumanoid” - o możliwości kontaktu pomiędzy ludźmi poruszającymi się po osi czasu w przeciwnych kierunkach. Michaił Puchów pisze z wyraźną swobodą, ma duże poczucie humoru, zmysł obserwacji, umiejętność tworzenia i literackiego wykorzystywania paradoksów. Jego teksty są inteligentne, zawierają ciekawe przesłania i podteksty, które potrafią sprawić przyjemność w czasie lektury i dostarczyć nieco materiału do przemyśleń. W każdym razie jest to pisarz wart zainteresowania.

„Ałmaz Szach” Spartaka Achmietowa, niestety, rozczarowuje. Wprawdzie Achmietow pisze dobrze, ma niekiedy dość ciekawe pomysły, ale na swoje nieszczęście stara się zbyt wiele w swych utworach umieścić. Zbyt często chciałby przekazać nam swoją wiedzę (jest geologiem-mineralogiem) i swe fascynacje (diamenty i ich przemysłowa produkcja). Jest to może zrozumiałe, ale po pewnym czasie staje się nużące. W ogóle, wydaje mi się, że Achmietow zbyt poważnie podchodzi do dość archaicznej formuły fantastyki „bawiąc uczyć” i zbyt wiele miejsca poświęca elementom czysto produkcyjnym. Badania naukowe stają się niekiedy celem samym w sobie - poza technologią nic z nich nie wynika. A przecież fascynację techniką fantastyka ma już właściwie poza sobą. Klasycznym przykładem jest tu tytułowa nowelka „Ałmaz Szach”, w której interesujący pomysł (niezwykły diament będący zakodowanym listem od obcej cywilizacji) został tak obudowany ekskursjami historycznymi, opisami popularnonaukowymi i sprowadzony do czysto „produkcyjnej” pointy, że w rezultacie dochodzimy do nieco zaskakującej konkluzji, iż „kosmicznym braciom chodziło wyłącznie o usprawnienie procesu wytwarzania sztucznych diamentów. Tymczasem w innym przypadku, kiedy autor traktuje temat pochodzenia diamentów bardziej literacko a mniej pryncypialnie otrzymujemy („Gipotieza o proizchożdienii ałmazow”) zabawne i wdzięczne opowiadanko.

Krytyczna ocena zbiorku opowiadań Achmietowa podyktowana została w gruncie rzeczy uczuciem żalu. Żalu, że błędy konstrukcyjne, koncepcyjne zniweczyły wysiłek autora. Bo pół biedy, gdyby Achmietow pisał źle - byłby to tylko wydawniczy „wypadek przy pracy”. Ale tak nie jest - przecież tam, gdzie autor tworzy po prostu fantastykę: „Gipotieza...”, fragmenty opowiadań „Dień Wieniery” i „Soiskatieli” i mniej się przejmuje dydaktyką utworu, daje teksty ciekawe, świadczące o wyobraźni i talencie pisarza. Może następne zbiorki będą lepsze.

Sławomir Kędzierski

Jewgienij Guliakowski] „Siezon tumanów” Moskwa 1982, s. 303. Michaił Puchów „Zwiozdnyje dożdi” Moskwa 1082, s. 238. Spartak Achmietow „Ałmaz Szach”Moskwa 1982, s. 237.

CO NOWEGO W AMERYKAŃSKIEJ SF?

Łagodna recesja gospodarcza, jaką przeżywają Stany Zjednoczone, znajduje również odbicie w świecie wydawców. Mniejsze może niż można było oczekiwać, gdyż mimo wzrostu kosztów, a więc i cen książek, wydawnictwa prosperują nie najgorzej, ale ogólna sytuacja skłania do ostrożności. Czas nie sprzyja eksperymentom i lansowaniu nowych nazwisk. Oznacza to, że nie mają się czego obawiać autorzy wybitni o ustalonej renomie, a także, niestety, producenci szmirowatych czytadeł bezwstydnie pisanych pod publiczkę. Zagrożony jest środek: powieści obiecujących debiutantów, nie całkiem udane arcydzieła, książki trudne do sklasyfikowania. Ilustracją tej sytuacji jest niezwykły sukces na przełomie lat 1982/1983 dwóch powieści „Foundation Edge” Asimova i „2010” Clarke'a. Niezwykły dlatego, że po raz pierwszy w historii książka science fiction trafiła na listę bestsellerów. Najpierw Asimov znalazł się na trzecim miejscu listy „N|ew York Timesa”, a w tydzień później Ciarkę pobił świeży rekord plasując się na miejscu drugim.

Tu kilka słów wyjaśnienia potrzebnych choćby dlatego, że na łamach „Fantastyki” słowo bestseller używane jest niezobowiązująco i wydaje się oznaczać książki, które spodobały się redaktorom W USA słowo to ma bardzo konkretne znaczenie - książki, która najlepiej „idzie” w księgarniach Dwa czasopisma na podstawie statystyk publikują listę 10 książek o największej liczbie egzemplarzy sprzedanych w ciągu tygodnia. Oznacza to, że książki cieszące się długoletnią popularnością mogą nigdy nie trafić na listę, bo nie miały swojego tygodnia. Książki Clarke'a i Asimova łączy to, że zostały napisane przez starych mistrzów i obie są kontynuacjami ich największych sukcesów. Ciarkę zarzekał się, że nigdy nie napisze dalszego ciągu „Odysei kosmicznej”, ale nie dotrzymał słowa i przy okazji złamał kilka swoich rzekomo niezłomnych zasad: opuścił azyl na Cejlonie i odbył w zimie reklamowy objazd Anglii i USA. Sam twierdzi, że nowa powieść jest lepsza od poprzedniczki, gdyż była od początku pisana jako powieść, nie jako przeróbka scenariusza. Asimov dopisał czwartą część do swojej trylogii o Fundacji, która w roku 1966 otrzymała nagrodę Hugo jako najlepszy serial w dziejach fantastyki. Niedawno przeczytałem na nowo trylogię Asimova, recenzując ją dla Wydawnictwa Poznańskiego, które przystępuje do jej wydania. Uderzyło mnie, jak bardzo ta rzecz pisana przez Asimova w latach 1942-1953 jest produktem określonego czasu i miejsca. Jest to niewątpliwie science fiction z czasu optymizmu i wiary w nieograniczone możliwości człowieka. Jest to także fantastyka bardzo amerykańska, nowojorska i żydowska. Podobnie jak w znakomitych opowiadaniach Williama Tenna czy Alfreda Bestera z tamtych lat konflikty przypominają tu transakcje handlowe w bramie nie znających się dżentelmentów, z których co najmniej jeden jest oszustem. Tu się wygrywa nie pięścią i nie wyższą techniką, tu się przeciwnika przegaduje tak, że sam oddaje kosmolot, portfel i klucz od mieszkania. We wrześniu 1982 roku ogłoszono wyniki plebiscytu na nagrody Hugo. W kategorii powieści zwyciężyła „Downbelow Station” (Dolna Stacja) C.J. Cherryh. Autorka jest bardzo przystojną czterdziestoletnią panią, pisze 'dużo, ma dobry styl, tworzy trójwymiarowe postacie, ale porusza się po obszarach dobrze zbadanych przez poprzedników i jej twórczość nigdy nie wzbudziła prawdziwych emocji W ogóle rok 1981 nie przyniósł rewelacji. Zauważa się rozmycie granic między science fiction a fantasy, która zaczyna doganiać fantastykę naukową pod względem poczytności, choć jeszcze dziesięć lat temu miała dziesięciokrotnie mniej czytelników.

Lech Jęczmyk

BRAKOWAŁO TYLKO KOSMITÓW

Arnold Mostowicz

12 i 13 listopada ubiegłego roku odbyła się w Wiedniu VIII światowa konferencja organizacji, która w języku angielskim nosi nazwę Ancient Astronaut Society czyli Towarzystwo Dawnych Astronautów, co brzmi dziwnie, jako ze członkami AAS są żywi ludzie, a nie mumie hipotetycznych astronautów sprzed tysięcy lat. AAS to towarzystwo grupujące hobbystów i specjalistów interesujących się problematyką pradawnej astronautyki.
Wiedeńskie spotkanie było trzecim, w którym brałem udział. Uprzednio uczestniczyłem w konferencjach w Crikvenicy (Jugosławia - 1976) oraz w Monachium (1979).
AAS zostało założone w 1973 roku przez doktora Gene Phillipsa, prawnika z Chicago, i Ericha v. Daenikena. Jaki był cel powołania do życia podobnej instytucji? Tak pisze o tym Daeniken: „Towarzystwo nasze., stawia sobie wyłącznie naukowo-badawcze, kształceniowe i literackie cele. Kiedy je powoływano mowa byłe o organizacji, która pragnie badać zagadki rozwoju ludzkiej cywilizacji, nie zważając na żadne doktryny czy dogmaty".
Począwszy od 1973 roku członkowie i sympatycy AAS zbierają się na sympozja, podczas których fachowcy lub pasjonaci-amatorzy, którzy mają coś nowego do powiedzenia z zakresu badań lub hipotez dotyczących zagadek naszej cywilizacji, wygłaszają bogato ilustrowane referaty. To tylko jedna sfera działalności Towarzystwa. Dla tych członków, którzy dysponują gotówką każdego roku są organizowane wycieczki do tych zakątków świata, gdzie można samemu przyjrzeć się odkryciom, ruinom czy wykopaliskom ilustrującym problematykę interesującą członków AAS. Trzeci wreszcie zakres działania to wydawane przez Daenikena i grupę jego młodych współpracowników dwumiesięczne biuletyny, a właściwie czasopisma, w językach niemieckim i angielskim.
Jako uczestnik trzeciej już z rzędu takiej imprezy mogę powiedzieć, że zawsze naprzeciw prezydium, w którym zasiadają autorzy referatów i honorowi goście, ogromna zazwyczaj sala jest wypełniona po brzegi publicznością łaknącą nowości z dziedziny paleoastronautyki, publicznością, na którą składa się wielu słuchaczy statecznych, naukowców, no i niemała liczba zwariowanych czy rozhisteryzowanych kibiców tematyki paleoastronautycznej. Ci ostatni gotowi są uwierzyć we wszystko, co mogłoby służyć za dowód, że kiedyś, gdzieś lądowali na naszej planecie, kierowali jej rozwojem i losem przedstawiciele cywilizacji pozaziemskiej. Ale to tylko na marginesie. Mnie, a myślę, że i Czytelników „Fantastyki", powinno interesować, co mają na takim spędzie do powiedzenia fachowcy. A często są to naukowcy najwyższej klasy, jak prof. Henry Ruppe, który jest jednym z najwybitniejszych w świecie specjalistów w zakresie lotów kosmicznych. Przez wiele lat współpracował z von Braunem. W NASA piastował funkcję dyrektora działu analiz różnego typu pojazdów kosmicznych, a od 1966 jest profesorem w Wyższej Szkole Technicznej w Monachium. Ruppe jest autorem olbrzymiej liczby prac naukowych na temat lotów kosmicznych, a także autorem kilku podstawowych w tej dziedzinie podręczników.
Prof. Ruppe od lat bierze czynny udział w konferencjach AAS. Celowo podkreślam ten fakt. Świadczy on bowiem, że nie tylko zwariowani hobbyści zajmują się problematyką paleoastronautyczną.
Podczas konferencji w Wiedniu wygłoszono trzynaście referatów. Czterech z referentów miało tytuły profesorów, trzech doktorskie. Nie chcę przez to powiedzieć, ze wszystko, co znalazło się w referatach zasługuje na poważne traktowanie. Wprost przeciwnie. Wiele było referatów wręcz mało poważnych. Dlatego też podobne konferencje opuszczam zawsze z tzw. mieszanymi uczuciami.
Z całą pewnością mogę stwierdzić, że to, co referował prof. Ruppe na tematy przyszłości lotów kosmicznych było poparte bogatą argumentacją naukową. To prawda, że Ruppe omija w pewnej mierze rafy będące wynikiem dwuznaczności problemów stanowiących przedmiot zainteresowania AAS. Ale to, co powiedział w Wiedniu, zasługuje na baczną uwagę. Prof. Ruppe odpowiedział mianowicie na zadane sobie pytanie: co robi on w takiej organizacji, jak AAS, skoro nie jest ani archeologiem, ani etnografem, ani paleontologiem? A oto odpowiedź: - Tak - powiada prof. Ruppe - nie wstydzę się tego, że uczestniczę w obradach AAS i współpracuję z Daenikenem. Zagadki przeszłości nie przestały być zagadkami i żadna z hipotez, a tym bardziej hipoteza paleoastronautyczna nie kłóci się z kryteriami naukowości. To sprawa pierwsza. Dla mnie najważniejsze jednak są dwa inne problemy. Po pierwsze - czy możliwe i na ile prawdopodobne jest istnienie życia i inteligencji poza Ziemią? Po drugie - czy możliwe są, teoretycznie rzecz biorąc, loty w kosmos, które pozwoliłyby pokonywać wszechświat z prędkością zbliżoną do prędkości światła? Na obydwa te pytania nauka odpowiada dzisiaj zdecydowanie - tak! Resztę swoich wywodów prof. Ruppe poświęcił na rozwinięcie tematu, który jest mu najbliższy, to jest lotom w kosmos. Mówiąc krótko: uważa on, że najbliższe dwa, trzy wieki pozwolą w takim stopniu rozwinąć technikę tych lotów, iz bez trudu będzie można wykorzystać dla napędu pojazdów przyszłości antymaterię oraz energię zawartą w czarnych dziurach. O tych technikach możemy dziś mówić w sposób bardzo realny. Jak realny, wskazał w swoim referacie Johannes von Buttlar, znakomity, zachodnioniemiecki popularyzator. Bardzo dobrze wykształcony, autor kilkunastu książek, mówił również o technice przyszłych lotów w kosmos. Ostatnia jego książka nosi tytuł „Most Einsteina-Rozena" i ją właśnie streścił w swoim wystąpieniu. (Notabene warto tę książkę wydać w Polsce. Zarówno autor, jak i wydawca wyrazili zgodę na honoraria w złotówkach.) I ten referat mówił o możliwościach wykorzystania czarnych dziur do podróży w kosmos. Buttlar jest^ w tej dziedzinie uznanym fachowcem, czego dowodem - przynależność do Królewskiego Towarzystwa Astronautycznego w Londynie. Pozostali referenci, godni uwagi, skupili się wyłącznie na problemach i zagadkach naszej przeszłości.
Wymienić tu należałoby przede wszystkim Zacharię Sitchina, Amerykanina rosyjskiego pochodzenia. Jego referat pt. „Stopnie do kosmosu" stanowił dalszy ciąg wywodów zapoczątkowanych zarówno' referatem wygłoszonym na konferencji AAS w Monachium, jak i jego książką „12 ciało niebieskie". W Monachium referat Sitchina spotkał się z niezwykle gorącym przyjęciem. Sitchin jest znakomitym specjalistą w zakresie języków starożytnych - sumeryjskiego, akadyjskiego, chaldejskiego, staroegipskiego i hebrajskiego. Analizując od nowa treść tabliczek z pismem klinowym odnalezionych w Niniwie i Nippur, zawierających sumę wiedzy dawnego Sumeru, Sitchin doszedł do wniosku, że zgodnie z wiedzą Sumerów w naszym systemie słonecznym krąży nie 9, lecz 10 planet. Dziesiąta planeta o niesłychanie wydłużonej orbicie zbliża się do Ziemi raz na 3600 lat. Sumerowie, którzy niezwykle dużo wiedzieli o naszym systemie słonecznym, wiedzieli również to, że na owej dziesiątej planecie żyją istoty, które dysponując niezwykle rozwiniętą techniką interweniowały w rozwój cywilizacji na Ziemi. (Wszystko to podaję, rzecz jasna, na odpowiedzialność Sitchina.) W Wiedniu Sitchin mówił o innych dowodach świadczących o tym, że jego hipotezy dotyczące istnienia owej planety, jak też miejsc lądowania na Ziemi jej przedstawicieli są uzasadnione. Dowody te znalazł on, jak twierdzi, w eposie Gilgamesza i w staroegipskiej „Księdze Zmarłych". Warto dodać, że niektórzy astronomowie amerykańscy zdają się potwierdzać przypuszczenia Sitchina oparte na nowym odczytaniu tabliczek z pismem klinowym. Jednym z najuważniej wysłuchiwanych mówców był w Wiedniu prof. Dillep Kumar Kanjilal - uczony hinduski. W Monachium był on również jedną z czołowych postaci spotkania. Wówczas mówił o opisach pojazdów kosmicznych w starych tekstach indyjskich. W Wiedniu także mówił o tych problemach, tym razem jednak bardziej szczegółowo.
Jak wiadomo, stare księgi indyjskie poświęcały owym maszynom latającym (wimanom) wiele miejsca. Dlatego nie bez przyczyny tekstami tymi interesują się specjaliści od lotów kosmicznych. Trudno mi ocenić wartość wywodów prof. Kanjilala, niemniej jednak fakt, że tak wiele pisano o wimanach w fachowej prasie amerykańskiej i radzieckiej wskazuje, że jego wywody stanowią w dyskusji o paleoastronautyce poważny argument.
Po raz pierwszy na widowni AAS pojawiła się postać prof. Khali Messihy z Egiptu. Messiha jest postacią dość niezwykłą. Ukończył medycynę, studiował historię sztuki, ma dyplom ukończenia studiów archeologicznych. Jest profesorem na wydziale medycyny i jednocześnie dyrektorem muzeum medycyny w Kairze. Jego prywatną specjalności? są staroegipskie modele samolotów. Na ten temat opublikował wiele artykułów min. w „London Times". Ten właśnie temat („Maszyny latające w starożytnym Egipcie") był tematem jego referatu.
Bracia Johannes i Peter Fiebagowie (rocznik 1956 i 1958) mówili o... Graalu. Przypominam, że Graal to nazwa związana z legendami o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu. Bracia Fiebag nawiązują w swoich wywodach (a oparli je na nieprawdopodobnie bogatej literaturze) do książki „Maszyna do produkcji manny" dwóch naukowców angielskich, Sasoona i Dale'a Jak wiadomo, doszli oni do wniosku, że biblijna manna była produktem procesu biochemicznego (na ten temat zamieścili nawet artykuł w jednym z najpoważniejszych pism naukowych świata „Naturę"). Arka przymierza, o której mówi Biblia, miała być bądź samą maszyną, bądź też pojemnikiem, w którym maszyna się znajdowała. Bracia Fiebag doszli do wniosku, że Graal był tą właśnie maszyną! Templariusze mieli ją przywieźć do Europy w XII wieku po zajęciu Jerozolimy. Trudno o sprawach tych mówić tu bardziej szczegółowo, niemniej jednak dowody przedstawione przez referentów są zadziwiające, Wprawdzie kłócą S'ę one z wieloma przekazami historycznymi np. ze świętą księgą Abisyńczyków „Kebra Nagast", czy danymi z „Historii Żydów" Flawiusza, ale nie zmienia to faktu, że materiał zebrany przez braci Fiebag jest pasjonujący.

>>>>>>>>

>>>>>>
Podobnie można scharakteryzować inny referat. Peter Krassa (dziennikarz wiedeński) oraz Reinhard Habeck (student politechniki) zajęli się badaniem rysunków znajdujących się w podziemiach poświęconej bogini Hathor świątyni w Denderze (Egipt - 60 kilometrów na północ od Luxoru). Otóż na rysunkach tych przedstawione są przedmioty, które bez większego trudu zidentyfikować można jako... potężne żarówki. Na temat swoich odkryć obydwaj autorzy wydali pięknie opracowaną książkę „Światło dla faraona". Twierdzą w niej, że faraonowie - czy raczej ich kapłani - umieli posługiwać się ... elektrycznością. Skąd posiadali tę wiedzę, to już inna sprawa. O tym, że elektryczność znana była na Bliskim Wschodzie przed 20-25 wiekami - wiemy od czasu odkrycia dokonanego przez inżyniera Koenikga, w okresie międzywojennym, na terenie muzeum w Bagdadzie. Odkryto wówczas autentyczne baterie elektryczne. Jeśli istniały baterie elektryczne, to czemu miałoby dziwić wykorzystanie lamp czy żarówek? Uczestnicy sympozjum w Wiedniu mogli oglądać baterię skonstruowaną dokładnie z takich samych elementów, jak te, znalezione w Bagdadzie. Do baterii przymocowany był woltomierz, który wskazywał, że płynął z niej prąd! Nie miałbym nic przeciwko temu, by w Polsce ukazała się książka Krassy i Habecka (tym bardziej, że i oni wyrazili zgodę na honoraria wypłacone w złotówkach).
No i Daeniken. Z typowym dla niego temperamentem i z wielką werwą wygłosił referat będący streszczeniem jego najnowszej książki: „Strategia bogów". Referat poparty wieloma wydawałoby się nieodpartymi argumentami, dowodami, cytatami, ale jednocześnie nie do przyjęcia. Dotyczył on wyników badań ruin świątyni w Chavin de Huantar, jednej z najstarszych w wysokich Andach peruwiańskich. Opierając się na trzech źródłach - historii sekty Mormonów, Biblii oraz na tekstach manuskryptów znalezionych w Oumran nad Morzem Martwym - Daeniken doszedł do wniosku, że dla świątyni w Chavin de Huantar „zbudowanej 2600-2800 lat temu wzorcem była... świątynia Salomona w Jerozolimie! Wszystko, zdaniem Daenikena, zgadza się: rozmiary świątyni odpowiadają tym, jakie znajdują się w Księdze Ezechiela; informacje o grupie uciekinierów z Judei znaleźć można w manuskryptach znad Morza Martwego; zaś w historii sekty Mormonów opisane są dzieje jej założyciela, Smitha, który miał rzekomo znaleźć dokumenty dowodzące powiązań świątyni w Chavin de'Huantar ze świątynią w Jerozolimie. Wszystko podobno się zgadza. Jednak całość ma zbyt fantastyczno-surrealistyczny charakter, by mogła stanowić przedmiot poważnej dyskusji. Bo ponadto, według Daenikena, owym uciekinierom z Judei na drugą półkulę pomogli przedostać się oczywiście kosmici... To mniej więcej wszystko, jeśli chodzi o intelektualną warstwę spotkania w Wiedniu Było ono, jak wszystkie tego rodzaju imprezy, wzbogacone o wydarzenia towarzyszące, jak konferencje prasowe (obsługiwało sympozjum 47 dziennikarzy), spotkania autorskie, łowienie autografów, sprzedaż upominków, kiermasz książek związanych z tematyką AAS, a nawet była wystawa obrazów. Podkreślam raz jeszcze, że jak poprzednio - tak i w Wiedniu opuszczałem konferencję z mieszanymi uczuciami. Na żadne z pytań nie udzielono satysfakcjonującej odpowiedzi. Do znanych juz dobrze - i to od dawna - zagadek przybyły nowe. Z drugiej strony wzbogacił się niewątpliwie zasób argumentów obrońców hipotez paleoastronautycznych. Mówiąc krótko: lepszemu poznaniu naszego cywilizowanego rodowodu takie spotkania z pewnością nie szkodzą.

Arnold Mostowicz

z tamtej strony lustra

SZÓSTY ZMYSŁ

Maciej Iłowiecki

O tym, że gołąb domowy wywieziony setki i tysiące kilometrów od rodzinnego gołębnika bez trudu znajduje drogę powrotną wraca, lecąc wprost, jakby leciał wzdłuż jakiejś niewidzialnej nici - wie każde dziecko. Od wieków też znane są (często były opisywane, dlatego istnieje sporo dobrze udokumentowanych przypadków) takie niezwykłe powroty z daleka psów i kotów. Pszczelarze zaś od dawna zastanawiali się, jak to się dzieje, że pszczoły w nieznanym sobie terenie z dużych odległości na ogół bez komplikacji wracają do ula.
No, a wędrowne ptaki, których jesienne odloty i wiosenne powroty wyrażają rytm życia przyrody? Rytm niegdyś ludziom tak bliski i swojski, że dla wielu pokoleń ptasie podróże były czymś oczywistym i naturalnym, nie budzącym niczyjego zdumienia. Poznanie przyrody zawsze rozpoczyna się od zdziwienia i ciekawości; nadszedł więc wreszcie czas, kiedy ktoś się zdziwił i zaciekawił: dlaczego ptaki, bez żadnych kompasów czy sekstansów, nie znając geografii ani stron świata, nigdy nie pomylą drogi w swoich dalekich podróżach?
Kiedy zaczęto w sposób naukowy badać tę zagadkę, zwrócono uwagę, że chociaż większość zwierząt wykazuje znakomitą orientację w pobliżu miejsca swego stałego pobytu, to jednak tylko niektóre gatunki mają wręcz niezwykłą zdolność odnajdywania kierunków w zupełnie sobie nieznanym terenie. Takie właśnie zdolności mają - obok gołębi, ptaków wędrownych, pszczół, niektórych innych owadów - na przykład szczury, węże, pewne gatunki ryb.
Badania orientacji geograficznej u zwierząt prowadzone są w sposób naukowy od prawie stu lat, dopiero wszakże ostatnie lata przyniosły pewne wyniki. I, jak to zawsze bywa w badaniach przyrody, nowe spostrzeżenia poszerzyły jeszcze „obszar tajemnicy", liczba niezrozumiałych zagadek niepomiernie wzrosła.
O samych wędrówkach ptasich można by napisać ogromną i na pewno fascynującą książkę (są takie książki) - tutaj wszakże mogę tylko zwrócić uwagę na niektóre ustalenia. Otóż na przykład dowiedziono, że podróżujące ptaki potrafią wprawdzie orientować się wedle położenia Słońca, ale nie jest to ich drogowskaz jedyny, ani nawet najważniejszy. Niektóre gatunki wędrują w nocy - pewne doświadczenia wskazują, iż ptaki te mogą orientować się wedle położenia gwiazd (co już samo w sobie jest wręcz niewiarygodne!), ale też nie jest to jedyny ich sposób orientacji, a tylko pomocniczy. Rozpoznawanie szczegółów powierzchni Ziemi nie odgrywa roli - czyniono okrutne doświadczenia z zalepianiem ptakom oczu, okazywało się, że również bezbłędnie trafiają do miejsca, do którego trafić powinny. Czynnikiem, najlepiej nadającym się do pełnienia funkcji kierunkowskazu, wydaje się pole magnetyczne Ziemi. Przy ruchu w polu magnetycznym można odpowiednimi przyrządami ocenić zmiany tego pola, kierunek owych zmian może wskazywać kierunek w terenie. Tyle że niezbędne są do tego dwa co najmniej warunki (może ostrożniej: wydaje się, że są niezbędne). Otóż, żeby bez odpowiedniego przyrządu ustalić zmiany pola magnetycznego, to znaczy, żeby je wyczuć, trzeba by mieć odpowiedni receptor, czyli po prostu „zmysł magnetyzmu". Takiego receptora - w sensie struktury biologicznej, jakiegoś specyficznego narządu - u ptaków dotąd nie znaleziono. Po drugie, nawet mając odpowiedni zmysł, należałoby jeszcze wiedzieć, jakie zmiany pola GM związane są z danym kierunkiem, czyli po prostu należałoby znać drogę. Tak jak człowiek, odnajdujący na przykład w lesie kierunek, musi wiedzieć, jakie charakterystyczne znaki w terenie go wskazują, czyli musi znać drogę z doświadczenia lub opisu. Zwracam uwagę, że nie wystarczy tu świadomość, gdzie jest północ, ponieważ trzeba jeszcze wiedzieć, w jakim kierunku wobec północy znajduje się poszukiwany cel.
Raki odnajdują bez trudu trasę stałych przelotów - np. z Polski do Egiptu - niezależnie od tego, czy ją kiedyś przebyły, czy też nie. W pewnych doświadczeniach wypuszczano jesienią w podróż tylko grupę jaskółek, które wykluły się wiosną tego roku. Mimo braku przewodników trafiały do miejsc zimowego pobytu równie łatwo, jak jaskółki, które tę wyprawę odbywały wielokrotnie. Jest to bodaj najtrudniejsze do wyjaśnienia, chyba że założy się, iż ptaki mają kierunek podróży (zatem odpowiednią mapę pola GM) zakodowany w swych genach. Że dziedziczą tego rodzaju umiejętność wraz ze wszystkimi innymi instynktami.
Problem ten nie jest wyjaśniony do końca. W każdym razie wydaje się pewne, że w orientacji geograficznej wielu gatunków istotną rolę odgrywa możliwość wyczuwania zmian pola geomagnetycznego. U innych gatunków może być inaczej. Udało się na przykład stwierdzić, że koty kierują się przede wszystkim słuchem i mają w pamięci (?) coś w rodzaju dźwiękowej mapy terenu, na którym się wychowywały - i już z bardzo daleka słyszą znajome, charakterystyczne dla danej okolicy dźwięki (czasem niesłyszalne dla ludzi) i orientują się wedle nich. Nie tłumaczy to wprawdzie powrotów do domu kotów wywożonych pociągami do odległych miast, ale wyjaśnia przynajmniej kocią orientację w dość rozległym terenie. Psy nie mają najlepszego słuchu ani wzroku - one z kolei utrwalają sobie jakoś „węchową mapę" swego środowiska. Niektóre węże - co jeszcze trudniejsze do pojęcia - znają „cieplną mapę" terenu swych polowań, dysponują bowiem niezwykle

czułymi receptorami promieni podczerwonych. Pszczoły mają coś w rodzaju receptorów na światło spolaryzowane, orientują się więc przede wszystkim wedle położenia Słońca, nawet jeśli schowane jest za chmurami. Ponadto przekazują sobie wzajemnie informacje jednym z najdziwniejszych języków - językiem tańca! Wszystko to wyjaśnia wiele, ale nie wyjaśnia wszystkiego. Wracamy do punktu wyjścia: skoro jedne zwierzęta wyczuwają zmiany pola GM, a inne nie, zatem te pierwsze powinny mieć odpowiedni zmysł! Byłoby to logiczne.

Bardzo wiele gołębi padło ofiarą badaczy, szukających w ich organizmach jakiegoś „czujnika magnetycznego”. I znowu zdarzyło się coś, co częste w historii nauki. Przez dziesiątki lat nikomu nie udało się natrafić na taki „czujnik”, mimo żmudnych badań i pomysłowych doświadczeń. Nagle zaś prawie w jednakowym czasie (zresztą bardzo niedawno) w różnych laboratoriach sypnęły się znaczące odkrycia. Tak więc w 1977 r. A. Bookman w Anglii wykazał ostatecznie w sposób nie budzący wątpliwości, że gołębie odczuwają bardzo niewielkie zmiany pola GM i także sztucznych pól magnetycznych. Biolog z Uniwersytetu Stony Brook w stanie Nowy Jork, Charle? Walcott, znalazł rok później w czaszce gołębia coś, co sam ostrożnie, choć niezbyt precyzyjnie określił jako „strukturę, której można przypisać cechy ustrojowego elementu detektorowego, wrażliwego na zmiany kierunku wobec pola magnetyzmu ziemskiego”. Byłaby to więc od dawna poszukiwana ptasia „tkanka magnetyczna”, choć jeszcze daleko jej do specyficznego narządu.

W 1975 r. R. P. Blakemore i R. Frankeli ze słynnego Instytutu Technologicznego Ma ssachusetts w USA odkryli słonowodne „magnetyczne bakterie”, zaś w 1979 r. sam Blakemore odkrył zupełnie inny gatunek bakterii magnetycznych w wodach słodkich. Pozostało wszakże dotąd tajemnicą, po co bakteriom „zmysł magnetyczny”; z punktu widzenia ich potrzeb biologicznych jest to zupełnie niezrozumiałe...

W 1978 r. zespół biologów i fizyków z Uniwersytetu Princeton w USA wykrył rodzaj „magnetyczne tkanki” w przedniej części odwłoku pszczół. Nadal jednak zupełnie nie wiadomo, w jaki sposób owa dość prymitywna tkanka magnetyczna przekazuje pszczole czy gołębiowi sygnały o zmianie pola GM. Fizjologiczny mechanizm tego zjawiska okryty jest tajemnicą.

W 1979 r. Anglik Robin Baker z Uniwersytetu w Manchester postawił pytanie, czy czasem ludzie nie mają także jakiegoś „zmysłu magnetycznego”. Pytanie to wielu uczonym, kolegom Bakera, wydało się bezsensowne, bo „z daleka pachniało psychotroniką i podobnymi bzdurami”, jak ktoś się wyraził. Odważny Baker z badań jednak nie zrezygnował, pomogli mu studenci godząc się na doświadczenia. Tak więc studentów podzielono na grupy, zawiązano im oczy, zabroniono porozumiewania się ze sobą i klucząc krętymi drogami wywieziono na pola lub w lasy na odległość od 8 do 60 km. od Manchesteru. Połowa studentów w każdej grupie miała przymocowany na głowie magnes, który powinien zakłócać ewentualne „odbieranie” ziemskiego pola magnetycznego. Po przywiezieniu na miejsce studenci wskazywali kierunek, w którym ich zdaniem znajduje się Manchester. Opasek z oczu im nie zdjęto, by nie mogli orientować się wedle stron świata.

Wyniki doświadczenia były statystycznie znamienne, co oznacza, że nie można ich tłumaczyć przypadkiem. Bowiem na 127 studentów bez magnesu, 45 wskazało prawidłowy kierunek z dokładnością w granicach 45 stopni (tj. jedna ósma tarczy kompasu, co wystarcza, żeby trafić), 40 - w granicach 20 stopni, 10 - w granicach 10 stopni (tj. niemal bezbłędnie), reszta miała wyniki gorsze, ale tylko sześć osób wskazało kierunek odwrotny od właściwego. I teraz uwaga: wszyscy studenci z magnesami na głowach mieli trudności z rozszyfrowaniem kierunku, zastanawiali się dłużej i mieli wyniki dokładnie o połowę gorsze! To oznacza, iż magnes zakłóca jednak orientację geograficzną mózgu ludzkiego - skoro zaś : akłóca, to taka orientacja musi mieć związek z magnetyzmem. Wniosek jest logiczny, rzecz teraz w potwierdzeniu doświadczeń Bakera (ostrożność naukowa nakazuje zawsze dopuszczać możliwość innego rozwiązania zagadki).



Byłoby niewątpliwie rewelacją, gdyby okazało się, że ludzie mają także jakiś rodzaj zmysłu magnetycznego. Można mniemać, że sprawa ta zostanie niedługo rozstrzygnięta.

W 1981 r. w jednym z polskich medycznych czasopism naukowych pojawił się opis niezwykłego przypadku zmysłu magnetycznego u człowieka, czyli wrodzonej umiejętności lokalizacji północy magnetycznej. Rzecz miała miejsce w jednej z klinik Akademii Medycznej w Białymstoku. U leczonego tam pacjenta stwierdzono zdolność rozpoznawania kierunku magnetycznego. Człowiek ten zawsze wiedział, w ogóle nie zastanawiając się nad tym, gdzie znajduje się północ magnetyczna, czuł to po prostu - tak jak wszyscy czujemy, gdzie jest góra, a gdzie dół (bo mamy zmysł równowagi reagujący na przyciąganie ziemskie).

Autorzy artykułu opisują doświadczenia, jakim poddawano pacjenta - wskazywany przez niego kierunek był zawsze zgodny ze wskazaniami kompasu. Stwierdzono, iż człowiek ów tracił orientację tylko w tych sytuacjach, w których zawodził również kompas - na przykład w pomieszczeniach ekranowanych albo głęboko pod ziemią. W takich pomieszczeniach, gdzie pole GM było zakłócone, pacjent odczuwał ogromny niepokój. „Przypadek opisujemy jako zjawisko niecodzienne, nie próbując przy tym nawet tłumaczyć etiologii” - piszą autorzy artykułu.

Ja nie muszę być tak ostrożny - wydaje mi się oczywiste, że opisany przypadek dotyczył człowieka ze zmysłem magnetycznym. Jestem przekonany, iż ludzi takich jest więcej, tyle że jedni mają ów receptor bardziej czuły, inni mniej, inni wreszcie zatracili taką zdolność całkowicie. Zmysł orientacji magnetycznej był na pewno bardzo potrzebny ludziom w tych czasach, kiedy jeszcze prowadzili życie koczownicze, byli łowcami, odchodzącymi na wyprawy myśliwskie daleko od rodzinnych siedzib. Dzisiaj taki zmysł jest w gruncie rzeczy niepotrzebny, więc też i powoli zanika. Żywe istoty mogą mieć zresztą i inne rodzaje zmysłów - np. rekiny i płaszczki (fladry) wyczuwają zmianę pola elektrycznego już o setną część mikrowolta! W literaturze naukowej opisano przypadek człowieka, który „słyszał” fale radiowe (odbierał program!) bez pośrednictwa radia, co zresztą przyprawiało go o szaleństwo. W tę ostatnią historię wielu uczonych nie chce po prostu uwierzyć - coś takiego „nie mieści się w głowie”, to znaczy nie pasuje do współczesnych poglądów na temat biologii człowieka.

Właściwości organizmu ludzkiego są naprawdę mało zbadane. Istnienie zmysłu magnetycznego, a może i innych receptorów czułych na inne rodzaje pól i promieniowań mogłoby wyjaśnić wiele niewytłumaczalnych zjawisk - choćby na przykład zdolność radiestetów, różdżkarzy. Któż wie, jakie jeszcze niezwykłe możliwości kryją się w naszych organizmach?

Ludzie lądujący na Wenus, by dać świadectwo naszemu przeznaczeniu, naszemu losowi kosmicznych wędrowców - czytaliśmy o tym dziesiątki razy. Tymczasem, jak dowodzi tego nauka, Wenus to piekło - szczegóły poniżej.

ŻYCIE DOGONIŁO FIKCJĘ

Trzysta lat temu francuski pisarz Fontanelle opisywał ją jako raj, w którym swawolili Filemon i Baucis. Sto lat później Swendenborg chwalił uroki pięknych „Wenusjanek" przechadzających się wśród czarownych pejzaży... Tymczasem Wenus - to piekło! Taka jest konkluzja pierwszej międzynarodowej konferencji poświęconej tej planecie. Średnia temperatura na powierzchni Wenus - 464°C, ciśnienie - 92 atm., zawartość dwutlenku węgla w atmosferze 96%.

Pierwszych informacji o Wenus dostarczyła radziecka sonda Wenus 4 w 1967 r. Informacje te były jednak skąpe. Nic nie mówiły o tym, jak wygląda powierzchnia planety. Czy jest ona ogromnym oceanem węglowodorów, jak sugerował Borbasow? Czy może rumowiskiem skał spiętrzonych w szczyt, pociętym wąwozami, rozgrzanym ciepłem pobliskiego Słońca? Zarysy powierzchni planety poznano dzięki „radaroastronomii" - zapoczątkowanej przez Amerykanów. Amerykański radioteleskop-gigant z Arecibo dzięki ogromnej energii emitowanych fal i analizie komputerowej umożliwił „przeszukanie" około 1% powierzchni Wenus oraz określenie czasu obrotu planety wokół własnej osi. Okazało się, że wbrew opiniom większości astronomów czas obrotu Wenus wynosi nie 225, ale 243 dni i że planeta obraca się w przeciwnym niż Ziemia kierunku. Mówiąc inaczej: okazało się, że na Wenus Słońce wschodzi na zachodzie, a dzień trwa dłużej niż rok.

Dziś mamy już gotową mapę prawie całej planety (93% pow.). Jest ona dziełem sondy kosmicznej Pioneer 12, która krąży wokół Wenus od 4 grudnia 1978 r.

Na mapie tej zwracają uwagę przede wszystkim dwa płaskowyże o rozmiarach kontynentów. Pierwszy z nich nazwany Isztar zarówno pod względem położenia, jak i ukształtowania powierzchni przypomina Syberię, Na jego południowych krawędziach, mniej więcej na poziomie Mongolii, wznosi się góra Maxwella o wys. 10 800 m ponad średnią wysokość planety. Drugi płaskowyż, Afrodyta, rozciąga się na półkuli południowej tuż przy równiku. Na Ziemi byłby on odpowiednikiem małego kontynentu położonego gdzieś między Nową Gwineą i Thaiti.

Interesującym „kontynentem", odpowiednikiem ziemskiej Sahary, jest Beta z dwoma wulkanicznymi szczytami Theia i Rhea. Jednym z ważniej-. szych odkryć sondy Pioneer 12 było również zlokalizowanie na Wenus czynnych wulkanów. Zlokalizowano je metodami radiowymi oraz dzięki stwierdzeniu istnienia anomalii grawitacyjnych, które powodowały zakłócenia toru lotu sondy wokół planety. Theia i Rhea należą do bardzo młodych formacji, gdyż Pioneer zaobserwował wylewy lawy. Wenusjańskie wulkany są spłaszczonymi stożka-
mi. Lawa wydostaje się z nich na powierzchnię spokojnie dzięki dużemu ciśnieniu atmosfery planety. Wysoka temperatura panująca na Wenus powoduje, iż roztopione minerały długo pozostają plastyczne.

Pozostała część planety (3/4 jej powierzchni) pogrążona jest w depresji, której głębokość sięga w niektórych miejscach 3000 m. Gdyby na Wenus była woda, depresje byłyby morzami. Płaskowyże, wulkany, uskoki, klify - wszystkie te formy ukształtowania powierzchni świadczą o dużej aktywności tektonicznej Wenus. Skorupa planety nie może być jednak porównywalna z ziemską. Ma ona bowiem dwa razy większą gęstość i inną strukturę"Nie ma tam „łuskowo" ułożonych i przemieszczających się względem siebie płyt. Z tego też powodu nie ma na Wenus długich łańcuchów górskich (takich jak Himalaje czy Andy). Dodatkowych informacji o rzeźbie powierzchni Wenus dostarczy amerykańska sonda VOIR (Venus Orbiter Imaging Radar), której wystrzelenie przewidziane jest na 1986 rok. Radar sondy o rozdzielczości 600 m pozwoli na identyfikację elementów topograficznych 100 razy mniejszych niż znane do tej pory. Radar ten prześle na Ziemię także obrazy „z perspektywą", co umożliwi odtworzenie pejzażu planety. Na razie bardziej niż rzeźba terenu astronomów interesuje atmosfera okalająca planetę, która jest czymś zupełnie wyjątkowym w całym Systemie Słonecznym: chodzi nie tylko o jej nieprzenikliwość (żadnej „dziury", żadnego „przejaśnienia"), ale i o to, że jej prędkość obrotu jest 60 razy Większa niż prędkość obrotu powierzchni planety. Stratosfera Wenus pochłania prawie połowę całej energii płynącej ze Słońca. Grubość i gęstość mgły stratosferycznej (złożonej z kropelek kwasu siarkowego) są takie, że 63 km nad powierzchnią planety nie widać jeszcze tarczy słonecznej. Hipotetyczny mieszkaniec Wenus musiałby więc wznieść się bardzo wysoko, aby odkryć Słońce. Pod stratosfera znajduje się warstwa gazów, którą uznać można za troposferę Wenus. Poniżej zalegają chmury wenusjańskie, poruszające się o wiele szybciej niż chmury ziemskie. W skład chmur na Wenus wchodzą m.in. kropelki kwasu siarkowego co powoduje na wysokościach powyżej 30 km opady kwaśnych deszczów. Na tej wysokości deszcze parują i pary kwasu siarkowego unoszą się z powrotem w górę. Deszcze wenusjańskie nie docierają więc do powierzchni planety.

Dolna warstwa atmosfery Wenus sięga powierzchni planety. Jej gazy są ciepłe, ciężkie, przejrzyste i bezchmurne. Wieją tam wiatry, ale prędkość prądów gazowych nie przekracza 18 km/h.

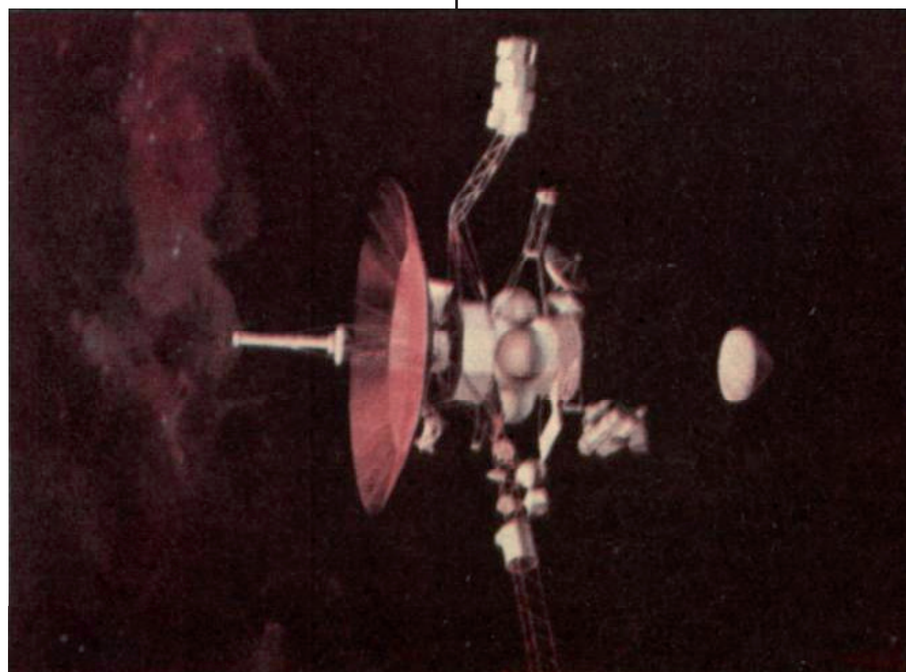
Należy jednak dodać, że z powodu dużej gęstości (3/4 masy atmosfery Wenus zalega przestrzeń do 15 km), owe pozornie flegmatyczne podmuchy niosą ogromną energię. Pyły porywane przez podmuchy „wiatrów" powodują znaczną erozję powierzchni planety.

Duża gęstość atmosfery pociąga za sobą jej sporą bezwładność cieplną. Sondy kosmiczne, które penetrowały planetę, zarejestrowały na jej powierzchni temperatury zawarte w przedziale 446482°C. Jeszcze bardziej stabilne jest ciśnienie. Gdyby na Wenus chciano stosować barometr rtęciowy, należałoby znacznie go powiększyć słupek rtęci podnosiłby się tam do wysokości 70 metrów!

Przypowierzchniowa warstwa atmosfery planety składa się z: 96% dwutlenku węgla i 4% azotu. Inne gazy występują w postaci śladowej. Interesującym zjawiskiem atmosferycznym są błyskawice burzowe zaobserwowane już w 1975 r. przez sondy radzieckie i amerykańskie. Pojawiają się one głównie nad wulkanami, ale także w dolinie, u podnóża kontynentu Afrodyty. Powyżej tych miejsc tworzą się wiry, tzn. gwałtowne prądy zstępujące, a duża różnica potencjałów elektrycznych, jaka powstaje między chmurami pyłowymi a planetą wywołuje wyładowania (podobnie, jak ma to miejsce na Ziemi). Zaobserwowano także poświatę w atmosferze Wenus porównywalną z ziemskimi zorzami polarnymi. Dzięki 900 zdjęciom wykonanym w ciągu 3 lat przez Pioneera 12, możliwe stało się prześledzenie cyrkulacji atmosfery Wenus. Dominującą cechą tej cyrkulacji jest ruch ze wschodu na zachód, odbywający się z prędkością superobrotową (znaczy to, że najbardziej zewnętrzna warstwa atmosfery, a więc ta, która jest widoczna, obraca się znacznie szybciej niż sama planeta). Trudno dziś powiedzieć, dlaczego chmury Wenus poruszają się tak szybko. Kilka lat temu powstała hipoteza, która zjawisko to tłumaczyła złudzeniem optycznym. Zakładała ona, że chmury Wenus są prawie nieruchome, ale ulegają zafalowaniu, które obiega Wenus.

Hipoteza ta została jednak odrzucona. Ustalono bowiem, że chmury Wenus rzeczywiście przemieszczają się z prędkością 360 km/h. Chmury Wenus zalegające na wysokości ponad 65 km pod podwójną warstwą mgieł i zamgleń, widoczne są jedynie w nadfiolecie. Pierwsze zdjęcia chmur zostały wykonane przez Marinera 10. Powłoka chmur Wenus jest w ciągłym ruchu, ulega wciąż przekształceniom - prawdopodobnie pod wpływem wiatru słonecznego.

Oprac. na podstawie *„Science et Vie"*



KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Satelity Saturna

Obecnie sonda Voyager-2 znajduje się w okolicach Saturna. Nadesłała serię zdjęć Hiperiona małego satelity znajdującego się pomiędzy orbitami Jafeta i Tytana. Hiperion jest nieregularną bryłą o wymiarach 360 na 210 km, odbija znacznie mniej światła niż wielkie satelity Saturna, ale zdecydowanie więcej niż krążące wokół Marsa Fobos i Deimos. Prawdopodobnie powierzchnia Hiperiona jest pokryta skorupą lodową. Dostrzeżono też dużą ilość kraterów meteorytowych. Brak grawitacyjnej stabilizacji orbity Hiperiona sugeruje, że został on wypchnięty ze swojej normalnej orbity przez zderzenie z dużym meteorem. Najdalszy satelita Saturna - Feb - ma średnicę ok. 200 km. Różni się od pozostałych księżyców nie tylko tym, że nie jest pokryty lodem, ale także kierunkiem obrotów. Większość księżyców w naszym Układzie porusza się synchronicznie z kierunkiem obrotów macierzystej planety. Feb obraca się niesynchronicznie. Jego obrót wokół osi trwa ok. 10 godzin, zaś wokół Saturna ok. 550 ziemskich dni. Wędruje w kierunku przeciwnym do ruchu wszystkich satelitów Saturna i jego pierścieni.

Wejście w pętle czasu

Niskie koszty eksploatacji to przyczyna, dla której statki parowe powrócą na oceany świata. Do ich budowy przystąpiły już stocznie japońskie, brytyjskie i włoskie, również stocznia w Szczecinie przystąpiła do prac nad budową nowoczesnych parowców. Na razie będą to dwa masowce o nośności 6 oraz 3 tysięcy ton. Wyniki eksploatacji kilku kabotażowców węglowych pływających u . • wybrzeży Australii dowodzą między innymi, że najbardziej opłacalne okażą się wielkie masowce o nośności 100 do 200 tys. ton. Według bardzo skromnego szacunku przewiduje się, że już w ciągu najbliższych 20 lat będzie pływać ok. 1000 statków węglowych. Do łask wracają inne konwencjonalne napędy - Amerykanie wyliczyli, iż stare samoloty śmigłowe zużywają od 15 do 20% mniej paliwa niż samoloty turboodrzutowe.

Nadajniki neutrino do łączności kosmicznej

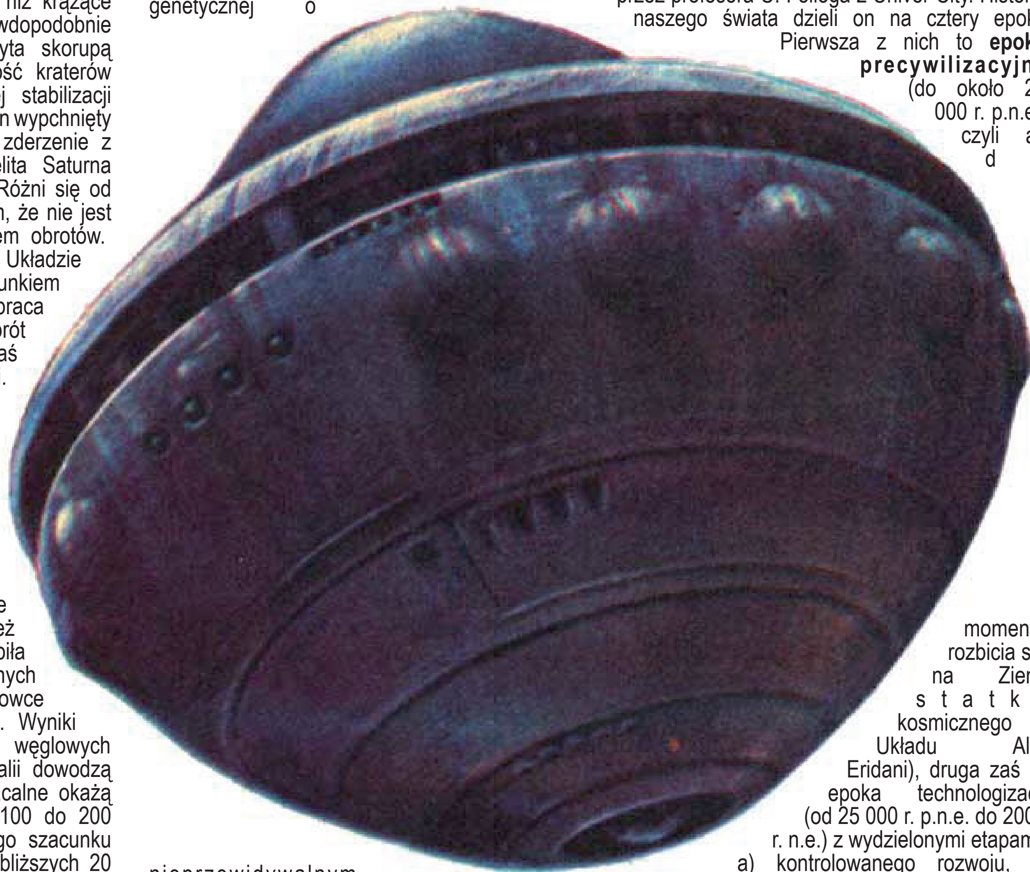
Ludzka technika nie stworzyła jeszcze możliwości sterowania strumieniami neutrino. Być może coś zmieni się dzięki amerykańsko-radzieckiemu eksperymentowi DIAMAND. Nadajnik neutrino zostanie umieszczony w okolicach Jawy (Indonezja), natomiast odbiornik w jeziorze Bajkał lub Issyk-kul (ZSRR). Naukowcy przypuszczają, że z czasem uda się wykorzystać neutrino do przekazywania dźwięków i obrazów początkowo w łączności kosmiczne) z satelitami i sondami wysyłanymi ku krańcom naszego Układu. Następny etap to łączność międzygwiezdna, a w tym - próby kontaktu z pozaziemskimi cywilizacjami.

Układamy obraz świata

Dzięki zarejestrowanym fotografiom, dokonanym przez sondę Mariner-10, sporządzono geologiczną i geomorfologiczną mapę Merkurego. Badania wykazały; że głównym czynnikiem kształtującym powierzchnię tej planety są uderzenia meteorytów. Poprzednio o wyglądzie Merkurego decydowała struktura tektoniczna i działalność wulkaniczna. Dzięki nim powstały ongiś wielusetkilometrowe uskoki, w których różnica pomiędzy krawędziami dochodzi do 3 km wysokości.

Co nam dał (w nauce) miniony rok?

Uzyskano syntetyczną insulinę ludzką w wyniku prowadzonych przez 10 lat prób manipulacji genami. US Food and Drug Administration zatwierdziła produkcję tego leku, mogącego być rewolucyjnym początkiem leczenia wielu groźnych schorzeń. Ponadto Stanley Cohen z Uniwersytetu w Oxfordzie i Herb Boyer z San Francisco podczas międzynarodowego sympozjum na Hawajach przedstawili ekspertom rezultaty swoich eksperymentów z implantacją obcego materiału genetycznego do bakterii. Może to oznaczać początek ery inżynierii genetycznej o



nieprzewidywalnym zasięgu. Dokonano również kolejnych postępów w walce z genetycznym mechanizmem raka. W roku 1982 powstały dwie nowe szczepionki - przeciw żółtaczce zakaźnej (także i polska) i przeciw zakaźnej chorobie bydła zwanej foot-and -mouth-disease. W Wielkiej Brytani opracowano spray zawierający interferon przeciwdziałający różnym formom zaziębień. Na Uniwersytecie w San Francisco odkryto proteinę nazwaną „priori", która może być zdolna do samoistnej reprodukcji nawet przy braku materiału genetycznego. Dzięki tej proteinie może wyjaśni się genezę wielu chorób związanych z istnieniem „powolnych wirusów", czyli ujawniających się po dłuższym czasie (nawet kilku lat) od momentu zakażenia. W dziedzinie fizyki zachodnioniemieccy specjaliści wykryli nowy pierwiastek, nazwany „109", który zawiera 109 protonów i 109 elektronów, jest więc najcięższy ze znanych dotychczas.

Pytania bez odpowiedzi

Przywiezione przez kosmonautów z Apolla próbki skał księżycowych do dziś stanowią zagadkę dla uczonych. Dr James Arnold z Uniwersytetu w San Diego (USA) gdzie zdeponowano wszystkie próbki, ocenia wiek księżycowych skał na 3,7 mld lat. Tylko niektóre z nich mogą mieć 4,6 mld lat, co zgadza się z przyjętym przez współczesną naukę twierdzeniem o formowaniu się naszego Układu przez około 5 mld lat. Niespodziewana młodość księżycowych skał ożywiła teorię według której Księżyc oderwał się od Ziemi jako nieforemna bryła rozpalonej lawy. Ma o tym świadczyć olbrzymia „dziura w Ziemi" (skąd my to znamy?), którą dziś nazywany Oceanem Spokojnym. Wyniki analiz chemicznych wykazały duże podobieństwo geologii Ziemi i Księżyca, lecz wcale nie, wykluczają możliwości odrębnego formowania się obu ciał niebieskich z gazowo-pyłowych obłoków. Problem skał z Księżyca redakcja „Fantastyki" pozostawia bez komentarzy. W ciągu kilku najbliższych lat nie przewidujemy delegacji służbowych w tym kierunku, (kos)

Zupełnie nowa...

...teoria rozwoju ludzkości została wymyślona przez profesora U. Follogа z Univer City. Historię naszego świata dzieli on na cztery epoki. Pierwsza z nich to **epoka precywilizacyjna** (do około 25 000 r. p.n.e., czyli aż do momentu rozbicia się na Ziemi statku kosmicznego z Układu Alfa Eridani), druga zaś to epoka technologizacji (od 25 000 r. p.n.e. do 2000 r. n.e.) z wydzielonymi etapami: a) kontrolowanego rozwoju, w którym pełni poświęcenia Eridanie nauczyli prymitywnych homines chodzenia na tylnych łapach i astronomii, b) raczkowania intelektualnego, w którym większość rozbitków udała się na zasłużony spoczynek hibernatorów ukrytych w lokalnych antyprzestrzeniach piramid, zaś na powierzchni naszego wymiaru pozostają jedynie bezzałogowe obiekty talerzowe, c) etapem rekosmicznym, w którym Ziemianie samodzielnie przystępują do lotów zwiadowczych w Układzie Sol. Następstwem ma być **epoka zorganizowanego podboju dalekiej przestrzeni,** w której Ziemianie zbudują pierwsze naprawdę duże Transportowce Międzygwiezdne. W tym okresie (przedział czasowy od 2000 do 2100 r. n.e.) rozbitkowie zostaną obudzeni, sprawnie uformują marszowe siódemki i dojdą do najbliższego kosmodromu. Następnie przystawią pilotowi TM emiter infradźwięków poniżej pleców i poproszą go o start w kierunku Alfa Eridani. O **epoce świadomości niesterowanej** (od ok. 2100 r.n.e. w bliżej nieokreśloną przyszłość) prof, U, Follog nie potrafi mówić bez wyraźnego wzruszenia. Spośród jego łkań i nieartykułowanych okrzyków udało się nam wyłowić dwa słowa: „degeneracja" i „niedobjtki". Zastanawiająca jest zgodność naszego profesora z futurologami, większością pisarzy SF oraz pielęgniarzami z pewnej specjalistycznej kliniki w Univer City.

TO SIĘ DLA NAS DOBRZE SKOŃCZY

mówi red. ANDRZEJ WÓJCIK z Wydawnictwa SF Krajowej Agencji Wydawniczej

- My i świat - jak wygląda to porównanie z pozycji człowieka, który, jak głosi fama, czyta w oryginale 10 obcojęzycznych pozycji SF tygodniowo?

- Czytelnicy sądzą literaturę światową po tym, co już przebrane i przetłumaczone dociera do Polski, ale większość światowej produkcji wydawniczej lokuje się mocno poniżej naszych wygórowanych wyobrażeń. I na tym tle przeciętna polska wygląda bardzo przyzwoicie. Wiem od wydawców, z którymi mam oficjalne kontakty, że np. edytorzy Fleuve Noir z założenia starają się, by dobra była co dziesiąta książka, a reszta tytułów stanowi podtrzymanie serii. Heyne Buch Verlag - największe światowe wydawnictwo SF - owszem, wydaje wszystko co godne uwagi w tym gatunku, ale przy wypuszczaniu na rynek jednego tytułu na dwa dni te dobre książki nie stanowią więcej niż 10% ich produkcji... My wybieramy z tego śmietankę kierując się nagrodami, recenzjami, rozgłosem. Ale nawet lektura książek nagrodzonych przekonuje mnie, iż w famie wokół nich więcej jest sprawności agentów, magii nazwisk i nieznajomości innej dobrej, a nie wylansowanej literatury, niż rzeczywistych wartości. Gdybym miał klasyfikować, to polska SF jest w tym wszystkim gdzieś na piątym miejscu.

- Pókim?

- Po literaturze USA, ale w szczytach rzecz jasna, nie w pulpie; po prozie radzieckiej, angielskiej, japońskiej. Daleko za nami byłaby np. literatura niemiecka, dobra tylko sporadycznie. Natomiast blisko nas lokowałbym bardzo ostatnio ciekawą fantastykę iberoamerykańską i węgierską.

- Jeśli proporcje dobrych książek do złych wyglądają jak 1:10 to musi się to źle skończyć. Rynek trzaśnie, wyczerpie się papier, wydawnictwa zbankrutują. Czytelnicy nauczą się przecież wyłapywać tę co dziesiątą książkę...

- To się dla nas dobrze skończy. Zachodni rynek już właściwie jest załamany, znudzony sobą, w księgarniach i magazynach zalegają miliony tomów. Rośnie natomiast zainteresowanie fantastyką krajów socjalistycznych, bo to i inny rodzaj prozy, i inny krąg kulturowy, i ciekawa propozycja przełamania gatunku. Nasza SF, technicznie ze zrozumiałych względów dość uboga, staje się za to bardziej literacka, jest pretekstem do rozważań o współczesności, o jej możliwych implikacjach socjologicznych, politycznych, psychologicznych. Stoimy przed szansą nie tyle powtarzania światowych schematów, co stworzenia własnego rodzaju SF. Zresztą zaczyna to już być w świecie zauważane i cenione. 1 o jest inna, nowa, atrakcyjna propozycja. Za Lemem idą na Zachodzie nowi polscy autorzy; jest podobne zainteresowanie literaturą węgierską. Od dawna jest tam dobrze przyjmowana literatura radziecka.

- I ta dobra, polska koniunktura sama z siebie wystarczyła już KAW-owi do zdobycia dwukrotnie nagrody Premio Europa za serię SF? Czy jednak wymagało to dodatkowych zabiegów?

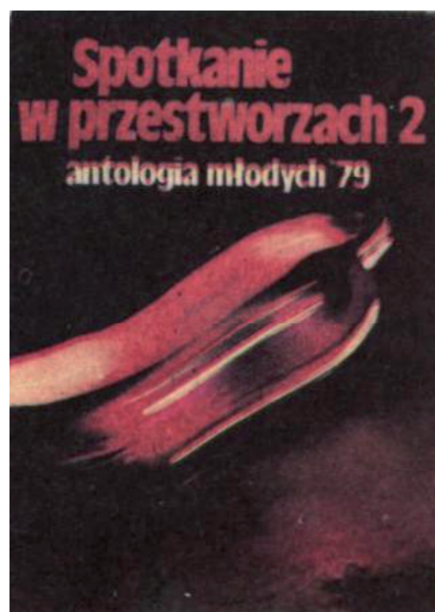
- Panuje u nas obłędna zasada „siedź w kącie, znajdą cię". Tymczasem nie może zdobyć nagrody oficyna nieznana, nie reklamowana... to jest elementarna sprawa. Nagrody Premio Europa przyznaje jury pisarzy i czytelników Zachodu, i to przyznaje w sposób do jakiego jest przyzwyczajone. Podstawowym zabiegiem jaki można było i należało w tej sytuacji wykonać, to umożliwić im kontakt z książkami KAW-u w ilości wystarczającej, by nie musieli sobie wyrywać egzemplarza z rąk. Nie sądzę, byśmy uchybili jakiemukolwiek moralnemu kodeksowi wykonując ten zabieg.

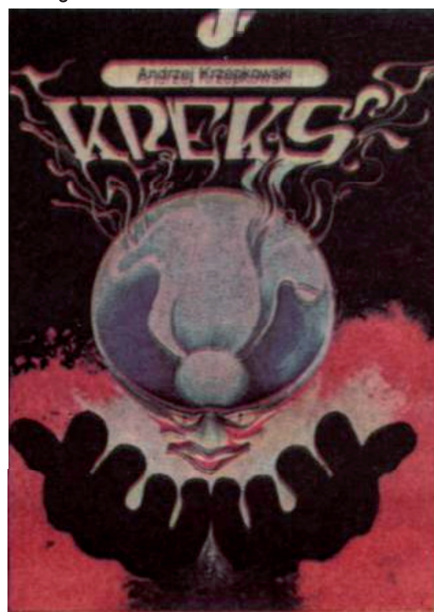
- Wiadomo, co teraz powie przeciwnik serii KAW. Dali KAW-owi nagrodę bo nie znając języka polskiego nie mogli przeczytać żadnego z tytułów.

- Przeczytali, spokojna głowa, wiele z nich będą nawet u siebie tłumaczyć. I dali nam nagrodę nie tylko dlatego, że mieli nasze książki pod ręką w wystarczającej ilości. W produkcji KAW zaimponowało im coś, co można określić jako skoordynowane działanie, jako próbę mecenatu nad młodymi pisarzami. W świecie wszyscy wiedzą, że bardzo łatwo jest stworzyć dobrą serię przekładową, natomiast trudno dopracować się poziomu współpracując z autorami z własnego kraju, formować twórczość rodzimą, poszukiwać nowych nazwisk... No i, oczywiście, zaimponowały wszystkim osiągane przez nas 100-tysięczne nakłady. Tam normą jest nie więcej jak 20-50 tysięcy egzemplarzy.

- A jednak tu, w kraju, odbiór KAWowskiej serii wygląda nieco inaczej. Owszem, startowała w atmosferze radości i nadziei, ale dziś ma wielu wrogów w ruchu fanów, a i krytycy literaccy nie oszczędzają jej. Poza tym nie utrzymaliście obiecanego tempa. Miało być tych książek znacznie więcej. Rozjechały się założenia, możliwości, obietnice i chęci?

- Rzeczywiście, z wielkich planów, zwłaszcza ilościowych, nie wszystko wyszło, ale .faktem jest też, że nasza seria wprowadziła na rynek kilku autorów, którzy już wkrótce będą kształtować oblicze polskiej, a myślę, że nie tylko polskiej SF. Seria wyłoniła się właśnie z ruchu fanów na początku roku 1976. Istniał wówczas w Polsce bardzo mały rynek autorski, pisarzy liczących się, uznanych, było nie więcej jak piętnastu, a jednocześnie spora grupa młodych z dorobkiem nowelistycznym godnym uwagi dobijała się bezskutecznie o swoje pierwsze książki. Postanowiliśmy oprzeć się na tych debiutantach tworząc coś w rodzaju własnej „stajni" autorów. Wydawca powinien „wychowywać" sobie pisarzy, jest to moje przekonanie, pomagać im; kształtować ich rozwój, a jednocześnie powinien dążyć do selekcji przez rynek czytelniczy. I taka też miała być zrazu nasza seria, prezentująca to co aktualnie w polskiej młodej SF najciekawsze, od czasu do czasu tylko przynosząca



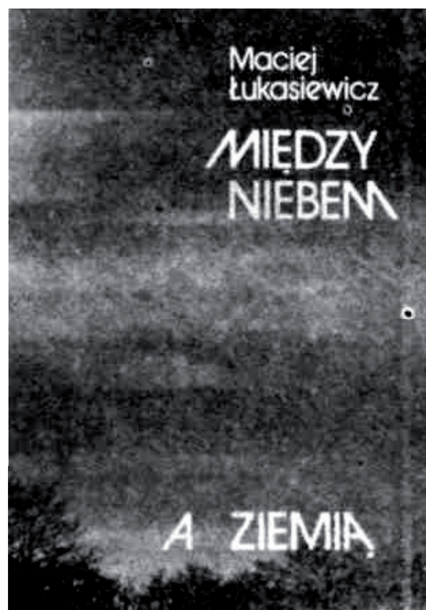




rodzynki przekładowe. Nie stety, poligrafia się załamała, teraz dopiero wychodzą książki, które miały być w 197880 roku. Odbieramy niektóre jako słabsze, i słusznie, 2-3 lata temu byłyby bardziej zrozumiałe, czytano by je w innym kontekście. Ale i tak KAW-owska seria jest najczęściej tłumaczona i ten fakt, a nie sporadyczne krytyczne głosy czytelnicze czy recenzenckie, jest dla mnie najlepszym sprawdzianem. W recenzjach widać już zresztą, że nasi autorzy zbierają dobre opinie za swoje drugie i trzecie książki, co byłoby niemożliwe bez debiutu w KAW.

- Od pewnego czasu tomiki KAW ukazują się bez szumnego apelu OKMFiSF nawołującego młodych do współpracy. O co tu chodzi za wielu autorów wylansowano? Były jakieś kłótnie w ruchu?

- Powód pierwszy i podstawowy jest taki, że OKMFiSF się rozpadł. Ale niesnaski wystąpiły już wcześniej. Ruch fanów z pewnym trudem godził się np., że odchodzimy od formuły debiutu, że dopiero po sprawdzeniu młodych w antologiach, które zamierzamy wydawać co rok, będziemy z autorami zaczynali rozmowy o ich indywidualnych tomikach. To dla nas konieczność, mamy zbyt duże zaległości (kilkadziesiąt tytułów) by bez ostrzejszej selekcji wypychać wszystkie tytuły jak leci. Seria natomiast wyłoniła się z ruchu fanów, którego przeciętny członek nie zdawał sobie sprawy z długości cyklu wydawniczego, z ograniczeń jakie trzeba w nim znosić. Odeszły z ruchu zniechęcone trudnościami osoby, które rozpoczęły całą zabawę. OKMFiSF rozpadł się, a wśród fanów gdzieś tak w 1981 roku zapanowały bardzo wojownicze nastroje. Domagali się oni od wydawnictwa absolutnej kontroli nad tym, co będzie się ukazywać. Mieliśmy na tyle dobrą wolę, że częściowo przystaliśmy na tę sugestię proponując założenie reprezentacji recenzentów - pierwszych selekcjonerów maszynopisów wyłonionych przez ruch. I doszło do śmiesznej sytuacji, kiedy okazało się, że są to osoby, które współpracowały z wydawnictwem od dawna, tylko nie ujawniały się z tym przed wojowniczymi grupami... Z moich doświadczeń wynika, że najbardziej hałaśliwi i agresywni są ci, którzy sami próbują pisać. Uważają, że robią to lepiej od innych. Podobnie zachowują się odrzuceni recenzenci.



- Działalność klubowa, podobnie jak działalność młodopoetycka, polega również na tworzeniu towarzystw wzajemnej adoracji dostarczających swym członkom poczucia wszechmocy twórczej. Powstaje przekonanie, że pisanie jest rzeczą zwyczajną, pisać może każdy... Zrazu KAW sprzyjała takim złudzeniom.

- Dostaję obecnie 40 maszynopisów powieści i zbiorów opowiadań miesięcznie, z czego w postaci umów wydawniczych na rok 1982 wybierałem 2 książki na 100. Odsiew jest teraz ogromny, znacznie większy niż na początku, kiedy przyjmowaliśmy przeciętnie co piątą książkę spośród zgłoszonych. Było to konieczne, żeby seria w ogóle zaistniała, ale wpłynęło rzecz jasna na obniżenie poziomu. Teraz jest już i będzie znacznie lepiej, choć nadal przeciętny poziom drukowanej u nas SF nie wprawia nas w nastrój samozadowolenia.

- Istnieje w SF pojecie „pomysłów koczujących”, rozwiązań technicznych, fabularnych będących wspólną własnością wszystkich pisarzy. Czy z pozycji lektora wielu setek maszynopisów możliwe jest wprowadzenie analogicznego pojęcia „błędów koczujących” - popełnianych przez młodych fantastów?

- Tak, oczywiście. Błędem głównym jest brak literackości; SF przyjęła się u nas, wśród rozpoczynających pisanie, jako literatura właśnie pomysłu. Tymczasem to już dawno nieprawda, SF jest dziś gatunkiem wymagającym nawet większej umiejętności organizacji tekstu niż literatura głównego nurtu, ponieważ fantastyka opiera się na konstrukcji logicznej. Tymczasem stary schemat literacki noszą w sobie nie tylko niektórzy autorzy, lecz i czytelnicy. Rynek przyzwyczaił się u nas do SF, która na świecie skończyła się na początku lat 60tych. Teraz dominuje psychologia, socjologia, problemy polityczne, a u nas niektórzy domagają się po staremu ciągu przygód i paranarkotycznych doznań dostarczanych przez tradycyjną literaturę nie wymagającą ani myślenia, ani współpracy czytelnika... Oczywiście, nie większość tak grzeszy, ale jest to jeszcze problem.

- Zapóźnienie bierze się pewnie także z ogromnych luk w przyswojeniu polskiemu czytelnikowi klasycznej światowej SF - białych plam mamy tu bardzo dużo. Jest jakby oczekiwanie, że współcześni autorzy wypełnią je „antyimportowym”, pracowicie odrobionym naśladownictwem staroci”



- Zgadzam się. A gatunek idzie dalej, przechodzi naturalną drogę rozwoju, wpada w ślepe zaułki, wycofuje się z nich, może być żywy dopiero wówczas, kiedy istnieje wokół niego nie tylko dyskusja krytyczna, lecz także dyskusja literacka między ukazującymi się dziełami. Swobodny rynek powinien dawać czytelnikowi wybór między różnymi, fantastycznymi opcjami. Dlatego według mnie jest błędem, kiedy miłośnik SF wykupuje i zbiera wszystkie tytuły wszystkich serii; problem polega na tym, żeby się nauczył wybierać. 1100-tysięczna seria daje już mi możliwość śledzenia reakcji odbiorcy. Czytelnicy piszą do wydawcy dużo. Jedna książka ma setki diametralnych ocen.

- Co robi, co zamierza robić KAW, żeby przygotować czytelników swych ksitr żek do tego wybierania?

- Rzeczywiste hity wydawnicze w większej Hości przewidujemy zgodnie z wcześniejszymi założeniami za jakieś 3-4 lata. Ale fantastyka nie będzie się ukazywała w KAW w jednej serii, tylko w wielu, będziemy jedynym wydawnictwem zajmującym się fantastyką naprawdę kompleksowo. Wydajemy serię przewodników po światowej SF francuskiej, niemieckiej, amerykańskiej. Będą to książki pisane przez najlepszych autorów: Rottensteinera, Horwata, Suvina... Wydamy serię prac krytycznych, w których będziemy omawiać poszczególne zagadnienia SF, zaczniemy tu pionierską pracą Zdzisława Lekiewicza. Przygotowujemy historię polskiej SF rozbitą na poszczególne dziesięciolecia... W 1978 roku kupiliśmy licencję na wydanie antologii „The Annual Best World SF” prezentującej najwyżej cenione opowiadania SF na amerykańskim rynku. Współpracujemy z szeregiem wydawnictw światowych, co powinno zaowocować ciekawymi przekładami i wprowadzeniem na nasz rynek nowych nazwisk. Bo to co oglądamy na nim dzisiaj nie odzwierciedla rynku światowego.’

- A których polskich autorów chciałby KAW zdobyć dla siebie, bo na razie niektórzy konsekwentnie unikają waszego wydawnictwa?

- Tak się składa w tej chwili, że w planach, bądź w maszynopisach, mamy książki wszystkich znanych polskich autorów.

- Bez Lema oczywiście.

- Nie, z Lemem włącznie. Co prawda w serii lektur szkolnych, „Dzienniki gwiazdowe”, ale Lema wydamy także. Powoli dochodzimy do momentu, kiedy KAW stworzy rzeczywiście przekrojową serię polskiei SF, gdzie starzy mogą się zmierzyć z młodymi - którzy w tzw. międzyczasie zdążyli zresztą podrosnąć i nabrać pewności - i w zasadnie przedstawimy ‘obraz SF, jaką mamy w Polsce ze wszystkim, co w niej dobre i złe. Już dziś wydajemy 70% całej polskiej twórczości SF.

- Oby jak najwięcej było w tym dobrego. Dziękuję za rozmowę.

Notował **Maciej Parowski**

LĄDOWANIE TRZECIE

Nareszcie zaczęliśmy się osobiście spotykać z Czytelnikami. Za pierwszą w pełni spełnioną szansę bezpośredniej wymiany poglądów na pismo, które my redagujemy a Wy czytacie, należy bez wątpienia uznać wieczór w pierwszej dekadzie lutego br. Odnotowuję ten fakt nie tylko jako jakieś historyczne (dla nas) wydarzenie, ale także jako zaczątek działalności klubu, który w najbliższych miesiącach pragniemy zorganizować dla miłośników naszego pisma. Chcemy w tym klubie - przede wszystkim dla jego członków - urządzać seanse video-filmów science fiction. I rysują się tego pewne realne możliwości. Ale - jak słusznie wytknęli nam to uczestnicy spotkania w MPiK-u na Bielanach w Warszawie - można się obawiać tłumów napierających na niewielką przecież salkę, jaką dysponujemy na Ursynowie. Zamiast więc przyjemnej imprezy video byłyby w takim przypadku tylko... ogromne kłopoty. Tę rzecz trzeba więc dobrze jeszcze przemyśleć, zanim się zabierzemy do jej urzeczywistnienia.

Natomiast podobała się nam ogromnie propozycja stworzenia w ramach klubu przy „Fantastyce” pierwszej polskiej biblioteki - wypożyczalni książek naszego gatunku. Rzecz oczywiście także trudna i pracochłonna, ale bardzo wdzięczna. Nie ma bowiem jeszcze żadnej biblioteki i żadnej wypożyczalni w kraju poświęconych SF. Pomysły mnożą się, ale proszę zauważyć, że jest nas w redakcji mała grupka. Dopiero działacze klubowi będą mogli rozwinąć wiele z tych inicjatyw, które w naszych i Czytelników głowach zakiełkowały. Na spotkaniu mieliśmy także możność powtórzenia jeszcze raz niewesołej dla wielu zbieraczy prawdy o pierwszym i drugim numerze „Fantasty’ ki”. Są one już całkowicie wyczerpane, najmniejszych zapasów w redakcji nie mamy i choć głęboko współczujemy poszukującym, nic im nie możemy poradzić - poza deklaracją naszego pośrednictwa w ewentualnej wymianie numerów pisma na książki SF, a książek SF na numery pisma. I druga nie najweselsza wiadomość, którą czuję się w obowiązku przekazać: musimy na pewien czas zawiesić nasz pierwszy i nieustający konkurs dla amatorów i profesjonalistów. Przerwać po prostu nadsyłanie tekstów i ilustracji. Konkurs został już tak bogato obesłany, że aby wybrać najlepsze prace - zwłaszcza tekstowe musimy wszyscy zakasać rękawy i dniami, a także nocami, wyślepiać wzrok. Na razie więc przerwa.

Wkrótce też ogłosimy listę dotychczasowych zwycięzców. Trzeba szczerze powiedzieć, że wyobrażaliśmy sobie wyższy poziom. Nie znaczy to, że pośród tej masówki nie błyska czasem jakiś prawdziwy talent, ale te proporcje! No cóż, marzyciele, fantaści - możemy się sami przedrzeźniać. Nieco (ale niewiele) lepiej i łatwiej jest z ilustracjami, z propozycjami plastycznymi. Już obecnie możemy podać nazwiska kilku osób, których rysunki czy malowidła zamieszczamy w „Fantastyce”. Oto laureaci: **Zygmunt Stanisław Nasiółkowski** z Wałbrzycha, ul. Hetmańska 34/5. Ilustrację jego autorstwa zamieściliśmy w numerze trzecim w roku bieżącym. **Janusz Giniewskl** z Wrocławia, ul. Boya Żeleńskiego 41 a. Ilustracja na okładce (!) tego samego numeru. Są jeszcze inni. Nazwiska ich podawać będziemy sukcesywnie w miarę zamieszczania nadesłanych prac. I jeszcze jedna ważna dla naszych Czytelników, zwłaszcza młodszych, sprawa: adresów istniejących obecnie klubów miłośników SF oraz warunków na jakich można do nich wstąpić, Pytania te formułuje między innymi p. **Tomasz Kudelski** z Wrzeszcza.

Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki mieści się w Warszawie, ul. Elbląska 53arOddziaty Stowarzyszenia: **Bydgoski Oddział PSMF,** 85790 Bydgoszcz, ul. Fordońska 397, **Częstochowski Oddział PSMF,** 42-200 Częstochowa, ul. Racławicka 2, **Łódzki Oddział PSMF,** Łódź, Dom Filmu i Plastyki, ul. Łagiewnicka 118c, **Lubelski Oddział PSMF,** 20-010 Lublin, ul. Podgrodzie 3, **Poznański Oddział PSMF,** Poznań, Osiedle Kosmonautów 118. Ponadto: **Śląski Klub Fantastyki,** 40-956 Katowice, ul. Mariacka 17a, **Klub Fantastyki SFAN,** Warszawa, Aleje Jerozolimskie 2, **Klub Miłośników Fantastyki Naukowej,** Gorzów Wlkp., ul. Wyczółkowskiego 6/24/26. Adresy innych klubów zamieścimy w jednym z kolejnych numerów „Fantastyki”. O warunki przyjęcia prosimy pytać bezpośrednio w poszczególnych klubach.

Listów przychodzi ciągle mnóstwo, ciągle w



większości nie mają one charakteru otwartej choć przyjacielskiej krytyki naszych poczynań oraz dezyderatów czytelniczych w zakresie powieści, nowel, materiałów wspomnieniowych itp. W zdarzających się propozycjach wielu zwolenników naszego pisma chętnie widziałoby w nim rubrykę powtórek najciekawszych pozycji literackich. Tych, które ukazały się już w szacie książkowej, cieszyły się wielką popularnością, lecz zostały całkowicie wyczerpane. Pan **Jacek Trzciński** domaga się np. wznowienia na naszych łamach powieści Krzysztofa Borunia „Proxima”. „Wierni Czytelnicy” z Katowic piszą - *„Dzięki za trzeci numer. Dopiero przedwczoraj dotarł na teren Górnego Śląska. Prosimy o w miarę możliwości druk „Obcego” („Aliena”) Ridleya Scotta, w marcu i kwietniu 81 drukowało go Słowo Powszechne...* Oczywiście dobrze by było to i owo powtarzać. Czy wyobrażacie sobie Państwo jednak naszą „Fantastykę” jako powtórkową starą płytę? Usiłujemy z rodzimej i zagranicznej literatury wyłuskiwać pozycje nowsze i ciekawsze. Tu i ówdzie trafiamy w nagradzane na światowych konkursach nazwiska i pozycje. Powtarzanie utrudniłoby nam znacznie tę naszą podstawową rolę. Nie zarzekamy się jednakże. Być może niedługo otworzą się na łamach „Fantastyki” szanse drukowania najciekawszych zagranicznych i rodzimych powieściowych pozycji z klasycznego repertuaru SF. Pracujemy nad tym, nie możemy na razie więcej powiedzieć, aby przedwcześnie nie robić nadziei. Rozumiemy, że nawet w „Fantastyce” nie powinniśmy popuszczać zbytnio wodzów fantazji.

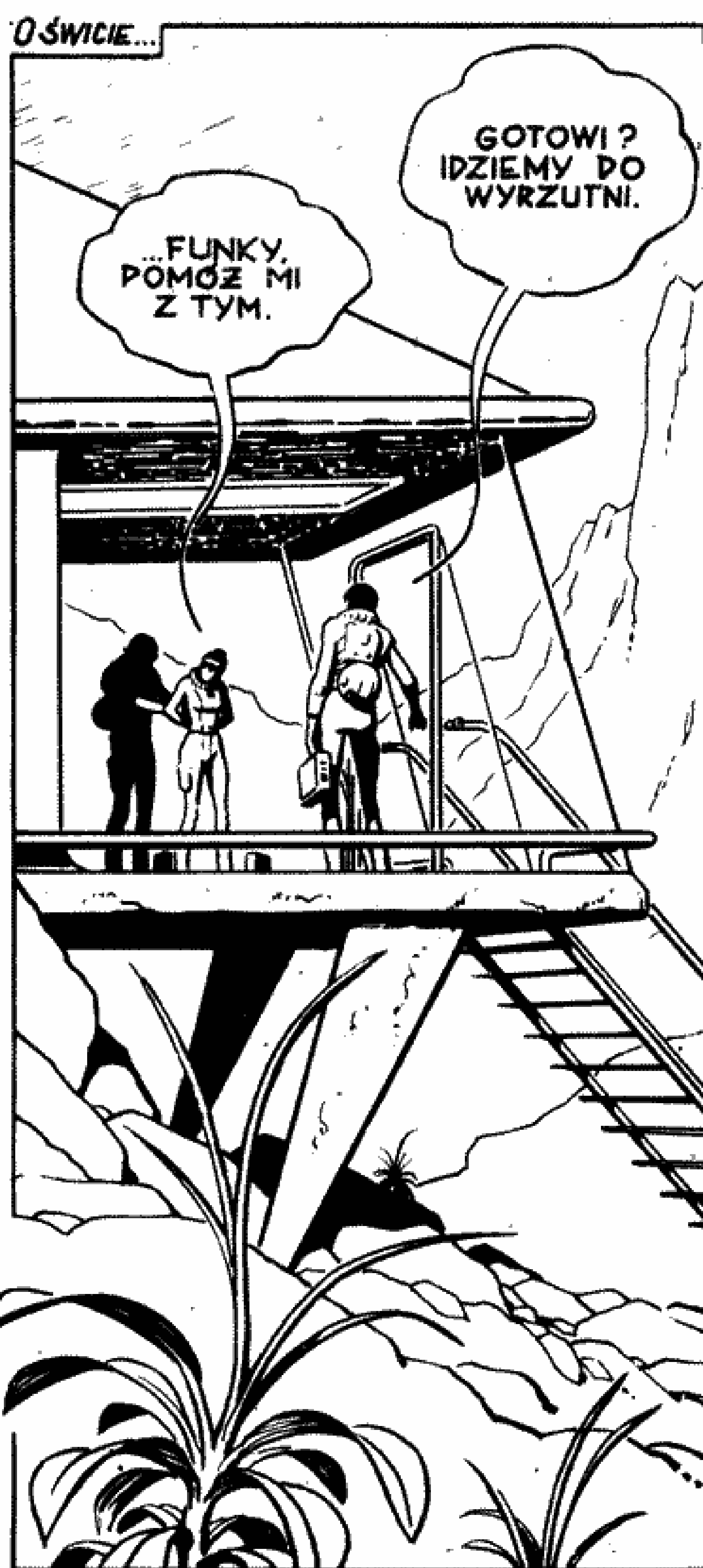
Wiele osób domaga się wprowadzenia co najmniej informacji o nowych polskich i zagranicznych filmach SF, twierdząc, że nawet i u nas, przy naszych skromnych możliwościach, przełamano już bariery i przygotowuj się całe serie tych obrazów. Pan **Jacek Reuch** ze Starogardu Gdańskiego podaje np. tytuły tej serii „Seksmisja” Machulskiego, „Synteza” Wojtyszki (dziecięcy), „Widziadło” Nowickiego. *„Twórcą, który tworzy na razie wyłącznie SF - pisze - jest Piotr Szulkin, autor „Golema” (sukcesy na festiwalu filmów SF) i „Wojny światów” (również sukcesy)”.* Ze swej strony chcemy dorzucić, że i telewizja wzięła się ostatnio do penetracji ‘tematyki SF także i wśród autorów z kręgu „Fantastyki”. Wszystko to są dopiero próby i zapowiedzi. Czy potrafimy stworzyć faktycznie interesujące filmy SF dopiero się okaże. W najbliższych numerach zapoznamy naszych Czytelników z tym co dzieje się w filmowych ateliers kraju, a może i zagranicy. Z tym, że nasz papier dla zdjęć niezbyt jest wdzięczny, a i kolory nie takie, jakich oczekiwałoby się od fotosów filmowych. Z konieczności pokazywanie filmów nie stanie się więc długo jeszcze silną stroną naszej działalności. Pana **Ryszarda Gębkę** z Lublina, którego list świadczy o dużym jego znawstwie zagadnień literatury SF, zdenerwował materiał „Wokół literatury SF” zamieszczony w „Sztandarze Ludu” w styczniu br., w którym nie najbardziej fachowo i nie najbardziej wybrednie w artykuliku podpisanym inicjałami - poddaje się ocenom m.in. i nasze pismo. Pamiętać należy (i dedykuję to wszystkim podobnie zdenerwowanym), że ktoś kto zdecydował się na publiczne wyrażanie swoich poglądów, opinii i propagowanie swojej i nie tylko swoje], lecz przez siebie wybranej twórczości, musi się liczyć z nawet najostrzejszą krytyką swych poczynań. Tak to już bywa. Wydaje mi się, że nie najwyższe loty krytyki SF u nas przyczyniły się do negatywnego stosunku do wszelkiej krytyki. Zresztą nie dzieje się tak jedynie w SF. Na brak dyskusji krytycznej skarżą się uczeni, literaci innych branż niż nasza, sportowcy itd.

Panu **Lesławowi Paprockiemu** z Jaworzna obiecujmy niezadrukowywanie przedostatniej strony (wewnętrzna okładki) „Fantastyki” komiksem i potwierdzamy możność głosowania nie tylko na całe listy bestsellerów, lecz również i na poszczególne pozycje tych list. Śledzimy poczynania Czytelników w tej dziedzinie z najwyższą uwagą i według ich opinii formujemy ostateczny kształt list, tych które mają pochodzić od Czytelników. Wreszcie zgodnie z żądaniem p. **Janusza Dębskiego** i wielu innych naszych szanownych Czytelników wprowadzimy rubrykę informującą o tytułach książek, mających się ukazać w najbliższym czasie, tak aby zainteresowani mogli na czas rozpocząć polowania na te pozycje. Tego także domagali się Czytelnicy, z którymi spotkaliśmy się w bielańskim, stołecznym MPiK-u. Cieszy nas bardzo, że wśród prawdziwych znawców i krytyków „Fantastyki” obecnych na tym spotkaniu, znalazł się uczeń z niebieską tarczą. Nie ustępował ani wiedzą, ani oczytaniem w literaturze, ani też inicjatywami innym koneserom. A właśnie prawdziwych znawców, nie zaś pochlebców, najwyżej się ceni.

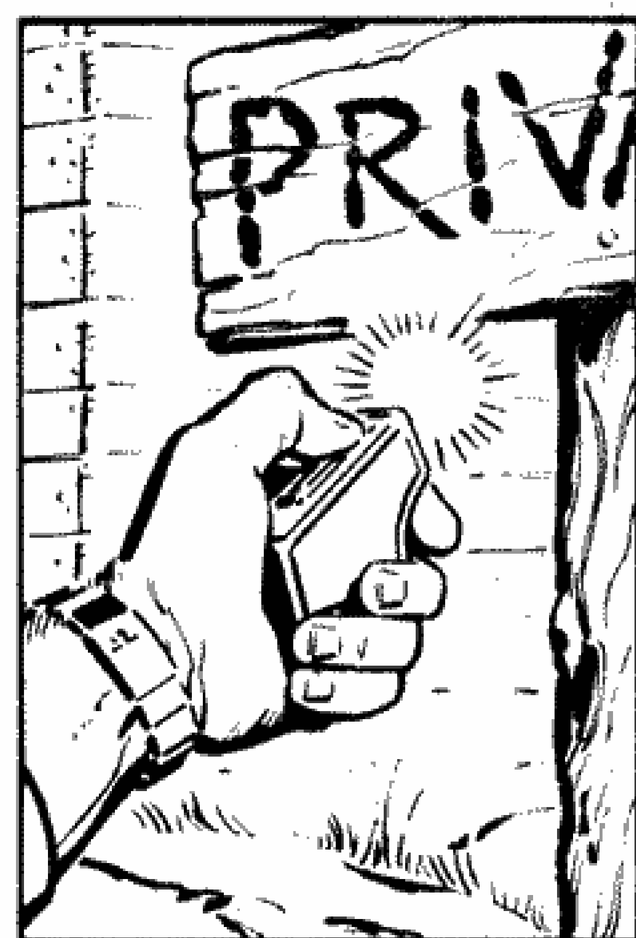
Redaktor

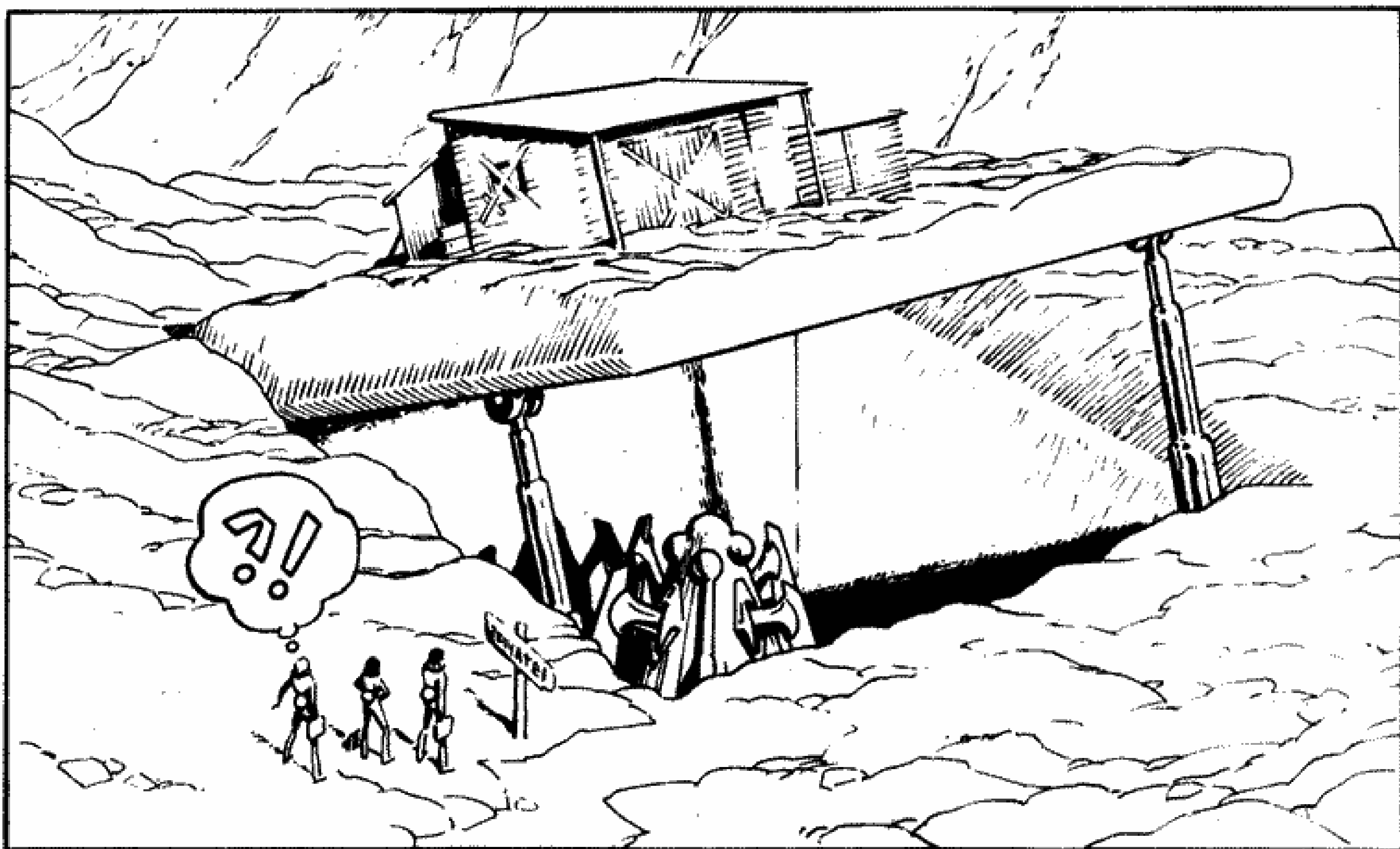
ZASKOCZENIE

PAROWSKI ● RODEK ● POLCH

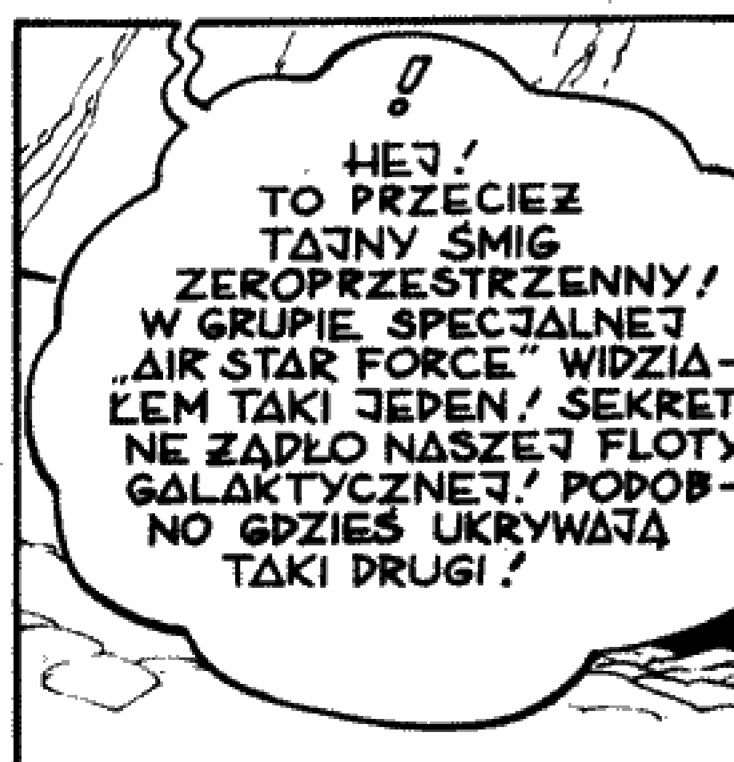


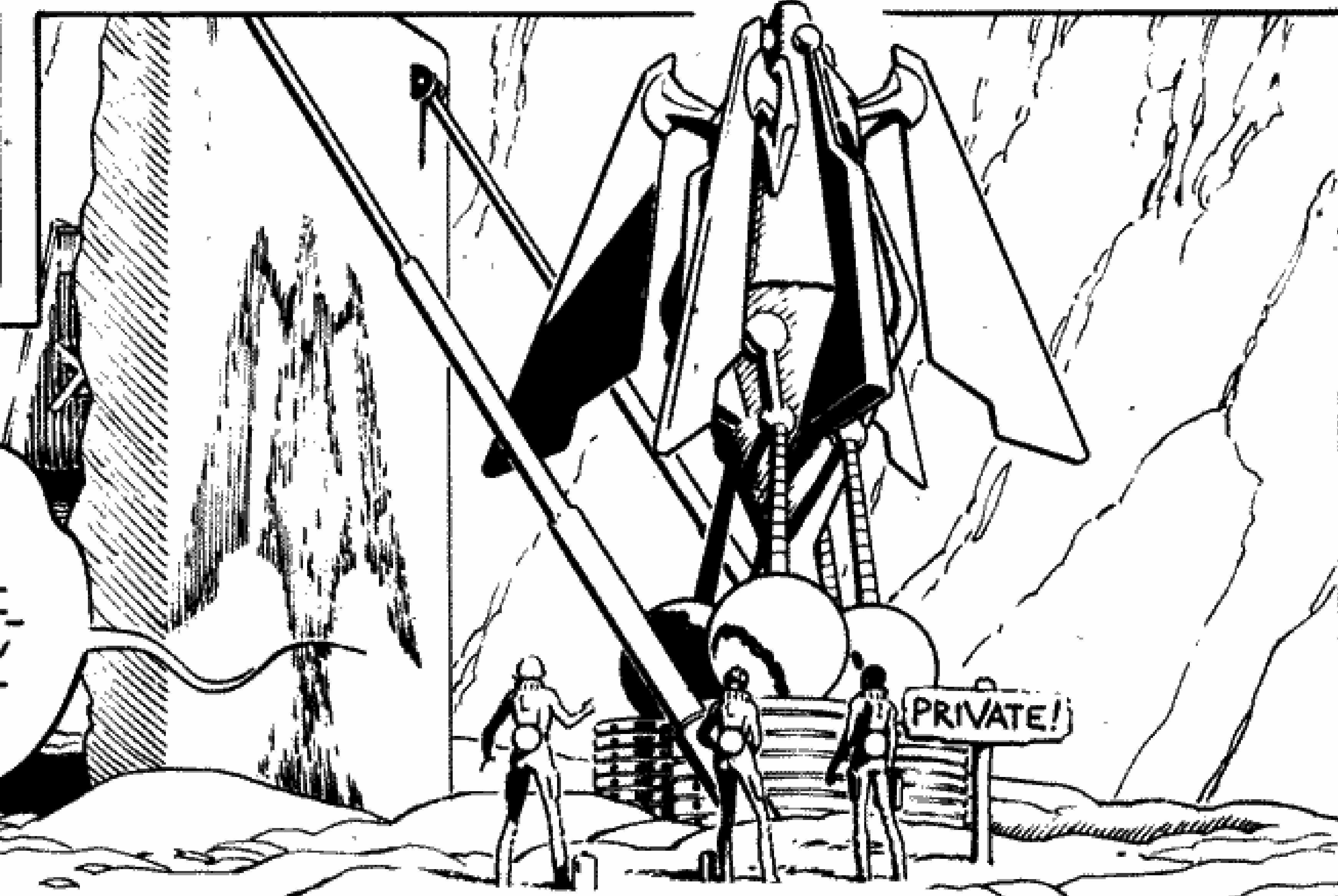
















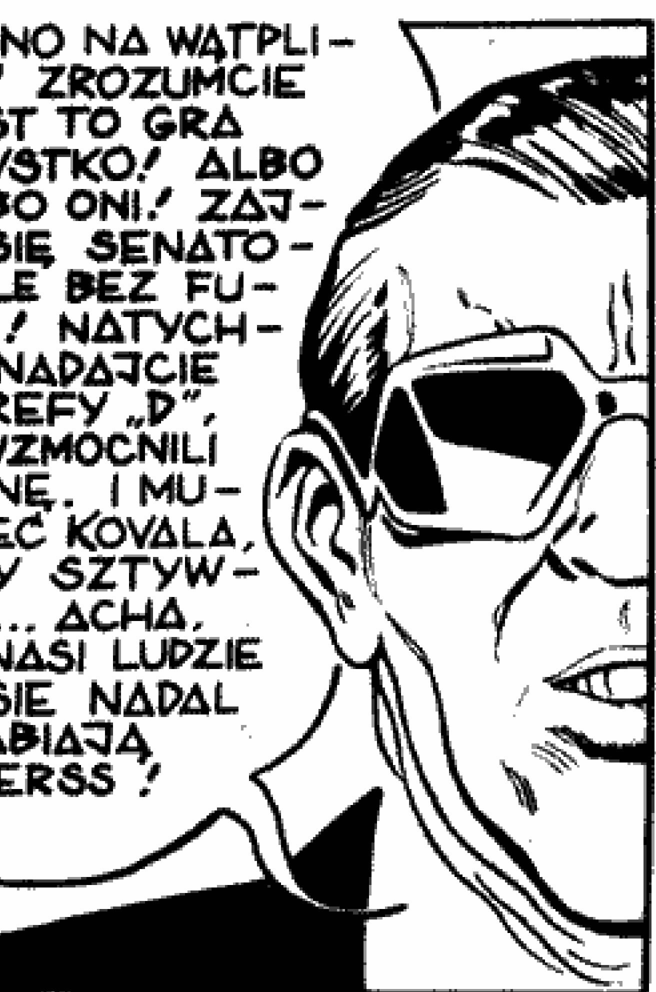












ZASKOCZENIE



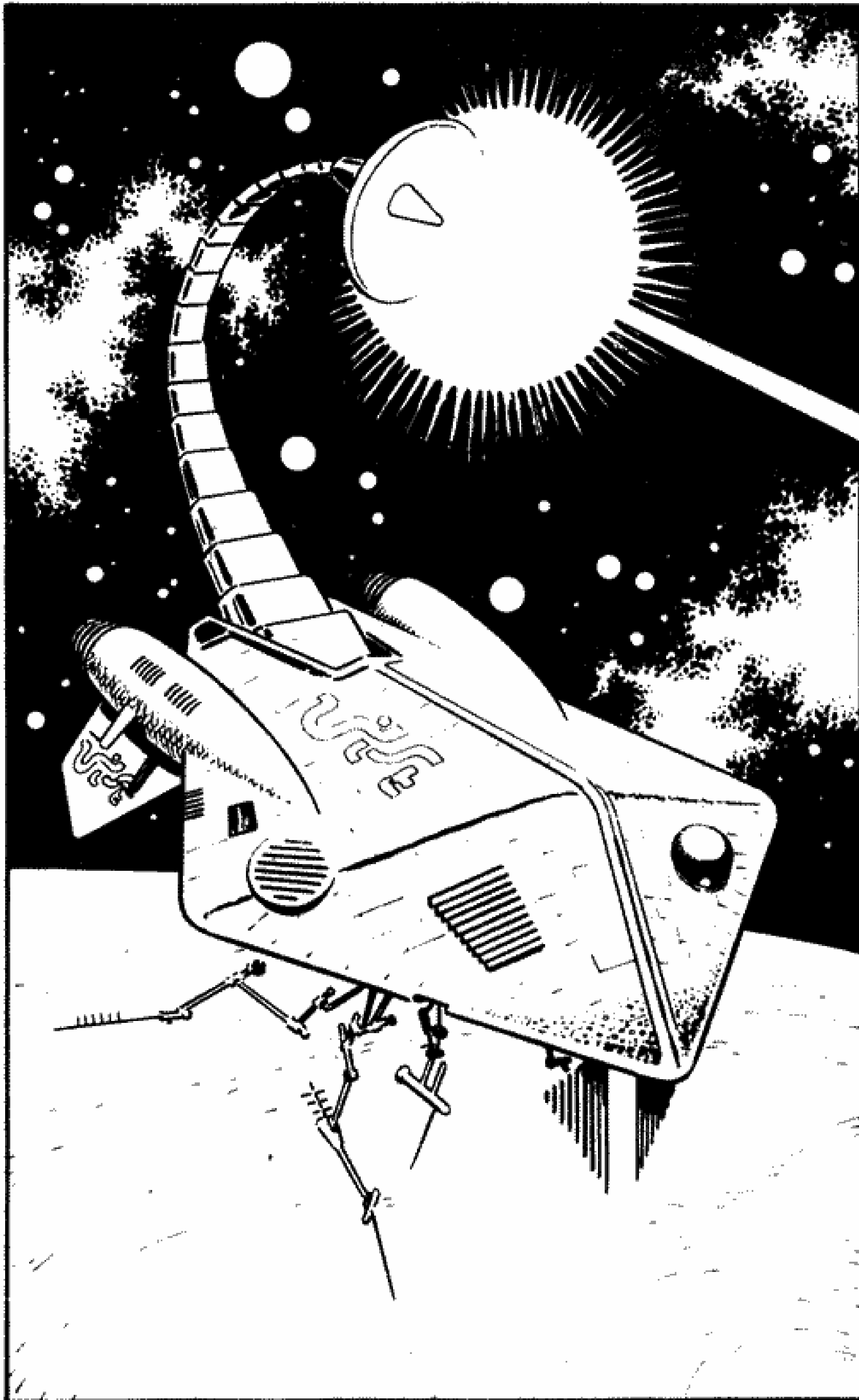








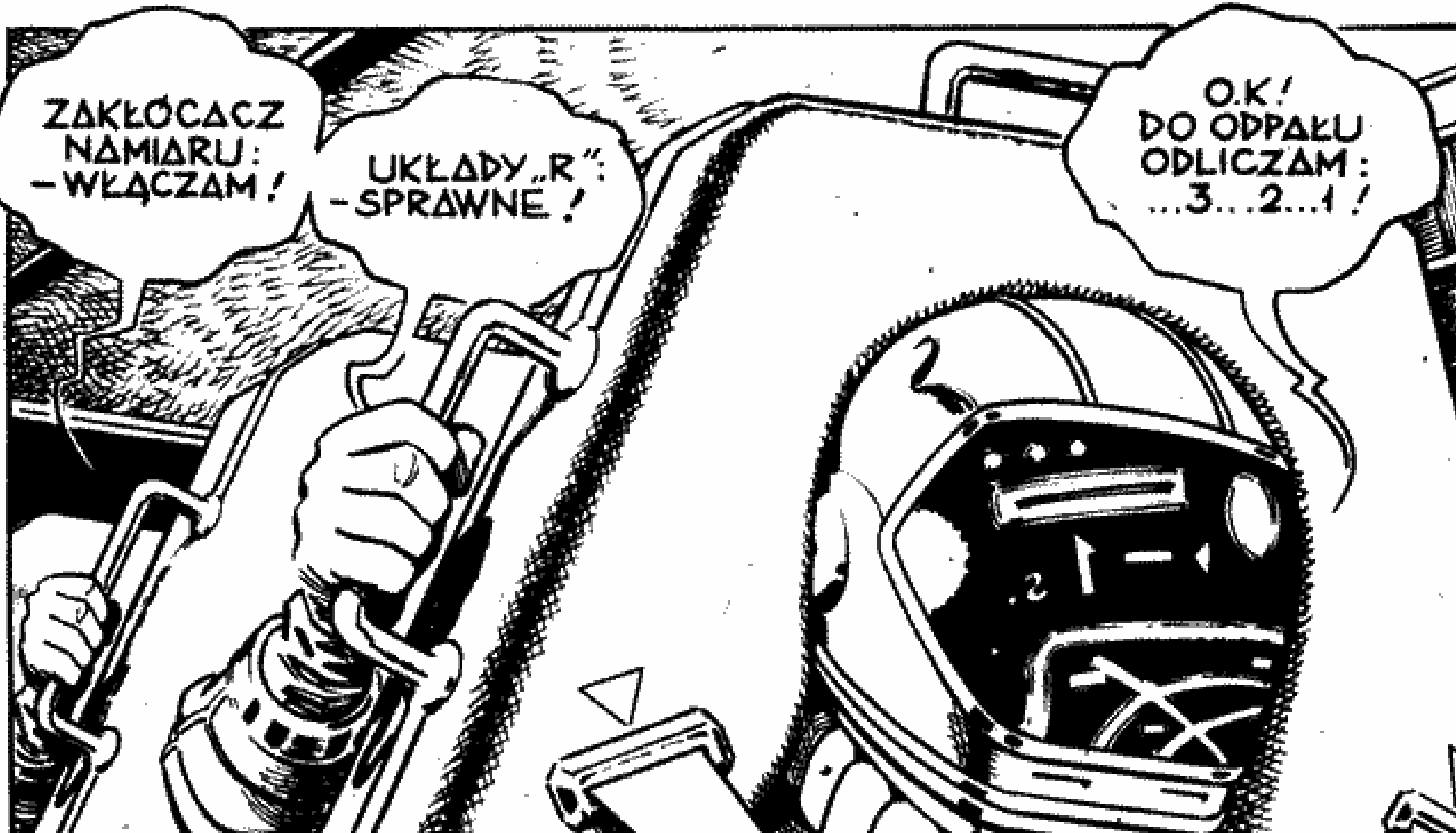


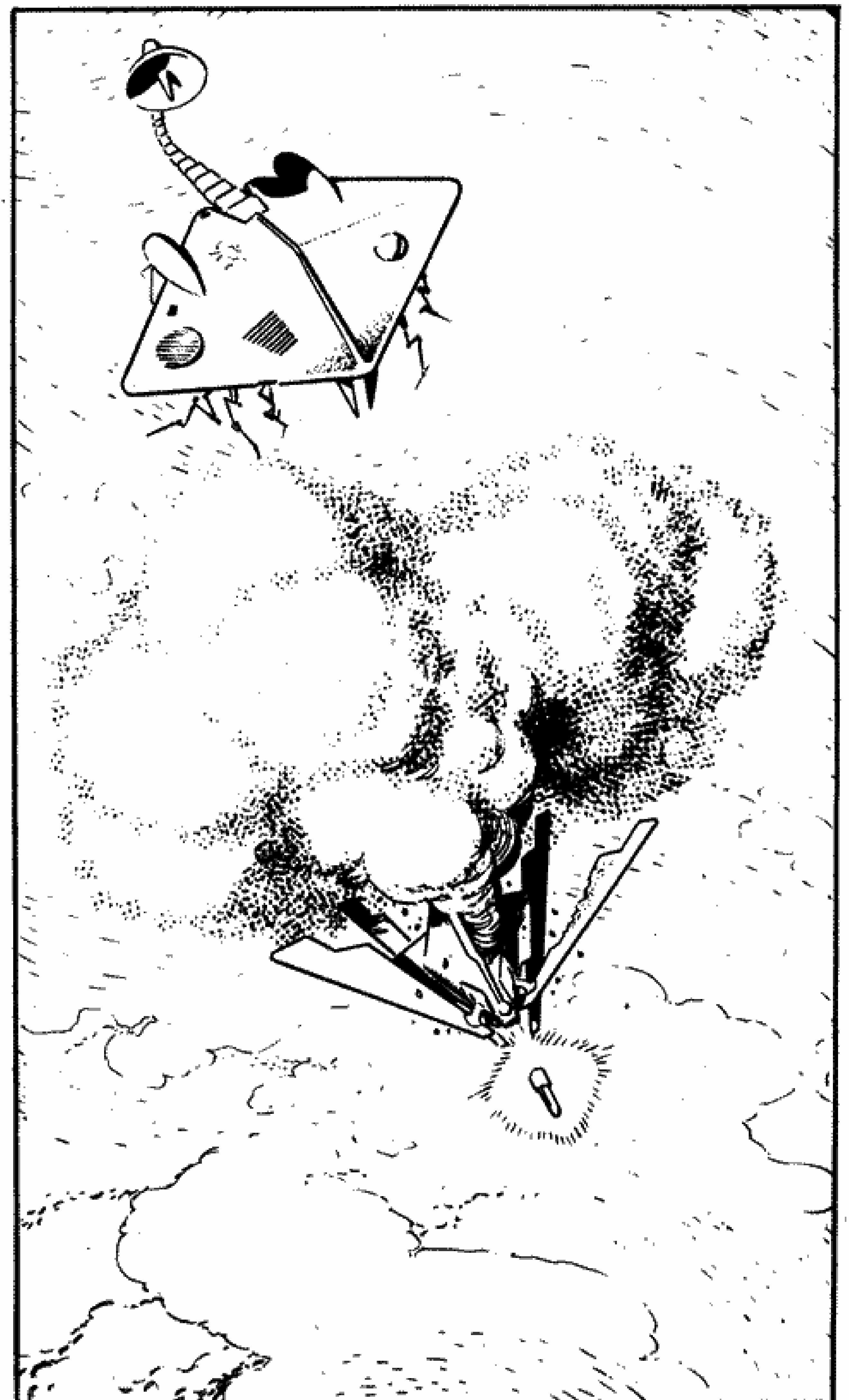










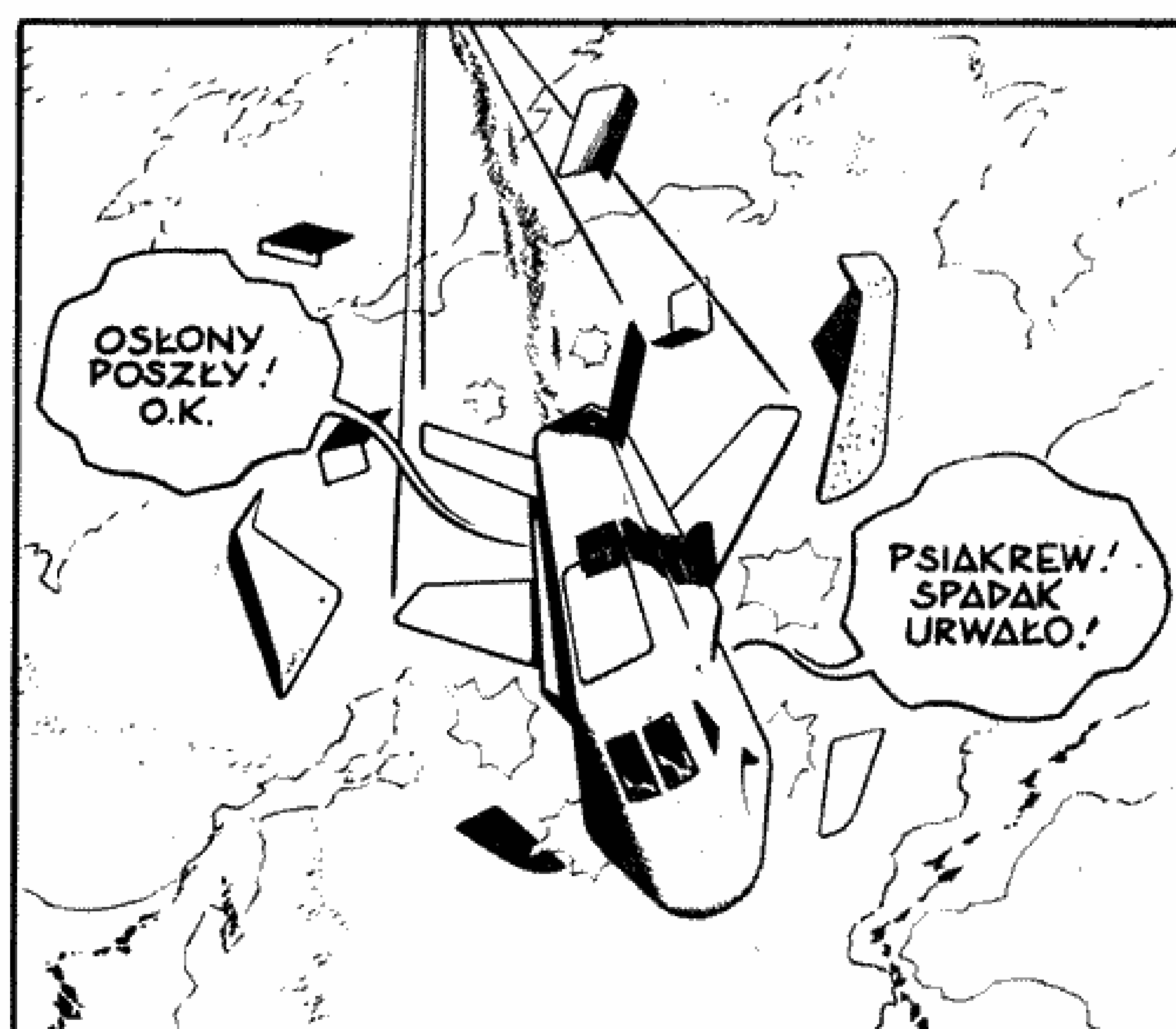


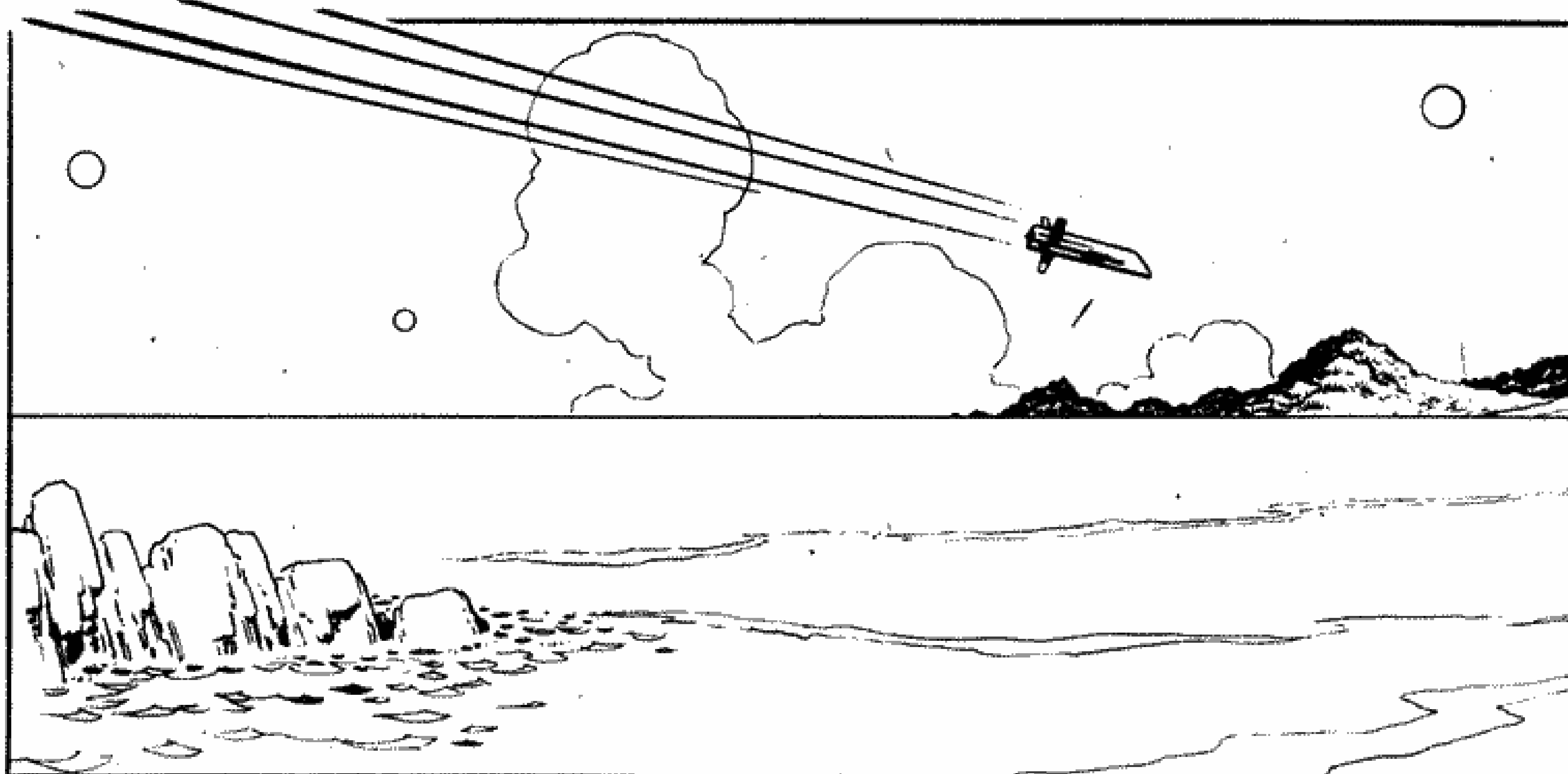
RESCUE jęz. ang. – ratunek

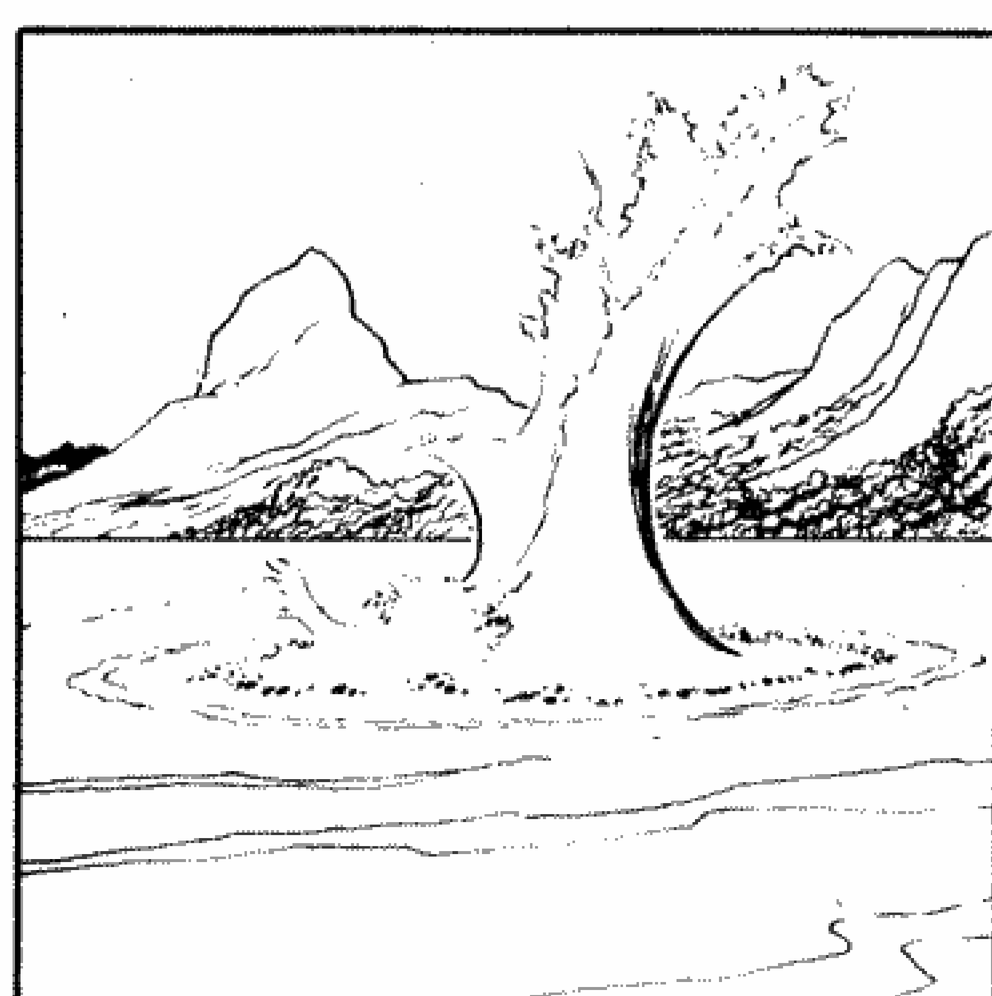
ZASKOCZENIE

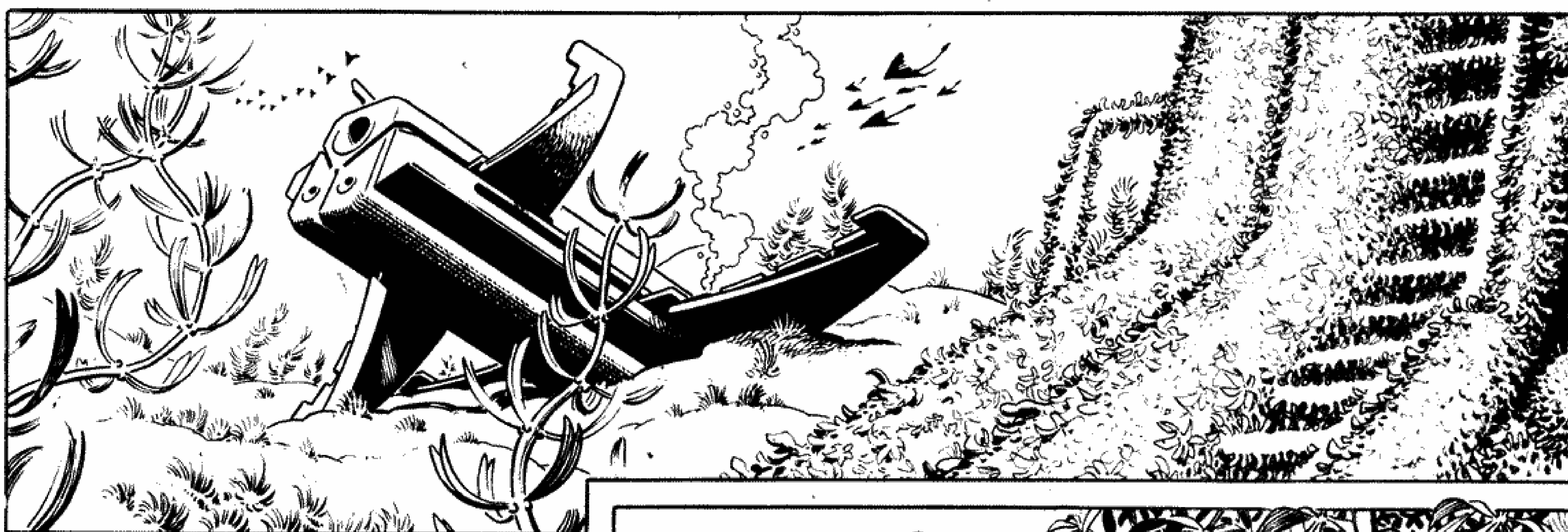
PARAWSKI ● RODEK ● POLCH

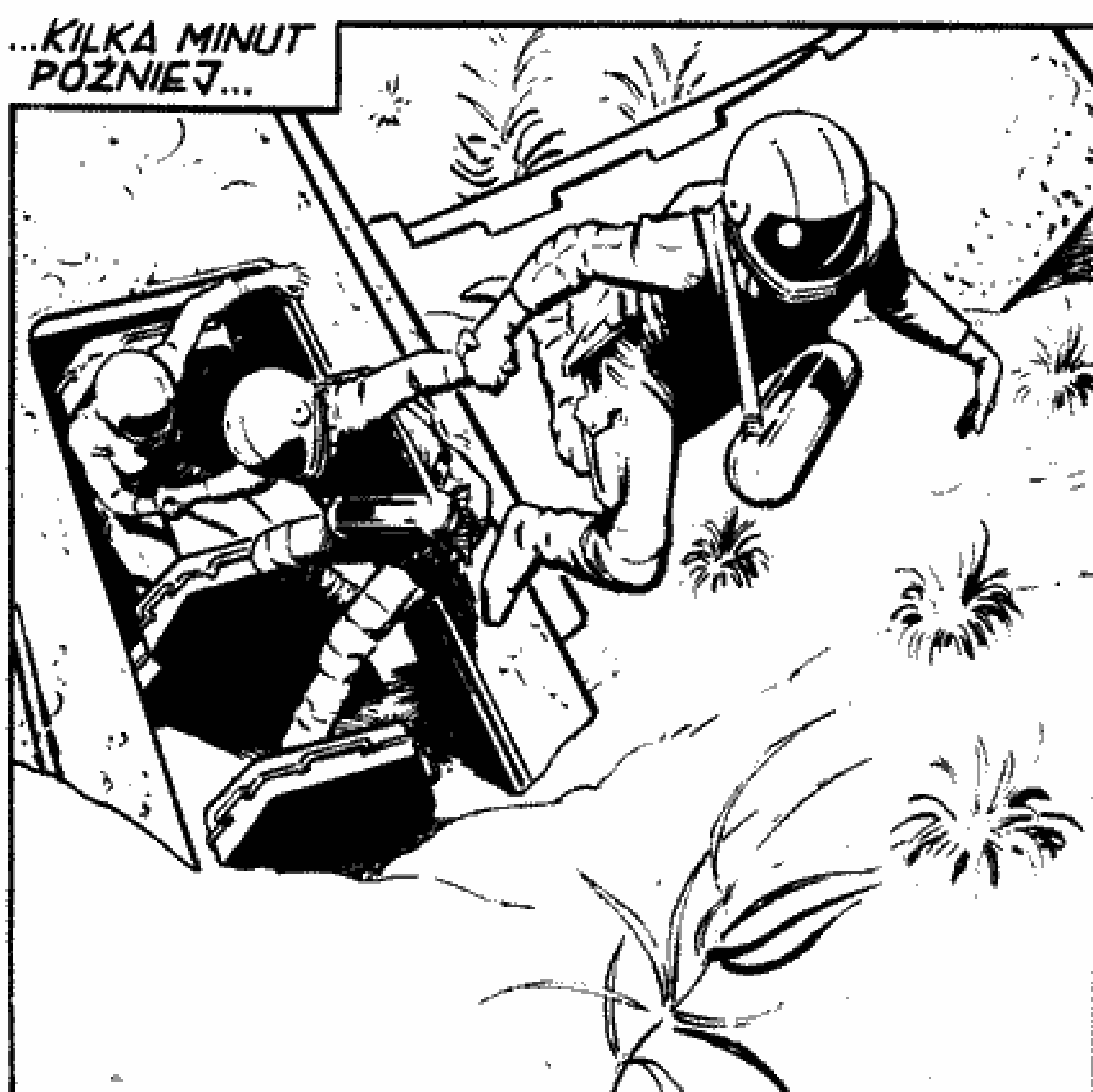














LISTA BESTSELLERÓW

Posucha na naszym rynku wydawniczym trwa nadal. Pomimo działania w warunkach reformy, pomimo licznych możliwości złotówkowych zakupów światowych bestsellerów SF - wydawnictwa zamiast zwiększyć swoje zainteresowanie poszukiwaną literaturą stale zmniejszają liczbę tytułów fantastyczno-naukowych. W styczniu tylko dwie oficyny zasygnalizowały nowe pozycje: Wydawnictwo Literackie - kolejne wznowienie „Dzienników gwiazdowych" Stanisława Lema w nowej serii „Dzieł" (50 000 nakładu, twarda oprawa; ładne, ale drogie: 160 zł) i Krajowa Agencja Wydawnicza - powieść znanego już z dwóch publikacji w „Iskrach" Czesława Białczyńskiego „Miliardy białych płatków" (100 000 nakładu, wydanie zeszytowe; względnie tanio: 45 zł., ale szkaradne edytorsko). Piszę - zasygnalizowały, gdyż w dalszym ciągu od wydrukowania do rozpowszechnienia droga szalenie długa i zawiła. „Dzienników gwiazdowych" oceniać tu raczej nie wypada. Myślę, że ta klasyczna już dziś, ciesząca się niezmiennym powodzeniem na całym niemal świecie, pozycja znajdzie swoich nabywców nawet wśród tych, którzy są posiadaczami poprzednich edycji. Tym bardziej że zawarto w tym wydaniu wszystkie przygody Ijona Tichego, które przedstawił Autor w przeciągu dwudziestu lat opisywania jego dziejów (z wyjątkiem opublikowanej jedynie w „Sezamie" opowieści dwudziestej szóstej, na którą sam pisarz od wielu lat patrzy z pewnym zażenowaniem i wielokrotnie mówił o niej jako o literackim nieporozumieniu). „Miliardy białych płatków" to ciekawy przykład rodzimej politic fiction, książka napisana w roku 1979, ale jak dojrzewające wino nabierająca z czasem nieprzewidzianych nawet przez sarnio autora uniwersalistycznych wartości. Mimo nieciekawej formy edytorskiej polecam ją gorąco wszystkim, tym bardziej że osadzona jest w nurcie tak ostatnio popularnym wśród czytelników, a reprezentowanym przez bardzo dobrze przez odbiorców przyjęte „Limes interior" Janusza Zajdla, „Twarzą ku ziemi" Macieja Parowskiego, czy z książek wcześniej wydanych „ Wir pamięci" Edmunda Wnuka - Lipińskiego. Ci, którzy ją kupią na pewno nie będą wydanych pieniędzy żałowali.

* * *

Na czytelniczej liście bestsellerów znów spore zmiany. Łącznie na prezentowaną edycję listy czytelnicy oddali 465 głosów, a więc powoli zbliżamy się do reprezentacji mogącej świadczyć o rzeczywistym odbiorze pozycji. Na razie z klubu w Lodzi uzyskaliśmy informację pozwalającą sądzić, że zbliżamy się do progu wiarygodności rynkowej: drugi tom antologii „Spotkanie w przestworzach" sprzedany został na giełdzie za 420 złotych. Jak na niemal nową pozycję cena bardzo wysoka. I równie wysoka pozycja na typowanej przez czytelników liście.

* * *

I jeszcze na koniec odnotować wypada pojawienie się dwóch nieprofesjonalnych wydawnictw poświęconych naukowej fantastyce. Nakładem Śląskiego Klubu Fantastyki ukazał się pierwszy numer biuletynu SKF „Fikcje"(nakład: 1000 egz., cena 50 zł), zaś nakładem Klubu Miłośników Fantastyki Naukowej „Orbita" w Poznaniu kolejny numer przeznaczonego do użytku wewnętrznego magazynu „Kwazar"(nakład: 200 egz., cena 200 zł).

CZYTELNICY:

1.	1.	Philip K. Dick	**„Słoneczna loteria"**	Czytelnik
2.	9.	Antologia	**„Spotkanie w przestworzach"**	KAW
3.	5.	Maciej Parowski	**„Twarzą ku ziemi"**	Czytelnik
4.	3.	Stefan Wul	**„Remedium"**	KAW
5.	4.	Harry Harrison	**„Planeta śmierci"**	Czytelnik
6.	2.	Stanisław Lem	**„Solaria"**	Iskry
7.	7.	Andrzej Krzepkowskł	**„Śpiew kryształu"**	Wyd. Lubelskie
8.	-	Tadeusz Markowski	**„Tak bardzo chciał być człowiekiem"**	KAW
9.	-.	Andrzej Krzepkowski	**„Kraks"**	KAW
10.	-.	Janusz A. Zajdel	**„Limes interior"**	Iskry
11.	8.	Jacek Sawaszkiewicz	**„Kronika Akaszy 2"**	Wyd, Poznańskie
12.	15.	Janusz A. Zajdel	**„Ogon diabła"**	KAW
13.	-.	Wiktor Źwikiewicz	**„Druga jesień"**	Wyd. Poznańskie
	6.	Stanisław Lem	**„Niezwyciężony"**	Iskry
	13.	Kate Wilhelm	**„Gdzie dawniej śpiewał ptak"**	Czytelnik

REDAKCJA:

1.	-.	Janusz A. Zajdel	**„Limes interior"**	Iskry
2.	3.	Wiktor Źwikiewicz	**„Druga jesień"**	Wyd. Poznańskie
3.	2.	Stanisław Lem	**„Solaris"**	Iskry
4.	1.	Stanisław Lem	**„Wizja lokalna"**	Wyd. Literackie
5.	4.	James G. Ballard	**„Wyspa"**	Czytelnik
6.	8.	Andrzej Krzepkowski	**„Kreks"**	KAW
7.	-.	Tadeusz Markowski	**„Tak bardzo chciał być człowiekiem"**	KAW
8.	6.	Antologia	**„Spotkanie w przestworzach"**	KAW
9.	-.	Maciej Parowski	**„Twarzą ku ziemi"**	Czytelnik
10.	9.	Peter Zsoldos	**„Zadanie"**	Iskry
-.	5.	Stanisław Lem	**„Śledztwo. Katar „**	Wyd. Literackie
-.	7.	Philip K. Dick	**„Słoneczna loteria"**	Czytelnik
-.	-.	Mark Twain	**„Tajemniczy przybysz"**	Wyd. Literackie
-.	-.	Stefan Wul	**„Remedium"**	KAW

fantastyka



PRZEŁĘCZ

Kirył Bułyczów